

**Sven Hassel**

# **Więzienie NKWD**

*(OGPU PRISON)*

*Przekład Joanna Jankowska*

**NSB**

*Jedyną rzeczą, jakiej obawia się nasz Führer jest pokój, ale nie spędza mu to snu z powiek. Przecież to nasi wrogowie śnią o zawarciu z nim pokoju.*

Porta w trakcie rozmowy z Małym, w trakcie przekraczania Dniepru w lipcu 1942 roku.

*Książkę dedykuję hiszpańskiemu poecie, Joaquinowi  
Buxo Montesinosowi.*

*Szczęśliwi są ci, którzy mogą się śmiać, gdy śmierć staje się absurdem, a życie jest nim jeszcze większym.*

Wilfred Owen

*Apres moi le deluge – wyjaśnił kapelan sztabowy, wytrzeszczając oczy na pułkownika, który gapił się na rozmówcę kamiennym wzrokiem z wysokości końskiego siodła.*

*– Mama mnie zostawiła, gdy byłem małym chłopcem – szlochał klecha z żalu nad własnym losem.*

*– Jesteś pijany – powiedział pułkownik, stukając szpicrutą w cholewkę buta.*

*– Pudło, całkowite pudło, kolego pułkowniku – powiedział padre czkając, po czym wydał głośną serię chrapliwych śmiechów, które odbijały się niekończącym echem po pustych jeszcze o tej porze ulicach. – Niech pan się zbliży, to zauważy pan, że jestem całkowicie trzeźwy. Nawet pański koń może to potwierdzić, bo dmucham mu prosto w nozdrza.*

*Kapelan przy pomocy słupa latarni usiłował utrzymać równowagę, aby wykonać trudny manewr złączenia stóp i zasalutowania oficerowi.*

*– Panie pułkowniku! Nie będę pana oszukiwać – mówił z uroczystą powagą. – Jestem pijany! Straszliwie pijany. Dlatego sam sobie zadałem pokutę, dziesięć razy „Ojcze nasz” i piętnaście razy „Zdrowaś Mario”.*

*Po czym stracił wątek.*

*– Boże! Mogę mówić? Jestem kapelanem korpusu w Trzeciej Armii.*

*Objął konia za szyję i zaczął błagać, aby go aresztowano, założono kajdanki i zabrano do więzienia.*

*– Ale błagam! – mówił zanosząc się kaszlem. – Zabierzcie mnie do więzienia na Starym Moabicy. Dzisiaj na kolację podają tam fasolę. Chodź ze mną pułkowniku, to się sam pan przekona. To jest najlepsza fasola, jaką jadłem w swoim życiu!*

# Rozdział 1

## Bieg z przeszkodami do mamra

Gregor Martin klął przez dłuższą chwilę, nie powtarzając ani razu żadnej frazy.

– Służba eskortowa – warczał. – Dlaczego w imię pięćdziesięciu pogańskich piekieł, my to musimy robić? Dlaczego nie wsadzą ich do jakiegoś tramwaju albo czegoś podobnego? Całe to gówno z kajdanami na nogach i bransoletkami na rękach, och ty w życiu! Czy któryś z nich jest w stanie zarwać to żelastwo i uciec?

– Nic nie rozumiesz – odparł z uśmiechem na twarzy Porta. – Tak jest napisane w regulaminie armii. Więzień ma być dostarczony do więzienia w kajdanach i pod eskortą. Armia takie sprawy traktuje niezmiernie poważnie. Wysłać ich tramwajem, chyba cię zupełnie pogięło!

– Zamknij się – burczał Gregor. – Jeśli zaczniesz jedną z tych twoich opowieści o więźniach, to cię zastrzełę. Zrobię to na pewno!

– Moje opowieści to nie takie byle co – zarzął Porta. – Możesz się z nich dużo nauczyć. Pewnego razu eskortowaliśmy gości z Altony do Fuhlsbüttel i gdy dojechaliśmy do Gansmarkt, ustaliliśmy, że dalej pojedziemy tramwajem. Ale dowódca konwoju, Oberfeldwebel Schramm miał jakieś kłopoty z oczami i

nosił przyciemniane okulary. Powiedzieliśmy mu, że wsiadamy do „dziewiątki”, a powinniśmy do „szóstki”, ale on kazał nam się zamknąć, tak samo jak wy teraz. Nie chciał się przyznać, że jego kiepskie szkła przynoszą mu więcej szkody niż pożytku.

Twoja sprawa, Schramm, pomyśleliśmy i ścieśniliśmy się w tramwaju numer dziewięć, który miał pętlę na Landungsbrücke.

– No dobra, tyle wystarczy – krzyknął gburowato Gregor. – Reszty się domyślamy.

– Na pewno nie – odparł z wyższością Porta. – Trzy dni później sami znaleźliśmy się w Fuhlsbuttel. Ale przedtem Oberfeldwebel Schramm zwariował i trzeba go było zabrać do Gissen. [Zakład dla umysłowo chorych] Kiedy już załatwiliśmy tę sprawę, z eskorty staliśmy się więźniami i musieli wyznaczyć nam obstawę. Dowodził Feldwebel Schluckmeyer, który z kolei miał kłopoty z uszami...

– Jeśli masz zamiar nam powiedzieć, że i on oszalał – krzyknął Gregor – to ja lub ktoś inny może cię uszkodzić.

– Och nie – Porta udawał obrażonego – zawsze trzymam się faktów. Feldwebel Schluckmeyer nigdy nie oszalał. Zastrzelił się, zanim dotarliśmy do Fuhlsbuttel, co stworzyło nam trochę kłopotów, bo jak sam rozumiesz, nie mogliśmy wejść do paki i zameldować się tak po prostu bez komendanta konwoju.

Gregor sięgnął do kabury i wyciągnął Walthera P38.

– Jeszcze jedno słowo i napełnię twoje nędzne ciało kulami.

– Jeśli tak uważasz – Porta beztrąsko potrząsnął ramionami. – Ale będziesz jeszcze żałował, że nie chcesz skorzystać z bogactwa moich doświadczeń i to za darmo. Jestem ekspertem od spraw konwojowania i to bez względu, po której stronie lufy karabinu stoję.

– Gówno – wysyczał zirytowany Gregor i wcisnął z powrotem pistolet do kabury.

Porta, który znał Berlin jak własną kieszeń był naszym przewodnikiem. Gdy przechodziliśmy przez Neuer Markt i skręciliśmy w Bischoffstrasse, jeden z aresztantów, Gefreiter Kain, oznajmił, że idziemy złą drogą.

– A skąd ty do diabła to wiesz? – bulgotał nagle rozwścieczony Porta. – Może idziemy skrótem, no nie?

– Jaja sobie robisz – upierał się Kain. – Urodziłem się tutaj i znam to miasto od podszewki. Idźmy tak dalej, to znajdziemy na Alexanderplatz.

– Nie mów mi, co jest co, ty śmieciu więzienny. Wiem, co robię – powiedział Porta.

– Więzień odzywa się, gdy otrzyma na to pozwolenie – zawołał Mały z końca naszej kolumny.

– Jeśli chcemy dojść do pierdła – wykrzyknął wachmistrz artylerii – to oczywiste, że nie jesteśmy na dobrej drodze!

– Gadanie, gadanie – Porta beształ z wyższością w głosie. – Wrzeszczycie jak stado pijanych papug w sklepie. Gregor, niech cię dopadnie chrześcijańskie miłosierdzie i zdejmij tym chłopakom żelastwo z rąk i nóg. Wsadzimy ich do „Garbatego Psa”, po drugiej



stronie Alexplacu.

– Zawsze jest coś do załatwienia w „Garbatym Psie” – wyjaśnił po chwili Porta z czarująco cwaniackim uśmiechem, gdy szczękały kajdany w trakcie zatrzymywania się konwoju przed knajpą.

– W zeszłą środę jeden facet gonił drugiego, aby strzelić mu w tyłek, bo gość zapomniał zapłacić rachunek. Zaś zeszłej nocy odbyło się spotkanie kolejarzy i tramwajarzy, jak zawsze zakończone stanem podgorączkowym i jak zwykle parę osób opuściło ten przecudny lokal, wybijając szybę głową.

– Więzień polityczny? – spytał z niekłamanym zainteresowaniem Mały, zdejmując łańcuszki Gefreitrowi pionierów.

– Można tak powiedzieć – odpowiedział pionier. – Zgodnie z zebranymi przeciwko mnie dowodami powinienem być przynajmniej jakimś ministrem, który popełnił zdradę stanu.

– Czerwony Front i całe to gówno, to ty? – spytał Mały podejrzliwie.

– Jeszcze gorzej – oznajmił pionier ponuro. – Rzygałem spokojnie za „Żabą”, gdy otoczyła mnie banda psów z żandarmerii. Czuję się jak kromka chleba między wygłodniałymi kaczkami. Coś im powiedziałem o Adolfie-Łgarzu z Braunau w Austrii, który wpakował nas w paskudne gówno.

– Masz tylko jedną szansę – powiedział Mały wszechwiedzącym tonem. – Kiedy cię postawią przed

obliczem sądu, wyciągnij do góry ramię, strzel obcasami i krzyknij: „Eil Itler”. Rób tak za każdym razem, gdy zadadzą ci jakieś pytanie. Wtedy, jedyne co będą mogli zrobić, to wysłać cię do jakiegoś psychiatry. Dalej zachowuj się jak poprzednio. Kiedy ten lekarz od wariatów będzie cię pytał o coś brzydkiego, jak na przykład wkładanie kawałków drewna w dziurkę, składanie wyrazów w kupe albo coś podobnego, co powinieneś zrobić? Krzyczeć: „Führer, befehl, wir folgen!” Masz tak się drzeć, nawet wtedy, gdy wsadzą cię do izolatki. Potrzymają cię trochę i dojdą do wniosku, że już na ciebie spadła ciężka kara i zabiorą cię na oddział zamknięty do końca życia. Wtedy będziesz ocalony! Masz tam siedzieć grzecznie i spokojnie czekać, aż Niemcom ktoś wykopie z głowy ochotę do wojaczki. Kiedy to się stanie, zmykaj stamtąd, bo ten zakład wypełni się zaraz kolegami Adolfa. A w nowych Niemczech będziesz miał szansę zostać nawet majorem.

– To trochę zawiły sposób – stwierdził pesymistycznie wachmistrz artylerii, jak tylko znaleźli miejsca w wypełnionej dymem i odorem piwa sali.

Gospodarz, chudy facet w kapeluszu w kształcie miski, uściskał Portę, szczerząc radośnie zęby. Pierwsza kolejka była na koszt firmy.

– Czy któryś z was spieszy się na spotkanie z tasakiem kata? – spytał Porta po drugiej kolejce. – Jeśli tak, to siedźcie spokojnie. Wszystko trwa szybciej, niż potraficie pomyśleć. Znam faceta, który macha tym żelastwem i

mówię wam, on zna się na tej robocie. Jedyny kłopot, gdy jest dwóch skazańców, a jeden z nich jest beksą. Popuść mu trochę, to zaraz zacznie płakać i mówić, że to wszystko jest pomyłką. Bo tak jest z pewnością.

– Nie wierzę, że oni są tak okrutni – wtrącił swoje trzy grosze Feldwebel piechoty. – My, Niemcy jesteśmy humanitarnym narodem.

– Powiedz to chłopcom z Germersheim [Więzienie wojskowe w pobliżu Karlsruhe.] – odparł Porta z jadem w głosie.

– Chyba nie uwierzycie – ciągnął dalej Feldwebel – ale ja naprawdę jestem niewinny.

– Oczywiście, że jesteś – Porta potaknął głową. – My wszyscy jesteśmy niewinni. Na nasze nieszczęście, dzisiaj bardziej niebezpieczne jest być niewinnym niż winnym.

Pochylił się ponad stołem i zaczął mówić konfidencyjnym tonem.

– Poznałem kiedyś Ludwiga Gansenheima ze Soltau. Był naprawdę ostrożnym człowiekiem. Tak ostrożnym, że nawet gdy szedł po ulicy, zamykał oczy, aby nie zobaczyć czegoś, czego nie powinien widzieć. Jeśli dyskusja schodziła na tematy bliskie zdrady stanu, zatykał uszy palcami. Ale pewnego razu przypadkiem wmieszał się w pochód KDF. [ KDF – Kraft durch Freude (Siła przez radość) – nazistowska instytucja organizująca rozrywki i wczasy] Wszyscy krzyczeli: „Heil Deutschland” i „Heil Hitler”. Przez chwilę ten tłum szedł przez Leipziger Strasse, potem wokół zajezdni tramwajowej. Nasz spokojny obywatel, pan Ludwig Gansenheim, miał tak wyprany mózg, że nawet nie

zauważył, jak bezwiednie zaczął wykrzykiwać hasła na cześć wodza i wielkich Niemiec. Gdy rozradowany tłum grzmiał na moście na Sprewie, on już wychodził z siebie krzycząc: „śmierć dla Żydów i komunistów”. Tak się rozochocił, że nawet nie zauważył, kiedy stratował go tłum. Gdy cały pochód ruszył pod Kancelarię Rzeszy, aby chwycić trochę z blasku Adolfa, oddział Schupo [Schupo (Schutzpolizei) – niemiecka policja miejska, w języku polskim zwana Policją Ochronną lub Muncypalną] zbierał resztki tego, co pozostało po Herr Ludwigu i innych niewinnych, podobnych do niego. Zabrali to wszystko do kostnicy, bo być może ktoś rozpozna te krwawe szczątki.

– Wojna jest straszna – wtrącił się Feldwebel piechoty.

Kąciki ust opadły mu tak nisko, że prawie spotkały się pod brodą.

– Ludzie są zabijani w ten czy inny sposób. I nie ma znaczenia, czy są winni, czy też nie.

– Tak, tak – kontynuował entuzjastycznie Porta. – W czasie wojny nie ma miejsca na zmartwienia. Niektórzy dostają swoją kulkę na froncie, inni tracą świadomość w Plötzensee. [Więzienie w Berlinie, w którym w latach 1933-45 zamordowano wielu przeciwników ówczesnej władzy] Prędzej, czy później, nas też to spotka. Nasi potomkowie potem oceniają, czy nie uciekaliśmy w czasie wojny, jak stado przerażonych kur, ściganych w kółko przez lisa! Wojny światowe obracają się wokół krwi i gówna, aby potem można je było opisać w książkach historycznych. Nie myślcie chyba, że gdyby Adolf nie rozpętał wojny, to ktokolwiek by go zauważył.

A wielcy zbrodniarze są zawsze pamiętani.

Deszcz powoli zmieniał się w lepką śnieżycę, gdy eskorta i więźniowie opuszczali „Psa”. Zaraz za stacją Hitlerjugend na Prenzlauer Strasse ściągnięto z masztu flagę. Skręcili za najbliższym rogiem i pomaszerowali wzdłuż Dircksen Strasse.

– Gówno – powiedział Gregor, ścierając topniejący śnieg z twarzy. – Jestem już zmęczony tą cholerną wojną. Cały czas tylko czekamy, kiedy jakaś bomba spadnie nam na czerep.

Przez drzwi, znajdujące się kilka stopni ponad poziomem chodnika wyleciał jakiś facet. Potoczył się w poprzek ulicy jak koło i zatrzymał na ścianie przeciwległego budynku. Po nim wyleciały na ulicę płaszcz i kapelusz, a w następnej chwili parasol.

Porta roześmiał się, tak jakby przewidział całą sytuację.

– Panowie, oto jesteśmy. To jest właśnie „Kulawa Żaba” i rzeczy zaczynają nabierać życia. Bądźcie tak mili i zamknijcie się – kontynuował ojcowskim tonem. – Bo to jest fajne miejsce z pianinem i perkusją, i gdzie wdowy wojenne podtrzymują się na duchu po stracie swoich mężów.

– Byłem tu już kiedyś – oznajmił Mały z błyszczącymi oczami. – Nie uwierzycie, jakie szparki tu przychodzą. Jakie ciaśniutkie. Nie mogą się nawet wysikać. Musiałem używać własnego lejka, aby im pomóc.

– Co zrobić, gdy natkniemy się na psy gończe? – spytał nerwowo Gregor, odkładając empi na półkę pod barem.

- Z tym nie ma problemu – stwierdził beztrąsko Porta.
- Psy i Schupo zawsze wcześniej dzwonią, nim zrobią nalot.

Gospodarz na dwóch drewnianych nogach serdecznie przywitał się z Portą, po czym spytał co ich sprowadza.

- Musimy dostarczyć czterech biedaków, aby ich powiesili – powiedział Porta.

– O cholera – powiedział kaleka – pierwsza kolejka od firmy!

Po czterech kolejkach piwa i sznapsa Porta zaczął opowiadać anegdoty podchodzące pod zdradę stanu.

- Kiedy przyjdą, złapią go i powieszą za ten austriacki kark – mówił konspiracyjnym tonem do motorniczego tramwaju, który odjeżdżał rano z grupą transportową.

– Będzie chciał przemawiać, nim wyciągną mu spod nóg podłogę – roześmiał się entuzjastycznie Mały i walnął pięścią w stół tak mocno, że aż zaczęły tańczyć szklanki.

Schupowiec w półcywilnych ciuchach tak się uśmieł serdecznie, że aż połknął cygaro.

Knajpiarz walnął go zapobiegawczo trzecią, rezerwową drewnianą nogą, którą zawsze trzymał za barem.

Policjant wykasł ogryzek cygara, które ku naszemu osłupieniu nadal się tliło.

Dwie kobiety ubrane w czerń, biel i czerwień, siedzące pod portretem Hitlera zaczęły śpiewać:

*Raz zabiłem gliniarza,*

*Jego żona już błędów w łóżku nie powtarza...*

Grupa rannych, siedząca przy długim stole, zaczęła wyciągać ręce w stronę kobiecych nóg.

*Zosia, to była śmierdząca pijaczka...*

Zaczął śpiewać Porta barytonem piwosza. Oficer medyczny, na wpół śpiący przy piecu, otworzył oczy i rozejrzał się konspiracyjnie wokół.

– Oszczercy, złośliwcy! Chrzanię was! Jak troszczycie się o ojczyznę! – grzmiał ekstatycznie. – Ja was załatwię. Już macie rozkazy wyjazdu na front!

Z głębokim westchnieniem opadł w poprzek stołu i natychmiast ponownie zasnął.

– Pijany! Pijana cipa! – powiedział gospodarz z dezaprobatą. – Chrzanić te jego komisyjne deklaracje i te wszystkie rozkazy wyjazdu. Dali mu za to medal, ot co zrobili. W ostatnim tygodniu wysłał na front biedaka z jedną nogą. Wiecie co napisał, że proteza może służyć jako broń! Tam na szczęście się zorientowali i odesłali chłopaka z powrotem na tyły. Teraz jest on w szkole podoficerskiej i czeka na spotkanie z tym oficerkiem.

– Pięć za natychmiastowy dziesięciominutowy numerek, albo dwadzieścia pięć za całą noc – oferowały kolorowo ubrane kobiety.

– Ale tylko, jak macie gumki – powiedziała najmniejsza z nich, sugestywnie wskazując pod spódnicę.

- Później, później – machnął odmownie Porta.
- Najpierw dajcie sierocie!
- Nie, ten jeden spotka śmierć, jak tylko minie północ – czknał Mały, śmiejąc się głupkowato.
- A my mamy czterech takich kandydatów do zaświatów – powiedział dalej do patriotycznie nastawionych pań.
- Oni wyglądają całkiem fajnie – powiedziała chichocząc wysoka dziewczyna.
- Na razie tak wyglądają – zaśmiał się ponownie.
- A oni potem zrobią z nich cztery ładne korpusy bez głów.
- Co oni takiego zrobili? – dopytywał się ktoś inkwizytorskim tonem sponad długiego stołu.
- Nic specjalnego – uśmiechnął się Porta – Piechociarz podciął gardło dwóm nowonarodzonym bliźniakom, kanonier pobił na śmierć żonę, zaś ten grubas, w cywilu rzeźnik, zrobił kiełbasę z dwóch zabitych dziwek.
- Dostyc tego! – krzyknął wachmistrz. – Żaden z nas nie jest mordercą. Jesteśmy więźniami politycznymi!
- Nagle wszyscy chcieli im postawić kolejkę.
- To właśnie zrobił z nas Adolf – wieszczył ponad głowami tłumu Porta. Wszystkich powoli zaczęła ogarniać atmosfera pijaństwa i ulicznej miłości.
- Po nas już tylko krwawa powódź – oznajmił podniecony Mały, wypijając piwo z kufla śpiącego gościa.
- Nasi nikczemni wrogowie mogą się za nas wysikać –



powiedział Gregor, groźnie się zataczając.

Rekonwalescenci przy długim stole i ich towarzyszki zaczęli śpiewać:

*Germanio, stary domu,*

*Twój skrwawiony sztandar wisi w strzepach...*

– Jako urzędnik państwowy, nie mogę słuchać takich rzeczy – zaprotestował wysoki mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu.

Przypominał przeziębionego orła.

– Siadaj w kącie i zatkaj sobie uszy – poradził mu Porta. – To, czego nie słyszysz, nie zrobi ci krzywdy.

– Chodźmy do tego pierdła – domagał się nieszczęśliwy wachmistrz. – Przecież to wszystko, to szaleństwo! Jako więzień wojskowy, muszę mocno zaprotestować.

– Chyba wszy ci się dobrały do wątroby – warknął Mały. – Jaka do diabła to dla ciebie różnica? Już nie służysz w wojsku. Zabaw się trochę. To jest ostatnia szansa ty cholerniku, aby się zabawić, nim załatwią na tobie wyrok sądu wojennego. Potem już nie będziesz miał okazji się pośmiać. Może teraz zdasz sobie sprawę, że wojna światowa nie jest zabawna.

Gefreiter piechoty, pijany, tańczył chwiejnie tango z patriotycznie nastawioną dziweczką. Trzymała go tak, aby nie osunął się na podłogę.

– Znam faceta, któremu powinno się odrąbać głowę – wyznawał dziewczynie z grobowym śmiechem.

– Najlepsi zawsze odchodzą na początku – odrzekła i

potwierdziła swoją wypowiedź serdecznym czknięciem.

– Wczoraj, jakiś zgniły gość za całonocną obsługę dał mi partię kart telefonicznych – dodała ze smutkiem.

– Może nie był z ciebie zadowolony, prawda? – spytał jednoreęki Feldwebel.

– Nie obawiacie się, że wam uciekną? – spytał, wskazując na rozkutyh więźniów cywil, od którego na kilometr było czuć policję.

– Nie ośmiela się – powiedział Porta. – Mają ich zastrzelić za dezercję, to równie dobrze mogą zginąć teraz podczas ucieczki, a to chyba wystarczy, aby nie myśleli o tym problemie.

– Ale musisz wiedzieć, jako podoficer, że jest zakazane wprowadzanie więźniów do miejsc publicznych? – zwrócił się do Gregora policjant w jasnym uniformie. – Polecam ci 176 stronę regulaminu eskortowania więźniów. Więzień ma być dostarczony bezzwłocznie do więzienia i umieszczony w izolatce. Nie wolno tworzyć okoliczności, aby mógł się kontaktować z osobami postronnymi. Komunikacja z nim powinna być ograniczona do absolutnego minimum.

– Zamilcz, kolego – zagulgotał Mały z głupawym uśmiechem. – Więźniowie będą traktowani jak malutkie dzieci, tak właśnie będzie. Nie będziemy ich zatruwać kontaktem z pijanymi i ladacznicami, nigdy. Każdy, który będzie tego próbował, zostanie zakuty w kajdany i postawiony przed obliczem sędziego.

– Pięćdziesiąt za strzał – powiedział niewielki

nerwowy człowieczek.

– Niesamowicie mocne – ciągał dalej, trącając konspiracyjnie Portę. – Eter i benzyna. W ciągu trzech dni całe Chiny ogarnęłaby ta czarna zaraza. Jeśli jesteś ostatnim żyjącym niemieckim żołnierzem, nikt z nich się o ciebie nie zatroszczy.

– Już niedługo, mój synu, już niedługo – powiedział Porta, bez specjalnego zainteresowania. – Jestem jednym z tych szczęśliwców, którzy naprawdę lubią dobrą wojnę.

Wkrótce po tym dziwny mały człowieczek zniknął w toalecie ze strzykawką i czterema ubranymi w mundury piechurami. Gdy pojawili się ponownie, widać było, że roznosi ich podniecenie.

Hałas w barze stawał się coraz większy. Dwóch więźniów zważyło się do snu na psie posłanie, leżące przy piecu. Zwierzak był wyraźnie z tego niezadowolony. Warczał, pokazywał kły i pazury, bez rezultatu. Wreszcie, rezolutnie podniósł tylną nogę i obsikał twarze leżących.

– Parę kwart wody w ciągu dnia, to nie jest zła rzecz – wymamrotał leżący Gefreiter.

– Przeżuj swój pokarm dwadzieścia siedem razy, zanim go połkniesz – chlapał pionier, ruszając szczękami jak krowa żująca siano.

– Zabierzcie mnie do aresztu – domagał się groźnie wachmistrz – Mam prawo być zabrany prosto do aresztu. Przecież jestem więźniem i mam więcej praw niż każdy żołnierz w tej armii. Nie chcecie zobaczyć jak uciekam, a ja nie pozwolę się skrzywdzić. To jest poważna sprawa!

Potem wskazał oskarżycielsko na dwóch pijanych więźniów, leżących na podłodze.

– Nie powinni tak wyglądać. Sędziom się to nie spodoba!

– Jestem głodny – oznajmił Porta, czemu towarzyszyło głębokie beknięcie. – Co sądzicie o „gównie na szufelce”, chyba nam nie zaszkodzi?

– Osiem „gówienek” – krzyknął w stronę okienka kuchennego.

Wkrótce po tym osiem talerzy z zapiekanką ukazało się od strony kuchni.

Wątle światło listopadowego poranka zaczęło docierać do oczu Gregora, co mu uświadomiło, że czas wracać do obowiązków służbowych i odnaleźć drogę do więzienia.

– Może już mi przeszło – rozczulał się nad sobą pionier leżący na psim pośłaniu.

– Tak myślisz? – spytał Gefreiter, z wyrazem nadziei malującym się na twarzy.

Wyglądał jak wygłodniały facet, który znalazł zasobny portfel.

– Nie powinni tak wyglądać, jeśli przybędziemy w środku śniadania – powiedział ponuro Mały.

– Masz rację – powiedział domyślnie Porta. – Ci chłopcy z psiego pośłania strasznie śmierdzą piwem i sznapsami.

– Co teraz zrobimy? – spytał zagubiony Gregor, teraz czuł się bardzo samotny w podejmowaniu decyzji.

– Rozwalimy Anglię bombami na kawałki! – krzyknął

pijany lotnik, waląc pięściami w stół. – Nic nie powinno zostać, poza wielką dziurą w morzu.

– Bóg nas kocha – powiedział Gregor, któremu lekko odbiło się jedzenie. – Nigdy nie powinniśmy mieć lotnictwa.

– To samo mówię – wykrzykiwał Gefreiter piechoty z psiego posłania. – Odważni piechurzy i artylerzyści, którzy dobrze strzelają. Grad pocisków na szczyt, a potem śmiały szturm! To jest to!

– Już wiele wojen przegraliśmy w ten sposób – westchnął Porta. – Piechurzy zdeptujący sami siebie, w drodze do piekła. A kiedy już odnieśli zwycięstwo, to pozostały po nim tylko ślady po ich tyłkach. A świetne armaty Kruppa były tak zużyte, że siłą odrzutu rozrzucały kanonierów po całym krajobrazie.

– Jeśli natychmiast nie ruszymy – Gregor poderwał się jak zdenerwowany uczeń, – jestem skończony. Do diabła, jeśli tak nie będzie!

– Hau! Hau! – zaszczekał Mały. – Jesteś jak Prusak, który nie wie co robić, gdy ktoś mu nie wyda rozkazu. Słuchaj, Gregor! Jesteś konwojentem. Jeśli chcesz być sobą, to jak możesz nim być? Postawią cię przed sądem, na pewno. Na to możesz liczyć. Jeśli pojawisz się bez eskorty i więźniów, to będzie poważna sprawa.

– Och, kopną w tyłek tak mocno, że zaboli cię szyja, na pewno. Wpadłeś w gówno po uszy – przyznał Porta pocierając uszy. Jedno spojrzenie na regulamin armii i każdy wie, że służba eskortowa to nie przelewki.

– Czym jest Biblia dla papistów, Koran dla muzułmanów, tym jest regulamin dla cholery niemieckiej armii! – krzyczał z powagą Mały. – Jeśliby Jakub, syn Mojżesza miał ten regulamin i rzucił na niego okiem, to nie byłby taki chętny, aby przekroczyć Ren i wkroczyć do zboczonej niemieckiej dżungli, bo by się potruli jego ludzie naszymi kwaśnymi pogańskimi ziołami.

Mały rzucał wokół typową dla siebie dziwną mieszaniną historii i Biblii.

– Powiedzcie mi panowie. Powiedzcie, proszę. Gdzie ja jestem? – spytał nieoczekiwanie oficer medyczny.

Stanął na nogach ze znaczną trudnością i zaczął drżeć.

– Panie doktorze, jest pan pomiędzy przyjaciółmi – zapewniał go Porta, strzelając obcasami – Jest pan w „Żabie”.

– Kolego, zastrzel mnie – domagał się oficer z typowo germańskim grymasem na twarzy. – Jestem pijanym szczurem. Zastrzel mnie!

Powtarzał te słowa parę razy, rozdzierając kurtkę mundurową i ukazując nagą pierś.

– Jeśli pan tak sobie życzy – posłusznie odezwał się Porta, opierając z pewną trudnością kolbę karabinu na ramieniu.

Lufa zataczała niebezpieczne łuki w powietrzu, grożąc całemu otoczeniu.

– Niech pan stoi spokojnie, bo inaczej nie będę mógł strzelić, tak jak pan rozkazał! – darł się próbując

przekrzyczeć ogólny harmider.

– Ognia! – krzyknął Mały swoim tubalnym głosem.

W powietrzu rozległ się ogłuszający łomot i z sufitu sfrunęła olbrzymia chmura oderwanego tynku. Kula rykoszetowała od ściany do ściany, by wreszcie ugrzęznąć w beczulce z piwem. Fala trunku chlusnęła na podłogę.

– Jestem zabity, krwawię! – skamlał medyk, gdy struga piwa zalewała mu resztki munduru.

Łkając, czołgał się pod stołem tak długo, aż wreszcie uderzył boleśnie głową o poprzeczkę wspornika blatu stołu. Wtedy zdał sobie sprawę, że jeszcze żyje.

Próbował stanąć na nogach, co mu się po pewnych kłopotach udało. Znalazł się naprzeciwko lustra i wskazał na swoje oblicze.

– A, tu jesteś – mówił do siebie przebiegle. – Myślałeś, że mnie ogłupisz? Widzę cię na wylot, doktorku. Nie oszukasz mnie! Wypełnij swoje obowiązki i z powrotem na front. Kopnij mnie!

Końcówka jego wypowiedzi zabrzmiała groźnie.

– Rozkazy wykonane, sir! – krzyknął Mały, wymierzając doktorce potężnego kopa, który pozwolił mu przelecieć całą salę.

– To Rosjanie! – krzyczała chuda kobietka, wyjątkowo patriotycznie nastawiona i skoczyła na plecy śpiącemu schupowcowi.

Zaczęła okrutnie okładać go pięściami po szyi i ciągnąć za uszy.

Maszynista, który do tej pory leżał rozwalony na stole i chrapał jak tępą piłą tarczową, został obudzony dzikimi wrzaskami maltretowanego policjanta.

– Cofnąć się! Pociąg odjeżdża! – zaczął krzyczeć i usadowił się z poważną miną okrakiem na krześle.

Gwiżdżąc i buchając jak parowóz ruszył dookoła sali, skacząc z krzesłem pod siedzeniem.

– Tego gościa to na pewno posadzą – powiedział wachmistrz, patrząc na ponurą minę maszynisty.

– Prędzej czy później, wszyscy tak skończymy – powiedział smutno Gregor.

– *Verweile Augenblick, du bist so schön* – Porta wyniośle zacytował Goethego.

Maszynista kopnął doktora tak, że ten znalazł się przed obliczem Małego.

– Wreszcie cię znalazłem, mój synu! – zaczął ślinić się idiotycznie. – Jak tam tatuś, wypełnia swe obowiązki?

– Nie bardzo – odparł Mały. – Bo zdjęli mu tę cholerną głowę z szyi w Fuhlsbüttel w noworoczny poranek 1938 roku.

– Niezbadane są wyroki Boskie – westchnął oficer medyczny. – Z głową, czy bez niej, kogo to obchodzi? Ma służyć. Poza tym, do czego jest potrzebna głowa niemieckiemu żołnierzowi? Już pierwszego dnia, gdy tylko dostanie się do koszar, zwalniają go z myślenia. Zostawiają to koniom. No bo po to Bóg dał im takie wielkie głowy. A tak przy okazji, co ja robię w „Żabie”?

– Odpowiadając na pańskie rozkazy – czknął Porta –



jest pan kompletnie nawalony, doktorze i wmawia pan wszystkim tu obecnym gościom, że wypełniają swoje obowiązki.

– To niemożliwe – zaprotestował lekarz, jego umysł na moment wytrzeźwiało. – Nie jestem na służbie. A kiedy nie jestem na służbie, to nie mogę mówić, że ktoś musi być. Musisz złożyć na mnie raport. Domagam się sądu wojennego. Teraz kładę się.

Wykrzyczał ostatnie słowa przeszywającym głosem i położył się na stole gospodarza.

– To ty! Szukałem cię! Jutro otworzymy twoje płuca! Ludzie, którzy nie służą, nie potrzebują płuc! Jesteś zrujnowany przez swoje środowisko.

– Przez ciebie, draniu – syknął gospodarz, spychając pijanego ze stołu.

– Jezusie i Maryjo! – zawołał Porta. – Wkurzysz tego sukinsyna i co wtedy zrobimy?

– Poderżniemy mu to cholerne gardło – powiedział szynkarz za słodkim uśmiechem.

– Dostyc tego – próbował przywołać wszystkich do porządku Gregor, zapinając mocniej pas. – Koniec tego pijackiego prysznic! Wszyscy powstać! Jeśli ktoś spróbuje uciec, użyjemy broni.

Głośno przeładował swój P 38. Ale już opuściła go energia i zamówił jeszcze kolejną piwa.

– Nie zostawiajcie mnie chłopcy – błagał oficer medyczny, patrząc pod spódnicę wyższej z patriotycznie nastawionych pań. – Aresztujcie mnie!

Zaprowadźcie na szafot. Ta głowa jest dla mnie za ciężka.

– Brzmi obiecująco – powiedział szynkarz. – Wyświadczyć mu tę przysługę i zabierzcie go ze sobą!

– Dlaczego nie? – spytał Gregor. – Wsadźcie mu kajdanki na ręce, tak jak pozostałym więźniom.

– Coś ty! – zaprotestował Porta. – Nie możesz tego zrobić. Mamy ośmiu konwojentów i czterech aresztantów, tak, jak powinno być w regulaminie. Jeśli go zabierzemy, musimy mieć jeszcze dwóch dodatkowych konwojentów. Inaczej pójdziesz pod sąd za złamanie regulaminu. Dokąd byśmy doszli, gdyby każdy zbierał dodatkowych aresztantów z drogi? Wszystko by się zaraz zamieniło w jakiś rodzaj pielgrzymki lub wyprawę krzyżową, albo coś jeszcze gorszego.

– Ja mogę pójść jako dodatkowy strażnik – stwierdził strzelec, przypominający zmokłą kozę.

– Mam rozkaz wyjazdu sprzed dwóch dni i dzięki konwojowi, mógłbym mieć dobrą wymówkę dla spóźnienia.

– A masz karabin? – spytał praktycznie Gregor.

– Tu cię mam! – ryknął radośnie strzelec, wyjmując spod lady barowej karabin. – I kupę amunicji. Jestem w drodze na front kaukaski.

– Nie rozpędzaj się – ostudził go Porta. – Potrzebujemy jeszcze jednego.

– Tu jest! – zahuczał głos spod drzwi i wyłoniła się hebanowa postać w pancerniackim mundurze.

– Czy Afryka już się poddała? – spytał Porta lekko

zdziwiony. – Skąd do diabła się tu wzięłeś?

Białe zęby błysnęły na hebanowej gębie.

– Jestem Niemcem, Stabsgefreiter Albert Mumbuto, 11 Regiment Pancerny. Mój ojciec był trębaczem sztabowym w 2. Pułku Huzarów Lejbgwardii. Wymieniał uściski dłoni z następcą tronu i widział samego cesarza. Teraz jestem w drodze do karnego 27. Pułku Pancernego.

– To do nas! – zaśmiał się radośnie Porta. – Serdecznie witamy, czarny człowieku. Teraz wiemy, co robić. Aresztować doktora!

– Chodź tutaj, ty złodziejski sukinsynu – krzyczał Mały, zakładając kajdanki na ręce doktora w iście amerykańskim stylu. – Jesteś aresztowany bratku i nigdy nie mów do mnie synku, tak jak do tej pory!

– Święty, Święty, Święty – zaintonował medyk, klaszcząc skutymi rękami.

Po chwili wzniosł je do nieba w błagalnym geście i popadł w radosny śmiech.

– Chodźmy chłopcy, teraz wszyscy wypełniamy obowiązki. Jestem świnia! Wielką świnia! – wyznawał z pijackim przekonaniem.

Konwój, chwiejąc się, ruszył wzdłuż Gips Strasse, a doktor krzyczał do rozspanej parki na ulicy.

– Hej, wy tam! Hej! Musicie poznać doktora Alfreda Hüttena! Nie mylcie z doktorem Oskarem Hüttenem, weterynarzem i zwykłym pijakiem, a do tego poganinem. On nie wierzy w Wodza ani w Świętą Trójcę!

– Uważaj łowco krabów – warknął zdenerwowany

Gregor – albo będziesz miał płaski nos jak stolnicę!

– Prawidłowo! Prawidłowo, panie Oberjaeger! – roześmiał się słabo oficer i owinał swe ciało wokół słupa latarni.

– Porzucmy go gdzieś w parku – zaproponowałem, gdy już go odczepiliśmy od latarni.

Doktorek podniósł nogę w psim geście, jakby chciał oddać mocz. Jakiś Feldwebel z lotnictwa obserwował nas z zainteresowaniem.

– Tu jesteś w końcu! Czy Anglia już jest zdemolowana? Germańskie morze otacza ją? W Luftwaffe są świetni chłopcy – stwierdził chwilę później, starając się naśladować samolot.

– Reichsmarszałek nosi przecież najwyższe odznaczenia. Ustanowione specjalnie dla niego.

– Grube niemieckie karki muszą mieć wielkie niemieckie ordery – zauważył filozoficznie Porta.

– Halt! Dokąd zabieracie tych ludzi – dobiegł do nas niski baryton z głębokiej ciemności.

Z małych drzwiczek za Erlöser Kirche wytoczył się korpulentny kapelan sztabowy z mycką nasuniętą na tył głowy.

– Odpowiadaj człowieku! No, odpowiedz mi!

– Więźniowie i eskorta, stać! – zakomenderował Gregor, obserwując z nieszczęsnym wyrazem twarzy duchowe ramię armii. – Panie kapelanie! Eskortujemy pięciu więźniów z koszar wojsk pancernych do więzienia garnizonowego.

– Dobrze, dobrze, dobrze! – powiedział kapelan z radością w głosie. – Jesteście w drodze do więzienia. Mają tam dobrą kuchnię w oficerskim kasynie i jak się nie mylę, dzisiaj jest dzień brązowej fasoli. Czy ktoś tutaj lubi fasolę? Zróbcie choć jeden krok do przodu, a zastrzele!

Potrząsnął gwałtownie głową, tak, że mycka sfrunęła mu z głowy i potoczyła się w poprzek ulicy.

– Pijany – stwierdził fachowo Porta.

Księżulo przewrócił się dwa razy, chcąc podnieść z ziemi nakrycie głowy. Gdy je wreszcie dopadł był już na skrzyżowaniu ulic.

– To, po to, aby zmylić przeciwnika – wyznał z nieśmiałym uśmiechem.

– Za mną – rozkazał. – Z rozkazu Führera zajmiemy „Dziewicę Rózię” i ją utrzymamy.

– Czy ja ciebie nie znam? – zwrócił się do Porty.

– Tak jest, panie kapelanie! Wcześniej byłem ordynansem kapelana w 7. Dywizji Piechoty w Monachium. Ale mnie przeniesiono! Przeniesiono, bo moja wiara nie była odpowiednio głęboka.

– Czy ty nie wierzysz w Boga? – wyjąkał pijackim głosem kapelan, obejmując mocno słup latarni.

– Tylko, gdy jestem przerażony – wyznał Porta.

– Na przykład, gdy wrogowie Niemiec rzucają mi bomby na głowę. Ojcie, w normalnych warunkach nie widzę różnicy pomiędzy świętym rzymskim gołąbkim, a fińskim, skrzydlatym dzikim kotem. Naprawdę!

– Madame, nigdy! – wymamrotał, śliniąc się kapelan w trakcie obściskiwania latarni. – Zapominamy o Bogu, gdy wszystko idzie dobrze. A przy okazji, to jesteś protestantem, czy katolikiem.

– Och, pastorze, po trochu jednym i drugim, tak bym to określił – wyznał dyplomatycznie Porta.

– To mi się podoba! O tak, podoba! – roześmiał się padre, klepiąc przyjacielsko Portę po plecach.

– Właśnie niedawno widziałem się z biskupem. Watykan pyta o mnie. Chodzi o coś dużego kalibru. Mógłbyś być użyteczny, Obergefreiter. Chciałbym cię widzieć w duszpasterstwie wojskowym. Szkoda by było, aby taki człowiek jak ty, skończył na krwawym ołtarzu Ojczyzny.

– Całkowicie się z ojcem zgadzam – wyznał Porta, robiąc szybko w powietrzu znak krzyża.

– Tedy chodź – powiedział kapelan, próbując uderzyć niewidzialnego wroga. – Prawe koło, skręt w lewo i naprzód marsz! Znasz drogę. Do „Dziewicy” na Berg Strasse.

– Nie ufałbym duchowym przewodnikom, którzy oferują przyjaźń – powiedział głucho Albert, oddalając się od pijanego kapelana.

Gdy maszerowaliśmy obok wysokiego żywopłotu ponownie rozległ się okrzyk, który rozdarł poranną ciszę:

– Halt!

Ponad szczytem krzaków ukazało się popiersie dobrze odzianego pułkownika. Gregor o mało co nie wypuścił ze

strachu z rąk empi. Błoga cisza została przerwana dziwnymi dźwiękami. Przypominały one odgłosy, jakie powstają, gdy gromada pasażerów na statku zaczyna jednocześnie odczuwać skutki choroby morskiej. Pochodziły one z gardła kapelana, który uwalniał się od wszystkiego, co zjadł w kasynie 5. Pułku Pancernego. A było tego niemało.

Pułkownik na brązowym koniu przedzierał się przez płot jak czołg T-34. Zwierzę obwąchało Portę i zamknęło jedno oko, jakby chcąc powiedzieć:

– Teraz uważaj.

– Co za świński chlew panuje tutaj? – krzyczał rozwścieczony Oberst, waląc szpicrutą w cholewę buta.

Gregor stanął w pozycji zasadniczej, zasalutował i strzelił obcasami.

– Panie pułkowniku! Pragnę zameldować! Pięciu więźniów i eskorta w trakcie marszu do aresztu. Wszyscy prawidłowo skuci, zgodnie z regulaminem!

– My się już kiedyś spotkaliśmy panie Oberst – krzyknął kapelan, odpychając Gregora, który chciał powstrzymać kaznodzieję. – A jak się czuje szacowna pani małżonka? Czy nadal się we mnie podkochuje? Mam nadzieję wkrótce spotkać ją przy konfesjonale!

Jego radosny śmiech wprawiał w drgania całą ulicę.

– Jesteś pijany, człowieku – warknął nosowo pułkownik.

– Ty ludzki odpadku! Obrażasz mój duchowy honor – kapelan rzucił się w stronę jeźdźca, tak jakby chciał ciąć

go szablą. – Uważaj co mówisz, bo potnę cię na kawałki i wsadzę do kapusty kiszzonej. Myślisz, że taka podróbka pułkownika jak ty może mnie przestraszyć, tylko dlatego, że siedzi na koniu! Ty paskudny bękarcie, bo nim jesteś! Ty i twój koń!

– Wsadźcie tego wariata w kajdany! – rozkazał pułkownik paraliżującym głosem.

Mały rzucił się na kapelana jak wygłodniały niedźwiedź polarny i powalił go na ziemię. Brudny śnieg chlapanął na pięknie wypolerowane oficerki pułkownika.

Koń zarżał i cofnął się, widząc tarzających się w błocie ludzi, zaś Oberst z tego powodu ześliznął się na zad zwierzęcia. Próbował ratować się, chwytając konia za szyję. Ten cofał się nadal, tak że jeździec stracił całkowicie oparcie i spadł w śnieżną breję, tuż obok kapelana walczącego z Małym.

– Witamy w naszym domku – zachichotał kapłan i zasalutował, leżąc płasko na ziemi.

Trzęsąc się ze zdenerwowania, Gregor pomógł podnieść się oficerowi. Nikt nie zauważył, że Porta poczęstował konia potężnym klappsem, który posłał go galopem przez krzaki porastające park.

– Pragnę zameldować, że koń zdezerterował! – krzyknął Porta, dwukrotnie strzelając obcasami.

– Łapcie go – rozkazał obcesowo pułkownik.

Eskorta i więźniowie rzucili się w ciemność parku śladem galopującego konia. Ten zaś spokojnie zatoczył koło i powrócił do właściciela. Oficer w tym czasie



doprowadzał do porządku swój ubiór. Gdy podniósł z ziemi kapelusz, zauważył, że jest on pełny mokrego śniegu.

Mały stanął z szacunkiem przed oficerem i zasalutował, próbując coś zameldować.

– Herr Oberst!

Jego meldunek przerwał wściekły okrzyk oficera, który próbował dosiąść konia. Gdy już był na grzbiecie, pochylił się do przodu i podniecony wpatrywał się w kapelana, który siedział w błocie i mówił coś do siebie.

– Zakuć go! – warczał Oberst. – Zaatakował pruskiego oficera. Zakuć go!

Wściekłość i chęć zemsty aż w nim kipiwały.

– Pragnę zameldować panie pułkowniku, że nie mamy więcej kajdanek – radośnie zatrąbił Mały.

– To go zwiążcie! – grzmiał oficer. – I zdejmij z twarzy tę głupią minę, człowieku! Ty, do ciebie mówię, Obergefreiter!

Te ostatnie słowa były skierowane do Małego.

– Muszę zameldować, że z takim wyrazem twarzy już się urodziłem. Zostałem uznany za zbzikowanego nawet przez wojskowych psychopatów. Tak było. W 1938 roku z rozkazu pana generała kawalerii Knochenbauera, robiłem u niego za ordynansa. Pragnę zameldować, że był on dowódcą 10. Korpusu Armijnego, w Hamburgu! Muszę jeszcze dodać, że pomiędzy mną i generałem istniały problemy z komunikacją.

Mały roześmiał się ze skruszoną twarzą.

– Kim ty więc jesteś, człowieku? – huczał pułkownik, pochylając się na końską szyję, aby przyjrzeć się dokładnie żołnierzowi.

– Niemcem, panie Oberst! Niemcem! Nim właśnie jestem! – ryczał Mały.

Walnął tak mocno okuciem kolby karabinu o chodnik, że aż poszły iskry.

– Jeszcze o mnie usłyszysz – obiecał pułkownik, patrząc z widocznym niesmakiem.

Uderzył ostrogami konia i ruszył majestatycznie w głąb parku.

– Co my do wszystkich diabłów teraz zrobimy? – spytał zmartwiony Gregor, śledząc wzrokiem znikającego w deszczu oficera.

– No to masz problem, przyjacielu – przyznał ze smutkiem Porta. – Pułkownik ze sztabu głównego rozkazał ci aresztować tego dobrego księżula i zabrać z resztą więźniów do aresztu. Powinieneś zaprotestować przeciwko temu rozkazowi. Poruszasz się po bardzo cienkim lodzie. Nie możesz zabrać ze sobą padre, bo brakuje ci dwóch konwojentów. Zrób to, a złamiesz regulamin armii. Stracisz na pewno swoje podoficerskie paski i będziesz miał szczęście, jeśli nie trafisz do Germersheim. Nie możesz też nie aresztować kapelana, bo pułkownik wydał ci jasny rozkaz, abyś to zrobił. Nie zrobisz tego, to podpadasz pod odmowę wykonania rozkazu. A to może cię kosztować cały skalp.

– To co do diabła mam zrobić? – jęczał nieszczęśliwie

Gregor.

Zaczął przeklinać dzień, w którym został podoficerem i mógł być szefem eskorty.

– Zabierzcie mnie stąd – błagał.

– Jest jedno do zrobienia – powiedział Porta z szerokim uśmiechem. – Chociaż nie powinienem mieszać się w kompetencje podoficerskie.

– Przestań gadać bzdury – przerwał mu Gregor i spojrzał na niego z nadzieją – tylko powiedz, co mam zrobić!

– Zanim pojawili się pułkownik z koniem, kapelan wydał ci rozkaz. Mówił on, że masz się udać do „Dziewicy Rózi” na Berg Strasse. Padre jest w stopniu odpowiadającym majorowi i odmowa wykonania jego rozkazu też cię może dużo kosztować. A on nie odwołał swego rozkazu.

– Jezusie Nazareński! To co ja mam robić? – Gregor już prawie płakał, czując jak lód pod jego nogami robi się coraz cieńszy. – Przecież więzień nie może wydawać poleceń dowódcy eskorty. Szczególnie w sprawie pójścia do knajpy!

– Ty jednak musiałeś mieć trudne narodziny – stwierdził Porta zdziwiony. – Nie łapiesz? Nigdy nie spotkałeś pułkownika i jego konia!

– Rozumiem! Rozumiem! – oczy Gregora zapłonęły nadzieją, jakby zobaczył blisko zbawczy brzeg.

– Idziemy prosto do „Dziewicy” i pozwolimy temu cholernemu padre napełnić się wodą z gazem. Gdy

opuścimy „Dziewicę”, wykonamy rozkaz Obersta i aresztujemy pastora. W „Dziewicy” dobierzemy dwóch ludzi do eskorty.

– Mówisz cały czas my – wtrącił Porta zaskoczony. – Ty jesteś gościem od wydawania rozkazów i tylko ty możesz to zrobić. Ty, a nie my! Ty jesteś szefem!

– Dzięki Bogu, że nigdy nie zostałem podoficerem – westchnął Albert, pokazując dwa rzędy pięknych, perłowych zębów. – To jest naprawdę niebezpieczne.

– Macie wypełniać obowiązki! – zaczął krzyczeć medyk z ciemności i potrząsać groźnie rękami w kajdankach.

– Zamknij się ty kupo gówna – upomniał Mały doktora i walnął go kolbą w kark.

– Eskorta i więźniowie, szybki marsz! – powiedział Gregor głosem, w którym było czuć odzyskaną pewność.

Kapelan prowadził całą kolumnę i wymachiwał zgubioną przez pułkownika szpicrutą jak szablą. Następnie zmienił krok z marszowego i zrobił kilka tanecznych ruchów. Z kurtuazją zdejmował nakrycie głowy, gdy mijali nas cywile.

– Picie spirytualiów jest wulgarne – stwierdził oficer medyczny z szatańskim uśmiechem, zwracając się do wachmistrza artylerii. – Nawet jeśli twoja nabijana ćwiekami wątroba, jest na tyle duża, aby cię zadusić, znajdę ci zajęcie.

Po czym klepnął Murzyna w plecy.

– Czy chcesz lepiej poznać doktora Alfreda Hüttena?

To teraz masz okazję! Mogę cię wysłać do takiej odświeżającej pracy, że będziesz wyglądał jak białoskóry Germanin. Reichsführer SS rozkazał, aby wszyscy stali się Aryjczykami. Nawet tym z haczykowatymi nosami trzeba wyprostować profil. Jak stałeś się taki kolorowy, panie Czarny?

– To moja sprawa – kwaknął Albert i posłał kuksańca doktorowi, który rzucił go na ziemię.

– Czarny, czy biały, musisz być na służbie i wracać na front mój chłopcze.

– Żyj zgodnie z Boskimi przykazaniami, a trafisz do nieba – próbował intonować kapelan wymachując szpicrutą nad głową.

– Kapłani są jak dziewczęce uda – roześmiał się Porta – im wyżej sięgasz, tym więcej ci obiecują.

– Zabijcie mnie – domagał się padre z męczeńskim wyrazem twarzy. – Umieście moją głowę na placu przed kościołem garnizonowym. Zawsze chciałem zostać męczennikiem.

Na przystanku tramwajowym opadł na kolana i w pokornym geście złożył ręce na metalowym słupie przystankowym.

– Wkrótce się spotkamy, ukochany Koperniku!

Jego donośny głos odbijał się echem po ulicach.

– Facet ma dupę tam, gdzie powinien mieć mózg – jęknął zrezygnowany Gregor. – Posepny Emil zrobi z niego tuzin świętych, jak go dostanie w swojej klatce.

Nagle oficer medyczny objął rękami Małego i zaczął

go lizać po twarzy, jak łaszący się pies.

– Myślałem, że nie żyjesz, towarzyszu. Znakomicie się kamuflujesz, ale ja ciebie przejrzałem. To ty jesteś tym chłopcem, który zwykł bzykać sztywniaków w kostnicy w Klagenfurcie. Zdejmuj kapelusz, jak chcesz rozmawiać z akademikiem – wybełkotał i puknął w stalowy hełm Małego.

– Trzymaj swoje paskudne łapy z dala od mojego kapelutka – ryknął z gniewem Mały i poprawił hełm na głowie.

– *Mój kapelusz na trzy fałdki*

*Te trzy fałdki mój kapelusz ma...*

Śpiewał doktor ze szczęściem malującym się na twarzy, próbując tańczyć charlestona. Jednak pomieszały mu się nogi i runął na ziemię.

– Kości zostały rzucone – oznajmił głośno padre, wprowadzając kolumnę do „Dziewicy Rózi”.

– Och, nie! – jęknął szynkarz, porzucając dwa wypełnione piwem kufle – Znowu ten przekłety pastor.

Z jazgotem godnym hordy wygłodniałych wilków, kapelan rzucił się na półmisek pełny wieprzowiny, gotowanej kapusty i klusek. Nie potrzebował noża ani widelca, działał tylko rękami.

Właściciel z rozpaczą przycisnął ręce do głowy.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece, ile on żre. Chyba tyle, co sześciu ludzi! Co ja dam do jedzenia klubowi strzeleckiemu?

– Niech się naje – zasugerował praktycznie Porta. – To

potem sobie poradzimy.

– To straszny człowiek – jęczał właściciel knajpy. – To siedem plag egipskich w jednym ciele. Nie ma kasyna oficerskiego w rejonie Brandenburgii, które nie drży ze strachu na wieść o jego wizycie. Opowiadają, że na bankiecie u Reichsmarszałka, nim goście spożyli przekąski, ten wariacki kapelan zjadł wszystko inne, łącznie z kwiatami z wazonów. Innym razem zrujnował panu Göringowi elektryczną kolejkę, która dowoziła potrawy z wieprzowiny. Trzech kucharzy stało i przyrządzało kolejne porcje pieczonej wieprzowiny i bez przerwy dostarczano mu je do stołu. Gdy tylko dojechała kolejna dostawa, natychmiast znikąca w jego przepastnym żołądku. Cała konstrukcja padła od nadmiaru tłuszczu. Potem Reichsmarszałek i jego specjaliści przez trzy tygodnie próbowali naprawić ulubioną zabawkę Hermanna. Mówi się, że z tego powodu Luftwaffe nie wygrała bitwy o Anglię.

– Cudowne jedzenie – powiedział padre, klepiąc poufale właściciela po plecach.

– Cieszę się, że ci smakowało – odparł z kwaśną miną knajpiarz.

– To było naprawdę niezłe. Może trochę za mało klusek, ale nie skarżę się. Za to wieprzowina wyborna. Założę się, że wędzona w domu. Jesteś przebiegłym gościem, panie karczmarzu. Wiem coś o tym! Nielegalna hodowla świnek na zapleczu, co? Kiedy znowu świniobicie? Wpadnę wtedy. A teraz chciałbym herbatę z

rumem. Kiedy już to wypiję, chciałbym zamówić kolejną piwa i likier orzechowy. Dopisz to jak zwykle do mojego rachunku.

– Ten zdobywca przestworzy puści mnie któregoś dnia z torbami – jęczał płaczliwie właściciel „Dziewicy”.

– Dlaczego go nie wyrzucisz, mistrzu? – spytał Porta – Szybki kop w tyłek i facet jest za drzwiami.

– Nie mogę – wyznał karczmarz ciężko. – Słyszałeś przecież, on wie o nielegalnym uboju świń na zapleczu mojej knajpy. Byłoby cudownie, gdyby jakiś przeklęty Angol zrzucił mu bombkę na głowę. Najgorsze jest to, że ciągle mówi, że jutro zaczyna nowe życie i zapłaci wszystkie rachunki.

– Tak, tak, wszyscy mamy kłopoty – odparł Porta. – Kiedyś znałem zawiadowcę stacji, pana Leo Birnbauma, który działał na dworcu głównym w Bambergu. Miły, pogodny człowiek, ale z wielką słabością do butelki. W dni parzyste pijał holenderski gin z piwem, a w nieparzyste piwo z Bommerlunderem. [Bommerlunder – rodzaj trunku o zawartości 38% alkoholu] W wigilię nowego roku zawsze składał oświadczenie, że od stycznia stanie się porządnym i trzeźwym obywatelem. Kiedy budził się po sylwestrze, był już przeważnie trzeci albo czwarty stycznia i było za późno na realizację obietnicy i jak co roku musiał czekać na następny 1 stycznia. Gdy Koleje Niemieckie okazywały zaniepokojenie, on wydawał się myśleć, że mają z nim fajną zabawę.

– Plauen, zmiana trasy! – krzyczał, gdy pociąg wtaczał



się powoli na stację.

Gdy pasażerowie zaczęli walczyć, aby wydostać się z pociągu, pytał ich głośno, dlaczego nie czytają napisów. Przecież jest wyraźnie napisane, że to Bamberg. Mógł się nawet posunąć do morderstwa, bo jego ojciec chrzestny był przed 1933 rokiem golibrodą Hitlera, a obecnie miejscowym gauleiterem.

Ale nadszedł na niego wreszcie koniec, tak, że nawet cyrulik-gauleiter nie mógł go ochronić. Było to wkrótce po tym, jak zjadł pierwszy raz solone śledzie. Ktoś mu powiedział, że to dobra potrawa na kaca. Było to przed południem 22 stycznia. Trochę przed jedenastą. Wtedy wszystko zaczęło źle się układać. Zawiadowca Birnbaum stał na piątym peronie, przeżuwając solonego śledzia, trzymając zieloną chorągiewkę w lewej ręce, a czerwoną w prawej. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że pociąg towarowy numer 109 wjeżdżał na tor przy peronie trzecim, zamiast na ten, na którym on się znajdował. Zaczął machać oboma chorągiewkami naraz.

– 109!, 109! Co robisz na tamtym peronie!

Pociąg towarowy 109 wydawał się go nie słyszeć.

Dlatego przebiegł przez tory nadal machając chorągiewkami. Na trzecim peronie podeptał stary zatłuszczony kapelusz, który spadł komuś z głowy i przecisnął się pomiędzy dwoma cysternami z paliwem, przeznaczonymi dla 35. Pułku Pancernego z Bambergu. Hamulcowy z ostatniego wagonu, próbował go chwycić za ubranie. I to był błąd! Pan Birnbaum chwycił ramię

kolejarza, ściągnął go z podestu i razem stoczyli się pod koła jadących cystern. Zewnętrzne koła wagonu obcięły czyściutko głowę zawiadowcy Birnbauma, zaś wewnętrzne, bliższe peronu, jeszcze schludniej zdjęły głowę z szyi hamulcowego nazwiskiem Schultze. To było szczególnie smutne, bo ten ostatni był nadal na okresie próbnym i nie miał jeszcze stałego zatrudnienia.

Potem nastąpił smutny epilog. Wypadki przeważnie chodzą stadami.

Asystent drugiego stopnia z niemieckich kolei narodowych, panna Amanda Grimm, stała na peronie drugim i opierała swój niemiecki podbródek na końcu kija od szczotki, należącej do kolei niemieckich. Patrzyła przy tym zaciekawiona, gdzie zniknęli dwaj pracownicy kolei. Gdy pociąg już przejechał, spojrzała zmęczonymi oczami na tory i zobaczyła leżącą głowę zawiadowcy Birnbauma, która do niej mrugała oczami. Wydała germański okrzyk przestachu.

– Zawiadowca stracił głowę! – zawyła i pobiegła do biura telegrafisty.

Ten myśląc, że kobieta jest pijana, walnął ją na odlew w policzek. Za to złożyła później na niego donos. Była przecież urzędnikiem państwowym i to w trakcie wypełniania obowiązków, czego dowodem było to, że cały czas trzymała miotłę w rękach.

Ale to nie koniec sprawy. Raport trafił do kripo, [Kripo (Kriminalpolizei) – niemiecka policja kryminalna, jeden z departamentów Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy] a tam jakiś idiota pisarz

umieścił dokumenty w rejestrze „ludobójstwo”, bo jakiś inny idiota pisarz napisał czerwonym ołówkiem na pierwszej stronie: Sprawa 29881-41 – „Dekapitacja zawiadowcy stacji”. W końcu dokumenty trafiły na biurko rozsądnego śledczego, któremu czas spokojnie mijał w oczekiwaniu na emeryturę i nie miał ochoty na grzebanie się w tym gównie. To jednak nadal nie koniec sprawy. Tej samej nocy RAF zbombardował Bamberg. Jednak to miasto nie było celem nalotu, tylko Monachium. Odkryto to jednak później, gdy przesłuchano załogę samolotu brytyjskiego, który musiał w pobliżu awaryjnie lądować. Detektyw, w którego rękach spoczywała cała sprawa, został trafiony w czasie nalotu, gdy relaksował się w „Krzywej Gęsi”.

Teraz sprawę przekazano innemu policjantowi z kripo. Ten młody człowiek był prawdziwym niemieckim urzędnikiem państwowym o ograniczonej wyobraźni. Zaczynał każde przesłuchanie od znamiennego stwierdzenia, że każde kłamstwo tylko pogorszy sytuację świadków, bo i tak w końcu powiedzą prawdę. Gdy czytał słowa „Dekapitacja zawiadowcy”, tylko oblizywał wargi z radości. Ta wielka sprawa mogła mu pomóc w zdobyciu stanowiska inspektora w RSHA. [RSHA (Reichssicherheitshauptamt) – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy]

– Powiedz prawdę Poprawił rondo swojego kapelusza, założył skórzany płaszcz i wziął się do roboty. – warczał w stronę panny Amandy Grimm, sprzątaczkę. – Jeśli skłamiesz, będziesz żałować!

Była przesłuchiwana tyle razy, że w końcu zwariowała i zaczęła myśleć, że sama wepchnęła zawiadowcę pod koła pociągu towarowego numer 109. Podpisała takie zeznanie w koniecznych ośmiu miejscach. Ale nie przyznała się do zabójstwa hamulcowego.

– Nawet go nie znałam – próbowała się bronić.

– Nie musisz znać ludzi, których zabijasz – wyjaśnił jej młody śledczy przyjacielskim tonem. – Żołnierze robią to codziennie.

Nie powinien tego mówić. Wtedy właśnie przybyło trzech łapsów, aby przesłuchać telegrafistę w całkiem innej sprawie. Sprzątaczką poskarżyła się im, że młody śledczy oskarża niemieckich żołnierzy o morderstwa. Trzej dżentelmeni prawie rozerwali na kawałki młodego detektywa. I od tego zaczęła się kolejna seria nieszczęść. Telegrafista siedział z ręką przy kluczu nadawczym, przygotowując się do zatrzymania ekspresu z Egeru i przepuszczenia pociągu z Monachium.

Obecność trzech inspektorów wyraźnie denerwowała telegrafistę i popełnił on błąd. Ekspres z Egeru nadal pędził z wielką prędkością, zaś pociąg z Monachium wjechał na zły tor. Telegrafista zaczął krzyczeć. Trzej dżentelmeni byli zajęci ostukiwaniem kolegi, który obraził honor żołnierzy Wielkich Niemiec i nie zwracali uwagi na te krzyki. Zresztą byli przyzwyczajeni do krzyków. Nawet nie zauważyli, że telegrafista zjadł papierową taśmę, aby usunąć wszystkie zapisy.

– To się zaraz stanie – powiedział proroczo i patrzył z

zainteresowaniem w okno.

Ekspres, ciągnięty przez dwie lokomotywy, z których jedna, o numerze 044376-2 ustawiona była tyłem do kierunku jazdy, nadjeżdżał grzmiąc z daleka. Z gwizdem pary przejechał przez stację. Pęd powietrza był tak silny, że dwie paczki gazety „Völkischer Beobachter” zostały zrzucone z samochodu pocztowego. Gazeta była pełna najnowszych informacji o „wyrównywaniu linii frontu” i „strategicznych odwrotach”.

Telegrafista zamknął oczy, otworzył usta i oczekiwał na spotkanie dwóch nadjeżdżających pociągów. Ekspres z Egeru wydawał się zjadać pospieszny z Monachium z takim jazgotem, jakiego nikt chyba jeszcze nie słyszał.

Łapsy momentalnie zapomniały, po co przybyły. Znikli, zanim umilkło echo katastrofy. To im jednak nie pomogło. Zostało odnalezieni i oskarżeni o uczestnictwo w katastrofie kolejowej. Mieli szczęście, że nie oskarżono ich o sabotaż. Wtedy byliby powieszani dwukrotnie, a tak założono im pętle na szyje tylko raz. Telegrafista nie chciał być gorzej potraktowany przez niemiecki wymiar sprawiedliwości. Wysadził się w powietrze razem ze stacją kolejową za pomocą ładunków wybuchowych, które zgromadzono w przewidywaniu nadejścia wroga.

Czyścicielka kolejowa drugiej klasy również zdołała uniknąć karzącego ramienia sprawiedliwości. Schowała się ona w kredensie telegrafisty, który służył za schowek dla czarnorynkowych towarów. Gdy stacja wyleciała w powietrze, ona poleciała wraz z nią.

– Wyglądasz nieco dziwnie gospodarzu? Może jesteś chory? – spytał Porta troskliwie. – Nie powinieneś brać tego co mówię dosłownie. Próbowałem ci tylko wyjaśnić, że nadmiar alkoholu jest bardzo szkodliwy. Znałem kiedyś kolegę, który pracował na stacji. Nazywał się Oskar Schleben i był podrzutkiem. Znaleźli go na progu domu przy Schleben Strasse, stąd jego nazwisko. Miał małego, ślicznego synka, którego uzyskał przy pomocy młodej chińskiej damy. Co wieczór dawał chłopcu szklaneczkę Bommerlundera, aby łatwiej było mu zasnąć. Gdy chłopak miał już prawie dwa lata życia za sobą, w trakcie których chyba nawet przez chwilę nie był trzeźwy, uciekł z domu. Kręcił się tu i tam, a gdy się zmęczył, usiadł na bruku niedaleko Tiergarten. Obok wozu sprzedawcy kiełbas. Nikt nie mógł zrozumieć, jak takie małe dziecko mogło zajść tak daleko. Niektórzy myśleli, że to dzięki chińskiej krwi. Jakkolwiek by nie było, po paru godzinach ludzie zaczęli na niego zwracać uwagę, również policjanci.

– Co tutaj robisz, mały człowieku? – spytał jeden z nich z fałszywą uprzejmością.

– Ku... – pa – tyle tylko umiał dzieciak powiedzieć.

Gliniarz już zaczął pracować.

– Mów normalnie, albo zabiorę cię ze sobą.

– Ku... – pa – odparł ponownie dzieciak i oczywiście go aresztowali.

Zabrali go do Alexa, [Alex – główny posterunek policji na Alexanderplatz w Berlinie] przeprowadzili całą procedurę i

wsadzili do celi. Pewnie by nawet o nim zapomnieli, bo nie potrafili wypełnić wszystkich formularzy. Nie mogli przecież wpisać imienia „Ku-pa” w bardzo ważnym niemieckim formularzu policyjnym. Jednak, gdy chłopak nie dostał codziennej porcji Bommerlundera, zaczął pod wieczór płakać. Stabswachtmeister Schlade, który był wzorcowym typem Niemca, otworzył drzwi celi i twardo spojrzął na dziecko.

– Nie znasz przepisów więziennych? Śpiewanie i okrzyki w celach są zabronione. Całkowicie zabronione!

Dzieciak nie mógł jednak tego wszystkiego znieść. Chciał swojego Bommerlundera.

Posłali po policyjnego psychiatrę i wtedy wszystko ruszyło z miejsca.

– Co z tobą gospodarzu? Wyglądasz, jakbyś coś połknął – powiedział współczująco Porta, nalewając sobie szklanekę piwa.

– Nie, nie, nie chcę więcej tych ohydnych słów! Nic więcej na temat policji! Nic o niczym – płakał właściciel, przyciskając ręce do uszu. – Więcej nie zniosę, chyba oszaleję!

– Oszalejesz, czy nie, i tak musisz spełnić swój obowiązek. Pamiętaj o tym, ty sztywny palancie! – oznajmił głośno oficer medyczny.

Chwilę po tym, spytał kapelana, czy chciałby poznać go bliżej.

– Jesteś pijany – stwierdził padre.

– Pudło, to ty jesteś pijany, ojczulku. Ale to ci nie

pomoże. Ty też musisz spełnić twój obowiązek, prawda?  
Na front i strzelać!

– Czy psy mogą iść do nieba? – zagadnął po krótkiej chwili milczenia.

Jego oczy miały dziwny wyraz.

– Trzeba zapytać biskupa Münsteru. Tak będzie uczciwie – odparł padre. – Dam ci swoją rekomendację. Nie zapomnij, że na wniosku trzeba postawić odpowiednie pieczętki.

– Przekleństwo! Nie zniosę już dłużej tego gówna! – krzyczał Gregor.

Stawał się coraz bardziej rozsierzdzony.

– Więźniowie i eskorta! Formujcie się i ustawcie swoje tyłki w szyku. Więźniowie w środku! Jeśli któryś z was otworzy gębę, wsadzę mu jego łeb w jego własną dupę! Impreza skończona! Wracamy do armii!

Gdy opuszczaliśmy „Dziewicę Rózię”, kilku z nas potknęło się schodząc po schodkach. Padre wdrapał się na latarnię, zawisł na niej i zaczął wyć jak wilkołak.

– Zobaczycie, jak latam! – zawołał triumfalnie i rzucił się w dół w śnieżną breję.

Gregor próbował nas ustawić w jednej linii i policzyć. Jednak cały czas kręciliśmy się i za każdym razem wychodził mu inny wynik.

– Wszystko się pokręciło – zawodził żałośnie. – Rozmnażacie się, jak pieprzone króliki!

– Pozwól mi policzyć – zwrócił się do niego Porta oficjalnym tonem.



Ale on też miał kłopoty z odliczaniem. Wrócił do knajpy i przyniósł kawałek kredy do kijów bilardowych. Każdemu z nas zrobił znak na lewym bucie i kazał wejść z powrotem do knajpy, aby nie było kłopotów z liczeniem. Ale padre cichaczem zrobił sobie dodatkowe znaki na butach i znowu cały zabieg poszedł na marne.

Gregor już zaczynał docierać do granic szaleństwa i próbował walić głową w hełmie o ścianę.

Na szczęście Porcie przyszedł nowy pomysł do głowy. Każdy z nas dostanie kufel pełny piwa. Po wypiciu odstawimy je na ladę baru i będzie wiadomo, ilu nas jest.

Jednak Mały popsuł ten misterny plan, bo wypił kilka piw więcej, podczas gdy my tylko po jednym.

Zrezygnowany Gregor machnął ręką na dokładność obliczeń.

Był już prawie ranek, gdy maszerowaliśmy przez most na Sprewie w pobliżu Kronprinzen Ufer i dotarły do nas dźwięki orkiestry wojskowej.

– Śpiewać! – rozkazał kapelan i zaczął donośnym głosem zawodzić:

*Gdy chcesz mnie jeszcze zobaczyć,  
Musisz na stację przyjść.  
I w poczekalni cichaczem,  
Rzucić mi słodkie adieu.*

– Poprawcie ekwipunek, załóżcie porządnie hełmy – zarządził nerwowo Gregor. – Na miłość Boską,

wyglądajcie choć trochę, jak niemieccy żołnierze! Mały, podnieś karabin! Niesiesz go, jak obsikane gacie!

– Ccco sssię dzieje? – zagulgotał Albert i uśmiech wariata rozdziawił jego czarną twarz. – Adolf nadchodzi?

– Jeszcze gorzej – jęknął Gregor. – Nowi gwardziści nadciągają. Idą wprost na nas i grają *Badenweilera*, ulubiony marsz Führera.

– Co za burdel – powiedział po francusku zobojętniały Legionista.

– Obchodzą chyba jakieś święto, albo uroczystość – stwierdził Porta – pewnie zwycięski odwrót.

– Co sądzicie o odwiedzeniu „Kulawego Żandarma”, dopóki się to wszystko nie skończy? – zaproponował nie całkiem bez sensu Mały. – Jest zaraz obok. Dwa razy szybciej tam będziemy, niż miniecie tej alei. Przecież „Żandzio” jest dosłownie o krok!

– Za późno! – westchnął Porta. – Świat zapada się nam pod nogami.

Piesza orkiestra z buńczucznie wymachującym rytmem na jej czele kapelmistrzem, maszerowała całą szerokością ulicy.

– Śmiało mój synu – doradzał Porta. – Dowodzisz eskortą wojskową i prowadzisz skutych więźniów. Zgodnie z regulaminem armii, masz pierwszeństwo przemarszu przed tą gwizdzącą zgrają. Orkiestra musi ci ustąpić miejsca. Ty ustępujesz tylko jednostkom zmotoryzowanym.

– Tak, tak. Tylko, że orkiestra gra ulubiony marsz

Wodza – wtrącił się Heide. – A w takiej sytuacji nawet czołgom gasną silniki. To jest jasno opisane w regulaminie armii, w rozdziale o orkiestrach wojskowych.

– Święta Boża Rodzicielko, to co mam teraz zrobić? – spytał bliski płaczu Gregor.

– Zyskać trochę czasu – podpowiedział Porta. – Niech cały konwój zawróci do mostu na Sprewie, jak tak bym zrobił. Wtedy nikt ci nie zarzuci, że zmieniłeś trasę przemarszu. A chłopcy z kompanii umpa-umpa tralalala nie będą mieli do ciebie pretensji, że pomieszales im szyki.

– *Tu as raison* – dodał Legionista.

– Nie możemy cały czas się cofać – stwierdził Gregor, patrząc dziko na Portę.

– Oczywiście, że nie – wyjaśniał cierpliwie Porta. – Jak tylko skończą grać marsz Adolfa i chłopcy z flecikami przejdą, ty i twoja uzbrojona eskorta znowu będziecie mieli pierwszeństwo. Wejdiesz im na czoło i będą musieli maszerować obserwując twój tyłek. Wtedy ten stary major wymachujący dragiem będzie musiał ci zejść z drogi, albo nauczymy go szanować prawa uzbrojonej eskorty największej armii w dziejach Niemiec.

Nagle wydało się nam, że jakaś trąba powietrzna wtargnęła w środek maszerujących muzykantów. Dwa przerażone koty wyleciały z jakiejś bramy, ścigane przez trzy lub cztery buldogi. Jeden z kotów pięknym skokiem znalazł się na plecach muzyka grającego na tubie. Ten omal się nie przewrócił i ze strachu rzucił instrument.

Dwa „rogi” wpadły na niego, podczas, gdy drugi kot wbiegł pomiędzy nogi maszerujących, a za nim ścigające go psy. W sztywno maszerujące do tej pory szeregi muzyków wkradła się nieopisana panika.

W jakiś niesamowity sposób doktorek dorwał się do buławy kapelmistrza i zaczął dyrygować doboszami i flecistami, którzy nadal utrzymywali się na nogach. Ruszyli za nim bez zastanowienia, grając pierwsze akordy zakazanego *Salus Caesari nostro Guillermo*. Zapachniało prowokacją.

Kapelmistrz jakoś się pozbierał i choć nadal zszokowany, przerwał zakazane muzykowanie.

Nasz medyk ruszył do niego z ciężką buławą i biedak musiał się bronić srebrną pałeczką.

– Gregor, jako dowódca konwoju musisz to powstrzymać! – krzyknął Porta. – Więźniowie są pod twoją opieką. Obawiam się, że będziesz musiał aresztować kapelmistrza za zaatakowanie więźnia, będącego pod twoją opieką.

– Nie mogę! Nie mogę! – łkał Gregor w desperacji. – Jak ja żałuję, że się w ogóle urodziłem!

– To już się stało – mówił pozornie spokojnie Porta. – Znikajmy stąd, zanim ta cała gromada pozbiera myśli.

– Więźniowie i eskorta! Naprzód marsz! – wrzasnął Gregor desperackim tonem skazańca.

– Do diabła z nimi wszystkimi – zawył kapelan i usadowił się na czele kolumny.

W panice wszyscy rozstępowali się na boki.

Przebijaliśmy się jak fala przyływu w czasie wielkiej powodzi gniewu.

Gdy przeszliśmy już całkiem niezły kawałek Lehrter Strasse i byliśmy na wysokości boiska piłkarskiego, Mały zawył z bólu i przeraźliwy skurcz przebiegł przez jego wielkie ciało. Rzucił się na zaśnieżony asfalt i darł się jak szalenciec.

– Co na miłość Boską znowu się stało? – spytał Gregor.

Na jego twarzy malowała się dzikość, a w oczach widoczne było przerażenie.

– Znam się na tym – stwierdził złośliwie doktorek. – Bez oszustw, człowieku! Masz wypełniać obowiązki!

– Moje kajdanki! Moje kajdanki! – darł się Mały, zwijając ciało w kłębek.

– Twoje kajdanki? – spytał rozkojarzony Porta.

– Moje kajdanki! Zatrzasnęły mi się na jajeczkach! – jęczał głosem łamiącym nasze serca, wijąc się na ziemi.

Gdy ściągnęliśmy mu spodnie, tajemnica wyjaśniła się. Nosił kajdanki w sposób podpatrzony na amerykańskich filmach policyjnych. Nie zauważył nawet, gdy mu się ześlizgnęły do środka spodni i zacisnęły wokół ojcostwa. Gdy próbował je zdjąć, te zaciskały się coraz mocniej.

Chwilę czasu zabrało Porcie odnalezienie kluczyków i po chwili mógł ulżyć przyjacielowi w cierpieniu. Mogliśmy ruszyć dalej.

– *Dominus vobiscum* – kapelan pozdrowił kolejkę przemarzniętych ludzi, stojących na przystanku tramwajowym.

Zamiauczał jak kot i spytał doktora, o kastrację, która zapobiegłaby błędom przy spotkaniu grzesznych kobiet. Wskoczył na ławkę i krzyczał w stronę boiska piłkarskiego.

– Wszyscy zmarli zameldują się u kapelana dywizyjnego na ostatnie namaszczenie. Rachunki zostaną dostarczone krewnym.

– Zabiję tego bękarta! Zrobię to, obiecuję! – dyszał Gregor, ściągając ojczulka z ławki.

– Udało się – powiedział Porta, gdy nacisnął przycisk dzwonka przy bramie więzienia garnizonowego.

– Gdzie jesteście do cholery, jak myślicie? Chcecie pobudzić tym dzwonieniem całe więzienie? – jazgotał zagniewany strażnik w stopniu Feldwebel.

– Herr Feldwebel! Pragnę stwierdzić, że troszkę się śpieszymy! – zameldował Porta, stukając przepisowo obcasami. – Jesteśmy znacznie spóźnieni. Rozkazano nam zabrać dodatkowych więźniów i musieliśmy eskortować ich przez cały Berlin. Ostatni zostali nam przydzieleni przez samego komendanta miasta!

– Wy śmierdzicie gorzej niż cały browar – warknął Feldwebel.

– Rozkazy! Tylko rozkazy! Rozkazano nam pić napoje alkoholowe. Którędykolwiek byśmy nie szli, kazano nam zajmować hale piwne, gospody i bary. Znamy regulamin armii i wiemy, że lepiej wykonywać rozkazy, niż im się sprzeciwiać. Jeśli przeżyjemy tę wojnę światową, też będziemy musieli podporządkować się rozkazom. I nie

ma znaczenia, jak głupie one są.

– Nie zamydlaj mi oczu – powiedział oficer medyczny, rzucając groźne spojrzenie w stronę strażnika. – Już dość się nasiedziałeś tutaj, symulancie. Masz wypełniać obowiązki, wy wszyscy! Wszyscy na front, tam możecie postrzelać!

– Macie tu fajne miejsce – pochwalił więzienie Porta, patrząc, jak grupka więźniów w zniszczonych mundurach, klęcząc na kolanach, poleruje podłogę.

– Jako starzy żołnierze lubimy takie rzeczy – uśmiechnął się Mały z satysfakcją – Nie często widzimy tak pięknie wyczyszczone progi. To wasi niewolnicy. Czy oni używają zwykłej pasty, czy też coś specjalnego z magazynów więziennych armii?

– Kiedy stuknę trzy razy w drzwi, a one się otworzą – wysyczał Feldwebel – macie nie maszerować, a lecieć i nie zapomnijcie, że macie trzymać kopyta z boku białej linii! A jeśli nie, to nasz Hauptfeldwebel zrobi z was ślimaki i zjecie nawet własne hemoroidy.

– Wiemy, panie Feldwebel – stwierdził poufale Porta. – Już tu kiedyś byliśmy. Otwórz więc do diabła tę furtkę.

Skrzydło drzwi się uchyliło i chłopcy z eskorty wyprostowali się jak struny, stając wzdłuż białej linii.

Gregor składał raport z taką szybkością, że cały meldunek zlał się w jedno słowo.

Twarz podoficera siedzącego za biurkiem promieniowała złośliwym bestialstwem, które przeraziłoby nawet bohaterów wojennych.

Jego oczy błyszczały zdradziecko spomiędzy fałd tłuszczu, gdy przyglądał się każdemu z nas po kolei. Potarł owłosioną jak mała ręką po zupełnie łysej czaszce. Wbił wzrok w Małego i nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Jak mogli coś takiego, jak ty, z taką maską, wpuścić między ludzi? – spytał, warcząc jak dziki pies.

– Pragnę zameldować, Herr Hauptfeldwebel – ryczał Mały, z oczami utkwionymi w portret Adolfa – że jestem członkiem rodziny Frankenstein.

– Próbujesz robić sobie ze mnie żarciki? – spytał groźnie oberklawisz, unosząc się na wpół z krzesła.

Nie czekając na odpowiedź, krzyknął:

– Więźniowie w lewo zwrot! Dwójkami marsz!

Kapelan potknął się o własne nogi. Leżąc na podłodze, oparty na łokciu i trzymający brodę w dłoni, wyglądał jak olbrzymi cherubinek. Do tego zaczął śpiewać psalm:

*Głodny, zmęczony i biedny przychodzi,*

*Otoczony myślami zwątpienia,*

*Bez złego...*

– Ten człowiek jest zalany w trupa – stwierdził Hauptfeldwebel, wstając z krzesła. – Co to wszystko znaczy?

– Pragnę zameldować – wykrzyczał Porta, strzelając ponownie obcasami trzy razy. – Tak to właśnie było. To z tego powodu kapelan jest tutaj. Nigdy przedtem go nie



widzieliśmy, ale w pewnym momencie wynurzył się z ciemności i rozkazał nam iść do „Dziewicy Rózi”, gdzie miał do uregulowania rachunki za konsumpcję. Wtedy pojawił się komendant garnizonu na brązowym koniu i kazał aresztować padre. Pragnę zameldować, że coś podobnego już się kiedyś wydarzyło w konwoju w trakcie przemarszu do więzienia garnizonowego w Monachium. Ci nieszczęśni ludzie maszerowali wzdłuż Leopold Strasse, gdy pojawił się na czarnym koniu generał piechoty Ritter von Leeb. Zaś po drugiej stronie ulicy siedział na chodniku oberweterynarz, doktor Schobert, śpiewając sprośne piosenki. Generał rozkazał eskortie zabrać ze sobą końskiego konowala. Tak też chłopcy zrobili, ponieważ rozkaz, to rozkaz, tak jak sznaps jest sznapsem. Gdy byli już na Leopold Strasse, nadjechał następny koń, tym razem kasztan. Na jego grzbiecie siedział szef sztabu 7. Korpusu Armijnego, pułkownik von Witzleben. Ten koń to tak naprawdę to był austriacki. Służył kiedyś w 2. Regimencie Honvedów, ale gdy Austria powróciła na łono Germańskiej Rzeszy, to cały regiment na powrót stał się częścią Wielkiej Niemieckiej Armii. Szef sztabu przyłapał dwóch Gefreitrów z 40. pułku piechoty, którzy prowadzili rozmowę zahaczającą o defetyzm. Oni również zostali włączeni do naszego konwoju.

Hauptfeldwebel zazgrzytał zębami tak strasznie, że wszyscy byliśmy zdziwieni, gdy udało mu się rozdzielić szczęki. Zaczął dziko przewracać gałkami ocznymi.

– Pragnę zameldować dalej – kontynuował Porta, nie robiąc nawet przerwy na zaczerpnięcie powietrza. – Eskorta jeszcze nie ugrzęzła w błocie nadmiaru zadań. Dziarsko nadal maszerowała przez Maria Theresien Platz, gdy dwóch żołnierzy wyleciało tak szybko, że trudno to sobie wyobrazić. To było jak podmuch gazów po zjedzeniu grochu. Ze „Złotego Pucharu” nadlatywały dziwne odgłosy. W uchylnych drzwiach gospody pojawił się porucznik, któremu dano szybkiego kopa w siedzenie.

A wszystko zaczęło się od rachmistrza sztabowego Zorna, który...

Hauptfeldwebel wziął dwa głębokie oddechy i zaczął ryczeć. Słowa opuszczały tak szybko jego usta, że nie mogliśmy zrozumieć, co mówi. Gdy wreszcie odzyskał kontrolę nad sobą, opadł na krzesło, które jęknęło z wysiłku.

– Ty! Ty, zamknij się! – pluł w kierunku Porty. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Paplasz, jak klatka pełna zakochanych ptaków. Nie słyszę nawet własnych myśli! W imię piekieł, co mnie obchodzi eskorta z 7. Korpusu Armijnego? Jesteśmy w Berlinie! I nie chcę wiedzieć, co się zdarzyło w Monachium i całym 7. Korpusie! Rozkazuję ci przestać mówić o tych monachijskich gównach!

– Przepraszam! Na razie gówno jest nieosiągalne – stwierdził z przyjacielskim uśmiechem Porta.

– Czy wysłał was tu sam szatan – krzyczał oberklawisz, tocząc pianę z ust. – Może byliście więźniem w tamtym

czasie w Monachium, panie Obergefleiter?

– Nie, z pewnością nie! Nic nie miałem do czynienia z konwojowaniem więźniów ani jako strażnik, ani jako aresztant. Usłyszałem o tym pierwszy raz, gdy jakiś Feldwebel przyszedł do winiarni Wehrkreiss-Pfarrera, aby się wypowiedzieć. On był z 7. Dywizji z Monachium. Tak przy okazji...

Hauptfeldwebel trzasnął oboma pięściami tak mocna w blat biurka, że leżące na nim papiery i ołówki podskoczyły na wysokość naszych uszu.

– Jeszcze jedno słowo i cię uduszę! – zagroził klawisz chropawym głosem. – Po co mi to wszystko opowiadasz?

Zrobił przerwę, a na jego twarzy pokazał się grymas bezmiernej rozpacz.

– No, dobrze. Jeśli już pan pyta. Pan jako Hauptfeldwebel powinien wiedzieć, skąd wziął się z nami kapelan sztabowy...

– Papiery więźniów – uciał krótko klawisz, rzucając mordercze spojrzenie na Portę.

Blady i cichy Gregor podał mu kilka papierków.

Czterech „prawdziwych” więźniów zniknęło w labiryncie więzienia garnizonowego.

Na chwilę w biurze zapanowała grobowa cisza. Obserwowaliśmy „Posepnego Emila”, a on obserwował nas takim wzrokiem, że aż kurczyły się skórzane paski naszego ekwipunku. Kolby karabinów z wrażenia przykleiły się do podłogi. Mucha usiadła na księdze aresztów i zaczęła czyścić sobie skrzydełka. Wszyscy

gapili się na nią.

Porta otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował i zamknął je ponownie.

Okrągłą jak piłka futbolowa twarz Alberta rozpromienił uśmiech od ucha do ucha.

– Po jakiego diabła szczerzysz zęby – huknął „Posepny Emil”. – Myślisz, że jesteś w Afryce i przygotowujesz się do zjedzenia biednego misjonarza? Zamknij to pyszczydło! W Niemczech możesz śmiać się tylko na rozkaz! Zrozumiałeś! Powiedz mi, jakim sposobem dostałeś mundur Wielkich Niemiec? Z tego co wiem, Führer powiedział, że wszyscy czarni są untermenschami, tak jak Żydzi.

Albert rzucił błagalne spojrzenie w stronę Porty, który przyszedł mu natychmiast z pomocą.

– Proszę o pozwolenie zabrania głosu. Albert, panie Hauptfeldwebel nie jest czarnuchem, on jest reichs czarnuchem. Jego ojciec był wachmistrzem huzarów. Mogę to wszystko wyjaśnić. To długa opowieść...

– Stop! Żadnych wyjaśnień! – krzyczał oberklawisz, a z jego oczu wзираł strach. – Papiery reszty więźniów, dawać je tutaj! Chyba nie myślicie, że przyjdziecie tutaj i wciśnięcie, każdego, kogo chcecie! Nie przyjmę nawet mordercy, który poderżnął gardło swojemu generałowi, jeżeli nie ma odpowiednich papierów.

– Pragnę donieść, Herr Haupt – zapewniał go Porta – że papiery są w drodze. Powinny nadejść pocztą jeszcze

dzisiaj. Pragę dodać, że gdy spotkaliśmy brązowego konia komendanta garnizonu, pułkownika...

– Nie chcę nic słyszeć nic więcej o koniach i pułkownikach! Rozumiecie mnie, Obergefreiter! Przestań błagać i donosić! Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Papiery, papiery!

– Pragnę donieść, że właśnie miałem raportować o...

– Nie, nie, nie! – jęknął „Posepny Emil”, rzucając się desperacko na biurko.

– Coś do picia? – spytał przyjacielsko Porta, podając leżącemu szklanę z wodą.

Emil chwycił szklanę, jak rozbitek na morzu i wypił ją z gulgotem jaki wydaje woda wpadająca do kolektora ściekowego. Otworzył jedną z szuflad w biurku i wyjął pistolet wojskowy, po czym położył go na wierzchu.

– Czy wiecie Obergefreiter, co to jest?

Porta pochylił się do przodu i z zainteresowaniem przyglądał się broni.

– Chciałbym rzec, że jest to Walther, model 38. Mam taki sam. Wyciągnął z kabury dobrze naoliwioną broń i skierował w stronę Emila. Kąciki oczu Hauptfeldwebela wyraźnie zadrżały.

– Nie celuj we mnie – wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście. – Zabierz to!

– Ja tylko chciałem donieść, co się stało pewnemu wachmistrzowi kawalerii w Paderbornie. Zwykle wszyscy mówili na niego „Karzeł”, ponieważ tak wyglądał. No cóż, został on postrzelony przez Obergefreitera z 4. Pułku

Strzelców Konnych. Obergefreiter właśnie pokazywał Wachmistrzowi swój karabin, wzór 08, tak jak my to robimy teraz. Potem nawet trzech oficerów z biura prokuratora wojskowego nie było wstanie stwierdzić, co się stało! Krótki dystans, stary Mauzer 08, wielka dziura, Herr Haupt! A P 38 też robi paskudne dziury, jak pan wie. Mogę w razie czego to udowodnić...

– Odłóż broń człowieka! – już prawie ubłagał Emil. – Chcę zakończyć tę sprawę i nie mieszać do niej więcej koni, pułkowników i broni. Dlaczego kapelan i lekarz są tutaj? A ty Gefreiter, zamknij się wreszcie!

Na koniec wybuchnął, wskazując grubym paluchem na Portę.

– Nie chcę więcej słyszeć twego głosu. Nawet, jeżeli byś pozostał jedynym żyjącym po wojnie człowiekiem! Już wolę mówić sam do siebie!

– Ty mi odpowiedz! – wskazał palcem na Gregora.

Ale Gregor też był na krawędzi załamania nerwowego i mógł wydawać tylko jakieś dziwne dźwięki.

„Posepny Emil” zaczął bębnić palcami, a jego całe ciało zaczęło drżeć. Następnie walnął otwartymi dłońmi w czoło.

– Jezusie, Józefie, Maryjo i cała Święta Rodzino! W co ja się wpakowałem? Albo oszalałem, albo to moja wyobraźnia.

– Pragnę zameldować – huknął Mały głębokim basem.  
– Pragnę zameldować, że komendant rejonu Berlin – Moabit, rozkazał aresztować padre i kazał nam go zabrać,

jak już idziemy do pierdła. Pan komendant powiedział, że zadzwoni do pana komendanta więzienia i wyjaśni mu sprawę ojczulka.

– Ale za co mam go aresztować? – jęczał „Posepny Emil”. – Muszę wiedzieć, co mam zapisać z księdze aresztów. Nie mogę po prostu napisać: „przyjęcie jednego kapelana sztabowego, doprowadzonego przez eskortę”. To jest pruskie więzienie, a nie przechowalnia bagażu!

– Za pańskim pozwoleniem, ten kapelan obraził niemieckiego boga – kłamał Mały bez sumienia.

Patrzył z niekłamanym zachwytem, jak Emil gorączkowo znęca się nad księgą przyjęć za pomocą pióra.

– Bardzo dobrze – warknął klawisz, z satysfakcją skrobiąc dalej piórem po papierze.

– Nic więcej, mam nadzieję?

– Jeszcze tylko niewielkie zniesławienie Führera – powiedział Mały z długim westchnieniem ulgi.

– Nie mogłeś tego powiedzieć po prostu, ty głupi żółwiu! – zagrział Emil z furją – Teraz muszę wszystko zmienić, a to musi być poświadczony przez trzech odpowiedzialnych ludzi. A o takich ciężko w dzisiejszych Niemczech. Wszyscy wiedzą, że obraza Führera jest większą zbrodnią, niż obraza Boga!

Próbował desperacko zetrzeć poprzedni wpis, ale przewrócił pojemnik z płynem do usuwania atramentu, wyrwał z wściekłością papier i zaczął przeżuwać zapisaną kartkę. Potem zawołał strażnika i kazał zabrać kapelana

do celi 210 w skrzydle oficerskim.

– *Dominus vobiscum* – doleciało do nas błogosławieństwo z głębi korytarza.

– A co z tym? – spytał „Posepny Emil”, wskazując tłustym paluchem na oficera medycznego.

– Pragnę zameldować – powiedział beznamiętnie Mały – że pan doktor jest tu na swój własny rozkaz.

– Święty Boże Większych Niemiec – zagadał Emil. – Dokąd dojdą Niemcy, jak każdy będzie mógł się sam aresztować? Musielibyśmy zbudować z tysiąc nowych więzień!

– To łatwe! Ja się wami zaopiekuję! – krzyczał doktorek, kiwając się niebezpiecznie na boki. – Nie ma symulowania, gdy ja tu jestem! Ty, Hauptfeldwebel! Masz spełniać swoje obowiązki!

– Pragnę coś wyjaśnić – wtrącił się Porta niespodziewanie. – Obergefreiter Creutzfeldt ma dziury w mózgu, bo kiedyś kopnął go koń. Zapomniał dodać, że spotkaliśmy majora von Otta, obecnego dowódcę batalionu strażniczego w Berlinie. Rozkazał zabrać pana doktora z nami, bo zakłócał paradę gwardzistów i wbrew regulaminowi wyrwał kapelmistrzowi buławę oraz chciał zmusić orkiestrę do grania zabronionej muzyki.

– Słyszałem o czymś takim – westchnął „Posepny Emil”, przechylając głowę na boki. – To kosztowało gościa bardzo drogo.

– Pragnę dodać – ciągnął niezrażony Porta. – Był w 8. Korpusie Armijnym w Wiedniu farmaceuta. Chciał być



dyrygentem w wielkoniemieckiej orkiestrze pułkowej. Tak, jego to dopiero drogo kosztowało. Nie mógł nawet...

– Zamknij gębę! Ty! Obergefreiter, Ty! Do diabła z twoim aptekarzem i całym Wiedniem! – ryczał „Posepny Emil”, wciskając pistolet w blat biurka. – Jeśli nie dostanę tych papierów dzisiaj, będziecie za to odpowiedzialni. Co mam zrobić z więźniem bez formularza przyjęcia. Mam go tu trzymać na zawsze? Aż do rozpoczęcia trzeciej wojny światowej? Jak ich nie przyjmiemy, tak jak potem możemy zwolnić? Nawet nikt ich nie będzie mógł wezwać na przesłuchanie! Nie ma przesłuchania, to nie ma przyznania się i nie ma sądu wojennego! I biedny Emil będzie miał tych aresztowanych bydlaków na wiecznym utrzymaniu! Sami możecie zobaczyć, że utoną w tym strumieniu gówna. Przyjdzie jakiś tajny radca i zgarnie mnie jeszcze za bezprawne uwięzienie członków armii? I do tego jeszcze oficerów?

Potem wydał desperackie westchnienie i opadł swoim tłustym tyłkiem na krzesło. Porta westchnął razem z nim.

– Pragnę powiedzieć, że żyjemy w ciężkich i bezlitosnych czasach. Dlatego, że czas wojny, jest zawsze ciężkich dla nas wszystkich.

– Masz chłopie wielką rację – powiedział Emil z rezygnacją i rozkazał skierować medyka do celi 209.

– Czy zezwolone jest posiadanie czegoś do czytania? – spytał lekarz Gefreitra strzelców, który był niewiarygodnie głupim strażnikiem.

– Nie, do diabła! Naczytałeś się więcej niż potrzeba,

gdy studiowałaś. Nienawidzę, tych sztywnych, pół wyedukowanych studencików, którym ktoś musi ciągle podtrzymywać portki, gdy szczają w ciemności.

– Proszę o wybaczenie – włączył się do rozmowy rozradowany Porta. – Był raz profesor medycyny, który...

– Wsadź sobie brudną skarpetę w gębę – zawył Emil – albo ja to zrobię. Żebyś nigdy więcej nie przychodził do mojego więzienia. To tak jakby diabeł chciał być nauczycielem w szkółce niedzielnej.

– Pragnę zameldować – Porta spróbował jeszcze raz.

– Wynoś się! – zagrział Emil, kopiąc z wściekłością biurko. – Niech cię Bóg ma swojej opiece, gdy cię jeszcze raz spotkam!

– Pan Hauptfeldwebel chyba się troszkę zdenerwował – zwrócił się Porta do Gefreitra – pisarza, gdy szliśmy długim korytarzem. – Najpierw mówi, że chciałby mieć mnie tu w środku. Potem straszy tym, co mi robi, gdy mnie ponownie spotka.

– Tak naprawdę, to nie chciałbyś poznać „Posepnego Emila” – przerwał strażnik patrząc ponuro.

– Jak on cię kopnie w tyłek, to do końca życia będziesz srał przez zęby.

– Sądzymy, że jest to najcięższe więzienie wojskowe. Nie tylko w Powiększonych Niemczech, ale na całym świecie – przechwalał się pisarz wojskowy, pełen dumy. – Nie ma nigdzie gorszego więzienia, niż nasze!

– Nie jest takie złe – wtrącił Porta. – W porównaniu z dawnymi czasami, to wasz przytułek jest jak ciastko z

kremem.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś tu trochę posiedział – parsknął szyderczo pisarz. – Nie tylko krzyczą i wrzeszczą na ciebie. Mogą ci spuścić wszystkie zęby do żołądka jednym ciosem. Byłbyś zaskoczony, gdybyś przekonał się jak potrafią przypalać ciało końcówką papierosa, wbijać chytrze szpilki lub ścisnąć jaja w imadle.

– Powinieneś znaleźć się w Heuberg – wtrącił strażnik z szatańskim uśmiechem – to skończyłbyś w stajni. Rozciągną cię jak płastugę i zrobią z ciebie filet, obsypią mąką i solą, a potem pozwolą, aby koza o szorstkim języku wylizła cię do czysta. Umrzesz ze śmiechu!

– E, tam. To małe piwo – zaśmiał się Porta wzgardliwie. – Nawet nie wiecie o japońskim sposobie ze zwirem w ustach. Powinniście spróbować żyć w średniowieczu, gdy kościół usiłował opiekować się wiedźmami i heretykami. Musieli oni udowodniać swoją niewinności, chodząc po rozpalonych węglach i pijąc stopione żelazo. A kiedy to już się skończyło, to szczypali ciało rozpalonymi do czerwoności szczypcami. A jeżeli było mało, to wrywali język i wyjmowali oczy. Mieli też taką sztuczkę, że zaprzęgali do każdej ręki i nogi takiego nikczemnika po parze koni, potem dawali tym zwierzakom batem w tyłek i jak ruszyły, to wszyscy ludzie mogli zobaczyć, że ofiara na pewno była winna. Słyszałem też, że gdy kobietom chciano udowodnić, że są czarownicami i podpisały pakt z diabłem, to dochodziło

do tego, że darły się tak niesamowicie, gdyż wypróbowywano na ich plecach noże i gorące pogrzebacze. Ale nawet gdy się przyznały, to jeszcze nie był koniec. O, nie!

Często cięli ciało nieszczęśnika na kawałki, które rozwieszali wzdłuż kościelnych i miejskich murów, jako przestrożę dla następnych biedaków. Ludzie którzy przez to przeszli, pomyśleliby, że gestapo to banda zaślinionych osesków. Umrzeć, to był wielki problem. Dzisiaj obcinają ci głowę, skręcasz sobie kark na szubienicy i wszystko dzieje się szybciej niż myślisz. Kiedyś trzeba było zasłużyć na śmierć. Dawniej obcinali ci palec, potem rękę, a jeszcze później nogę, potem jeszcze drugą rękę, a dopiero na samym końcu głowę.

Ciężkie wrota więzienne zatrzasnęły się z chrzęstem za nami.

Z narzuconymi na plecy karabinami wlekliśmy się powoli po rozmokłych ulicach – Musi być strasznie ciężko być takim „Posepnym Emilem” – powiedział Albert z głębokim westchnieniem. – Nie ma ani jednego włosa na głowie. Musi się czuć strasznie samotny. Przecież nikt nie kocha łysych. Powiedzcie mi, na przykład, czy ktoś kocha Mussoliniego?

– Nie sądzę. Bo łysole są prawie zawsze zbrodniarzy albo złośliwi – stwierdził Porta.

Po jakiejś godzinie byliśmy z powrotem w naszych barakach koszarowych i przestaliśmy być oddziałem eskortowym. Potem rozległ się sygnał alarmu. Wszystkie

pomieszczenia wypełniły się tłumem hałaśliwych facetów, gotujących się do wymarszu. Pułk wyruszał na front. Nową broń i ekwipunek powinniśmy otrzymać lada chwila. Kompania za kompanią wyruszały na stację towarową.

*Bramy litości zostaną zamknięte,  
I ciało żołnierza, o sercu srogim i twardym,  
Znajdzie się w zasięgu krwawych rak,  
I sumień podobnych do piekła.*

William Shakespeare, Henryk V, akt VI, scena VI,  
przed bramą w Harfleur.

*Rosjanin stanął okrakiem nad fotelem i użył swego  
pistoletu maszynowego jak kosy. Zamachnął się nim  
szerokim łukiem. Tynk i wieloletni kurz tryskały ze ścian  
pod wpływem uderzeń pocisków.*

*Feldwebel pionierów stał przez ułamek sekundy  
nieruchomo, oświetlany błyskami wystrzałów z lufy. Po  
chwili zakołysał się i runął w tył na długi stół, pełen  
świeżo zabitych kur. Deszcz kul uderzał w jego ciało,  
zmuszając je do niezwykłych drgawek. Zwłoki żołnierza  
spadły na ziemię razem z zabitym ptactwem.*

*Rosjanin uśmiechnął się i założył nowy magazynek. Nie  
było wątpliwości, że był zadowolony, jak każdy, kto może  
bezkarnie zabijać.*

*– Zabijanie jest zabawne – mówili ludzie z  
sonderkomanda SD. Wydaje się, że wielu ludzi podzielało  
tę opinię. W każdym z nas jest kawałek diabła i wojna  
bardzo szybko tworzy z człowieka bestię. Rosjanin obrócił  
się i opadł na fotel. Jego pistolet maszynowy zaczął pluć  
w stronę drzwi, w których pojawili się porucznik  
pionierów i dwóch podoficerów.*

*Porucznik wydawał się wisieć przez chwilę w powietrzu, jego nogi fruwały w powietrzu jak kończyny stracha na wróble, gdy kule gruchotały mu kolana. Dwóch pozostałych ludzi pęd pocisków odrzucił na przeciwległą ścianę. Przez chwilę ta scena przypominała wybuch w fabryce farby.*

*Albert i Gregor wystrzelili niemal jednocześnie. Po hałasie pepeszy, P 38 brzmiały jak pistolety na wodę, tylko rezultat był inny. Rosjanina aż obróciło, gdy został trafiony w ramię. Zaraz potem otrzymał postrzał w żołądek. Wydał dziwny okrzyk i upadł. Następny pocisk trafił go w głowę. Tułów opadł na ziemię, a nogi w przedziwny sposób pozostawały na fotelu, jeszcze więcej krwi!*

*– Szalony bydlak – powiedział Albert, ścierając pot ze swej błyszczącej czarnej twarzy. – Do diabła! Mógł załatwić wielu z nas.*

*– Kupa gówna – powiedział Porta. – Tak czy inaczej już nikogo nie wykończy. Przeszukajmy dom na wszelki wypadek.*

*Mały przez pomyłkę zastrzelił kota, który siedział na parapecie i mył się.*

*– Pieprzone gówno – wściekał się Porta i nie były to słowa skierowane do Małego, tylko ocena całego dnia.*

## Rozdział 2

### Atak piechoty

Stary witał nowych żołnierzy i wyjaśniał cierpliwie te wszystkie rzeczy, których nie nauczyli ich na przeszkoleniu wojskowym.

– Teraz słuchajcie – mówił chropowatym głosem, spluwając na śnieg mieszanką tytoniu i śliny.

Nadał policzki i wydał długi przeraźliwy gwizd.

– Słyszycie to, to natychmiast padacie na ziemię. Twarze w błoto! To są małe diabełki, które na was polują. Rozpryskują się. Natychmiast na ziemię! Chyba, że chcecie zobaczyć własne flaki owinięte wokół was jak sznurowadła. Zaś na ten dźwięk – tu wydał odgłos szurania i zgrzytania, coś jak hamujący pociąg – chowacie się tak szybko, jak tylko możecie. Dziury w ziemi nie są dobre, bo te diabełki uderzają o ziemię i podskakują. Gdy jesteście w jakiejś dziurze, spadają na was z góry.

Naśladował wszystkie znane odgłosy, jakie wydają pociski i bomby. Powtarzał to tyle razy, aż sam nabrał pewności, że wszyscy rekruci pojęli, co do nich mówi.

– Jednej rzeczy musicie się nauczyć, moi synowie – kontynuował. – Uciekania! Uciekajcie, tak, jakby się za wami piekło paliło. Uciekajcie szybciej niż królik przed obcięciem jajec. Możecie uniknąć ostrzału, jeżeli jesteście



odpowiednio szybcy. Ale nie zapominajcie, że jesteście na linii frontu. Starajcie się uczynić małutkimi i trzymajcie nisko głowy. Róbcie tak, a może spotka was w przyszłości coś przyjemnego.

– Snajperzy, moje dzieci – powiedział, wskazując ręką na młodych żołnierzy.

Trzymał w niej nóżkę fajki ze srebrnym wieczkiem i posłał kolejny strumień przeżutego tytoniu na ziemię.

– Wiem, że opowiadali wam, że nasi sąsiedzi po drugiej stronie frontu są na wpół wytrenowani. Zapomnijcie o tym! Tak szybko, jak potraficie! Syberyjscy snajperzy, to najlepsi strzelcy na świecie. Potrafią trafić w szczurzy łeb z odległości dwustu metrów.

Było już po świcie, gdy kompania przybyła na linię frontu. Już dwie minuty później pierwszy człowiek leżał z przestrzeloną głową. Siedemnastoletni ładowniczy z czołgu zapomniał, co Stary wbijał im do głów. Pozostali rekruci stali bladzi i obserwowali umierającego towarzysza. Kula ekrazytowa zerwała chłopakowi niemal całą twarz.

– Pocisk rozrywający – stwierdził Porta sarkastycznie.

– Powinni wam powiedzieć, że Iwany nie używają ślepaków. Zdejmują niemieckie głowy przez cały czas, prawda? Nie wychylajcie nosów za wysoko, to będziecie dłużej żyć.

– Wy, tam – rozkazał Mały głosem jak podmuch pochodni. – No ty, z długą szyją. Tak, ty! Zdejmij ten

tępy uśmiezek z twarzy.

Chudy, siedemnastoletni żołnierz, w zbyt dużym mundurze, strzelił obcasami i zasalutował.

– Nie uprawiaj mi tu gimnastyki – powiedział Mały, wydmuchując wielki kłęb dymu, po zaciągnięciu się grubym cygarem. – Weź te skrzynki z amunicją i ustaw się za moim tyłkiem. Jeśli Iwan będzie próbował ci dmuchnąć w twarz z miotacza płomieni, natychmiast na ziemię, ale masz się trzymać blisko mnie. *Panimajesz?*

– Nie dam rady wziąć ich sześciu, panie Obergefreiter. Mam tylko dwie ręce – młodzieniaszek skarżył się płaczliwym głosem i wyciągał ręce przed siebie.

– Możesz sobie przywiązać parę do jajek – zaproponował Mały z końskim rechotem. – Możesz je nieść jak ci się podoba, ale ma być ich sześć. *Panimajesz?*

Trochę dalej, Heide nadymał się jak paw. Powierzono mu dowództwo nad niewielkim oddziałem. Od razu pojawiły się u niego syndromy drylu koszarowego. Jego krzyki roznosiły po całej okolicy, gdy ganiał w kółko swój pododdział.

– Julius jest i będzie zawsze wojskową świnią. *Il est con!* – powiedział cierpko Legionista.

– On się chyba urodził w mundurze i cynowym garnku na głowie – dodał Porta. – Gdy opuścił łono matki, w dniu 20 kwietnia, który jest również dniem urodzin Adolfa, był gotów, aby rzucić się z bagnetem na położną, krzycząc dzikie hurra! Potem rozwalił doktorowi głowę za pomocą obcasa, zasalutował i wziął zimny prysznic.

Teraz pozostało mu tylko zrobić karierę jako podoficer w pruskiej armii.

Śmiejąc się, obserwowaliśmy Heidego, który był w fazie wyżywania się na młodych chłopakach z podoficerską fantazją. Wydawało mu się, że przetwarza cywili w skuteczne roboty bojowe. Julius Heide, świetnie wyglądający żołnierz, wyprostowany, dobrze wyszkolony, jasnowłosy z zimnym spojrzeniem i niebezpiecznymi błękitnymi oczami.

– Ale pokaz – krzyknął Porta z dziury w śniegu. – Niewielu z nas, starych żołnierzy zostało żywych. Wszędzie nowe gęby, gdzie tylko nie spojrzysz! Pieprzone dupki! Chodź tu, Mały i dotrzyмай mi towarzystwa. Nie lubię obcych.

– Ja też nie – huknął basowo Mały. – Jeśli mam gdzieś iść, to wolę w towarzystwie kumpli. Zawsze byłem przeciwko mieszaniu nas w jatkę, jaką zrobią z tych gnojków.

Patrząc na pochyły teren i posępną wioskę, zastanawialiśmy się ilu naszych i Ruskich polegnie w ciągu najbliższych dni, aby zdobyć tę stertę desek. Z powodu padającego śniegu krajobraz przypominał bardziej Święta Bożego Narodzenia, niż niebezpieczną kryjówkę. Wiedzieliśmy, że Rosjanie są we wsi i umacniają swoje pozycje, tak jak tylko potrafią. To był pierwszy etap na *via dolorosa*, która prowadziła do olbrzymiego więzienia NKWD, leżącego groźnie na oddalonym wzgórzu, co chwila przesłanianym tumanami

śniegu.

Droga prowadziła wzdłuż pagórków i wzniesień przez dolinę, w której zdawała się królować śmierć. Nasze oddziały miały sobie utorować ogniem drogę przez kilka wiosek i punktów oporu, aby dotrzeć do wielkiego więzienia. Tego dnia jeszcze nie wiedzieliśmy, że my i rosyjscy żołnierze, podobnie jak tysiące więźniów, będziemy przeklinać najbliższą przyszłość. Kiedy śnieg przestał padać, olbrzymi kompleks przygniatał nas masywnymi murami i rzędami zakratowanych, gołych okien.

– Ciekawe, ilu ludzi tam trzymają – spytał Porta w zamyśleniu, lustrując gmach za pomocą lornetki – Pętla otoczona trzema pasami murów i kupą drutu kolczastego. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

– To jest wielkie cholerstwo – powiedział Mały z podziwem, oglądając więzienie przy pomocy peryskopu.

– Ciekawe, czy zabrali stąd więźniów przed naszym atakiem. A może pozwolili wszystkim uciec, tak jak się nieraz u nas robiło?

– Na pewno nie – powiedział z przekonaniem Porta. – Pozwolą im się usmażyć we własnym tłuszczu, jak tylko rozpoczniemy ostrzał pociskami zapalającymi.

– Ciekawe, czy są tam kobiety? – spytał Albert, oblizując usta.

– Oczywiście, że tak. To jest kobiece i męskie więzienie – wyjaśnił Julius, który był irytująco dokładnie poinformowany o wszystkim.

– Jaki rodzaj odpadków społecznych trzymają tutaj? – spytał Barcelona, dobrze wiedząc, że to pytanie sprowokuje Heidego.

– Co masz na myśli odpadki społeczne? – zasyczał Julius. – To są kryminaliści. Polityczne i kryminalne świnie, które powinny stanąć pod ścianą.

– Nie zapominaj – roześmiał się Porta – że jest to komunistyczne więzienie dla podludzi. A ich politycy są podobni do naszych. Spokrewnieni, tak bym powiedział.

– Zdrajcy to zdrajcy – stwierdził kategorycznie Heide. – Rosjanie, którzy nam sprzyjają to też zdrajcy. Są przecież zdrajcami własnego kraju, przestępcami politycznymi i zasługują na to, aby stracić głowy.

– Boże! – Porta wykrzyknął ze śmiechem i przycisnął rękę do skroni.

– Co w takim razie z Własowem? – spytał Gregor, krzywo się uśmiechając. – Daliśmy mu mundury i broń, a oni nam pomagają wyrznąć własnych kacyków.

– Jesteś za głupi, aby to zrozumieć – powiedział z rezygnacją Julius i w zapamiętaniu wysunął głowę poza nasyp okopu.

Ale zaraz przypomniał sobie o snajperach i schował błyskawicznie wystający hełm.

– Jeden z klasyków powiedział: „Nasi wrogowie kochają zdradę, ale nienawidzą zdrajców”

– Co za kupa gówna – wtrącił Mały pogardliwie.

– To oczywiste, że każdy chce służyć w swoim mundurze. Ale w naszej armii mamy Szwedów, Belgów,

Anglików i Rosjan.

– Czarnych też – powiedział ze śmiechem Porta, wskazując na Alberta, który przeżuwał kawałek zamrożonego chleba.

– Zamknij się! – warknął obrażony chłopak – Jest wyhodowany na Niemca – Może i jesteś – krzyknął szyderczo Julius. – Ale nigdy nie będziesz Germaninem!

– I to mnie uszczęśliwia, bo Wierny Heinrich z SS powiedział, że Hindusi są Aryjczykami jak wy – warknął Albert, ukazując rzędy perłowo białych zębów jak zły pies.

– Dlaczego czarni mają białe dłonie i spody stóp? – zapytał zaciekawiony Mały, spoglądając na różowe wnętrze dłoni Alberta.

– Nikt tego do końca nie wie – odparł Porta, odsuwając się na bezpieczną odległość od Alberta.

– Prawdopodobnie on i jego plemię stali na czterech łapach, gdy malowali ich na czarno.

– Ha, ha, ha – wysyczał Albert. – Jesteś bardzo zabawny.

Groźny, dudniący odgłos rozległ się w powietrzu. Było to coś jakby huk dochodzący z długiej rury, który zbliżał się do nas coraz bardziej. Śnieg wzbił się tumanami, gdy przed okopem eksplodował granat moździerzowy. Echo wybuchu powracało do nas głuchym grzmotem.

– To nie było w porządku – zaprotestował Porta, otrzepując się w swej dziurze ze śniegu. – To my mamy strzelać z moździerzy, a nie te dupki Iwany, zgnili

sodomici. Zawsze łamią zasady, bo tacy już są!

Jakieś krzyki przebijały się przez noc. Dochodziły z drugiego brzegu zamarznętego potoku. Na przemian krzyki i łkania. Ktoś bezradnie protestował przeciwko szrapnelowi, który głęboko tkwił w jego ciele. Jakby krzyk mógł coś zmienić.

Znowu rozległy się lamenty, przerywane kolejnymi wybuchami granatów. Skurczyliśmy się natychmiast i wcisnęliśmy w śnieg, najgłębiej, jak umieliśmy. Wkopywaliśmy się jak umieliśmy. Nie warto dać się zabić oślizgłemu mózdzierzowi. Nie ma powodu. Każdy bardziej lub mniej boi się śmierci. Ten lęk jest najgorszy dla młodych, którzy jeszcze nie byli na froncie.

– Piekło, ale lodowate – jęknął Gregor, starając się ogrzać twarz własnym oddechem. – Jest chyba sto stopni mrozu. W tej temperaturze nawet jajka misia polarnego robią się malutkie. Pani misiowa ma wolne do niedzieli w przyszłym tygodniu.

– Jest dokładnie 43 stopnie – oznajmił poważnie Julius Heide. – Niemiecki żołnierz musi umieć znieść takie warunki. Dawni Teutonowie mieli jeszcze gorzej.

– A co, byłeś z nimi? – zapiszczał Gregor, ugniatając nogą śnieg.

– Oczywiście że był i jego Führer też. Kiedy Germanie poili konie w Wołdze, Julius wyjmował soople z dupy ukochanego wodza, aby mógł się wysrać. – Porta śmiał się tak głośno ze swojego dowcipu, że aż Rosjanie otworzyli ogień ciągły z karabinów maszynowych,

myśląc, że to z nich właśnie się nabija.

Mały odkorkował butelkę ze swych zapasów i podał ją wzrokiem za jej szyjką. Wziął głęboki haust i podał ją Porcie.

– Stolicznaja – zapał obdarowany ze smakiem, po czym wziął kolejny głęboki łyk.

Czuł jak wódka przenika jedwabnym strumieniem przez ciało, aż do przemarzniętych palców stóp.

– Skąd to wzięłeś? – spytał Gregor, podając butelkę Barcelonie.

– To tajemnica – odparł Mały z tajemniczym uśmiechem. – To się stało, gdy przechodziłem obok składów Luftwaffe, mają tam taką szopę ze skradzionymi cholerstwami od oddziałów pionierów. Ci ostatni złapali lotników, jak wynosili im metrową świnię. Wywiązała się awantura nikt nie zauważył, jak wyniesiono skrzynkę wódki.

– A gdzie jest reszta? – spytał Porta z lekkim zainteresowaniem. – Bo w skrzynce jest przeważnie dwanaście butelek.

– Tutaj – chrząknął Mały i rozpiął białą kurtkę kamuflującą.

Ukazało się jedenaście butelek. Wisiały na Małym jak pomarańcze na choince bożonarodzeniowej.

– Mam tylko nadzieję, że Iwan nie będzie do ciebie strzelał – zauważył cierpko Porta, – bo wtedy zamienisz się w wiązanekę sylwestrowych sztucznych ogni.

– Nic nie sprawdzi się z twoich przepowiedni –



powiedział z przekonaniem Mały. – Rezygnuję z miejsca w szeregu pieprzonych bohaterów, którzy chcą mieć wypisane nazwiska na kamieniach nagrobnych za koszarami i wolę chodzić tam na spacer, niż leżeć razem z nimi.

Feldwebel Lange z grupy dowodzenia zjawił się, ślizgając się po śniegu. Nie mogąc złapać oddechu, rzucił się w stronę Starego i zaczął sapać.

– Cały ten gówniany interes rozpada się – jęczał zdenerwowany. – Rosjanie nadchodzą falami. Nie ma kontaktu z 3. Batalionem. Radio w sztabie rozwalone. Jedno uderzenie. Jestem jedynym, który ocalał. W ostatniej chwili! A te Iwany z szerokimi dupami, już pukają do drzwi.

– Co za burdel – powiedział Legionista, kręcąc szaleńczo gałką regulacji częstotliwości. – Słyszę ich, ale nie rozumiem, co mówią.

– Nadawaj Morse'em – rozkazał Stary ostro.

Legionista zaczął stukać w klucz. Pomagał mu Heide. Informacja poszła w eter szybko jak burza.

„Rosjanie przełamują. Prawe skrzydło otwarte. Drugi Batalion nie ma kontaktu ze skrzydłami i tyłami. Nie możemy utrzymać pozycji, 3. i 5. Kompania zniszczone. Koniec. Over.

– Pieprzyć to! – przeklinał Stary. – Tak się właśnie dzieje, gdy wysyła się do walki na wpół wytrenowanych amatorów, aby za nas walczyli. I co teraz?

Heide podniósł ręce do góry, bazgrząc coś gorączkowo.

Po chwili przekazał informację Staremu.

– Oczywiście, oczywiście – bulgotał nasz dowódca ze zgryźliwym uśmiechem i potężnie pociągnął nosem dawkę tabaki. – Do ostatniego człowieka! Do ostatniego naboju! Przygotujcie chłopcy swoje zabawki i poprawcie rajstopy. Będziemy mieli gości. Dawajcie mi kontakt do oficera dowodzącego!

Powietrze wypełniał gigantyczny hałas. Ziemia i niebo otworzyły się, aby rzygać na nas ogniem i stalą. Chrzęściły gąsienice czołgów. Potężne silniki wyły na wysokich obrotach. Oślepiająca biel śniegu zamieniała się we fiolet i karmazyn.

Albert leżał obok mnie, wciśnięty głęboko w śnieg. Naciągnął głęboko na głowę maskę przeciwśnieżną. Był pewien, że dzięki temu jego czarna twarz nie będzie stanowić wyraźnego celu.

– Boże, co bym dał za ranę eliminująca z walki. Abym mógł się wynieść z tego gówna na zawsze! – rozmarzył się na głos.

Karabiny maszynowe grzechotały z obydwóch stron. Wachlarze smugowych pocisków układały przedziwne wzory na śniegu.

– Co teraz, panie Oberfeld? – spytał młody porucznik Braun, rozglądając się bezładnie wokoło.

Dowodził plutonem, ale był na tyle mądry, aby zostawić wszystkie decyzje Staremu.

– Kompania musi zaatakować – odparł Stary krótko. – Musimy zająć tę paskudną wioskę i to szybko, jeśli nie

chcemy oglądać tulipanów z pozycji robaka pod ziemią.

– To się nie uda – jęczał porucznik. – Potrzebujemy ciężkiej broni i siły co najmniej batalionu!

– Nie płacz, poruczniku – pocieszał go Porta. – Kiedy nasze główniane działa i wyrzutnie zaczną walić, to Iwany zaczną podciągać swoje jajka ze strachu i uciekać, nim powiesz *zdrastwujtie*.

– Naprzód! – rozkazał Stary i poderwał się z ziemi z pistoletem maszynowym oraz z granatami przyczepionymi do paska. – Paluchy ze spustów i za mną!

Nacieraliśmy przez ściany śniegu i wpadaliśmy ciągle w zaspy. Spoceni i klnący, przedzieraliśmy się przez białe piekło. Każdy krok był nadludzkim wysiłkiem. Gdy próbowaliśmy zrobić krok do przodu, nasze buty zostawały w śniegu.

Od strony wioski zaczął strzelać Maxim. Jak żniwiarz kosą ściał naszą czołową linię. Ciemne ciała leżały na śniegu jak wyspy.

– *Vive le mort!* – krzyczał Legionista.

Wydawał się lecieć nad śniegiem. Natarcie zawsze wywoływało u niego szał. Biegł do przodu jak szalony Arab. Z dziur w śniegu przyglądali mu się przerażeni Rosjanie.

Pistolet maszynowy Legionisty zastukał i zdumiony Rosjanin zamienił się w krwawą papkę.

Mały nacierał jak ranny buhaj. Skierował swój empi w stronę przerażonego nauczyciela, który raz za razem próbował uniknąć swego prześladowcę.

– Naprzód, ty śmierdzący belfrze. To jest właśnie ta urocza wojna, o której opowiadałeś swoim ogłupiałym uczniom! Uważaj, nawet nie myśl o zdradzie, ty bękarcie! Nie próbuj się chować albo nas porzucić, abyśmy tę wojnę wygrali bez ciebie!

Były Oberst, za stary, aby nacierać z piechotą, kaszłał i sapał jak dziurawy kocioł parowy, gdy wspinał się na wzniesienie.

Wszędzie rozlegał się świst rykoszetujących pocisków. Przelatywały ponad naszymi głowami jak rozgniewane osy.

Klnąc i sapiąc skryliśmy się za grzbietem zbocza. Wszyscy czuliśmy gorący oddech śmierci na naszych plecach. Lekkomyślnie ześlizgnęliśmy się w dół przeciwległego stoku i niespodziewanie wylądowaliśmy wśród chałup. Były w połowie spalone, w wielu miejscach zostały po nich tylko murowane kominy, wystające ze śniegu.

Granaty fruwały w powietrzu. Pistolety i karabiny maszynowe klekotały. Okienne ramy były wyrywane z zawiasów podmuchem powietrza i leciały w naszą stronę. Tysiące smugowych pocisków latało w powietrzu i rozrywało ciała żołnierzy.

Rosyjscy piechurzy zaczęli opuszczać swoje dziury i biegli do kryjówek zapasowych, pomiędzy zasnutymi śniegiem chatami.

Byliśmy we władaniu dzikiej żądzy krwi. Odurzeni żądzą zwycięstwa. Wzięliśmy naszych wrogów z

zaskoczenia.

– *Vive la mort!* – krzyczał Legionista fanatycznie, miażdżąc kolbą karabinu głowę tłustego sierżanta.

– *Nie strieliaj!* – błagał radziecki kapitan, wysuwając jedną rękę w obronnym geście.

Porucznik Braun popatrzył na niego zaskoczony, po czym pomknął dalej za Starym, który właśnie zniknął za rogiem nasypu okopu.

Jak na filmie o przyspieszonych obrotach, zobaczyłem, że ruski oficer drugą ręką przygotowuje granat, aby rzucić go w plecy naszego porucznika. Błyskawicznie wykonałem uderzenie kolbą w twarz wroga. Granat potoczył się z jego ręki na ziemię i eksplodował powodując fontannę śniegu i zamarznętej ziemi.

Młody piechur po tym wybuchu wyleciał w powietrze. Jedną z jego nóg trzymała się reszty ciała tylko na strzępach skóry. Krew tryskała z urwanej nogi jak z pękniętej rury kanalizacyjnej.

Przykleknąłem przy nim, ale nic już nie mogłem zrobić. Umarł dzięki głupocie porucznika Brauna. Powinien zabić Rosjanina. Porta mawia, że jeśli chcemy pozostać przy życiu, musimy być bardziej okrutni i zdradzieccy niż oni. Jest tylko jedna sekunda pomiędzy życiem i śmiercią. Chwila wahania przy rzuceniu granatem lub pociągnięciu za spust i możesz zaliczyć siebie do umarłych.

Chudy jak szkielet Rosjanin wyrósł nagle przed Małym.

– *Pomiłujcie! Pomiłujcie!* – krzyczał histerycznie, podskakując w miejscu, jakby udeptywał miejsce posiania roślin.

– Dobry Rosjanin, to martwy Rosjanin! – ryknął Mały i posłał długą jak wieczność serię w ciało chudzielca.

Odrzuciło go do tyłu jak szmacianą lalkę do pieca.

W rozbitym pojeździe leżało ciało milicjanta. Miał rozwaloną czaszkę, było widać wyraźnie wystający mózg. Obok na ziemi leżał odwrócony staromodny hełm.

Były nauczyciel zatrzymał się gwałtownie, jakby zderzył się ze ścianą. Przez parę sekund wpatrywał się w rozszcepioną czaszkę. Nagle rzucił na ziemię karabin, chwycił w dłonie swoją twarz i zaczął histerycznie płakać.

– Rozwaliło gościa dokładnie – grzmiał Mały, nadciągając jak fala sztormowa. – Myślisz, że Adolf będzie przerywał wojnę, jak ci się będzie chciało popłakać. Podnieś ten karabin, albo ci wyrwę jaja, jeżeli je masz!

Belfer podskoczył jak postrzelony gawron, coś zakrakał, gdy Mały trzepnął go motywacyjnie kolbą w plecy.

Podążałem za resztą z lekkim karabinem maszynowym. Wąską alejką z naprzeciwka nadbiegały biało odziane postacie w futrzanych czapkach. Niespodziewana eksplozja i w uszach mam tylko syk i dzwonienie. Staję się kompletnie głuchy. Rzucam lkm, ściskany mocno do tej pory w panicznym strachu. Sekundę później czuję

jakby jakaś olbrzymia ręka podniosła mnie z ziemi i rzuciła w śnieg.

Oślepiający strumień ognia pokazuje się przede mną. Jeszcze jeden i jeszcze jeden. Jakieś buty przebiegają obok mnie wielkimi krokami.

Powietrze jęczy, brzęczy i drga, jakby tysiące rozgniewanych os unosiło się w powietrzu.

Zakopywałem się gorączkowo w śniegu. W głowie kołatała tylko jedna myśl, wynieść się z tego obłąkanego piekła.

Pobliski dom uniósł się w powietrze i spadał na ziemię w postaci kawałków belek, zaprawy i szkła.

Rozpadający się piec frunął w powietrzu, pozostawiając za sobą welon płonących drzazg i iskier.

Rosjanie znajdujący się u wylotu alejki wycofują się przez rozwalony mur kołchozu. Dwa radzieckie samobieżne działa przeciwczołgowe ześlizgują się w dół ulicy, dosłownie mieląc na papkę dwóch naszych piechurów, znajdujących się na ich drodze. Potem przebijają sobie drogę przez drewnianą chatę.

W powstałej wyrwie pojawia się ruski cekaem. Szybciutko rzucam w tamtą stronę granat.

Rozdzierająca eksplozja i ckm milknie. Za ledwie parę godzin później opanowaliśmy całą wioskę.

Jest kilku poddających się. Wychodzą ostrożnie z różnych dziur, z bronią podniesioną ponad głowy i śmiertelnym przerażeniem w oczach. Nikczemnie odzywają się nasze empi. Dzisiaj nie bierzemy jeńców.

Zabijamy wszystkich, zdrowych i rannych.

Nasi pionierzy znaleźli całą kompanię niemieckiej piechoty. Wszyscy rozstrzelani. Strzał w kark i poprawka bagnetem.

Ustawiamy się w ciszy kręgiem wokół nich. Niektórych z nas ogarnia apatia, inni są rozwścieczeni. Część z zabitych była torturowana. Bestialstwo.

– *Merde!* – mówi Legionista. – Co za gnój! Sterta gnoju! Co za wojna!

– Tylko sadyści mogą robić takie rzeczy – mówi Albert. – Tylko bestie!

– My robimy to samo, jeśli ich dopadniemy – zaśmiał się Mały złośliwie.

– Zróbmy rajd na kołchoz – krzyknął Stary, wskazując lufą empi na rozwalony mur.

Czołg PzKpfw IV10 wjechał z chrzęstem na wiejską uliczkę. Jego rury wydechowe dosłownie błyszcząły w szarym, zimowym świetle.

10 PzKpfw IV – Panzerkampfwagen IV. W języku angielskim używane jest także określenie Panzer IV.

Grzechocząc gąsienicami, wzbudzając tumany śniegu, podjechał do porucznika Brauna. Z wieżyczki pojazdu wychylił się generał-major okutany w niedźwiedzią skórę.

– Co wy tu robicie, poruczniku? – zatrąbił groźnie.

Braun zaczął coś nerwowo trajkotać z taką szybkością, że nie zamykały mu się usta.

Odziany w niedźwiedzią skórę generał przyglądał mu się coraz bardziej złośliwie.



– Czy jest pan w kontakcie ze swoją kompanią? – spytał strzepując lód ze skórzanych rękawic.

– Oczywiście, generale – odparł porucznik nerwowym falsetem.

– Oficer dowodzący atakiem jest w domku myśliwskim dwa kilometry na północ od Sandowy.

– Czy kazano wam tu zająć pozycje? – spytał generał z oczywistą groźbą brzmiąca w chropawym głosie.

– Nie, generale!

– To naprzód! Pamiętajcie, że droga do domu wiedzie przez Moskwę!

Po chwili PzKpfw IV zniknął w chmurze śniegu, rozjaśnianej strumieniami ognia wydostającego się w wydechu czołgu. Generał nie odwzajemnił salutu porucznika Brauna.

Przeklinając pod nosem, z twarzą czerwoną jak peonia, oficer dołączył do nas.

– Ruszamy – powiedział przepraszająco, potrząsając nerwowo pistoletem maszynowym.

– Jakie są pańskie rozkazy? – spytał flegmatycznie Stary, nabijając fajkę tytoniem.

– Najlepiej będzie dla nas, jeśli ty będziesz wydawał rozkazy, Beier – powiedział porucznik cicho, zdając się na doświadczenie Starego. – Nic nie jest tak, jak nas uczyli w szkole oficerskiej.

– Podnieść broń! – rozkazał Stary szorstko. – Palce ze spustów i maszerować poboczem drogi. Przerwy pomiędzy grupami! Nie gromadzić się na miłości Boską,

bo jeden mózdzierz może wtedy urządzić niezłą jatkę! Jak często mam to wam powtarzać! Rozproszyć się!

Krzyczał z prawdziwą furią w głosie w stronę Małego, który z belfra i byłego Obersta zrobił sobie ordynansów.

– Spokojnie, Stary! Ja i moi dwaj germańscy herosi mamy zamiar rozgonić wszystkich Ruskich.

Śmiertelna szarość poranka powoli zmieniała się w lodowy błękit. Burza śnieżna ucichła. Z dala rozbrzmiewały strzały, których odgłosy płynęły do nas przez lodowate powietrze.

Zmęczeni maszerowaliśmy olbrzymią równiną, na której końcu groźnie majaczyły szare pagórki.

– Gdzie się podziały te gówniane Iwany? – spytał Porta rozglądając się pomiędzy stertami pozostawionego siana.  
– Myślisz, że oni są tam, w głębi ziemi. Zawsze uciekają i gdy ich gonisz, okazuje się że wychodzą z tyłu i strzelają w plecy niemieckich bohaterów.

– To dlatego, że nabrali doświadczenia przez lata walk z nami – wyjaśnił Gregor. – Jeśli tacy złodziejscy wrogowie jak my się za nimi nie uganiamy, to może ich dopaść ich własna tajna policja i wysłać do odgarniania śniegu na Syberii.

Późno po południu dotarliśmy do jakichś ruin. Były one pełne zwęglonych ciał zgromadzonych w stosy. Po krótkiej, ale zażartej kłótni, straciliśmy dla nich zainteresowanie, bo Porta znalazł zamarznąłą świnie.

– Jezus kocha nas wszystkich! – oznajmił uradowany Mały i natychmiast zaczął budować stos na ognisko.

Belfer i eks-oberst prześcigali się w ściąganiu drewna.

– Suche! – krzyczał za nimi – albo użyję was na podpałkę!

Stary chciał iść dalej. Prosił i krzyczał, ale wszystko na nic, w końcu sam się poddał.

Ze swojego gorzkiego doświadczenia wiedział, że tylko atak ciężkich czołgów wroga może oderwać Portę od zbliżającej się orgii żarcia.

Za pomocą saperek i ręcznych toporków ćwiartowaliśmy dużego, zamrożonego świniaka.

– Nie powinniśmy go najpierw rozmrozić? – spytał naiwnie porucznik Braun, chroniąc rękami głowę przed latającymi w powietrzu kawałkami zamrożonego mięsa.

– Nie mamy czasu, poruczniku. Jeśli tu zbyt długo zabawimy, to pojawią się nasi przyjaciele z tymi starymi maszynowymi bałajkami i odstrzelą nam tyłki – wyjaśniał Porta rąbiąc martwego zwierzaka zdobyczym toporem rzeźnickim.

Z piwnicy wyszedł Albert z workiem ziemniaków, całym koszem jajek i kanką zamrożonego mleka.

– Jezusie, Maryjo! – zakrzyknął Porta ustami pełnymi drgającej wieprzowiny i wlewając w siebie słodką nalewkę, którą znalazł Albert w piwnicy z innymi dobrami. – Teraz będę mógł zrobić wam świetne bliny!

Porucznik Braun upił się i zaczął śpiewać zakazane piosenki. Przy tym wyznał Gregorowi, że tak naprawdę to nigdy nie lubił Hitlera i jego partii.

Heide popatrzył na niego z pogardą. Nie mógł

zrozumieć, że oficer armii Adolfa może mówić takie rzeczy. Zdecydował się, że więcej nie będzie rozmawiać z porucznikiem Braunem.

W tej przedziwnej piwnicy Porta znalazł wszystko, co potrzebował do zrobienia blinów. Nawet wędzonego łososia. Był on raczej paskudny i miał dziwny kolor, ale nadawał się ciągle do zjedzenia.

– Powiniennem użyć żelaznej patelni – wyjaśniał – takiej bez uchwytu, ale to nie jest konieczne. Zrobię tak czy tak całkiem niezłe ruskie naleśniki.

Pogwizdując zaczął mieszać ciasto w wielkim garze.

– Nie ma piwa, jak przypuszczam. Dobra, zamiast tego może być wódka. Wymachując rękami wbijał jajka do mleka i mąki.

Wkrótce, całe ruiny otoczone były zapachem blinów. Sterty rosyjskiego przysmaku wyładowały na chybotliwym stole. Porta zrobił je bardzo grube, tak jak umieją to robić tylko Rosjanie. Gdy skończył ostatniego, rzuciliśmy się na jedzenie, jakby czekało nas siedem lat głodu.

Najpierw kawałek blina, potem płatek tuńczyka i kawałek wieprzowiny. A potem znowu blin. Powinna być do tego kwaśna śmietana, ale tylko ją sobie wyobrażaliśmy. Zamiast tego mieliśmy słodką nalewkę. Kiedy wszystkie naleśniki zniknęły, baliśmy się poruszyć, ze strachu, że nasze brzuchy eksplodują.

Porta wyjął flecik z cholewki buta. Leżąc na plecach zaczął wygrywać arie z operetki „Rozwiedziona żona”.

– Święta Agnieszko, czy ja coś jadłem? – jęknął Gregor, wypuszczając potężnego, dźwięczącego bąka ze spodni.

Zaraz wspomógł go Porta.

– Gdy następnym razem znajdę coś zjadliwego, to zrobię wam barszcz – obiecywał z rozmarzonym spojrzeniem – To ulubiona zupa wszystkich Rosjan. Jeśli spotkamy krowę, to musimy zabrać jej kawałek, tak jak zachowamy posiadaną wieprzowinę. Zieleninę zabierzemy stąd. To będzie zupa, która zmusi czerwoną armię do natychmiastowej kapitulacji.

Prawie musieliśmy czołgać się do latryny, która jakimś cudem stała nietknięta na tym gruzowisku.

Porta jest żarłokiem. Zabrał kawałek wieprzowiny i nalewkę ze sobą.

– Człowiek z głową na karku nigdy nie rusza skorupy, nie biorąc prowizji – instruował nas, biorąc duży kawał wieprzowiny.

Na zewnątrz usłyszeliśmy chrzęst i grzechot broni i wyposażenia.

– Przybyło towarzystwo – oznajmił Porta, wyglądając przez wyrwę w pokrytym sadzą murze.

– Wstawać! – rozkazał nerwowo Stary. – Bierzcie ekwipunek. Löwe dostanie szalu, jeśli zobaczy, że urządzamy tu sjęstę.

– Jasne, chodźmy i poszukajmy starej Czerwonej Armii – roześmiał się Mały pijacko. – Przecież po to chyba opuściliśmy domy, prawda?

– Gdzie się ukrywałeś, Beier? – spytał nadporucznik Löwe z czerwoną od mrozu twarzą.

Patrzył na nas podejrzliwie.

– Tutaj – powiedział Stary, machając ręką wokoło, wskazując na otaczający nas step, jakby nie wiedział co odpowiedzieć.

Porucznik nadal nam się przyglądał bez przekonania, po czym wzruszył ramionami z rezygnacją i rozkazał:

– Piąta Kompania pojedynczym szeregiem za mną marsz!

Nie mieliśmy nic innego do zrobienia, jak wymaszerować ze zrujnowanej wioski. Wtedy rozległa się ogłuszająca eksplozja, jakby chciała zbudzić dzień. Instynktownie rzuciliśmy się na śnieg i staraliśmy się skurczyć.

Ziemia, lód i stalowe odłamki fruwały ponad naszymi głowami. Podmuch prawie wyrywał nam płuca, ale eksplozja nastąpiła na szczęście daleko od nas i nie zniszczyła naszego oddziału. Mieliśmy tylko trzech rannych. Ale ledwie powstaliśmy, gdy pojawiła się cała banda pomalowanych na biało T-34. Wyjechały z młodnika z dudniącymi silnikami i metalicznym chrzęstem gąsienic.

– Czas na herbatkę! – krzyknął Barcelona histerycznie.  
– Chłopaki z rurkami naprzód!

Oberleutnant Löwe pomachał ręką, abyśmy przepuścili żołnierzy z plutonu przeciwczołgowego. Stękali i chwiali się, gdy wchodzili po stoku wzgórza.

– Pomóżcie nam, wy wszarze – przeklinał siny z wściekłości Feldwebel, gdy utkwiła mu śniegu armata 75 mm.

– To nie nasza sprawa – odparł Porta, podnosząc brwi.

Podoficer zaczął machać rękami i krzyczeć przy armacie, ale Stary go powstrzymał, mówiąc, aby poszedł do diabła on i jego działo.

– Zapamiętam was! – obiecywał mściwie Feldwebel, gdy znikał w padającym śniegu.

Paskudne dudnienie silników czołgowych było coraz głośniejsze.

Porta ostrożnie wyglądał z dziury w śniegu.

– Panie Oberleutnant! – krzyknął do Löwego.

– Bóg nie chce, żebyśmy tu zginęli. Jestem tego pewien! Rozwalmy ich!

– Zostańcie na swoich miejscach! – rozkazał z gniewem porucznik. – I przygotujcie broń! Siedźcie w swoich norach!

– Dawaj, teraz! Podawaj szybko jak możesz butelki z Mołotowem, wrzucę je pod tę herbaciarnię! – rozkazał Mały nauczycielowi.

Gdy to mówił, walił go końcówką lufy w hełm.

– Diabeł i jego bracia ci nie pomogą, gdy zgubisz rytm! Mogę cię rzucić ciebie i twój wskaźnik tablicowy pod T-34 jako bombę, więc uważaj! Ty badaczu alfabetu!

Cicho klnąc belfer i były Oberst podawali Małemu wiązki granatów.

– Trzymajcie je blisko głów! – ryczał Mały, wywijając

jedną z wiązek ponad głową.

Około dwudziestu metrów przed nimi pojawił się z dręczącym zgrzytem czołg KW-2.

– Rozjedzie nas – jęknął przerażony belfer, przygotowując się do ucieczki.

– Ty tu zostajesz! – warknął Mały, kładąc na nim dłoń wielkości sporej szynki. – Wyrwę ci jaja, jeśli spróbujesz uciec!

Trzydziestoczwartotonowy czołg zaczął zwalniać. Wieżyczka działa powoli się obróciła. Rozdzierająca bębrenki w uszach eksplozja i z armaty kalibru 155 mm wyskoczyły płomienie ognia. Podmuchał Małego na nauczyciela i eks-obersta. Pocisk przeleciał niedaleko nich i wywołał lawinę śniegu.

– Fajny sposób na rozpoczynanie balu! – ryknął Mały w niemocy i zaczął ścierać śnieg i błoto z twarzy.

– Boże wielki! – krzyczał belfer w panicznym strachu.

Brzuch wielkiego stalowego potwora ukazał się tuż przed nimi. Eks-oberst prawie stojąc, zamknął oczy i czekał, kiedy ta masa ich zmiażdży.

– To dla ciebie, ty dupku, Iwan! – krzyknął Mały i rzucił błyskawicznie dwie wiązki granatów pod czołg.

Ukazały się biało-żółte płomienie, a z czołgu wypłynęła fala czarnego dymu, formując w powietrzu coś na kształt grzyba.

– Jezu Chryste – jęknął eks-oberst, blady ze strachu.

Potworna eksplozja rozerwała czołg na tysiące kawałków i kawałeczków.



Mały rzucił się w dół, aby uniknąć śmiertelnych odłamków. Były Oberst leżał w śniegu, krzycząc z przerażenia. Paronastotonowa wieżyczka czołgu przeleciała tuż nad nim, zrywając z pleców kawałki płaszcza. Jakimś cudem facetowi nic się nie stało. Po chwili stał z rozszerzonymi oczami, gapiąc się na pozostałości tego, co jeszcze niedawno było niebezpieczną zabawką na polu walki.

– Gdzie jest cholerny miotacz płomieni? – spytał Mały groźnie patrząc na eks-obersta, który miał nadal szaleństwo w oczach. – Miotacz płomieni, ty półgłówku!

Powtarzając o co mu chodzi, walił Obersta kolbą empi.

– Rozniosę cię na kawałki po całej Rosji, a potem napluję na grób twojej matki! – krzyczał z groteskowym śmiechem. – Zostałeś pozbawiony praw żołnierskich i nie ujdzie ci to bezkarnie, ty bękarcie!

Za kurtyną śniegu ciągle rozlegał się chrzęst gaśienic czołgowych, grożących nam zmiążdżeniem stanowisk. Długi kamienny mur rozpadł się jak skorupa jajka. Fale podmuchów wywracały nas na ziemię. Gorąco aż paliło nam skórę, ale Mały zdawał się nie zwracać uwagi na otaczające nas piekło. Wysłał krótką serię z peemu pod nogi eks-obersta.

– Pojemnik do miotacza ognia! – mruczał cierpko.

– Co się dzieje! – spytał Stary jak zawsze spokojnym głosem.

– Ten paproch na małpiej dupie, żywiący się jej gównem – gdał Mały z furją – wyrzucił zbiornik do

miotacza płomieni, należący do naszego Adolfa! I myśli, że nadal może zabierać głos. Nigdy nie spotkałem takiego gówna jak on!

– Gdzie on jest? – spytał Stary, obrzucając Obersta pogardliwym spojrzeniem.

– Zgubiłem go – wyznał nosowym głosem żołnierz.

– Zgubiłeś? – ryczał tak donośnie Mały, że było go słychać jednakowo dobrze w Moskwie i w Berlinie. – Święta Mario, matko Jezusa! Wszystko słyszałem! Ty tępą puszką popiołu, kłamiesz! Wyrzuciłeś go. Prawda? Wyrzuciłeś, bo nie chciało ci się go nosić, ty bękarcie! I takie gówno jak ty było oficerem w armii Führera!

– Idź i znajdź go – rozkazał szorstko Stary.

– Oszalałeś – zaprotestował gniewnie eks-oberst.

– Zabiją mnie, jeśli wrócę po zbiornik.

– No i co z tego – zaśmiał się Mały złośliwie.

– Nikt za tobą nie będzie płakał w naszym oddziale. Albertowi będzie przyjemnie. Oszczędzisz mu walnięcia cię maczugą i natarcia twojego ciała czosnkiem przed ugotowaniem.

– Zabity! – roześmiał się Stary kpiąco. – Kiedy dowodziłeś to „zginąłbyś za Führera i ojczyznę”. Ale masz rację, „zabity” jest dobrym określeniem. Albo „zamordowany”, może „stratowany” lub „okaleczony”.

– *Cest la guerre* – uśmiechnął się Legionista.

– Przyjdź śmierci, przyjdź teraz...

Podśpiewywał delikatnie Oberstowi w ucho.

– Ostatni raz proszę. Przynieś zbiornik do miotacza

ognia! – rozkazał Stary, podświadomie kierując empi w stronę Obersta.

Z pochyloną głową, bezbronny były pułkownik armii niemieckiej, ślizgając się i zataczając, ruszył w dół stoku.

Parę kroków od niego eksplodował pocisk, zasypując go śniegiem. Rzucił się do tyłu, stracił stalowy hełm. Ciężko przedzierał się przez głęboki śnieg, nie zwracając na krzyki wokół niego, połamane drzewa i ogłuszające eksplozje.

– Naprzód numer 2! – rozkazał Stary.

– Zaopiekuj się tym starym gównem – zwrócił się do Małego.

– Z przyjemnością – wyszczerzył zęby Mały – Tak jak prawdziwa mateczka. Ale nie wszystkie mamy są dobrymi mamami!

– Niech ci Bóg pomoże, jeśli go wykończysz – ostrzegł Małego, twardo patrząc mu w oczy.

– Jak możesz myśleć, że jestem zdolny do takich rzeczy? – spytał Mały z niewinnym spojrzeniem, malującym się na jego pokrytej brudem twarzy.

– Pamiętam trzecie przekazanie Jezusa: „Nigdy nie wal swojego sąsiada” ani nie zapomnę tego, co powiedział Mojżesz: „Jestem jak partner do *black jacka*, używam własnego rozumu”

– Jesteś szalony! – stwierdził wkurzony Stary i ruszył po stoku za Legionistą.

Eks-oberst powrócił zdyszany i rzucił z furją pod nogi Małego zbiornik do miotacza.

– Rozum ci odebrało? – zawołał Mały z wyrzutem. – Powyginasz blachę w pojemniku Adolfa! Ściągną ci to z żołądu. A nie zapominaj, że masz pobory kulisa, a nie oficera! Będziesz spłacał tę zabawkę przez rok! Zakładaj go natychmiast na plecy i trzymaj się mojej dupy. Idziemy odwiedzić naszych sąsiadów po drugiej stronie okopów. A gdzie jest ten cholerny belfer? Jeśli uciekł, to wsadzę mu ten wskaźnik do tablicy w dupę!

– Tutaj – zapiszczał nauczyciel, wystawiając przestraszoną twarz z zasy śnieżnej.

– No to w porządku – mruknął z satysfakcją Mały. – Będzie dla was źle, jeśli poczuję się nieszczęśliwy. Bierzcie skrzynki z amunicją i naprzód! Najgorsze, co może was głęby spotkać, to, że odstrzelą wam tyłki i nie będziecie mogli więcej usiąść na porcelanie i się wysrać.

– Dwójkami, wy pokazowe kulawe herosy! – poganiał ich niecierpliwie Stary. – Ruszajcie się! Bliżej, sodomici! Za czołgami!

– Chyba najadłeś się gówna i doszło ci teraz do głowy – wściekał się Porta. – Sam się zbliż, jeśli jesteś zmęczony życiem! Nie mam zamiaru opuścić tej armii na czubku jakiegoś pocisku. Nie jestem ochotnikiem do samobójstwa.

– Szybciej! Szybciej! Ruszać się! – grzmiał groźnie Mały i złapał za hak holowniczy PzKpfw IV. – Wkrótce będę wędrować na jajkach. Nogi mam prawie starte do kolan!

Cały horyzont płonął. Rakiety z jękiem przelatywały

nad nami, po stronie Rosjan zawzięcie odpowiadały im organy Stalina.

Przed nami i na skrzydłach zagrzechotały Maximy. Ruszyliśmy na nie z ręcznymi granatami i minami, aby oczyścić jedno po drugim wrogie stanowiska. Zrobiliśmy to tak szybko, że nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

– *En avant, marche! Vive la mort!* – wydierał się podniecony Legionista, machając mauretańskim nożem przed twarzą radzieckiego porucznika. Ten ze strachu potknął się o leżące ciało i wypuścił z rąk pepeszę.

Co chwila mauretańskie okrzyki bojowe przebijały się przez kurtynę śniegu.

– Piasek na tej pustyni jeszcze nieraz się zagotuje – roześmiał się Porta, spluwając z pogardą na stertę śniegu.

– Szalony z nienawiści – ocenił Gregor. – Po co do diabła tak się angażuje? Przecież nienawidzi Adolfa i jego armii.

– Prawdopodobnie kopnął go wielbłąd w tyłek, gdy latał po całej Saharze z kupą Francuzów, aby obciąć Arabom małe co nieco – zarżał Porta.

Przestraszeni Rosjanie zaczęli strzelać z dział. Wokół nas eksplodowały pociski, wyrzucając w powietrze zmrożoną ziemię, tumany śniegu i zeszywniałe ciała poległych.

Klnąc i złorzecząc przebijaliśmy się przez góry śniegu, tonęliśmy w zaspach aż po pachy, ledwo potrafiąc się z nich wydostać. Wreszcie wyszliśmy na jakąś drogę, ale

nasze podkute buty powodowały, że toczyliśmy się po pokrywającym ją lodzie jak kule.

Rosyjskie pistolety maszynowe omiatały całą naszą trasę seriami maleńkich fontann ziemi. Granaty ręczne wybuchały dookoła nas, w tym piekle ziejącym ogniem. Poruszaliśmy się do przodu wielkimi skokami, przeskakując niemal nad grupą piechurów, przyciśniętą do ziemi własnym strachem. Podnosili ręce do góry, myśląc, że jesteśmy Rosjanami.

– Bohaterowie Führera są zmęczeni?! – zaśmiał się Porta, posyłając serię z peemu pod nogi Unterfeldwebela.

– Naprzód towarzysze! Najkrótsza droga do domu wiedzie przez Moskwę! – dodał szyderczo.

Z zaostrzonymi saperkami i bagnietami nasza grupa podeszła do radzieckich pozycji.

Mały posłał długą brzęczącą serię przez wizjer w schronie obserwacyjnym. Rozległ się dziki wrzask, gdy kule rykoszetowały od betonowych ścian wewnątrz pomieszczenia. Kilka życiorysów zostało zakończonych. Pozostało tylko kilka ciał porozrywanych na kawałki bezładnymi seriami pocisków, krzyżujących się w niewielkim pomieszczeniu.

Rzuciłem granat w kierunku schronu znajdującego się za naszymi plecami. Rzuciłem tak mocno, że omal nie wyrwałem sobie ręki ze stawu. Eksplozja, która mnie wywróciła na plecy, pozbawiła płuca niemal całego powietrza.

Cały schron został wyrzucony w powietrze i obrócił się

do góry na dół. Mój granat musiał dotrzeć do rezerwowego składu amunicji.

Podmuch powietrza podrzucił Małego i belfra w powietrze, po czym obaj ciężko opadli na śnieg.

– Oszalałeś, czy co! – krzyknął Mały z gniewem, wygrzebując się spod śniegu. – Nigdy nie rzucaj tak ładunków, ty bałwanie! O mało nie straciłem przez ciebie butów!

Za nami nadjechały z chrzęstem dwa działa szturmowe. To z przodu wjechało ma dach schronu i zaczęło skręcać na nim, jak człowiek gaszący podszwą buta niedopałek papierosa. Rozległo się skrzypienie łamanego drewna i chrzęst pękającego betonu, którym towarzyszyły zdławione okrzyki przerażonych ludzi. Pojazd jeszcze chwilę kontynuował twista, aż do czasu, gdy jęki umilkły.

Rzuciłem granaty w gniazdo karabinów maszynowych. Kawałki drewna dosłownie zasłoniły niebo. Maxim przewrócił się, a jego lufa celowała w niebo.

Na płycie osłonowej wisiały resztki radzieckiego żołnierza ze zmiażdżoną wybuchem twarzą.

Wokół nas rozlegał się charakterystyczny chrzęst gąsienic.

Wysoki rotmistrz w oficerskiej czapce pomachał nam zawadiacko ręką i mrugnął jednym okiem.

– Chodźcie! Chodźcie! Przypalmy im tyłki! Pokażcie, że jesteście żołnierzami Führera, chłopcy!

– Jesteś niczym więcej niż kupą kurzego gówna! – warknął Mały z gniewem.

Zrobił to jednak na tyle cicho, aby rozochocony rotmistrz tego nie usłyszał.

– Ilu tych gównianych facetów lata na tej wojnie z biegunką w ustach – gderał Porta z pogardą spluwając w stronę chudego oficera.

Nagle oficer został trafiony. Krew zalała mu twarz i spadł na ziemię z przejmującym jękiem. Jego elegancka oficerska czapka potoczyła się po śniegu i zatrzymała na gałęziach krzewu.

Gregor podniósł broń oficera, którą była pożądana przez wszystkich radziecka pepesza, a Porta odłamał połowę płytki nieśmiertelnika i schował do kieszeni.

– Jeszcze więcej gnoju do wojskowego stosu brudów. Przyjdź śmierci... – zanucił Legionista.

Nagle porucznik Braun rzucił pistolet maszynowy na ziemię. Po czym położył się na pustej skrzynce amunicyjnej. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy na niego.

On zaś gapił się na nas błyszczącymi oczami.

– Co się tutaj dzieje? – spytał nadporucznik Löwe, nadciągający ze szczytu stanowiska dowodzenia.

Heide wskazał na leżącego porucznika.

– Tchórzostwo w obliczu wroga – wyjąkał Julius z wyrazem okrucieństwa na twarzy.

– Jeszcze jeden spragniony krwi bękart! – krzyknął Mały. – Dlaczego sam nie wystawisz wyżej tego łba, aby ci Iwan go odstrzelił?

Zamknijcie się! – warknął Löwe. – Ja się nim zaopiekuję! Wstawaj Braun! No już! Co z tobą



człowieku?

– Uszło z niego powietrze – oznajmił Mały ze zdziwieniem. – Nic w nim nie zostało, ani trochę!

Löwe potrząsnął skamieniałym oficerem, bez rezultatu.

– Szuka skrótu do Walhalli [Walhalla – w mitologii nordyckiej miejsce przebywania poległych w chwale wojowników, kraina wiecznego szczęścia.] – powiedział Gregor, wzruszając obojętnie ramionami.

– Naprzód ludzie! – rozkazał Löwe szorstko. – Zostawcie go medykom.

Teren cały czas się podnosił. Wysiłek związany z tą wspinaczką był niehumaniczny.

Mały chwycił mnie w ostatniej chwili, gdyby ześlizgiwałem się po stromym stoku w dół. Kręciło mi się w głowie, gdy patrzyłem w nicość przede mną.

Wrzeszcząc z wściekłości i klnąc kontynuowaliśmy walkę. Przeklinaliśmy armię, Niemcy, nawet naszych rodziców, za to, że nas w ogóle urodzili. Wielu z nas się poddawało i bezradnie rozkładało na śniegu, nie mogąc podjąć dalszego wysiłku, ale dowódcy drużyn i plutonów zmuszali ich do powstania i poganiali do przodu. W tej dziedzinie Heide był bardzo gorliwy. Jego przeszywający, lodowaty głos był słyszany wszędzie.

– Tylko pomyślcie! Jestem ochotnikiem! – jęczał Albert, rozplaszczając się na śniegu i przytrzymując gałęzi krzaka, aby nie zsunąć się w dół. – To jest kara Boska! Nie powinienem sikać biskupowi monachijskiemu do beczki z winem mszalnym, aby wywołać u niego

żółtaczkę, nie powinienem! Gruba świnia!

Legionista założył metalowe klamry do wspinaczki, ale i tak się poślizgnął, w tym samym momencie empi wypadł mu z rąk i zjechał w dół. Patrzył za nim tęsknym wzrokiem, po czym poleciał jak kula śnieżna za zagubioną bronią.

Wiedzieliśmy, że statystycznie nie jest możliwe, aby żołnierze tacy jak my przetrwali wojnę nietknięci. Ale nadal mieliśmy nadzieję i byliśmy szczęśliwi, widząc każdy następny poranek.

Ten atak prowadzony z szaleńczą brawurą, poza wszystkim był bezsensowny i nie miał nic w sobie bohaterskiego. Była to desperacka walka o przetrwanie.

Dowództwo korpusu poleciło zająć wzgórze, a nasz pułk został przeznaczony do wyrzucenia Rosjan z kompleksu więziennego NKWD i utrzymania go. Bo kto jest w posiadaniu wzgórza więziennego, ten panuje nad dużym odcinkiem frontu. Byliśmy w ogniu walki od czterech tygodni. Już kilka batalionów zginęło po obu stronach frontu, ale nadal Niemcy nie byli w stanie wejść do środka więzienia. Doszliśmy do zewnętrznego muru i znowu zostaliśmy odparci. Tym razem wydawało się, że wreszcie zdobędziemy ten paskudny obiekt. Zgromadzono najbardziej doświadczone pododdziały dywizji. Batalion pionierów, który przyłączono do naszej dywizji był wyposażony w dziwną broń. Były to jakby karabiny z harpunami, wystrzeliwujące na znaczną wysokość liny do wspinaczki. Spodziewaliśmy się użyć

ich jako sprzętu do wejścia na wzgórze, które było strome jak góra. Może dzięki niemu wdrzemy się do środka.

Jakieś dzikie plotki krążyły wokół nas na temat tego więzienia. Mówiono, że za tymi murami siedzi około siedmiu tysięcy więźniów. Nasza artyleria ostrzeliwała ten kompleks bez przerwy od czterech dni i powstawało pytanie, czy ktoś z tych nieszczęśników przeżył.

Julius Heide, który był jak zawsze dobrze poinformowany, twierdził, że w tym starym więzieniu trzymano ludzi już na długo przed rewolucją. Teraz jest używane przez rosyjską tajną policję jak ośrodek tranzytowy. Ściągani tu są więźniowie z rejonu Kijowa i Charkowa.

Po trzech dniach krwawych walk, wtargnęliśmy na pierwszy płaskowyż. Półzywi ze zmęczenia położyliśmy się na ścieżce. Płuca bolały nas tak, jak ktoś wbijał w nie lodowe sztylety. Byliśmy spoceni pomimo przeraźliwie zimnego powietrza.

Porucznik wlecze się za nami. Kładzie się obok nas, jego powieki nerwowo drgają. On już umarł dla świata. Nadporucznik Löwe siada, opierając się plecami o pień drzewa, dzięki czemu zyskuje niewielką osłonę przez lodowatym wiatrem. Stary wpatruje się smutno w nicość i powoli nabija tytoniem fajkę ze srebrnym wieczkiem. Ma kłopoty z podpaleniem tytoniu, bo jest on wilgotny.

Mały leży rozciągnięty jak długi obok Porty. Kącikami oczu obserwuje belfra i byłego Obersta. Jak zazwyczaj zapala grube cygaro.

– Zameczasz tych dwóch – stwierdził Porta, uśmiechając się półgębkiem. – Co oni ci zrobili?

– Zrobili? Zrobili! – krzyknął Mały szorstko.

Wytarł nos w palce.

– Oni nic nie zrobili. Spróbuj im coś pozwolić zrobić! Popatrz na nich! Profesorka nie znoszę! I nigdy nie będę próbował! Nigdy od czasu, gdy zaznałem tej instytucji z batem. Przysiągłem, że dopadnę tych bijących sukinsynów do ostatniego! Zależli mi za paznokcie. A ten chodzący wskaźnik tablicowy jest jednym z najgorszych. Sam się nazywał nadradcą szkolnym! Ten dupek wlaź do biura kompanii i powiedział, że choć służy jako piechur, to jest nadradcą i powinien być skierowany do szkoły oficerskiej jak najszybciej. No to poprosiłem o niego i Feldwebel Schluckebier przydzielił go do nas. „Szkoła oficerska” – rzucił do mnie. Ja ci dam szkołę oficerską. Jak z nim skończę to nie pozostanie z niego nic, poza migdałkami.

– No dobra, a co z Oberstem? – spytał Gregor.

– Przecież on nie jest nauczycielem, a do tego jest pułkownikiem. Przecież jest podobny do naszego pułkownika Hinki, a ten nie jest przecież zły?

– Tak, Hinka jest w porządku – odparł Mały – a inni nie są. A ten nie jest na pewno. Mój kumpel ze sztabu dywizji, Stabsgefreiter Frick, sporo mi o nim opowiedział. Zwykle nazywali go „szalonym mordercą rekrutów”. Działał w Sennelager. Najzłośliwszy komendant obozu treningowego w całej Westfalii i Nadrenii. Aż któregoś

dnia z powodu zbyt długiej listy zmarłych rekrutów, wszczęto dochodzenie. Zanim się zorientowaliśmy, już był w Germersheim z dziurami w mundurze zamiast pagonów. Miał jednak dobre znajomości, skoro go cofnęli sprzed plutonu egzekucyjnego. I zamiast zapakować do drewnianej jesionki, dali mu jeszcze jedną szansę i wysłali go na nasze wysypisko śmieci, aby pokazał jakim jest bohaterem i odzyskał swoje gwiazdki oficerskie. Schluckebier dał mi go na urodziny. Popatrz na niego, nie widzę ani jednej gwiazdki w jego oczach. Jest tylko kawałkiem mięsa armatniego i niczym więcej. Jednej rzeczy się tylko nauczył. Przynajmniej wie, kim jest Obergefreiter!

– Tak, czy tak uważaj – ostrzegł go Stary. – Może na razie wyleciał z układu, ale nadal ma koneksje. A załatwienie takiego Obergefreitera jak ty, nie wymaga dużo pracy.

– Nie dam się załatwić żadnym układom – oświadczył dumnie Mały. – kiedy z nim skończę, nie będzie już większej przyjemności na świecie.

– Jesteś zbzikowany – powiedział Stary, potrząsając z zadumą głową.

W końcu udało mu się zapalić fajkę.

– Chodźcie! Chodźcie! Wstawać! Ruszać się! – krzyczał Oberleutnant Löwe.

Wyciągnął zaciśniętą pięść, dając znak do szybkiego marszu.

– Iwany znowu się pochowały – stwierdził Porta, gdy

przez pół godziny nie zobaczył żadnego Rosjanina.

– Nie daj im się oszukać – powiedział Gregor.

– Towarzysz Iwan jest najbardziej złośliwym i morderczym bękartem, jaki chodzi po tym świecie. Myślisz, że oni się gdzieś pieprzą w ukryciu, i już rozglądasz się dookoła za połową głowy, którą ci właśnie odstrzelili.

– Człowieku, jak ja ich nie lubię – mamrotał Albert. – Wśród tych cholernych wzgórz mogłaby się ukryć cała armia, a maszerujemy prosto na nie. Zanim się zorientujemy, gdzie jesteśmy, szwadron zawszonych kozaków na kucykach wjedzie nam w dupę!

– Niech to piekło! To miejsce cuchnie na kilometr zdradliwymi, wężookimi bandytami.

– Ty nie lubisz koni? – spytał Porta.

– Nienawidzę ich! – warknął Albert, wypychając do przodu grube wargi, jak zły wilk. – Tak jak ci mówiłem, mój ojciec był werblistą w huzarach. Dostawaliśmy zawsze porcję darmowego mięsa, gdy jakiś koń padł albo został zastrzelony. Mieliśmy koninę dwa razy dziennie i jako dzieci śmierdzieliśmy końmi cały czas. Nie mogliśmy przejść obok stajni, żeby te bydlaki nie rżały za nami. Jezu, Chryste! Nie można przejść obok takiego bydlaka, żeby nie pierdnął ci w twarz!

Tuż po północy, w oślepiającej burzy śnieżnej, kompania dotarła do dużego kołchozu, opuszczonego przez wroga w dużym pośpiechu. Wszędzie walał się porzucony ekwipunek.

Mały znalazł dwie ciężkie trzylufowe strzelby. Jedną dał Porcie razem z paczką naboju na niedźwiedzie.

– Do czego chcesz używać tej pukawki? – spytał zdziwiony Stary.

– Zobaczysz! – roześmiał się Porta. – Po pierwsze nie są długie, więc nie zajmą dużo miejsca. Poza tym mają niezłe pole rażenia. Jeśli stary towarzysz Iwan zobaczy te lufy, to lepiej niech nurkuje jak kaczka, bo inaczej mogę zrobić z niego landszafik na ścianie.

– Możemy jednym starzałem urwać jajka wszystkim czerwonoarmistom! – zarżał radośnie Mały.

– Wy to lubicie kłopoty – ostrzegł ich złowieszczo Gregor. – Jak was Ruscy z tymi rurkami złapią, to odstrzelą wam głowy przez dupę!

– Jezu Nazareński! – doszedł do nas z piwnicy, do której zszedł Porta, okrzyk zaskoczenia.

Jego głowa ukazała się ponad klapa wejścia.

– Możemy zrobić barszcz, moi synowie, ulubioną zupę całej Armii Czerwonej – zaśmiał się. – Weźcie ode mnie ten gar. Jest chyba największy na świecie. Tak myślę.

– W Rosji wszystko jest duże – filozofował Barcelona.  
– Czy wiecie, że Rosjanie zawsze noszą buty o dwa rozmiary za duże. To dodaje im pewności.

– Obierz cebulę – polecił Mały nauczycielowi – a potem potnij w cienkie paski.

– A ty, ty chodząca budko strażnicza – zwrócił się do eks-obersta. – Rozejrzyj się za burakami ćwikłowymi i kapustą. Zrób to szybko, albo urwę ci uszy!

Porta założył na głowę worek po mące, a wokół pasa miał zawiązany kawałek białego materiału. Cały świat by powiedział, że jest głównym kucharzem Grand Hotelu w Paryżu.

– Zobaczmy – powiedział poważnie, wymachując wielkim nożem ponad głową. – Najpierw musimy mieć pięć litrów wody. Ani dużo więcej, ani dużo mniej. Julius, ty pruski perfekcjonisto, ty nalejesz wodę. Zobaczmy, zobaczmy! Jest kawałek wołowiny. Potrzebujemy jej ze trzy kilogramy. Potem wieprzowina, z półtora kilograma chudego mięsa. Następnie pięć porów na każdy litr wody i czterysta gram kapusty. My jednak weźmiemy pół kilograma. Nie będzie z tego powodu żadnej straty. Kilogram buraków ćwikłowych, pół selera i garść siekanej pietruszki. Mamy to wszystko?

– Nie ma pietruszki – odparł Stary.

– Możemy użyć kapusty włoskiej? Jest jej pełno – zaproponował Mały, wysuwając głowę w piwnicy.

Nie zauważyliśmy, gdy mianował się głównym dostawcą prowiantu.

– Spróbujmy – zgodził się Porta – Może tak będzie nawet lepiej dla barszczu. Czy mamy na miłość Boską pięć ząbków czosnku? Bez nich nie mamy co zacząć!

– Tutaj – powiedział Mały rzucając całą wiązkę główek czosnku. – Daj go dużo, to poprawi smak. Już starożytnym Żydom mówił Dawid, że czosnku nigdy nie jest za dużo. Zrobimy wielkie przyjęcie jak na urodziny Adolfa.



– Potrzebujemy kwaśnej śmietany – powiedział Porta.

– Dodaj trochę octu – doradzał Gregor – to powinno zrobić zupę kwaśniejszą.

– Teraz potrzebujemy jeszcze masło, sól i pieprz – krzyknął Porta, zaczynając śpiewać piosenkę pijanego mleczarza.

– Ile tego pieprzu potrzeba? – dopytywał się Mały z piwnicy. – Nie widzę więcej niż jeden worek.

– Idioto! – syknął Porta. – Potrzebujemy łyżeczkę do herbaty, nie więcej.

– Woda się gotuje! – krzyknął Julius ostrzegawczo, ścigając się z nauczycielem wokół kotła. Zdublował go chyba z pięć razy.

– Ruszcie się! – krzyknął Porta gwałtownie. – Cebula, obierzcie pory, kapusta. Pół buraka, seler pokroić w cienkie paski.

– Jasne! – zameldował Mały. – Moi dwaj kulisi już to zrobili. Jeśli nie pokroili tak jak trzeba, powiedz jedno słowo, a stracą jajka!

– Zamknij się, Mały! Mówisz za dużo! To mnie denerwuje! – ostrzegł go Porta. – Teraz podsmażymy delikatnie warzywa na znakomitym ukraińskim maśle. Nie ma lepszego masła, niż to, które ma Iwan. To po nie wyprawił się do Rosji stary gröfaz, [GRÖFAZ (Groster Feldherr Aller Zeiten) – największy wódz wojskowy wszechczasów, termin używany przez żołnierzy niemieckich w odniesieniu do Hitlera, aby wyrazić lekceważenie. Tytuł używany również oficjalnie przez propagandę nazistowską.] a ja razem z nim. Teraz dodamy mięso i zaśpiewamy arię Kłusownika

z *Bractwa Strzeleckiego*. Mały i Albert są barytonami, a Heide i Gregor sopranami. Gotowi?

Porta uderzył trzy razy drewnianą łyżką w krawędź olbrzymiego kotła i z zapyziałego kołchozu popłynęła w ośnieżony step aria operowa.

Następnie nasz kucharz postukał się w pierś, aż jego czapka z worka po mące spadła na ziemię. Jedną nogę postawił na plecach nauczyciela, który leżał na ziemi i z rozkazu Małego czyścił stary MG 34. Porta przybrał postawę wielkiego łowczego.

– *Der Forster ist tot, Der Wilddieb lebt* – śpiewał dźwięcznym głosem.

– Posłuchajcie go – płakał Mały wzruszony. – Czyż on nie śpiewa cholernie pięknie?

Usiedliśmy wokół bulgoczącego kotła. Porta nucił rosyjską piosenkę ludową i wrzucał ząbki czosnku do garnka.

– Czy nie powinno być tutaj kilku kawałków kaczki? – spytał Małego.

– Znaleźć kaczkę! – polecił Mały eks-oberstowi, który natychmiast wykonał polecenie.

– Muszę wam wyjaśnić – pouczał nas Porta.

– Jest rzecz, którą powinniście wiedzieć. Są dwa rodzaje barszczu. Jest zwykły dla ludu, który Tatarzy i Rosjanie połykali litrami. Teraz szlachetny barszcz, który gotują Polacy i Ukraińcy. Najpierw podsmażają kaczkę, potem filetuja, wyjmują wszystkie kości i ścięgną. Mięso tną w drobna kostkę. Często przy tym śpiewają fragmenty

*Katariny Ismailowej* i wrzucają kawałeczki mięsa do zupy. O, tak, plum, plum, plum. I za każdym razem, gdy mięsko robi plum, trzeba pomyśleć o czymś miłym.

– Może być kawałek cipki? – spytał Mały z błyszczącymi oczami.

– Czy ten cholerny barszcz nie gotuje się zbyt długo? – dopominał się Stary, oblizując usta jak głodny wilk.

– Dla kuchmistrza – ostrzegł poważnie Porta – nie ma nic gorszego, niż niecierpliwi klienci. Możesz być szefem na zewnątrz, ale trzymaj się z daleka od kuchni. Jest moja! Obergefreiter z łaski Boga, Josef Porta, szef! Jeśli nie chcesz poczekać na to, co poleca niezrównany szef kuchni, możesz sobie zrobić niewielki spacer, a wszyscy niecierpliwi mogą iść z tobą!

Nasza cierpliwość była wystawiona na ciężką próbę, gdy Porta niezmiennie kontynuował proces warzenia zupy. Nasze szczęki poruszały się automatycznie w górę i dół, a z żołądków dobywał się głuchy warkot, gdy kucharz powoli, z dostojeństwem kroił mięso w kostki i wrzucał do gara. W końcu dodał sok z buraków ćwikłowych, błogosławiąc zupę w imieniu Boga wszystkich Rosjan.

O mało się nie poprzewracaliśmy, gdy powiedział, aby podeszli z naszymi cynowymi miskami. Kazał je ustawić, jak żołnierzy na paradzie.

Mały omal nie zastrzelił eks-obersta i belfra, gdy postawili swoje miski obok naszych.

– Niewolnicy na końcu kolejki. W czasach Jezusa,

jedlibyście razem z psami! Nie czytaliście Biblii, wy wypierdki z wyższej klasy!

Porta włożył spory kawałek masła na dno każdej miski i z miną arcybiskupa wyświecającego nowych kapłanów zaczął nalewać zupę na kawałki tłuszczu.

– Zaczernij chochlą z głębi kotła, mój synu – dopominał się Mały, a jego oczy lśniły z głodu.

W końcu Porta posypał każdą porcję sparzoną kapustą i posiekaną kapustą włoską. Finał stanowiła porcja kwaśnej śmietany.

Gdy Mały skończył trzecią dokładkę, żal mu się zrobiło Obersta i nauczyciela.

– Hej, wy dwa dudki, jesteście głodni, co? – spytał wielkodusznie. – O, idźcie do Obergefretira Porty i dajcie mu swoje miski. Jeśli przez pomyłkę dostaniecie kawałek mięsa w zupie, macie mi o tym natychmiast zameldować! *Paniatno?*

– Przestań się znęcać nad tymi dupkami – syknął Stary z irytacją.

– Nazywasz znęcaniem się dokarmianie tych chłopów? – huknął Mały ze zdziwieniem. – To czego ode mnie chcesz? Żebym podcierał im tyłki, aby nie zostawiali krech na gaciach należących do Adolfa?

Przez około godzinę wlewaliśmy w siebie barszcz, kompletnie nic nie mówiąc. Kiedy już nie mogliśmy zjeść więcej, odchylaliśmy się do tyłu i przeciągaliśmy z cudowną błogością.

– Kiedy dobre, stare Niemcy już przegrają wojnę –

wyznał Porta – przestaną już w nie walić, mam pomysł, aby otworzyć restaurację w Berlinie. Myślę nawet o tym, aby kupić ruiny Kempnińskiego. Nie będą drogie, jak sędzę. Będę sprzedawał wszystko, nadzienie z Nowej Anglii, pieczone indyki, na amerykańską modłę, młodego kogutka na rzymską modłę.

– Nie zapominaj o *Poulet au sang* z Francji, *mon ami* – wtrącił Legionista zapalając francuskiego Caporala.

– Nie śmiałybym zapomnieć – odwdzieczył się Porta – Tak, jak *Greek eggplant au gratin* i ciastka z żydowskiej kuchni.

– O mało się nie wyrzygałem – przerwał Julius z furją.  
– Jak możesz nawet mówić o tych żydowskich brudach.

– Raczej warto byłoby dodać *lamb a la Torcaue*, prawda? – powiedział Porta powoli. – To by ucieszyło twoich idoli, tak?

– Miałbyś też *Venezuelan fish soup* w swoim menu, prawda? – spytał Gregor, oblizując spierzchnięte wargi.

– A co z *paelle Valenciana*? – krzyknął Barcelona z parapetu okiennego.

– Co się tutaj dzieje? – od drzwi doleciał zgrzytliwy oficerski głos.

– Uwaga! – krzyknął Stary z podnieceniem i szybko schował fajkę.

Z zaciśniętymi wargami, jednoręki pułkownik Hinka wszedł do niskiego pomieszczenia, które było wypełnione aromatem barszczu.

– Co to jest? – spytał, zaglądając do garnka.

– Ulubiona zupa Rosjan, Herr Oberst! – zameldował Porta.

– Dajcie spróbować – zaśmiał się Hinka.

Porta natychmiast napełnił miskę.

– Czy dla adiutanta też? – spytał kucharz, patrząc na nerwowego jak kura oficera, który stał w drzwiach.

– Nie zadawaj głupich pytań, Porta – powiedział pułkownik pomiędzy dwoma łykami zupy.

Adiutant niepewnie przyjął pełną miskę aromatycznego barszczu. Bał się jednak okazać, że nie ufa kulinarnym talentom naszego przyjaciela. Było dla niego wielka niespodzianka, że nie natknął się szybko na działającą truciznę.

– Cudowna zupa – zapiął niemal pułkownik, oddając pustą miskę.

– Ci podludzie naprawdę wiedzą, jak gotować, panie pułkowniku – powiedział Porta z szacunkiem. – Powinien pan spróbować sielanki. To taka zupa z łososia. Robią ją nad Morzem Czarnym. Poznałem ją, gdy byłem u przyjaciela, Siergieja Smirnowa, szefa kuchni w restauracji „Szary Kocur”, w Atenach. Jego sielanka wyciągnęłaby Józia Stalina z Kremla. Mam przepis, czy chce go pan poznać?

– Nie, dziękuję Porta – powiedział Oberst, klepiąc żołnierza po ramieniu.

– Za godzinę ruszamy. Trzymaj się Beier – zwrócił się do Starego. – Myślę, że idziemy w niezłe bagno. A ty Porta i ty, Creutzfeldt, żadnego plądrowania ani łupienia,

pamiętajcie! Jeśli o czymś takim usłyszę, będzie sąd wojenny w dwóch sprawach i nie będzie litości. Rabunek jest poważną sprawą.

– Zrozumiałem, dokładnie zrozumiałem – wyszczeakał Porta posłusznie. – Widzieliśmy ostrzeżenia, Herr Oberst! Rabunek to droga na sznur. Panie pułkowniku, Pragnę zameldować, że wiemy, gdzie trzymać palce i nie sparzymy się na tym. Widzieliśmy te plakaty.

Dwadzieścia minut później Mały i Porta wyłamali drzwi do piwnicy i przeszli na piętro, gdzie znajdowały się biura oficerskie. Nie znaleźli nic ciekawego, ale ruszyli do następnych pokoi i znaleźli butelkę wódki w koszu na śmiecie.

– Muszę zmyć kurz z gardła – powiedział Porta i przyłożył butelkę do ust.

Kiedy wycisnęli ze szkła ostatnią kroplę, śmiejąc się jak skowronki przeszli z lodowatego pokoju dalej, do następnych drzwi. Wreszcie znaleźli się w sypialni, w której królowało antyczne gigantyczne łoże.

Mały pociągnął nosem, jak ogar węszący lisa. Spod łóżka wczołgał się bezpośrednio pod wielką chłopską pierzynę.

– Tutaj cipki, tutaj, cip, cip, cip! – dochodziło spod pościeli.

Jego melonik ukazał się na krótko wśród poduszek. Po czym ponownie zanurkował, jak fretka do króliczej nory.

Porta ostrożnie wsadził głowę pod pierzynę, pragnąc zobaczyć, co robi jego kompan. Nic nie widząc, wczołgał

się do środka i zaczął chrząkać jak jeź w letni wieczór.

Mały nie wiedział, że Porta też wlaź pod kołdrę. Rozegrała się pomiędzy nimi krótka walka, której ofiarą była podarta na strzępy pierzyna. Wszędzie fruwał puch i pióra.

Każdy z nich usiadł po swojej stronie łoża i patrzyli zaskoczeni wokół siebie. Wyglądali jak dwie mewy w czasie burzy śnieżnej. Pióra powoli opadały na ziemię.

W szafce z drewnianymi szufladami Mały znalazł parę długich pantalonów ze wstążeczkami. Machał nimi we wszystkie strony i wyglądał jak strojnisia z przełomu wieków.

– Święta Matko Kazańska! Jaki tyłek musiał to nosić! – powiedział Porta. – W tych gaciach zgubiłby się nawet belgijski koń pociagowy.

– Jezus kocha nas wszystkich – zaśpiewał Mały. – Gdybyśmy mieli właścicielkę tych gaci, moglibyśmy zrobić sobie mały trójkaćik.

– Cipki! – westchnął rozmarzony Porta, zanurzając nos w czerwonych pantalonach. Mruczał jak kocur, ruszając na nocne przygody.

– Dawaj mi to – domagał się Mały.

Wciągnął na mundur czerwone gacie. Porta podał mu też wielki biustonosz. Mały wyrzucił maskę gazową za okno i umieścił w puszcze bieliznę.

– Nie będą używać broni chemicznej do następnej wojny – stwierdził bez troski.

Biustonosz miał wzmocnienia z linoleum. Wyglądał



jak młode Alpy. Gdy znaleźli stare gorsety, prawie się o nie pobili. Porta w końcu dał je Małemu.

Przeglądali się w wysokim lustrze. Gorsety były bardzo piękne, całe ozdobione motylami i różyczkami.

– Dlaczego motyle? – spytał Mały zaciekawiony.

– To naturalne – powiedział Porta ze zrozumieniem – odlatują i wracają jako kutasiki.

W garderobie znaleźli czarny kapelusz, ozdobiony wisienkami. Skonfiskował go Porta.

– Ładnie się prezentuję? – spytał przechodząc się po pokoju krokiem typowym dla dziwek.

– Możesz to mieć za dziesiątkę – pomachał przez okno i posłał na dłoni pocałunek w kierunku grupy motocyklistów, którzy stali na dole i podziwiali przedstawienie.

– Za taką dupę, tylko pół ceny – huknął Mały i szorstko klepnął Portę.

– No chodźcie, głuptaski – zachęcał Porta, bawiąc się sztucznymi wisienkami. – Zostawcie swoje wizytówki przy drzwiach. Dziesiątka za zwykły niemiecki numer, za francuski podwójna stawka.

Mały wlaźł na parapet i machał udami. Szerokie pantalony powiewały na wietrze.

Porta wykonał ręką ruch kończący całą zabawę i splunął w dół przez okno.

– Niedobrze, mój drogi – powiedział Mały. – To jednak prawda, co piszą w „Krokodylu” Rosjanie. Niemcy są rzeczywiście tak jak ich wódz. Nie staje im na dużym

mrozie.

Z trzaskiem zamknęli okno.

Mały potknął się i wylądował na bujanym fotelu. z którym przeleciał przez zamknięte drzwi, jakby były z papieru lub jakby po prostu ich nie było. Zakończył lot w małym pokoiku i rozglądał się zdezorientowany.

– Gdzie się podziałeś? – spytał Porta, rzucając swoim kapelusikiem z wisienkami przez rozwalone drzwi.

Mały nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w wielki staromodny sejf, udekorowany malowidłami czerwonej gwiazdy, sierpa i młota.

Porta momentalnie wytrzeźwiał. Ruszył w stronę sejfu i zaczął delikatnie obmacywać go palcami.

– Zawsze chciałem spotkać, coś takiego, jak ty – wyznał stalowemu pudłu.

– Spójrz na to – powiedział Mały z powątpiewaniem. – Te cholernie paskudne Iwany mogły zaplanować małą niespodziankę dla takich łowców, jak my dwaj.

– Chyba masz siano między uszami – powiedział dostojnie Porta.

Sprawdza milimetr po milimetrze każdy kawałek ścian i drzwi pancernych.

– Próbowali wyrwać go z muru, ale nie dali rady. Popatrz na te dwie stalowe belki, nie mogli go poruszyć. – stwierdził Porta, splunął na czerwoną gwiazdę i walnął pięścią w sejf.

– Tylko poczekaj, ty zimny kwadratowy bandyto – powiedział Mały. – Pokażemy, ci gdzie Jezus chodził na

piwo. Nie myśl, że przeszliśmy wszystkie drogi w Rosji, abyś się z nas śmiał!

– Do diabła! – powiedział Porta z namysłem, patrząc wyzywająco na sejf – Musimy chyba wyrwać go ze ściany.

– Dlaczego? – spytał Mały z lekceważeniem.

– Przecież ma na froncie drzwi? Jeśli chcesz wejść do domu, używasz drzwi, a nie wywalasz ścianę z tyłu.

– Zamknij się! – syknął poirytowany Porta. – Ze skarbami jest inaczej. Drzwi są dla tych, którzy wiedzą, jak je otworzyć. Większość może kombinować, ile chce, ale im bardziej będą się starać, tym jest im trudniej. Musimy dobrać się do tylnej ściany.

Szkoda, że nie mamy palnika tlenowego. Po chwili ta skrzynka by wyglądała jak stos złomu.

– A co z miotaczem płomieni? – spytał Mały z nadzieją i już był w połowie drogi po niego.

– Zostaw to, myślicielu – Porta odrzucił pomysł natychmiast. – Stopi wszystko, co znajduje się wewnątrz skarbcza. Nie kolekcjonujemy złomu, tylko mamy zamiar wyjść z tej wojny bogatsi, niż do niej przystąpiliśmy.

– Jest coś jednak w tym, aby dobrać się do sejfu od strony tyłka. – powiedział Mały, strugając bagnetem kawałek drewnianej kuli. – Pamiętasz starego Żyda z Hoyer Strasse, który miał kumpla, ale ten nie był Żydem. Był za to ślusarzem na Bernhard Nocht Strasse. Ten koleś zwykł otwierać sejfy w wieczory weekendowe. I wszystkie rozbierał od tyłu. I to właśnie go zgubiło.

Cholerny komisarz Nass i jego chłopcy w szerokich kapeluszach zgarnęli go w rejonie żydowskim. Dopadli ślusarza, a on nie był Żydem. Za każdym razem, gdy sejf był otwierany od tyłu, Nass wiedział, że to był nasz włamywacz. Reszty możesz się domyśleć. I pewnego razu, zanim roznosiciel mleka zdążył z chrzestem zostawić pod drzwiami komisarza Nassa butelkę mleka, on i jego chłopcy budzili ślusarza, który właśnie śnił o sejfach pełnych pieniędzy. Już jakieś dwadzieścia lat siedzi w cholernym więzieniu Fuhlsbuttel, koło Hamburga.

– Ale od tamtej pory, aż do teraz, gdy spotkaliśmy pierwszy radziecki sejf, nikt nawet nie pomyśli, że dwóch niemieckich wyzwolicieli może jeszcze w ten sposób otworzyć tę skrzynię – powiedział niezmartwiony Porta, grzebiąc przy zamku cyfrowym.

– Przypomina mi to pokrętko radia – powiedział Mały.

– Tak, tylko ustawianie programu jest troszkę trudniejsze – uśmiechnął się Porta pobłaźliwie.

– Poza tym, musisz zapłacić za to, aby pokręcić gałką, a tu, gdy wybierzesz odpowiednią stację, zapłacą tobie.

– A tak przy okazji, to chcesz zamęczyć te drzwi – zapytał Mały praktycznie. – Pamiętam, jak pewnego razu pewien Żyd i ja mieliśmy małą robótkę w magazynie jego konkurenta. Był z nami specjalista od otwierania zamków. Po godzinie roboty, zorientowaliśmy się, że drzwi w ogóle nie były zamknięte! Ekspert tak się zawstydził, że dał się aresztować jednemu z łapsów

Nassa.

– Ty masz do cholery rację! – zawołał Porta, otwierając drzwi z pewną trudnością.

Mały zaczął śmiać się tak głośno, że echo jego rechotu rozniosło się po całym budynku, gdy patrzył na piętrzące się paczki banknotów.

– Miliony – wyszeptał Porta z zachwytem. – Cholerne miliony. Nigdy moje piękne oczy nie widziały takiej góry pieniędzy. Nich Bogu będą dzięki!

Mówił te słowa, zwracając oczy ku niebu.

– Doszedłem do Twoich łask naprawdę pierwszy raz. I jeśli popadłem w tym kraju w pogaństwo, daję ci coś, co zmusza cię do myślenia.

– Tego jest od cholery. Więcej niż jesteśmy w stanie przeliczyć! – krzyczał Mały, zacierając ręce jak antyczny Żyd po udanym interesie z gojem.

– Wkrótce będzie dwóch nowych Rockefellerów wojujących na finansowym firmamencie – przepowiadał Porta z satysfakcją.

– Kim oni są? – spytał głupio Mały.

– Spójrz w lustro, a zobaczysz jednego z nich – wyjaśnił Porta.

– Wielki Panie na niebiosach, ledwie w to wierzę – powiedział Mały, przyglądając się swemu odbiciu.

– A teraz musimy zachować chłodne głowy – powiedział Porta, przesuwając delikatnie dłońmi po stosie banknotów.

– Nie będziemy mieli więcej takich szans w trakcie tej

rosyjskiej zimy – dodał Mały.

– Od tej chwili – kontynuował Porta z wyrazem ekspresji na twarzy – jesteśmy zbyt bogaci, aby dalej interesować się udziałem w wojnie Adolfa. Zejdź do piwnicy i znajdź dwa duże worki. Opuszczamy ten lokal, mój chłopcze!

– Nie mówiąc innym do wiedzenia? – spytał Mały z niedowierzaniem.

– Nie znamy ich dobrze – wyjaśniał Porta – Jeśli tylko poczują zapach, tego co znaleźliśmy, nie będziemy zbyt długo bogaci. Julius będzie się upierał, że to własność Korony i trzeba tę kasę nam skonfiskować. Tak jak powiedziałem poprzednio: Trzymaj głowę zimną jak lód! Nasza porażka to śmierć! A teraz idź do piwnicy i znajdź dwa worki. Tylko muszą być duże.

– Mam zamiar nasrać w spodnie z armii Adolfa, nim je zamienię na cywilne – obiecał Mały i ruszył z gwizdem na ustach w dół, do piwnicy.

– Znaleźliście coś? – spytał Gregor, przechodząc przez okno z Albertem, którego zęby jak zwykle błyszczały.

Porta szybko zamknął sejf i zasłonił go skrzydłem drzwi, które połamał Mały, wpadając do małego pokoju.

– Chrzanić wszystko – odparł Porta niby przypadkiem, próbując przyjąć pozę lisa zerkającego na kure.

Albert dostał niemal konwulsji ze śmiechu, gdy zobaczył Portę w gorsecie ozdobionym motylkami i różyczkami.

– To nowa tajna broń Adolfa? – spytał Gregor, dusząc

się ze śmiechu.

Albert zazgrzytał zębami, gdy jego spojrzenie spoczęło na dużym portrecie Stalina, wiszącym ponad biurkiem. Patrzył na niego z dużym napięciem na twarzy.

– Co u was słyszeć, towarzyszu? – ryknął podnosząc zaciśniętą pięść, jakby chciał pogrozić gruzińskiej twarzy wodza.

Mały wrócił z dwoma wielkimi jutowymi workami pod pachą.

– Wynosić się, wy gówna – krzyknął, machając workami tak, jakby chciał przegonić kury. – Nie wiecie, że zabronione jest naruszanie cudzej własności.

– Na co ci worki? – spytał Gregor z zainteresowaniem dotykając materiału.

– Chcemy zaciemnić okna – powiedział pospiesznie Porta, aby Mały nie zdążył palnąć jakiegoś głupstwa.

– Co wy myślicie, że jestem idiotą? – jęknął Gregor. – Na pewno coś znaleźliście, na pewno. Nie wciskajcie mi kitu, jakbym był synem szklarza. Czuję na miłę, że coś tu śmierdzi.

– Jeśli się nie zamkniesz i nie wypadniesz z tego pokoju, ty mały cwaniaczku, razem z tym czarnym pajacem, to ja się wami zajmę. Chcemy spokojnie zabrać się za zaciemnianie! – darł się Mały, wymachując rękami.

– Jest coś na rzeczy – powiedział Albert z rozkoszą, skacząc po sofie.

Wywinął koziółka, stanął na rękach i z zainteresowaniem zaglądał pod mebel.

– Wyzywasz los, ty afrykański trampku! – warknął Porta, kopiąc małą poduszkę z taką furją, że aż poleciała pod sufit.

– Jaka to prawda człowieku, jaka to prawda! – śmiał się Albert, wyciągając spod sofy puszkę po oleju.

– Może masz ochotę naoliwić gardło, może potem potoczysz się do Afryki i znajdziesz sobie łóżko z gwoździami? – spytał Mały, posyłając chybionego kopa Albertowi.

– Dlaczego nie? – uśmiechnął się Albert, nabierając w usta płynu z puszkki.

Mały wyciągnął szyję w jak bocian polujący na żaby i powąchał zawartość zbiornika.

– Wesołych Świąt dla wszystkich! Śliwowica! – krzyknął, wyrywając pojemnik z rąk Alberta.

– Daj spróbować – domagał się Porta, próbując odebrać puszkę Małemu.

– Alarm! Alarm! – zadźwięczały głosy sprzed budynku.

Gniewnie zagdakały karabiny maszynowe, a moździerze głucho wypluły swoje granaty. Jakiś Obergefreiter od czołgistów podczołgał się do krzesła, wszedł na nie i próbował zdjąć portret Stalina.

– Wujek Józef zostawił nam podarunek! Będzie ładnie wyglądał nad rodzinną sofą w salonie w Kolonii, gdy skończy się wojna!

– Nie dotykaj tego! – zawołał Gregor z przerażeniem i rzucił się płasko na podłogę.



Albert jednym długim skokiem, godnym czarnego kota alzackiego, znalazł się za sofą. Porta schował się z tapicerowanym fotelem razem z Małym, który chował głowę między ręce jak małpa. Ozdobiony wisienkami kapelusz poleciał w powietrze, jak ranny ptak.

Przez ułamek sekundy Gregor widział czarny kabelek, który biegł od portretu do dziur w tapecie.

Eksplozja zniszczyła prawie cały dom. Wielka kolumna ognia wystrzeliła do nieba. Dach zdawał się przez chwilę utrzymywać na jezorach ognia. To było jak koniec świata. Eksplozje w budynkach stojących wzdłuż ulicy następowały jedna po drugiej. Domy zapadały się jakby były zrobione z kart do gry. Niebiosa rozświetliły się oślepiającym blaskiem. Było jasno jak w dzień. Podmuch fali zmiatał wszystko na swojej drodze z ogłuszającym łoskotem. Wielka ciężarówka przewracała się wokół własnej osi, jakby była zabawką. Przez dziurę w murze wyleciała sofa, której kurczowo trzymał się Albert, chroniąc swoje drogocenne życie. Wylądował razem z meblem na murze po drugiej stronie ulicy z paskudnym skrzypieniem.

Albert wrzeszczał jak świnia w drodze do rzeźni. Z głową obok pięt, młóćąc rękami jak skrzydłami wiatraka, wylądował za zamrożonej ziemi, obok Gregora, który znalazł się tam wcześniej.

– Jezu, człowieku! – gadał. – To było takie walnięcie, że wyrwałoby flaki nawet z niedźwiedzia grizzly!

Wszędzie wokół, umierający i ranni wzywali pomocy,

A strumień ognia stworzył purpurową poświatę nad gotującym się, brudnym śniegiem. To było jak erupcja wulkanu, która trwała przez wieczność.

Naraz koniec!

Ci, którzy są żywi podrywają się na nogi. Wszyscy są w stanie szoku i ogłuszeni hałasem eksplozji, z uszu ciekną strumyki krwi. Jest tak, jakby ktoś wsadzał ci do ucha rozgrzaną do czerwoności igłę.

Przez kilka minut nie byliśmy w stanie zrozumieć, co się wokół nas działo. Wydaje się, że ogarnęło nas jakieś szaleństwo. Krwawe kawałki mięsa, resztki kości są dosłownie wszędzie. Nawet drzewa, które rosły wzdłuż wiejskiej uliczki, znikły bez śladu, wyrwane razem z korzeniami. Rosjanie i Niemcy, cywile i wojskowi, biegali bezładnie w niezmierzonej panice.

Radziecki sierżant w porozrywanym, czarnym od spalenizny mundurze strzelał w powietrze z pepeszy. Z gardła dochodziły okrzyki:

– *Job twoju mać!*

Jakiś olbrzymi Feldwebel podleciał do niego i jednym ciosem krawędzi dłoni zmiażdżył mu kark.

Motocykl z koszem, karabinem maszynowym i skrzynkami z amunicją był dosłownie owinięty wokół resztek komina. Z kosza wystawały resztki tego, co jeszcze niedawno było żołnierzem.

Albert biegał w kółko w amoku. Po chwili czołgał się jak pies. Oprzytomniał, gdy Porta podał mu jego hełm. Cała ochrona karku była wyrwana. Albert poparzył przez

chwilę na niego z niedowierzaniem. Potem przesunął ręką po głowie, sprawdzając, czy jest cała. Wbił smutny wzrok w czarne niebo i dziękował Bogu oraz wszystkim znanym i nieznanym świętym. Niektórych nawet stworzył na tę okazję. Wziął ze sobą hełm i pokazywał go każdemu napotkanemu człowiekowi, jako dowód specjalnej łaski ze strony Boga.

– To dlatego, że czarni nie powinni być na tej wojnie – przekonywał. – To jest wojna dla białych i żółtych.

– Ale bajzel! I to z powodu jednego obrazka – westchnął Porta, patrząc ze smutkiem na resztki domu majora.

Pułkownik Hinka wziął Portę na bok, gdy zobaczył, że jest odziany w gorset. Porta zapomniał, że ma go na sobie.

– Skąd go wzięłeś? – spytał groźnie oficer.

– Znalazłem, Herr Oberst – odparł Porta, co było bliskie prawdy.

– Gdzie to znalazłeś? No mów! I to prawdę!

– Hinka wiercił w nim oczami. – No gdzie?

Porta zaczął kręcić. Chciał opowiedzieć jedną ze swoich zwykłych historyjek. Coś o zakładzie fryzjerskim w Dusseldorfie, gdzie personel zawsze chodził w gorsetach.

– Do diabła z twoimi przyjaciółmi fryzjerami – przerwał mu brutalnie Hinka. – Nie zamydlaj mi oczu, Porta. Myślałem, że się czegoś nauczyłeś. Co się stało w domu, od którego zaczęła się eksplozja?

– O! Ja też chciałbym się dowiedzieć! – uśmiechnął się fałszywie. – To chyba ten motocyklista, co miał ochotę na portret Józefa i chciał go zdjąć ze ściany. To był ładny portrecik. Ostrzegaliśmy go, no motocyklistę, nie Stalina.

Porta pokazał ręką w stronę wsi.

– Coś było lipnego w tym obrazku. Sam pan widzi!

– Rozpoznałbyś tego motocyklistę? – spytał nieufnie pułkownik.

– On oszedł, panie pułkowniku. Całkowicie, jestem pewien. Może jego resztki wiszą na końcówce tamtego komina. Germański Bóg szybko karze brak dyscypliny, prawda? – dodał zadumany.

– Widziałeś go zabitego? – spytał się ostro Hinka. – Jeśli żyje, muszę go znaleźć i ukarać za niesubordynację.

– On na to zasłużył, panie Oberst! – przyznał Porta z głębokim westchnieniem. – Wszyscy mogliśmy wylecieć w powietrze tylko dlatego, że jeden pijaczyna nie potrafi rabować w pojedynkę.

– Uważaj Porta, aby nie wyrosły ci białe, anielskie skrzydła. Pytam jeszcze raz, widziałeś go martwego?

– Niestety nie, bo zawałił się na mnie dom, panie pułkowniku!

– Kto był z tobą?

– Nikt, poza tym rabusiem.

– To ty rzuciłeś te pantalony i biustonosz Obergefretrowi Creutzfeldtowi? – wskazał palcem na Małego, który stał z otwartymi oczami i rozbieganymi oczami.

Mały był nadal w szoku po eksplozji.

– Chodź tu Creutzfeldt – powiedział rozzłoszczony Hinka.

Mały nie reagował zupełnie. Nadal był ogłuszony.

– Jest jeszcze głuchy po wybuchu – ocenił Porta. – Pragnę zameldować, że ja też nie słyszałem, ale, gdy stanąłem na głowie, słuch wrócił, dzięki Bogu. Mogę teraz słyszeć wszystko, nawet, to, co pan mówi, pułkowniku.

– Zdejmijcie te idiotyczne gorsety – rozkazał zdecydowanie Hinka. – I pamiętaj Porta, że moja cierpliwości nie jest nieskończona. Pójdiesz za daleko i znajdę dla ciebie jakąś celę!

– Tak jest, Herr Oberst, zawsze są jakieś wolne cele w Germersheim, jak się spodziewam – powiedział Porta cicho, udając zbolełe serce.

– Ja cię chyba jednak kiedyś zastrzelę – powiedział Hinka i odwrócił się na obcasie.

– Za godzinę wyruszamy – zakomunikował Stary.

Wrócił właśnie z odprawy dowódców drużyn.

– Co wy do diabła na siebie założyliście? – warknął kwaśno, widząc Portę i Małego w nowym odzieniu. – Nie chcę oglądać takich błaznów jak wy. Co sobie pomyślą Rosjanie?

– Mogą ze śmiechu zapomnieć nas zastrzelić – powiedział Porta. – A to może być dobra rzecz, gdy o tym pomyślę.

Ściana ognia pozostawała poza nami. Przez płomienie

przebijały się czarne słupy dymu. Gorące prądy powietrza unosiły tumany popiołu i zrzucały je na nas.

Ukazał się Mały, wyglądał jak wielka machina zbudowana z mięśni i ścięgien, przysypana popiołem. Z wysmarowanej sadzą twarzy sterczało jak bukszpryt ze statku, grube cygaro. Cały czas nosił staromodne pantalony i kłął na belfra i eks-obersta. Ci zaś, sapiąc jak miechy, podążali za nim, niosąc skrzynki z amunicją i miotacz płomieni.

Powietrze wypełnione było rozrywającymi bębrenki uszne odgłosami. Mrukliwy łomot moździerzy, zmusił eks-obersta do szukania schronienia.

– Niech cię diabli, ty durniu! – krzyczał Mały.

– Czy nie powiedziałem ci, ty kozi bobku, że nie wolno ci się chować, dopóki nie dam rozkazu!

Oślizgły dźwięk znowu nas dopada. Mały badawczo śledzi tor lotu pocisku. Ten pada na ziemię i rozrzuca ją na wszystkie strony. Kawał metalu wybija w manierce Małego dziurę, przez którą wódka spływa po nodze.

– Paskudni, pogańscy, rosyjscy skurwiele! – wściekał się, wymachując strzelbą z obciętą lufą w stronę wzgórz – Co to za sztuczki? Jak ta wojna dzisiaj wygląda?

– Kryć się! – krzyczał nerwowo porucznik Braun.

– Chcecie sami się pozabijać!

– Nic mi się nie stało – zapewniał Mały chropawym basem. – Nie dam się zabić, nim nie zobaczę Nowego Yorku i Londynu. Potem muszę odbyć podróż do Afryki z moim przyjacielem Albertem, aby zobaczyć domy tych

gównianych fakirów, co śpią na łózkach z gwoździ.

– Numer dwa prowadzi! – poszło od czoła.

Rozkaz przekazano wzdłuż całej kolumny kompanii.

Powoli wstawaliśmy z miejsc. Stary zapadł się po kolana, próbując stanąć na nogach. Nosił pistolet maszynowy na krótkim pasku zawieszonym wokół szyi.

– Paluchy ze spustów! Powstań! – krzyczał, popędzając nas. – Wstawaj Mały! Pójdiesz na prawym skrzydle i niech ci diabeł pomoże, jak zobaczę, że wchodzisz do chałup i wyrywasz złote zęby zabitym! Rozumiesz mnie?

– Krzyczysz na tyle głośno, że obudziłbyś umarłych na cmentarzu w Hamburgu. Wcale bym się zdziwił, gdyby umrzyki już nie stały w szeregu i nie trzęsły kośćmi ze strachu! – huczał Mały i prowokująco wolno podnosił się ze śniegu.

– Co jest? – spytał Porta. – Wyglądasz, jakby miały cię zagryźć na śmierć komunistyczne wszy.

– To ten eunuchowaty Oberst zdenerwował mnie – powiedział ponuro Mały. – Bezmózgie gówno, który między uszami nie więcej niż zwykły rekrut i mówi, że wszystko chrzani.

– Nie zniosę więcej twoich obelg – zaszczekał były pułkownik.

Chciał to powiedzieć tonem ostrym i władcym, jakim przemawiał przed frontem pułku. Ale bez rezultatu.

– Co, źle ci, ty oskubany kapłonie? – roześmiał się Mały kpiąco, waląc dłonią eks-obersta w plecy. – Że coś musisz robić? Doszło coś do twojej czaszki? A może

potrzebujesz czegoś, co by cię ożywiło? Zrozum, ty wypalona gwiazdo armii niemieckiej, że jesteś teraz tylko dziurą w tyłku, rozumiesz mnie? Ja jestem Obergefreiter, kościec armii. Najważniejsza część, jasne?

– Chcesz, abyśmy wykonali sprint do tego więzienia? – spytał Porta, prostując paski do podwiązek przy swym gorsecie.

– Czy tego chcemy, czy nie, musimy to zrobić – skwitował Stary, posyłając długi strumień przezutego tytoniu na śnieg.

– Na tym zawszonym świecie wszystko jest odwrócone do góry nogami.

– Ta wszawa wojna światowa przewróciła wszystko do góry nogami – zrzędził Porta pesymistycznie i wyżebrał od Legionisty jednego papierosa. – Kiedy masz zamiar przestać palić to czarne francuskie gówno, przecież twoje płuca mogą wysiąść?

– *Pas auestion, mon ami!* Te papierosy, dają mi tę przewagę, że chociaż mogę nad tym całym bajzlem nerwowo zapanować – odparł Legionista. – Twoje blade papieroski nadają się tylko dla małych dziewczynek i to tylko przed bierzmowaniem.

– Jestem na tyle szalony, aby brazylijskie orzeszki pokruszyć moimi pośladkami i strzelać ich pestki z tyłka, jak karabin maszynowy – bredził Porta.

Wpatrywał się w więzienie NKWD, jego mury rozświetlone iluminacją dzikich płomieni pochodzących z młodego lasu iglastego.



Musieliśmy wspinać się i schodzić ze wzgórz. Ślizgać się po zamarzniętych jeziorach, dopóki nie zeszła nam skóra z tyłków. Przebijać się przez zamarznięte lasy jak cholerne buldożery. Tylko po to, aby dostać się do tego zawirowanego więzienia. Zwykle siedziałem w więzieniu spokojnie na tyłku, a nie zdobywałem je. Jeśli nie jest to sprawa związana z prawami ludzkimi, to przynajmniej powinna stanąć przed trybunałem międzynarodowym w trybie pilnym, Jeśli nie, to jestem kulawa kaczka z holenderskiego bajora.

– Powinno być zabronione wpychanie normalnych ludzi w to gówno, tylko dlatego, że dwóch idiotów nie wie jak uniknąć wywołania wojny! – denerwował się głośno Gregor.

W tumanie śniegu zbliżały się do nas sanie motorowe. Jakiś pułkownik z patkami sztabu generalnego histerycznie darł się, aby sprowadzić mu oficera dowodzącego.

Stary wskazał ramieniem w kierunku Oberleutnanta Löwe, który siedział na lufie działa i drapał kota pomiędzy uszami.

– Nie wiecie, jaką macie przyjąć postawę – krzyczał rozpalony do czerwoności oficer sztabowy.

Porucznik powstał i trzasnął lekko obcasami, po czym powoli podniósł dłoń do hełmu, salutując pozornie.

– Oberleutnant Löwe, oficer dowodzący 5. Kompanią w 27. Pułku Pancernym, na rozkaz! – wyszczał zmęczonym głosem nasz dowódca.

– Dlaczego siedzicie tutaj i kisicie nosy? – krzyczał Oberst z czerwonymi patkami sztabowymi. – Czy nie otrzymaliście rozkazu do ataku? Macie atakować bez przerwy! Ataaak, człowieku!!!

Echo słowa „ataaak” powróciło do nas prześmiewcze.

– Panie pułkowniku! – odparł Löwe, szybko salutując, a jego cichym marzeniem było, aby głupi sztabowiec wyniósł się do diabła.

Kiwając się jak pijani, przebijaliśmy się przez gęsty świerkowy las w kierunku ciemnej jak smoła przestrzeni. Zamarznęte gałęzie poszarpały i pocięły nam twarze.

Gdzieś w krzakach zaterkotał radziecki Maxim.

Jak błyskawica Porta rzucił w tamtym kierunku granat i przewrócił się na ziemię, aby uniknąć gradu pocisków.

Wybuch granatu wyrzucił w powietrze radzieckiego żołnierza. Poły jego długiego płaszcza ułożyły się w locie jak skrzydła wielkiego nietoperza.

Karabin maszynowy odezwał się ponownie.

– Co jest do diabła? – warknął Mały i skierował w stronę krzaków lufę miotacza płomieni.

Jasny strumień ognia popłynął ponad śniegiem. Po nim jeszcze dwie salwy, ckm zamilkł.

Rosjanie leżeli na stosie, ich ciała czerniały i kurczyły się pod wpływem płomieni jak zbyt długo pieczone mięso.

– Na szczęście nie wiemy, co to znaczy dostać taką porcję ognia – westchnął Barcelona, patrząc na płonące włosy martwego Rosjanina. – To był stary żołnierz, bo

inaczej nie pozwoliliby mu nosić takich długich włosów.

– Dawać, dalej do przodu! – rozkazał Stary, przebiegając obok nas.

Zauważyliśmy grupę Rosjan, próbujących uciekać. Jeden z nich przeskoczył przez powalone drzewo i próbował przedostać się przez zamarznięty strumień.

– Dawać go! – krzyczał Heide, zsuwając z pleców lekki karabin maszynowy.

Całe jego ciało zatrzęsło się, gdy posłał długą, jęczącą salwę w stronę biegnących ludzi.

Trzech z nich zginęło na miejscu. Dostali w plecy, ale rozerwało im klatki piersiowe. Używaliśmy nowego rodzaju pocisków. Paskudny wynalazek, robi tylko małe otwory wlotowe, ale przy wylocie pozostawia olbrzymią wyrwę. Niektórzy z rannych krzyczeli w sposób rozdzierający serce.

Mały dobił czterech z nich z obrzyna. To straszna broń na krótkim dystansie.

Jakiś podporucznik milicji stał pod drzewem z rękami złożonymi na karku. Patrzył na nas wielkimi, przerażonymi oczami, gdy powoli zbliżaliśmy się do niego.

– Panie komisarzu – powiedział Heide z szatańskim uśmiechem.

– To nie jest żaden cholerny komisarz – odparł Barcelona. – Jest niczym więcej niż zasikany ze strachu durniem. Stary worek kości w starym mundurze. Niech ten dziadek wraca do wnuków!

– Rozum ci odebrało? – zaprotestował gwałtownie Julius. – Ta świnią, to sowiecki oficer, a my takich zabijamy. Taki jest rozkaz wodza naczelnego.

Podniósł szybko lekki karabin maszynowy i posłał serię w głowę i pierś podporucznika.

Rosjaninowi urwało kawałek głowy, a dla równowagi dostał kilka strzałów w korpus.

– O, tak właśnie – powiedział dumnie strzelec i przesunął broń na plecy.

Inny ranny piechur z dużym wysiłkiem podniósł się na kolana.

– *Nie strielac! Nie strielac, Giermańcy!* – błagał desperacko.

Jego niemiecki towarzysz, Legionista, osobiście wbił mu bagnet w plecy. Ostrze przeszło przez klatkę piersiową. Legionista bezszelestnie obrócił bagnet w ranie wokół jego osi. Zabity spoczął w pozycji modlącego się muzułmanina.

Rosyjski oficer zamachnął się ręką, aby rzucić granatem. Albert w ostatniej chwili walnął go kocówką kolby karabinu. Zabijaliśmy wszystkich z daleka, jak tylko kogoś zobaczyliśmy. Nie podchodziliśmy do nich, dopóki nie byliśmy pewni, że nie żyją. Robiliśmy to ostrożnie. Najpierw bagnet, dopiero potem sprawdzamy, czy Ruski nie żyje.

Wszyscy zabici mają pełne kieszenie machorki, w manierkach jest sporo wódki. Ale jest kiepskiego gatunku, taki zwykły bimber. Z doświadczenia wiemy, że

pozostawia po sobie niezłego kaca i wielkodusznie oddajemy ją naszym nowym ludziom. Porta dostarczy nam taką, jaką lubimy.

Przeglądaliśmy ich książeczki wojskowe z dużym zainteresowaniem. Szczególnie zdjęcia ich dziewcząt, resztę wyrzucaliśmy. Parę znalezionych rubli nie było dla nas atrakcją.

Małego bardzo poruszyła fotografia, którą znalazł w portfelu oficera.

– O święta Emmo, co za piękna suczka! – krzyknął, ścierając krople krwi ze zdjęcia. – Kiedy widzę taką rosyjską różę, jak ta, to zastanawiam, się czy Bóg miał dobry dzień tworząc ideał niemieckiej urody! Spójrzcie na jej włosy, nawet jeśli są związane!

Pomachał mam zachęcająco przed oczami zdjęciem dziewczyny.

– O rany! – zapał Porta z podziwem, zaglądając ponad ramieniem Małego.

– Zamienimy się? Trzy moje za jedną twoją? Co za kawałek ciasteczka! Święta Matko Kazańska!

– Spadać, to moje! – warknął Mały – Ten zabity żołnierz napisał na odwrocie jej adres. Kiedy Adolfowi znudzi się ta wojna, kupię sobie bilet turystyczny, pojedą po nią i zabiorę do starego Hamburga.

– Ty musisz mieć jakiś gównno między uszami – zaśmiał się szyderczo Porta. – Nie będzie chciała cię znać, gdy zorientuje się, że wysłałeś na tamten świat jej komunistycznego kochanka.

– Wiem, że myślisz, że mam łeb jak skorupa – powiedział Mały cierpko. – Ale trochę rozumu też mam, aby powiedzieć jej, że wyniosłem jej kochasia z pola walki. Nie, nie, powiem mojej kochaneczce, jakie to było niebezpieczne. Przecież niosłem jej w górę odstrzelonego kochasia ponad dwadzieścia kilometrów na plecach do dobrego niemieckiego doktora. To będzie piękna opowieść, taka, jaką można oglądać na filmach. Śmierć jej ukochanego bohatera nastąpi z przyczyn naturalnych.

– Nie pozwoli ci się wgramolić do swego łóżka – podsumował Porta smutno. – Mapa świata będzie inaczej wyglądać, gdy Adolf przegra wojnę, a niemiecki Wehrmacht zostanie rozbrojony. Wtedy nie będzie zabawnie być Niemcem. Pamiętaj o tym. Każdy kto myśli, że będzie inaczej, dostanie kopa w tyłek tak mocno, jak my kopujemy teraz.

– Ruszać się! Ruszać! – Oberleutnant Löwe poganiał nas nerwowo. – Naprzód! Naprzód! Ruszać się! Wy kundle, zawsze znajdziecie czas na szczanie! Naprzód i zróbcie swoją robotę! Beier, prowadzisz z drugą drużyną atak! Zwiadowcy na obie flanki!

– Cholera, zawsze my! – jęknął Porta ze złością, kopiąc radziecką manierkę. – Musimy odwalać całą głównianą robotę w tej zafajdanej armii. Gdybym siedział spokojnie w swoim domku w Berlinie, ze trzydzieści lat by się pieprzyli, nim by się do mnie dobrali.

Wsadził naboje do trójlufowej strzelby, po czym dokładnie obejrzał lufy.

– Ruszajmy, na rany Chrystusa i poszukajmy tych naszych złych sąsiadów. Potem im odstrzelimy te ich bezbożne głowy!

W momencie gdy kompania opuszczała las, znowu rozległo się znienawidzone mlaskanie moździerzy. Po chwili rozległy się wybuchy. Chyba nie ma broni, której bardziej nienawidziliśmy niż moździerze polowe. Są zdradzieckie, bo dają bardzo mało czasu na reakcję, nim cię ich granaty dopadną. Nie masz więcej czasu, niż na krótki okrzyk. Jeszcze jednej rzeczy podobnie nienawidziliśmy; obsługi sowieckich moździerzy. Prawie zawsze były to kobiety. Takie twarde, toporne chłopskie typy.

Późno w nocy szturmowaliśmy stanowiska kompanii moździerzowej. Baby próbowały uciekać do lasu, aby pochować się za drzewami i krzakami. Jednak znaleźliśmy jedną po drugiej i zabijaliśmy jak szczury, pomimo ich błagań i łez. Mężczyzn, którzy służyli w kompanii wzięliśmy do niewoli. Zeznali to, co już wiedzieliśmy. Te kobiety były fanatyczkami i traktowały jeńców w straszliwy sposób.

– Zabijcie te suki – powiedział schwytany przez nas rosyjski sierżant i z uśmiechem pełnym satysfakcji kopnął leżące kobiece zwłoki.

Mógł powiedzieć, co chciał. Jego wojna się skończyła.

Jeden z naszych nowych ludzi, duży facet z oddziału Barcelony miał odstrzeloną całą twarz. Odłamek szrapnela odciął z niej dosłownie wszystko. Usta, oczy,

nos i czoło gdzieś znikły. Pozostały tylko białe kości. Bełkotał jakieś okrzyki, które szeroko się roznosiły. Doprowadzały nas do szaleństwa.

Staliśmy wokół niego w nieregularnym kręgu, obserwując jak sanitariusz, Gefreiter Rolfe próbuje opatrzyć mu potworną ranę. Kręcił głową z powątpiewaniem.

– Szrapnel to potrafi zrobić duże kuku – powiedział cicho Mały. – Zrobił to szybciej niż najlepsi profosi w Dusseldorfie.

– Jeśli uratuje życie i połatają mu jakoś twarz, to i tak nie będzie już piękny – zauważył Gregor w zadumie. – Będzie śmiertelnie straszył dzieci.

Horyzont zmienił kolor na intensywny różowo-żółty. Spoza wzgórz dochodziły huki i grzmoty. Wzdłuż zamarzniętej rzeki zajął pozycje pułk artylerii oblężniczej. Do nas dołączyły dwie kompanie szturmowe. Śmierdzieli nowym, wypolerowanym ekwipunkiem. Pasy, plecaki, maski gazowe. Wszystko nowe! Nawet płaszcze przeciwchemiczne mieli prawidłowo złożone! My nasze już dawno wyrzuciliśmy. Ich płaszcze mundurowe były tak czyste, że mogliby spokojnie paradować pod Bramą Brandenburską.

Patrzyliśmy na nich szyderczo, ale i z odrobiną zazdrości. Mieli wszystko, czego brakowało w 27. Pułku pancernym. Byliśmy biedakami w porównaniu z nimi. Nawet nie mieliśmy czołgów, a przecież mieliśmy być pułkiem pancernym.



– Jezu, jacy oni są śliczni! – zapłakał Porta, dotykając pięknie wypolerowanej klamry. – Brat Iwan, stary włóczęga, przerazi się ich na śmierć!

– Gdzie jest orkiestra? – spytał Gregor. – No, ci chłopcy z bębenkami i fujarkami. Przecież nie mogą maszerować przeciwko naszym sąsiadom bez nich!

– Wyglądacie jak banda starych włóczęgów – powiedział jakiś Feldwebel patrząc na podarty i brudny mundur kamuflujący Porty.

– Bo nimi jesteśmy, panie Feldwebel – roześmiał się Porta.

Arogancko wsadził sobie monokl w oko i patrzył wyzywająco na podoficera.

– Z jakiej bandy jesteście? – zatrąbił jakiś chorążyna.

– Bandy? – wycedził Mały, mrużąc oczy. – Powiem ci coś panie chorąży, walczyliśmy od tak dawna, że nie było jeszcze waszego towarzystwa gwardyjskiego i straciliśmy więcej ludzi, niż wasza dywizja będzie ich miała przez całą wojnę.

– Tak, wyglądacie na trochę wypalonych – roześmiał się pogardliwie chorąży.

Przyłożył nonszalancko lornetkę do oczu i lustrował wzgórze.

– Mamy pomóc wam zdobyć to małe więzienie, chłopcy? Załatwimy to, nim dacie przespać się swoim starym kościom – powiedział z uroczym uśmiechem i opuścił lornetkę.

– Naprawdę? – spytał lodowatym tonem Stary. – Jak do

tej pory to „małe więzienie” kosztowało wiele wiader krwi.

– To, czego potrzebujecie, to wsparcia i dobrej woli – ogłosił jakiś podoficer dumnie.

Śmierdział na odległość Walhallą i cytatami z Hitlera.

– To, co Führer rozkazał, niemiecki żołnierz wykona! Rosyjscy podludzie nas nie zatrzymają!

– *Bien sur que si, sergent* – powiedział sarkastycznie Legionista, przepychając językiem nieodzownego papierosa w kącik ust.

– Wszyscy tylko gadają o linii frontu – kontynuował gburowato podoficer. – Tu nie ma żadnych pytań. To co tworzy żołnierza, to ciężka służba i trening w koszarach garnizonowych. Po nich służba na froncie, to jak wizyta w kurorcie. Kiedy zobaczyliśmy tę waszą linię frontu, ogarnął nas śmiech.

– Osłabiacie swoje umysły, plotkując tak dużo! – roześmiał się głośno Porta. – Będziecie srali ze strachu w fałdy spodni, gdy Iwan zacznie grać na swoich organkach.

– Nim noc zapadnie, będziecie obiecywać Bogu, że nie opuścicie żadnej mszy do końca życia – jęknął delikatnie Gregor.

– Bzdury – powiedział podoficer. – Nie wierzę w żadnego Boga.

– Wielu ludzi nie wierzy, gdy tu przybywa – powiedział swobodnie Legionista. – Ale gdy leżą pod ogniem artyleryjskim, całkiem niespodziewanie stają się bogobojni. Najbardziej zatwardziali ateści stają się

bardziej święci, niż świadkowie Jehowy. Wy bądźcie mądrzejsi i wzywajcie Allaha!

– Zobaczycie różnicę – zadeklarował podoficer lodowatym tonem. – Robotę przy której wy sikacie ze strachu od paru tygodni, my zrobimy w parę godzin!

– Zobaczymy, zobaczymy! – powiedział Stary uśmiechając się sarkastycznie. – Bardzo chciałbym zobaczyć, jak zdobywacie to więzienie w parę godzin. Oszczędźcie nam tej roboty.

Przez ścianę śniegu przeleciał grad kul, obsypując nas grudkami ziemi i lodu.

Chorąży rzucił się błyskawicznie na ziemię, tak jak jest to opisane w regulaminie. Czubki butów i pięty były przyciśnięte do ziemi. Po chwili zaczął się ostrożnie rozglądać.

– Nie podnoś się! – krzyknął ostrzegawczo Stary.

Ostrzeżenie przyszło jednak za późno. Głowa chorążego eksplodowała jak nadmuchany pomidor, obryzgując wszystkich, którzy leżeli blisko niego.

– Głupi regulaminowy gnojek – wyklinał Porta, ścierając krew oraz resztki krwi i mózgu z twarzy. – Przychodzi takie gówno i obryzguje nas flakami.

Powietrze wypełniło się mlaskaniem kilku moździerzów. Śnieg podniósł się przed nami jak gruba kurtyna.

Granaty moździerzowe spadały jak deszcz, a parę niskotorowych dział posłało w naszą stronę kolejną porcję pocisków. W jednej chwili teren wokół nas zamienił się we wzburzone morze, wypełnione wszelkiego rodzaju

wrakami.

Heroizm powoli zaczął wyparowywać z szeregów pułku dywizji Gross Deutschland. Nawet porucznik z cienkimi ustami i pięknie skrojonym mundurem wyglądał na przestraszonego.

– Na ziemię, barany! – krzyknął Stary.

Pomimo strachu porucznik zauważył, że Stary nie zwraca uwagi na jego rangę. Otworzył cienkie, okrutne usta, aby coś powiedzieć. Ale zanim wydobył z siebie choćby słowo, krótka seria z karabinu maszynowego przecięła mu klatkę piersiową i rzuciła na śnieżną bandę. Upadł do przodu, uderzając twarzą w lód pod stopami. Wierzgał spazmatycznie nogami. Po chwili znieruchomiał.

– Przyjdź śmierci, przyjdź ... – zanucił cicho Legionista.

Z tumanów śniegu ukazały się dwie Pantery. Chrzęszcząc i łoskocząc przejechały obok nas. Z każdej wieży sterczały groźne lufy dział, wyglądające jak gigantyczne palce wskazujące.

– Naprzód! – krzyknął Löwe, podnosząc zaciśniętą pięść w górę. – Piąta kompania za mną.

Ruszyliśmy ciężko za dwoma czołgami, starając się trzymać blisko nich. Kiedy zatrzymały się, aby wystrzelić z dział, stanęliśmy za nimi, próbując złapać oddech.

Grupa Rosjan starała chyłkiem wycofać się z osłoniętych dymem ruin.

Zaszczekało kilka empi i Ruscy padali na ziemię w

wyraźnym zaskoczeniem na twarzy.

– Niewyszkoleni, na wpół wytrenowani – powiedział z pogardą Heide, kopiąc jedno z ciał. Dla niego każdy, kto nie był w stu procentach żołnierzem, był śmieciem. Szkoda tylko, że sam miał mentalność niewolnika.

Rząd dużych ciężarówek z namalowanymi cyrylicą napisami, stał niedaleko kołchozu. Tłuczki do kartofli poleciały w ich stronę. Wpadały do kabin, w których drzemali kierowcy. Wylatywali z nich jak z katapulty. Stało się to tak szybko, że ledwo zdaliśmy sobie sprawę, co się stało.

Szybko podbiegliśmy do ocalałych pojazdów i zaczęliśmy je plądrować. Nagle między nami pojawiła się niewielka postać w generalskim mundurze. Brutalne i ostre rozkazy wylatywały jak seria z karabinu maszynowego.

Oberleutnant Löwe stanął na baczność z ręką przy krawędzi hełmu.

– Tak jest, panie generale! Tak jest! – to wszystko, co był w stanie wydukać.

Ciężko jest cokolwiek więcej powiedzieć w obecność generała barona von Mannteufel, groźnego dowódcy dywizji grenadierów pancernych Gross Deutschland. Zobaczyliśmy go wtedy pierwszy raz, ale o nim słyszeliśmy i to wystarczyło. Nawet Porta zniknął cicho za radziecką ciężarówką.

– Według mojej wiedzy nie było rozkazu, aby wstrzymać tutaj natarcie. A może się mylę? – zatrąbił

mały, chudy generał z ołowiem zamiast oczu. – Atakujemy więzienie NKWD, panowie. Rozejrzyjcie się dokoła, to zdacie sobie sprawę, że to nie jest to miejsce, tylko tam, na wzgórzu 347. Zatrzymajcie się jeszcze raz bez zezwolenia, to staniecie przed obliczem sądu wojennego!

Zanim Löwe zdążył coś powiedzieć, mały generał zniknął razem z chichoczącym adiutantem.

– Gówno i korupcja – powiedział niespodziewanie Mały, wrzucając złoty ząb do plecaka.

– Mają gównianych dentystów w Sowietach. Zamiast złotych siekaczy, wstawiają stalowe. Zostawiają tylko kit biednym niemieckim wyzwolicielom, tak niestety jest!

Przez następnych parę godzin z dziką desperacją przedzieraliśmy się przez zwały śniegu. Pot zalewał nam twarze, gdy próbowaliśmy sobie skrócić drogę, przechodząc przez zamarznięte chaszczki. Bardziej czuliśmy, niż widzieliśmy rosyjski patrol. Wygarnęliśmy na oślep. Okazało się, że trafiłem radzieckiego oficera w usta, który upadł z rozszarpaną twarzą.

Porta posłał długą, pełną złości serię, która podrzucała ciałem trafionego Rosjanina jak kręglami – Do diabła człowieku! – zawył Albert tocząc się w naszą stronę w kłębach śniegu.

Rzucił szybko dwa granaty, które rozdarły trzech naszych wrogów na strzępy. Ciężko dysząc łapał oddech i wycierał twarz garścią śniegu.

– Oszalałeś człowieku – jęczał ze strachu.

Miał ciemnoszarą twarz z przerażenia.

– Samowar przed nami – zawołał Heide, sprawnie nurkując głową w dół w pobliskim okopie.

– Idiota – powiedział Porta i przymocował wiązkę granatów do kanistra z benzyną.

– Dawaj mi to! – syknął Mały, chętny do wszelkiego niszczenia i wyrwał mu granaty, nim ten zdążył zaprotestować.

Ze zręcznością i szybkością kota Mały ruszył w stronę T-34. Szybciej niż to można powiedzieć znalazł się przy panczerzu czołgu. Oba włazy wieżowe były beztrąsko otwarte. Małe płomyki ognia wylatywały z przedniego kaemu. Z dużą łatwością wrzucił wiązkę granatów do jednego z włazów. Krzycząc przeraźliwie odskoczył od panczerza i potoczył się w kierunku dużego głazu.

Czołg wyleciał w górę z ogromnym hukiem. Siły eksplozji dodała zapasowa amunicja. Poczuliśmy gwałtowny podmuch powietrza po wybuchu.

Z lasu odezwał się kolejny Maxim.

Porucznik Muller z pierwszego plutonu wydał rozpaczliwy okrzyk. Pierwsza salwa z karabinu maszynowego trafiła go w plecy. Zwinął się w kłębek jak szmaciana lalka, a jego wnętrzności wypłynęły na śnieg.

Za pomocą miotacza płomieni czyściliśmy pozycje.

Znowu jesteśmy na smaganym podmuchami śniegu stepie. Śmiertelnie zmęczeni okopywaliśmy się, oczekując na barierę ognia artyleryjskiego, która miał nam torować drogę do zamarznętej rzeki.

Podczas jej przekraczania został już zniszczony pułk motocyklowy. Wielu jego ludzi zginęło trafionych grubymi na metr kawałami lodu, które wyrzucały w górę eksplozje rosyjskich granatów moździerzowych. Inni, którzy nie utonęli, po prostu zamarзли, próbując się dostać na stromy brzeg rzeki. Ich krzyki było słychać w całej okolicy.

Porta rozłożył na śniegu zielony płaszcz i próbował wykonać parę rzutów kośćmi.

– Chodźcie tu przemarznięte ptaki przelotne – wzywał nas. – Zagrajmy partyjkę, wy macie szczęście, a ja zwycięstwo!

Dygocąc, zbliżyliśmy się do śnieżnej dziury i wkrótce zapomnieliśmy o chłodzie, patrząc z wypiekami na twarzy na oczka kości. Przegraliśmy wszystko do koszul.

Pierwszy odpadł Gregor Martin. Nie tracił jednak nadziei i pożyczył na 80 procent odsetek sporą kwotę od Porty Heide zostaje oskubany następny, wkrótce po tym Barcelona. Albert nie chciał uwierzyć, że przegrał. Jako jedyny czarny wśród tylu białych nie mógł mieć pecha, tak przynajmniej uważał. Ponownie nam opowiadał, że jego ojciec był bębniarzem w huzarach.

– Jeśli znajdziecie coś jeszcze w waszych wyczyszczonych kieszeniach, stawiam podwójną stawkę – obiecywał Porta przyjacielskim tonem.

– Jeśli nie, mogę wam pożyczyć! – proponował Mały, który był skarbnikiem Porty.

Albert skinął na zgodę głową. Na jego twarzy malował



się smutek.

– Nie zapominaj, co robią biali ludzie, gdy ktoś nie reguluje długów honorowych – warknął Mały groźnie, gdy wręczał plik banknotów Albertowi.

– Do czorta! Ale zimno! – jęczał Gregor, kierując własny oddech na twarz. Cienkie sople zwisały mu z brwi.

Gdzieś w oddali odezwały się wilki, jakby wyzywając lodowaty wiatr hulający po stepie.

– Do cholery, ty masz naprawdę rację – powiedział Stary, wskazując na Grogora. – Ale czego można się spodziewać po zimowej nocy w Rosji?

– *Merde, aux yeux* – mruczał Legionista, klaszcząc w dłonie.

– Dowódca sekcji do oficera! – poszło od ziemniaki do ziemianki.

– Niech im szatan pogrzebie drutem kolczastym w tych ich gardłach – przeklinał swój los Stary ze złością. – Jakby szansa zwycięstwa zależała od biednego dowódcy sekcji.

– *Cest la guerre, mno ami* – powiedział Legionista i wypuścił dym z nieodłącznego papierosa.

Gwałtowne podmuchy lodowatego wiatru zamieniły się w jedną z przerażających rosyjskich burz śnieżnych. Nawet wilki się poddały i szukały schronienia. Ale dla nas nie było ochrony. Musieliśmy nacierać dalej po tym opustoszałym stepie. Wiatr był tak silny, że mógł porwać krowę.

Stary powracał powoli, kryjąc się po zawietrznej stronie przedpiersia okopu.

– Na nogi, wy leniwi zboczeńcy. Paluchy do góry! – starła się krzyczeć do nas już z daleka.

Przeklinając, podnosiliśmy nasz ekwipunek.

– Kto idzie na czele? – spytał Barcelona z gniewem i pociągnął łyk wódki z manierki.

– Sto czternasty – powoli odpowiedział Stary, przypalając fajkę ze srebrnym wieczkiem.

– No to spokój – ocenił Porta. – Niech piechurzy przetrą szlak, a my ruszymy za nimi. To zmniejsza ryzyko o 50%.

Mały złamał lufy przy zamku strzelby i załadował ją nabojami na niedźwiedzie. Potem ponownie zatrzaskał zamek.

– Chodźmy zatem i zrobmy towarzyszowi Iwanowi dziurę w dupie aż po uszy i może wtedy będziemy mieli choć chwilę spokoju – warczał wielkolud.

Ruszył szybko za Starym, który niósł pistolet maszynowy pod pachą, jak myśliwy sztucer na polowaniu.

Kompania została wyposażona w karabiny z harpunami, do których były przyłączone liny, mające ułatwić nam wspinanie się po skarpach.

– Będziemy jak małpy na drzewach – narzekał Porta, gdy zaczął wspinąć się na górę.

Jeden z nowych ześlizgnął się po linie. Jego ciało wykonało obrót w powietrzu. O mało nie pociągnął mnie

za sobą. W panice puścił linę i zaczął machać wariacko rękami, jakby chciał nauczyć się latać.

– Puść mnie ty pieprzony wariacie! – krzyknąłem przerażony, gdy poczułem, że lina wyślizguje mi się z rąk.

– Odgryź mu paluchy! – krzyczał Porta, który huśtał się na linie obok mnie.

Desperacko poszedłem za jego radą i wbiłem zęby aż do kości w dłoń faceta. Krzyknął krótko i zjechał w dół po skarpie w tumanie śniegu. Chwilę powisiał na lodowym parapecie i potem poleciał w dół.

W końcu osiągnęliśmy szczyt. Nasze życie zależało od rąk i nóg.

Światło flary rozświetliło ciemną jak smoła noc. W zimnej poświacie mogliśmy ponad zaspami śniegu zobaczyć zarysy wioski. Szybkimi krokami zbliżaliśmy się do niej. Z karabinem szturmowym, przygotowanym do strzału, jednym kopnięciem otworzyłem drzwi.

Za nimi stał radziecki oficer z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy.

*Giermańcy!* – chciał krzyknąć Jednak z ust wyszło tylko „Gier...”. Resztę słowa wepchnęła mu do gardła kula rozpryskowa z mojego karabinu. Rozerwało mu głowę i kark. Krew, mózg i skóra roztrysnęły się po kolorowym plakacie reklamującym plażę na Krymie. W tym całym horrorze wyglądało to niemal komicznie. Reszta jego ciała zrobiła dwa kroki w moją stronę. Strzeliłem ponownie. Kula trafiła go w środek klatki

piersiowej i wyrzuciła w powietrze. Jego ciało zawisło na chwilę, jakby chciało zrobić fikołka. Ręce były rozrzucone na boki, a w prawej dłoni nadal tkwiła czapka ze złotym otokiem oraz sierpem i młotem. Wylądował łukiem na plecach, z urwanej szyi wypłynęła krew. Z kołyszającej się szafki na książki spadały na jego zwłoki złotawe błyskotki.

Porucznik i dwóch podoficerów próbowało uciec do sąsiedniego pokoju. Gdy wybiegali obok mnie pojawiła się lufa pistoletu maszynowego. Rozległ się grzechot serii wystrzałów.

Trzy ciała zostały odrzucone od przejścia energią pocisków i opadły na podłogę, jak przedziurawione balony.

– Hej, człowieku! – zawołał Albert, klepiąc empi. – Ta stara gitara czyni człowieka dużym i silnym!

– Co tak stoicie i marzycie? – spytał Stary wtykając głowę przez drzwi chałupy. – Ruszcie się! Szybciej! Będziecie mieli dosyć czasu na studiowanie zwłok, gdy położą was w masowym grobie.

Wydawało się, że celują w nas tysiące luf. Parasol smugowych pocisków krzyżował się nad nami w wąskiej uliczce. Błyski wystrzałów pokazywały się w każdym oknie. Granaty koziółkowały w powietrzu i wybuchały z bolesnym hukiem. Każda, nawet najmniejsza osłona kryła rosyjskiego strzelca, walczącego z fanatyczną pogardą śmierci.

Mały wydał przenikliwy okrzyk i potykając się, opadł

przy murze.

– Mały – krzyknąłem przestraszony, rzucając się obok niego.

Otworzył oczy i patrzył na mnie zdezorientowany. Po chwili przybiegł Porta, za nim podążał Gregor, niosący ruską torbę medyczną.

– Jesteś już trupem? – spytał Porta, przybliżając twarz do twarzy Małego.

– Nie – odpowiedział Mały. – Dostałem cholerny postrzał w szyję.

– Niech to diabli! – zawołał Porta po oderwaniu kołnierzyka munduru. – Mogę zobaczyć światło przez tę dziurę. Patrzcie!

Pokazał na otwór wlotowy.

– Ta cholerna kula przeszła czyściutko przez szyję. Powinna ci rozwalić kark.

– Tak przeszła, że narobiła zamieszania dopiero poza tobą – powiedział Gregor nakładając opatrunek na ranę wylotową. – Święta Agnieszko, ale miałeś szczęście. Jeszcze kawałek i ateści mogliby zrobić sobie z twojej czaszki popielniczkę.

– Czy możesz pic? – spytał zmartwiony Porta, podając mu pięciolitrowy baniak z wódką.

– Nie zadawaj głupich pytań – powiedział Mały z trudnością.

Złapał pojemnik i wypił połowę zawartości w niecałe 21 sekund.

– Musi mu wyciekać przez dziury w szyi i oblewać

opatrunki – powiedział zadziwiony Porta. – Nikt nie jest w stanie pić wódki tak szybko.

– I dobrze przenika mi do żołądka – wyznał zadowolony Mały. – Ten mały łyk stworzył we mnie nowego człowieka. Dawać tę butlę! Nowy człowiek musi jeszcze się napić tego wywaru bohaterów.

– Czy możecie w to uwierzyć? – spytał Porta, pokazując opróżnioną butlę.

Nowe młaśnięcia wypełniły powietrze i deszcz granatów moździerzowych z przykrym zgrzytem spadł na wioskę. Wybuchły pożary. Niezliczone strzechy chałup zajęły się ogniem.

– Wynośmy się stąd, zanim Iwany wyrwą nam uszy! – zawołał Gregor.

– Poczekaj mamuśka – powiedział Mały, trzymając trójłufowy obrzyn. – Pozwólcie mi wypróbować, jak ta laleczka strzela. Może spotkamy jakiegoś zboczeńca, to mu wystrzelę potrójną dziurkę!

Całą tę noc i jeszcze przez następny dzień walczyliśmy, stosując wszystkie diabelskie sztuczki. Po trzech dniach udało się nam przesunąć o sto metrów. Nie więcej. Ilekroć próbowaliśmy zyskać chwilę spokoju, zaraz spadał na nas kontratak Rosjan, jeszcze bardziej zażarty, niż poprzedni i odrzucał na wcześniejsze pozycje. Przeszliśmy przez piekło walk na krótki dystans. Gdy nas wycofano na krótki wypoczynek, jedynym bez ran był Albert.

– Jak ty to robisz? – pytał Porta zdziwiony, owijając

pod nieprawdopodobnym kątem swoją głowę bandażem.

– Kule nie wiedzą, gdzie się znajduję! Przecież jestem czarny! – Albert błysnął perłowymi zębami i pokazał białka oczu. – Przelatują obok mnie i polują na wasze białe tyłki. Powiem ci szczerze, że to wielka zaleta być czarnym człowiekiem na wojnie białych ludzi!

*To, że Führer uszedł cało z zamachu na jego życie, jest widocznym sygnałem od Boga, że wybrał Adolfa Hitlera na naszego wodza i nie ma siły na ziemi, która przerwałaby jego marsz po ścieżce przeznaczenia w kierunku końcowego zwycięstwa Wielkich Niemiec.*

Völkischer Beobachter, 21 lipca 1944 roku.

*Nie mamy zimowego ekwipunku – powiedział polowy kwatermistrz Bauer. – Führer zapewniał dowódców armii, że nie będzie więcej zimowych kampanii i dlatego nie mamy ciepłych ubrań.*

*– Czy ty chcesz zrobić ze mnie idiotę? – ryczał Oberst Hinka. – To jest początek listopada. Dwa tygodnie temu spadł śnieg. Jeśli tak dalej będzie, to w ciągu tygodnia utoniemy w nim po uszy!*

*– Na rozkaz Führera nie będziemy wydawać zimowego wyposażenia. Nie będzie więcej zimowych kampanii – kwatermistrz uśmiechał się z rezygnacją.*

*– Czyś ty oszalał? – grzmiał Hinka. – Wielu moich ludzi nie ma nawet płaszczy. Brakuje nam wielu rzeczy, amunicja jest na wyczerpaniu. Nie mamy zimowego smaru i oleju, tak do samochodów, jak i do broni!*

*– Bardzo mi przykro panie pułkowniku – odparł kwatermistrz, potrząsając bezradnie ramionami. – Nie otrzymałem żadnych dostaw z grupy armii. Ostatnia dostawa zawierała tylko stare mundury, gogle motocyklowe i środki antykoncepcyjne.*



– Ty chyba naprawdę jesteś szalony! – krzyczał Hinka.  
– Co mam zrobić z okularami i prezerwatywami?

– Niech pan pójdzie i sam zobaczy. Cała dostawa jest w kolejowym punkcie przyjęć. Pisałem o tym. A co ja mam zrobić z górami zużytych mundurów i francuskich gumek. Nie wierni Zamawiałem, to, o co prosiliście i to co jest potrzebne! Olej zimowy, futra! A co mamy! Nic, co zamawialiśmy! Rozkaz Führera, pułkownika Hinka.

– A co ja mam zrobić z kondomami? Dusić nimi Rosjan, zakładając je im na głowy?! – krzyczał Hinka.

Wydawało się, że zaatakuje kwatermistrza.

Tej nocy żołnierze niemieckiej 4. Armii Pancерnej zaczęli zdzierać zimowe ubiory z zabitych żołnierzy radzieckich.

# Rozdział 3

## Koordinator Ognia Artyleryjskiego

Generał porucznik von der Hecht, dowódca dywizji, poprawił monokl w oku i pochylił się nad mapą rozłożoną na prowizorycznym stole. Dowódcy pułków i oficerowie sztabowi, stojący dotąd karnie pod ścianą, zbliżyli się również do mapy. Wszyscy oni zebrali się na naradę, która odbywała się w niewielkiej, niskiej sali szkolnej.

Szczupły, energiczny szef sztabu, pułkownik von Balk wyjaśniał krótko, dlaczego atak za atakiem załamywał się.

– Nic tylko przeprosiny! Tylko prośby o wybaczenie! – warczał gniewnie.

Uderzył w mapę sztabowym wskaźnikiem.

– A prawda jest taka, że żołnierze nie mają ochoty do walki, a młodszy oficerowie nie wiedzą jak ich poderwać do niej. Ale to się zmieni! Nie będzie więcej aksamitnych rękawiczek! Teraz ujmemy wszystko żelazną ręką. Najmniejsza odznaka tchórzostwa lub lawirowania będzie od razu karana. Ruchome sądy wojenne będą miały wszelkie niezbędne uprawnienia! Przywrócimy dyscyplinę! Atakowaliśmy sanatorium na wzgórzu 409 i długi młyn po jego drugiej stronie. Trzy tygodnie bez rezultatów! A celem jest więzienie NKWD! Gdzie jesteście? Wciąż przy sanatorium i młynie! Wróg za

każdym razem odzyskuje teren, który zajęliśmy poprzedniego dnia!

– Kwatera główna Führera dała nam na wykonanie zadania jeszcze trzy dni – uderzył wskaźnikiem w punkt na mapie otoczony czerwoną obwódką.

– Tu jest brama do sanatorium i młyna. Tamtędy możemy dostać się na wzgórze, a stamtąd jest już rzut kamieniem do długiego grzbietu, na którym stoi więzienie. Zdobędziemy je i mamy krótki skok do Dniepru!

– Mamy zamiar być pierwszą dywizją, która osiągnie Dniepr!

Wyprostował się i popatrzył na dowódcę dywizji. Generalski Krzyż Rycerski z liśćmi błyszczał w białym, mdłym świetle lampy karbidowej.

Cienkie usta generała jakby składały się do uśmiechu. Wyciągnął z rękawa munduru chusteczkę do nosa i otarł nią spocone czoło. Jego zimne, rybie oczy rzucały mordercze spojrzenia w kierunku zgromadzonych oficerów.

– Panie generale! – zaprotestował słabo dowódca piechoty. – To będzie nas kosztować masę ofiar w ludziach.

– Wszystkie bitwy pochłaniają ofiary, pułkowniku – wycharczał generał pogardliwie. – Straty się nie liczą. Tylko najkrwawsze bitwy przechodzą do historii.

– Natarcie nie będzie możliwe bez solidnego wsparcia artyleryjskiego – wtrącił oficer operacyjny, unikając

lodowatego spojrzenia generała.

– Czy pan coś mówi nowego, pułkowniku? – szczeptał chrapliwie dowódca.

Napełnił lampkę koniakiem i szybko przechylił do gardła.

Adiutant błyskawicznie napełnił ponownie szkło.

Generał wyprostował plecy, jakby przeszedł przez niego skurcz i rzucił gniewne spojrzenie na dowódcę pułku pancernego, jednorękiego pułkownika Hinkę.

– Pański drugi batalion narobił niezłego bałaganu, pułkowniku. Jak mogło do tego dojść? Jaka szkoda, że major Blank nie żyje. Byłby dobrym przypadkiem dla sądu wojennego!

– Zaskoczyli nas, panie generale! – bronił się Hinka. – Każdy mógł wpaść w taką pułapkę. Nawet z odległości dwóch metrów okopane rosyjskie czołgi nie były widoczne! Wróg strzelał nam w twarz spod ziemi! Major Blank nie mógł tego przewidzieć!

– Niech pan oszczędzi nam tłumaczeń – generał krótko przerwał wypowiedź podwładnego. – Pozostałości pańskiego drugiego batalionu zostaną użyte jako piechota. Tym leniwym świniom przyda się trochę ćwiczeń. Do tej pory tylko grzali tyłki wewnątrz czołgów!

– Tak jest, panie generale! – powiedział Hinka i wbił błagalne spojrzenie w sufit.

Z dziwnym chrzęstem przewrócił się na podłogę rotmistrz pułku motocyklowego. Pociągnął za sobą krzesło, na którym się opierał.

Generał lepiej umocował monokl w oku i obserwował nieprzytomnego oficera z wyraźnym niesmakiem.

– To mój dowódca batalionu, rotmistrz Opel – powiedział pułkownik Winkel, dowódca 4. Pułku Kawalerii.

– Zabierzcie stąd tego słabeusza – rozkazał złośliwie generał. – Przenieście go natychmiast do batalionu szturmowego!

– Rotmistrz nie spał od tygodnia, panie generale! – pułkownik próbował bronić nieświadomego sytuacji podwładnego.

Zasuszony generał podniósł znad mapy końską twarz i posłał pułkownikowi zabójcze spojrzenie.

– Czy pan myśli, że ja spałem, gdy moja dywizja usiłowała zdobyć to przekłete więzienie? – syknął groźnie. – Czy widział pan, że kładę się na tę brudną ruską podłogę? Czy nasi żołnierze kładą się na drogach? Niech pan nie wygaduje takich głupot w przyszłości, pułkowniku! Ten pański rotmistrz jest bezwartościowy! Zabierzcie go sprzed moich oczu! Jeśli przeżyje atak, chcę go widzieć przed sądem wojennym za okazywanie słabości i tchórzostwa w obliczu wroga!

Pochylił się ponownie nad mapą i szpicrutą kawaleryjską wskazał czerwony okrąg na mapie.

– Słuchajcie mnie panowie – mówił głosem ostrym jak nóż. – Te wzgórza mają być zajęte i moja dywizja dokona tego! Dwie pozostałe dywizje będą atakować na skrzydłach. Dywizja rezerwowa będzie oczyszczała

zdobyty teren. Otrzymałem zgodę Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu na to, abyśmy atakowali w centrum. Feldmarszałek von Manstein ufa nam!

Przeciągnął nerwowo ręką po włosach.

– Panowie, chcę być na tych wzgórzach jeszcze przed jutrzejszym wieczorem! To jest rozkaz! Macie moje słowo! Każdy, kto zawiedzie, bez względu na powody, pójdzie pod sąd wojenny za tchórzostwo i niekompetencję!

Uderzył w mapę inkrustowaną srebrem szpicrutą.

– To jest rozkaz! Nawet jeśliby to miało kosztować mnie całą dywizję, będę na wzgórzach jeszcze jutro!

Znowu rozległ się głuchy łomot. Tym razem porucznik artylerii osunął się na ziemię.

Twarz generała zrobiła się prawie purpurowa. Machnął desperacko szpicrutą.

– Czy ktoś jeszcze chce przewrócić się na twarz? – wysyczał groźnie. – Zróbcie to teraz, bo potem uwolnię się od was tak szybko, jak będzie to możliwe!

Zapadła grobowa cisza, tylko medyczni ordynansi wynosili nieprzytomnego, jakby był workiem ziemniaków.

– Dalej, Balk – zwrócił się generał do szefa sztabu. – Tylko szybko, bo czasu jest mało!

– Cały korpus będzie atakować w trzech falach – powiedział pułkownik. – Jak już powiedziano, my poprowadzimy pierwsze natarcie. To ma być szybki atak. Nie wolno wam się zatrzymywać, bez względu na to, co

rzuci Iwan przeciwko wam. Ruszamy stąd, ze wzgórza 209 tym wózem. Będziemy wspomagani przez ruchomą zaporę artyleryjską. Będzie położona na wzgórza i powinna się przesuwać systematycznie w głąb linii obronnych Rosjan. Zrobimy wyłom w ich linii frontu. Przed nami stoi 39. Dywizja Gwardii. To jednostka elitarna, dowodzona przez upartego faceta o nazwisku Koniew. Ich wzmocnieniem jest 521. Dywizja Pancerna i 16. Brygada Kawalerii. Ich rezerwy są tutaj, około dwunastu kilometrów od linii frontu. Jest to 731. Dywizja Piechoty, która nic nie znaczy. To zbieranina na wpół wyszkolonych rekrutów. Jeden nasz batalion powinien na nią wystarczyć. Nie mają żadnego doświadczenia i bark im odwagi. Zniszczymy ich jak stado wszy. Pułkownik Winkel, pan zaatakuje stąd, jako wsparcie piechoty dla czołgów. Macie być jak najbliżej jednostek pancernych. Niech żandarmeria podąża za pana ludźmi. Wszystkie próby wycofania się, mają być bezwzględnie likwidowane. Pułkownik Jevers, pan będzie łącznikiem ze skrzydłowymi dywizjami. Ruszy pan ze swoim pułkiem motocyklowym za 104. Pułkiem Grenadierów.

– Bardzo dobrze – mruknął Jevers.

Patrzył zaszokowany na mapę. Wiedział, co to znaczy. Przed chwilą otrzymał dosłownie wyrok śmierci.

Z zimnym uśmiechem szef sztabu spojrział na pułkownika Mullena, dowódcę 114. Pułku Grenadierów Pancernych.

– A pan, pułkowniku będzie nacierać razem ze 104. Pułkiem majora Zauna. Przejdzie pan przez linie jeszcze w nocy, z 76. Batalionem Szturmowym na czele. Zajmiecie punkty oporu wroga przy pomocy miotaczy płomieni i materiałów wybuchowych. Chodź na chwilę Zaun. Tu ma nastąpić przełamanie.

Szef sztabu uderzył w mapę wskaźnikiem.

– Zróbcie to szybko, jakby diabeł wam siedział na plecach! W chwili rozpoczęcia natarcia macie być poza wysuniętymi placówkami wroga. Odpowiadasz za to głową!

– Tak jest! – odparł major Zaun. – Zrozumiałem!

Poślinił wyschnięte usta.

– Podróż do nieba – szepnął do pułkownika Winkela. – Niewielu z nas z niej wróci.

– Jest pan zdenerwowany – spytał szef sztabu, słysząc cichą uwagę. – Jeśli jest to dla pana zbyt trudne zadanie, niech pan to powie. Szybko znajdziemy zastępcę!

Major zaczerwienił się jak peonia, ale nic nie odpowiedział, a szef sztabu zwrócił się do dowódcy artylerii, pułkownika Grüna.

– Pan, panie pułkowniku, otrzyma całą artylerię korpusu oraz brygadę ciężkich moździerzy raketowych i dwa plutony ciężkich moździerzy. Nie muszę panu wyjaśniać, że pana zadanie wymaga koordynacji działań wszystkich pododdziałów artylerii. Ma pan pięć godzin, aby zebrać wszystkich podległych panu dowódców i wyznaczyć im zadania. Udało się nam dołączyć do nas



grupę meteorologiczną, więc nie powinien pan mieć żadnych kłopotów. Jeśli nie ma pan zaufania do któregoś z pańskich ludzi, proszę ich zastąpić doświadczonymi oficerami. Nie stać nas na popełnienie pomyłki! Wszystko zależy od skuteczności ognia artylerii. Koordynator ostrzału będzie pana najważniejszym człowiekiem. To musi być ktoś najwyższej próby. Kogo pan poleca na to stanowisko?

– Kapitan Henckel – powiedział pułkownik bez wahania.

Wskazał wzrokiem szczupłego oficera w wieku około trzydziestu lat, stojącego poza kręgiem utworzonym przez światło lampy karbidowej.

– Pan Henckel był przez trzy lata instruktorem w szkole artylerii w Jüterburgu. Nie jest długo na froncie, ale ma dobre rekomendacje ze szkoły. Głęboko wierzę, że nie znajdę lepszego oficera do tej roboty.

– Mam nadzieję, że ma pan rację – szczechnął generał, patrząc badawczo na kapitana artylerii, który ukrywał się w cieniu. – Słuchaj, Henckel, to ważne. Wszystko zależy od tego, czy zrozumiałeś rozkazy. Nie mamy czasu, aby wszystko powtarzać! Kontynuuj Balk! Jesteśmy bardzo zajęci!

Warknął na końcu generał i zaczął nerwowo stukać szpicrutą w cholewkę buta.

Pułkownik Grün zrobił dwa szybkie kroki w stronę kapitana i wbił mu lekko łokieć w żebra.

– Do czorta! Henckel! – wyszeptał – Spisz na stojąco!

Obudź się człowieku! Gdzie są twoje rozkazy ogniowe? Pokaż, co zanotowałeś?

Oczy kapitana dziwnie odpłynęły w tył głowy i wręczył zwierzchnikowi zapisane plany ogniowe.

– Co to do diabła jest? Postradałeś rozum? – jęknął pułkownik rozwścieczony. – To jest ledwie jakaś notatka. Chcesz nas postawić przed sądem wojennym? Otwórz oczy! Jeszcze czegoś takiego nie widziałem!

– Panie Pohl – zwrócił się do adiutanta – niech pan rozpali trochę ognia pod kapitanem. I zapamiętaj sobie Henckel moje słowa, już nie jesteś w Jüterburgu! Jeden błąd i nie opuścisz tego miejsca w chwale! Będzie cię to kosztować głowę, jeśli coś pójdzie źle. Źle się czujesz? To powiedz to teraz!

– Jestem tylko trochę zmęczony, panie pułkowniku.

– Zmęczony? – spytał z kpina w głosie Grün – A my nie jesteśmy zmęczeni?

Powrócił zmartwiony do stołu sztabowego i spojrzał na zasuszonego generała, zastanawiając się, kto mógłby zastąpić Henckela. Jednak nikt mu nie przychodził na myśl.

– Czyś ty oszalał człowieku? Znowu zasypiasz! – mówił cicho adiutant, próbując rozruszać Henckela. – Słuchaj i zapisuj, to co oni mówią. Jeśli tego nie zrobisz, możesz posłać do diabła cały korpus armijny, gdy otworzysz ogień!

– Nie wiem co się dzieje. Po prostu nie mogę się obudzić – powiedział kapitan przepraszająco, pochylając

się do tyłu, aby oprzeć plecy o ścianę. – Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spałem w łóżku.

– Łóżko! – roześmiał się chrapliwie adiutant.

– Będiesz szczęśliwy, jeśli znajdziesz wiązkę brudnej słomy pod głowę i nie musisz udeptywać pod nią śniegu. Łóżka są tylko dla wysokich oficerów sztabowych. Ja nie widziałem łóżka od dwóch lat!

– Dwa lata – wybąkał Henckel ze zdziwieniem.

– Przecież musiałeś być na urlopie? Każdy żołnierz ma trzy tygodnie urlopu w ciągu roku.

– Powiedz mi Henckel, skąd ty się wziąłeś? Z księżyca, czy co? Urlop? Święta Matko Boża, ty żyjesz w fantastycznym świecie. Najlepszą szansą na opuszczenie tego piekła jest poważna rana, która pozwoli uciec od tego brudu i załapać trochę snu. Mówię ci, gdym miał szczęście i został ranny, to żaden lekarz nie wyciągnąłby mnie z łóżka przez pół roku!

– To sabotaż – zawołał z wyrzutem Henckel.

– To ty tak myślisz – uśmiechnął się z butą adiutant. – Wkrótce zmienisz zdanie. Ale teraz nakazuję ci, abyś się zbudził. Jeśli nie, to popadniesz w bardzo, bardzo wielkie kłopoty. Zadanie, które ci powierzono wymaga znacznie więcej niż tylko otwartych oczu. W języku frontowym, będziesz miał tak gorący tyłek, że jajka będzie można na nim smażyć, jeśli coś zabałaganisz!

Ogłuszająca eksplozja przerwała dalszą rozmowę. Cały budynek zadrżał w podstawach. Jeszcze dwie bomby eksplodowały z hukiem i łomotem. Żaden z oficerów

zdawał się na to nie zwracać uwagi. Szef sztabu nie przerwał omawiania dalszych szczegółów natarcia nawet na sekundę.

Z ciemności zaczęły dolatywać przeszywające okrzyki i jęki.

Kapitan Henckel popatrzył nerwowo w stronę zaciemnionego otworu wejściowego. Czarną kurtynę podrzucił podmuch powietrza.

– Bomby? – zapytał szeptem.

Powieki jego oczu zamrugały nerwowo. Był nowy na froncie. A na Jüterburg nigdy nie było nalotów bombowych.

– Mógłbyś to nazwać bombami, jak przypuszczam – zaśmiał się z lekką kpina w głosie adiutant. – Ale my to nazywamy „młynkami do kawy”. Mają tego pełne torby. To dwupłatowce, które mają podwieszane pod skrzydłami bomby i granaty moździerzowe, jak kiełbasy w sklepie rzeźniczym. Kiedy pilot zobaczy światło na ziemi, zdejmuje bombę z haka i rzuca w kierunku celu. Spróbuj pójść na spacer i zapalić papierosa w ustach. Zapewniam cię, że będziesz miał na karku bombę, szybciej niż krzykniesz mamusiu!

Podmuch po serii kolejnych wybuchów otworzył z hukiem drzwi do sali, jakby uderzyła w nie gigantyczna pięść. Strumień lodowatego powietrza i pylistego śniegu wtargnął do środka i zdmuchnął płomienie w oświetlających pomieszczenie lampach.

– Zamknąć drzwi i zapalić lampy! – rozkazał generał

poirytowany, waląc nerwowo szpicrutą w cholewki butów.

– Światło! – powtórzył. – Światło, na moją duszę!

Niektórzy z łączników niemal się poprzewracali, gdy rzucili się po nowe lampy. Po chwili w pomieszczeniu zapanowała upiorna biel. Jedna z lamp głośno syczała.

Generał popatrzył na nią mściwie.

– Uciszcie tę lampę! – krzyknął z zaczerwienioną ze złości twarzą.

Podoficer łączności rzucił się, aby poprawić lampę, ale ona nadal syczała, tak jakby chciała dalej drażnić generała.

Facet poparzył sobie palce, ale był na tyle mądry, aby tym się nie chwalić.

– Zabrać ją stąd! No już! – ryczał generał koszarowym głosem.

Podoficer chwycił lampę i wybiegł z nią jak strzała.

Niemal w tej samej chwili powietrzem wstrząsnęła eksplozja. Wrzuciła wojaka razem z lampą do sali w towarzystwie kawałków szkła, mięsa i zaprawy murarskiej.

– Przekłęty bałagan – powiedział wściekły generał. – Posprzątać to i wracajmy do pracy!

Natychmiast powrócono do dalszej części planu ataku. Bombardowanie i zabity podoficer przestali kogokolwiek interesować. Kilku żołnierzy natychmiast uprzątnęło bałagan.

– Mamy zatrzymać przeciwnika krótkim i

intensywnym ogniem zaporowym? – spytał niepewnie pułkownik Grün.

– Tak, tak, oczywiście – odparł nerwowo generał poprawiając monokl w oku. – A czego mamy się spodziewać? Ogień ma być skierowany najpierw na ziemię niczyją, po czym powinien być przenoszony stopniowo w głąb pozycji wroga. Piechota powinna poruszać się tuż za barierą. Stracimy trochę głupców, ale to nieuchronne. Wróg nie będzie przypuszczać, że nasi ludzie będą tak blisko linii ostrzału. Będzie zaskoczony i nie zdąży podciągnąć broni automatycznej na pozycję obronne, my będziemy na nich szybciej. Ciężki uzbrojenie zniszczymy mu podczas nawały ogniowej. Musimy wykorzystać moment zaskoczenia! Zaskoczenie, panowie, nie zapominajcie o tym! Pułkownik Winkel będzie atakować w otwartym stepie. Wiem, że to kosztowne, ale jestem pewien, że sobie poradzi. Ufam panu. I nie zapominajcie o utrzymaniu kontaktu z dywizjami skrzydłowymi. Utrata kontaktu i po nas. Nasz przeciwnik jest geniuszem kontrataku i umie atakować osłabione linie. Najmniejszy błąd i zrobi nam taki bałagan, jakiego jeszcze nie mieliśmy.

Dla podkreślenia wagi słów, uderzył szpicrutą w mapę.

Krótkie odprawy dla poszczególnych dowódców pułków trwały jeszcze pół godziny. Groźby sądu wojennego i więzienia latały w powietrzu jak płatki śniegu.

Na samym końcu generał podkreślił jeszcze raz

śmiertelną odpowiedzialność spoczywającą na artylerii. Położył ciężko rękę na ramieniu pułkownika Grüna.

– Grün, obiecaj mi, że usuniesz każdego, do kogo nie masz przekonania. Jeden dureń wśród twoich ludzi może wywołać nieprzewidywalne skutki!

Przyłożył rękę do daszka czapki.

– Dziękuję panowie! Życzę szczęścia, o ile to możliwe. Jeśli atak się nie powiedzie, żaden z was nie będzie po jego zakończeniu generałem. Pamiętajcie o tym!

– Mój Boże, znowu! – westchnął pułkownik Grün z rezygnacją.

Kapitan Henckel spał, siedząc na taborecie.

– Przepraszam, panie pułkowniku – wykrztusił zawstydzony oficer. – Nie mogę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Jakby było we mnie dwóch różnych ludzi.

– Co ja mam z panem zrobić? – spytał zmartwiony Oberst. – Nie mogę usunąć głównego koordynatora ognia. Innym razem mógłbym wykorzystać doświadczonego wachmistrza, ale nie w tej sytuacji. Musisz sobie z tym poradzić. Chrzanić zaspane oczy, musisz wziąć się w garść! Czy zapisałeś wszystko?

– Tak jest, Herr Oberst! Wszystko zapisane. To nie jest bardzo trudne! Może mi pan zaufać.

– Na Boga i wszystkie diabły! Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz! Ale nie wmawiaj sobie, że to prosta robota. Przejrzyj to wszystko jeszcze raz z adiutantem.

Pułkownik zdjął futrzany płaszcz z haka. Henckel usłużnie pomógł mu go założyć.

– Zostaw to! – powiedział pułkownik gniewnie. – Nie jesteś w kasynie oficerskim! Wykorzystaj czas, aby przygotować wszystkie instrukcje. Niech diabli, Bóg i wszyscy święci mają cię w opiece, Henckel.

Pomruczał coś jeszcze pod nosem i wyszedł z sali, zapinając pas. Wyciągnął pistolet z kabury i włożył do kieszeni, skąd było go łatwiej wydobyć.

Kapitan Henckel wyprostował się do postawy zasadniczej, zegnając szefa. Długa sala szkolna poruszyła mu się przed oczami. Chciał się rzucić na podłogę i spać, spać i spać...

– Muszę wziąć prysznic, lodowaty prysznic – pomyślał i stanął na palcach, aż poczuł ból sięgający kolan.

Nic to nie pomogło. Białe twarży oficerów krążyły wokół niego. Gdzieś z boku ktoś mówił o synchronizacji zegarków.

Major od Nebelwerferów, stuknął go w zębra i coś mówił. Ale jedyne co docierało do kapitana, to słowo czekać. Na co miał czekać, nie potrafił powiedzieć.

– Jesteś chory? Co jest do diabła z tobą? – pytał major szorstko.

– Jestem tylko przemęczony.

– Mam cichą nadzieję, że wypełni pan funkcję koordynatora prawidłowo – powiedział ponownie major, przyglądając się Henckelowi podejrzliwie. – Jeśli odpalę rakiety za wcześnie lub za późno, szlag trafi wszystkie uzgodnienia. Pokaż mi zapis przerw czasowych!

Cicho, drżącą ręką, Henckel podał swój notatnik



sztabowy majorowi.

Z zaciśniętymi ustami oficer przeglądał wyliczenia i kolumny liczb. Z wielką ulgą zauważył, że wszystko jest w porządku. Jednego, czego nie wiedział, że to zapiski adiutanta, na które kapitan ledwie zerknął.

– Prześpij się ze dwie godziny, chłopie – poradził major i klepnął Henckela przyjacielsko po łopatce.

– Musisz być świeży, gdy zacznie się ta nasza potańcówka. Będziesz się poruszać po ostrzu brzytwy tej nocy.

Przycisnął mocniej czapkę do głowy i skierował się w stronę przechodzącego dowódcy haubic.

Zmęczony i oszołomiony kapitan podszedł do adiutanta. Usiedli przy prowizorycznym stole i koordynowali tabele strzelań oraz cele dla różnych rodzajów artylerii.

– Jedna rzecz, którą polecam, to sprawdzenie sieci połączeń – powiedział poważnie adiutant.

– Nie zaniedbuj żadnego zagrożenia. Szef sztabu będzie się z tobą kontaktował linią dwukierunkową, jeśli coś pójdzie źle. Jeżeli masz jakiegokolwiek wątpliwości, powiedz o nich teraz.

– Nie jestem kompletnym idiotą – rzucił gniewnie Henckel. – Niewielu ludzi zna się tak dobrze na kontroli ognia, jak ja. Każdy chce wyleźć z tego kretowiska. A my przywykliśmy do tego rodzaju zabawy w Jüterburgu.

– Boże Wszechmocny! – mówił adiutant do swego kierowcy, gdy szli do kübelwagena. – Ten ogier od

skakania przez przeszkody nadal nie zdaje sobie sprawy, że znajduje się na linii frontu, a nie na poligonie w Jüterburgu. To przedszkole w porównaniu z tym co nas czeka. Nie będę zaskoczony, gdy ten zaspany dupek skręci dzisiaj kark. Do pułku!

Owinał się mocno płaszczem i wszedł do samochodu.

– Boże, ale jest zimno!

Kilka razy pojazd zarzuciło na lodzie i niebezpiecznie zbliżył się on do rowów ciągnących się po obu stronach drogi.

– Ci z nas, którzy wyjdą stąd żywi – mrucał zamyślony oficer – nigdy nie zapomną tej bitwy o więzienie NKWD.

– Wie pan co, panie rotmistrzu – zauważył kierowca, podoficer Stolz, gwałtownie skręcając kierownicę, aby uniknąć słupa trakcji elektrycznej. – Gdybym był generałem, pozwoliłbym trzymać Iwanowi to więzienie, sanatorium i młyn. Przecież jest naokoło tyle miejsca, aby ich oskrzydlić!

– Ale nie jesteście generałem, Stolz – roześmiał się sarkastycznie adiutant. – Kiedy wojna się skończy, wróćcie do swojej ciężarówki, bez względu, czy zdobędziemy to więzienie, czy też nie. Ale widzisz, nasz dowódca dywizji jest generałem porucznikiem i ma tylko jedną złotą gwiazdkę. A chciałby mieć trzy więcej, nim ta cholerna wojna się skończy. Generałowie uważają, że do tego jest im potrzebna wojna. Jak zdobędzie więzienie, może zostanie generałem kawalerii i kto wie, dostanie

jeszcze kolorową wstążkę wokół szyi. A z generała kawalerii już niedaleko do generała – pułkownika. A poza tym, jeśli nie zdobędzie więzienia, może stracić dowodzenie i nowe gwiazdki nie pokażą się na niebie. Tak samo jak gaża generalska.

– Przykro mi, panie rotmistrzu, ale to brzmi jak wariactwo, aby nasze oddziały były dziesiątkowane i sikały krwią tylko dlatego, że jakiś generał chce zarobić parę gwiazdek.

– Masz rację Stolz, ale takie są zasady tej gry. Masz szczęście, że jesteś kierowcą w sztabie. I dziękuj Bogu, że nie musisz być jednym z tych biedaków, małych diabełków z oddziałów szturmowych.

– Tak, dziękuję Bogu – jęknął kierowca, czując jak dreszcz staruchu przebiega mu wzdłuż kręgosłupa.

Ciężki kübelwagen dowódcy artylerii stał na rozległym skrzyżowaniu dróg. Sam dowódca stał i coś tłumaczył kapitanowi Henckelowi.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział adiutant, wyskakując z pojazdu, zanim ten zahamował.

– Wszystko w porządku? – spytał pułkownik Grün, kryjąc się za pojazdem przed podmuchami lodowatego wiatru.

– Wydaje się, że tak – odparł adiutant, klaszcząc dla rozgrzewki w dłonie. – Omówiłem wszystko z kapitanem Henckelem.

Oberst pokiwał głową z satysfakcją, postawił futrzany kołnierz, aby osłonić trochę uszy i popatrzył zmartwiony

na biały step. Masy ciężkich śniegowych chmur przesuwały się po niebie.

– Będę z szefem sztabu dywizji – powiedział pułkownik ubijając butami śnieg. – Tam mnie możecie znaleźć i jeśli ma pan jakieś wątpliwości Henckel, czy jakieś pytania, to załatwmy to teraz!

– Dziękuję panie pułkowniku – odparł kapitan, jego głos wyraźnie drżał. – Czy ja mam wydać rozkaz otwarcia ognia, czy nadejdzie ze sztabu dywizji?

Dowódca patrzył na niego ogłupiały. Nie mógł uwierzyć w to co słyszy.

– Teraz wszystko usłyszałem – zapienił się z wściekłości. – Czy nie zrozumiałeś słów, które powiedziano! Oczywiście, że ty wydajesz rozkaz otwarcia ognia! To jest praca koordynatora ognia artyleryjskiego.

Oberst zmrużył oczy i spojrzał podejrzliwie.

– Czy ty nie straciłeś rozumu?

– Nie, panie pułkowniku. Wszystko w porządku. Moja głowa się kręci, jestem trochę zmęczony i oszołomiony. Już dawno nie spałem – dodał zawstydzony po krótkiej przerwie.

– Jest tu dużo ludzi, którzy nie spali od wielu dni – odparł chłodno Oberst. – Ty, jak i cała reszta nie powinna się skarżyć, kapitanie. Powinieneś być zadowolony z okresu trzech lat spędzonych w garnizonie w Jüterburgu, podczas, gdy my byliśmy tutaj cały czas i żyliśmy jak szczury. A teraz pan płacze jak stara baba, bo dopadł ją reumatyzm i nie może się wyspać. Jeśli czujesz, że nie

podążasz temu zadaniu, to wypluj te słowa teraz, bo potem będzie za późno!

– Pułkowniku, jestem specjalnie wyszkolony do przeprowadzania takich działań i nie sądzę, aby ta operacja była szczególnie trudna – odparł Henckel, który poczuł się obrażony uwagami zwierzchnika.

– To brzmi obiecująco – odpowiedział z kwaśnym uśmiechem Grün. – Zrób coś nie tak, jak trzeba, to generał wyrwie ci wątrobę przez gardło. Ruszaj i sprawdź system połączeń. To musisz zrobić bardzo dokładnie!

– *Hals und Beinbruch* – dodał grzecznie pułkownik i ruszył w stronę kübelwagena.

Za nim ruszył adiutant i po chwili obaj zniknęli w tumanie wirującego śniegu.

– Samolubny idiota – mruczał Henckel. – Bez wojny nigdy by nie został pułkownikiem. Najlepsi oficerowie są trzymanii z dala od frontu, jako instruktorzy. Dobrzy instruktorzy szkolą dobrych oficerów. Wiem więcej o kontroli ognia niż ty, waśniacka, frontowa świni! Tobie zabrakło dwadzieścia lat wdrapanie się do stopnia pułkownika, podczas gdy ja zostałem kapitanem w ciągu trzech lat. A kiedy skończę tę robotę, to wrócę do Jüterburga w stopniu majora!

Z postawą obrażonego dziecka wsiadł do samochodu i otulił futrzanym płaszczem drżące ciało.

– Jezus, panie kapitanie, jak oni walą, niech pan posłucha – ryknął jego kierowca, stary Obergefreiter w typie Małego.

– Trzymajcie swoje zuchwałe uwagi dla siebie, Obergefreiter – zagrzemiał kapitan, strofując go – albo się tobą zajmę. Mów tylko wtedy, gdy ktoś się do ciebie odezwie.

Obergefreiter aż podniósł brwi ze zdziwienia.

Zarozumiałe gównu – pomyślał. – Jestem jednym z nielicznych ludzi, którzy mogą ci pomóc. Wywalaliśmy stąd takich koleś jak ty tuzinami.

– Panie kapitanie! Obergefreiter Schwarz zwraca się z prośbą, aby określił pan kapitan kierunek jazdy!

– Ty wiesz, gdzie jechać – warknął zagniewany Henckel.

– Nie, Herr Hauptmann! Nie mam pojęcia!

– Do centrum kierowania ogniem, ty głupcze!

– Ale do którego? Jest ich kilka!

Przez chwilę wydawało się, że oficer eksploduje z wściekłości. Zacisnął dłonie w rękawiczkach i posłał zabójcze spojrzenie kierowcy.

– Do centrum kierowania ogniem! A gdzie myślałeś?

– Hmm, – Ja nie myślę, panie kapitanie! Oduczyli mnie tego, gdy byłem rekrutem. To zostawiam koniom, tak mi kazano, bo mają większe głowy.

– Tak myślisz, co? – Henckel pluł wściekłością. – Zostawisz mnie w centrum kierowania ogniem i zameldujesz się do służby w którejś z baterii. Nie chcę cię widzieć więcej na oczy!

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się bez troski pod nosem kierowca.

Wrzucił wyższy bieg i z nogą na pedale gazu gnał jak na złamanie karku, nie zważając na nierówną drogę. W śnieżycy dodał jeszcze trochę gazu, ale trzęsienie samochodu nie było w stanie zbudzić uśpionego oficera.

Obergefreiter Schwarz spojrział na kapitana kącikiem oczu. Z wyrazem zadowolenia na twarzy zaczął śpiewać na całe gardło:

*Wszystko się kończy,  
Wszystko mija,  
Jajka z grudnia,  
Zjesz gdy przyjdzie maj,  
Najpierw walczysz dla Adolfa,  
A potem party, krzyczysz hura!*

Na jednej z lodowych połąci drogi samochód wpadł w poślizg, obrócił się dwa razy wokół osi i zsunął się z drogi na pochyłe pobocze.

Schwarz śmiał się długo i głośno, jakby wszystko dookoła było zabawą. Popatrzył na kapitana Henckela, który spadł na podłogę samochodu i spał dalej.

– Myślisz, że możesz mnie zwolnić, ty nadęty gapowiczu! Jeszcze zobaczysz! Nawet jeśli staniesz na głowie i ordery powpadają ci do dupy, nie uda ci się zwolnić Obergefreittra Schwarza.

Gwałtownie zatrzymał pojazd przed ziemianką centrum koordynacji ogniowej.

– Pragnę zameldować, że jesteśmy w domu! Obudź się

towarzyszu, musisz zacząć przygotowywać żelastwo na starszego brata Iwana. Jeśli wystrzelisz źle, to on ciebie napełni żelastwem!

Potrząsnął głęboko śpiącym oficerem, ale nie dało to żadnego rezultatu.

– Niech cię szlag! Ty złotem wykończony dupku. Taksówka już przyjechała!

– Hej, Herbert! – krzyknął do Gefreitra, stojącego przy wejściu do ziemianki, z karabinem nonszalancko przewieszonym przez ramię. – Chodź i podaj mi rękę. Tu jest taki milutki bydlaczek, który chciałby przespać resztę wojny.

– Kopnij go w jaja – zaproponował Herbert bezceremonialnie i ugryzł kawał zamrożonej kiełbasy.

– Nie mogę tego zrobić. To jest ważny szef – roześmiał się z radością Schwarz.

– Gdzie go znalazłeś? – spytał Herbert, powoli zbliżając się do pojazdu.

– To nowy koordynator artylerii! Odlany z żelaza, a kręgosłup to ostrze szabli!

– Gówno i hemoroidy! – warknął Herbert, wyciągając kapitana z kübelwagena, jakby był workiem ziemniaków.

Pozwolił mu się potoczyć po ośnieżonej skarpie.

– Gdzie ja jestem? Co się stało?! – krzyczał kapitan Henckel zaskoczony, gdy toczył się w tumanie śniegu.

– Pragnę zameldować, że jest pan w Rosji! – krzyknęli jednocześnie dwaj żołnierze, salutując z szyderczą kpiną.

– Rosja? – wybełkotał kapitan, patrząc nerwowo w



niebo.

Gdzieś w dali terkotał „młynek do kawy”, a horyzont rozświetlały różnobarwne flary. Odzywało się działko automatyczne. W oddali rozległa się nieprzyjemna seria wybuchów.

W pobliskim lesie widoczny był pododdział meteorologiczny. Zaciemnione postacie sprawiały wrażenie bardzo zapracowanych. Strumień światła wystrzelił w stronę chmur, aby zmierzyć wysokość ich podstawy.

Na nogach, które ledwo go niosły, Henckel, jak śpiący pijak wtoczył się do ziemianki, w której oczekiwało go dwóch poruczników.

– Wszystko w porządku? – spytał tonem władcy.

Tu czuł się jak w domu. Znał to wszystko.

Wzdłuż ściany stała długa łącznica telefoniczna, obsługiwana przez czterech łącznościowców. Tabela strzelań, z zaznaczonymi celami, leżała na szerokim stole.

Razem z porucznikami naniósł koordynaty i konieczne przerwy czasowe.

Goniec przyniósł raport pogodowy.

Henckelowi nie podobał się, uważał, że jest powierzchowny i kazał go przygotować jeszcze raz.

– Regulaminowe dwa palce marginesu, bardzo proszę!

Porucznicy spojrzeli się na siebie, ale powstrzymali się od komentarza.

– Muszę położyć się na chwilę – powiedział zmęczonym głosem.

Wyciągnął się na ławie i podłożył pod głowę niedbale zwinięty płaszcz.

Wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem. Nie wierzyli własnym oczom.

– On musi być wariatem – wyszeptał porucznik Rothe.  
– Spać przed tak wielkim atakiem artyleryjskim! On musi mieć chyba nerwy ze stali. Nawet nie zajął się siecią połączeń telefonicznych!

Gdy to mówił, telefony rozdzwoniły się.

– Jeśli to nie szef sztabu albo dowódca dywizji, to mnie nie budźcie – mruknął Henckel zasapanym głosem i wcisnął mocniej pod głowę prowizoryczną poduszkę.

– Bardzo dobrze – odparł porucznik Rothe i pozornie bez troski podniósł słuchawkę telefonu.

– Tu „Zając Polarny”. Porucznik Rothe. Tak, panie pułkowniku. Wszystko w porządku. Jak pan sobie życzy. Koniec, bez odbioru!

Odłożył słuchawkę.

– To chłopcy od haubic – powiedział do porucznika Hassowa.

Przez następny kwadrans telefony dzwoniły bez przerwy. Poszczególne oddziały artyleryjskie meldowały gotowość do działań.

Trzech pisarzy pracowało w opętającym tempie, przygotowując rozkazy dla wszystkich rodzajów artylerii. Centrum koordynacji artylerii było miejscem wyjątkowej aktywności. Dwóch poruczników pracowało jak konie pociągowe, aby cała skomplikowana operacja została

przygotowana na czas. Tylko koordynator ognia spał spokojnie i cała gorączkowa krzątanina zupełnie go nie dotyczyła.

– Nich nas Bóg ochroni – powiedział porucznik Hassów, starannie układając tabele ogniowe. – Zrobimy wielkie bum! Przestraszy to nawet najdzielniejszych. Dobrze, że to nie ja jestem koordynatorem, taka odpowiedzialność! Nie do wiary, co tutaj ściągnęliśmy! Dwie brygady Nebelwerferów. To przecież dwanaście sekcji, a w każdej cztery baterie. Każda bateria ma cztery werfery po dziesięć luf każdy! Do tego jeszcze haubice 210 mm. Cztery działa w każdej baterii, to daje w sumie trzydzieści sześć luf. Potem sekcja ciężkich dział z trzema bateriami, to następne dziewięć dział. Boże, do tego 96 naszych sto piątek i sto pięćdziesiątek.

– Nie zapominaj o czterech bateriach 280 mm, czyli rozpylaczach groszku, to następne dwanaście. Narobimy trochę hałasu na świecie! – prawie krzyczał w podnieceniu Hassów. – Do tego góry amunicji!

– Czuję się jakbym miał obejrzeć koniec świata – mruknął Rothe. – Ci biedni Ruscy dostaną niezłą ulewę. Nawet ich wszy i szczury tego nie przeżyją.

– Niewiele zostawimy do zrobienia naszej piechocie – zaśmiał się Hassów. – Czy ty sobie to wyobrażasz? Tylko w ciągu pierwszych sześciu minut wystrzelimy ponad pięć tysięcy pocisków! Strach o tym myśleć. Następne salwy w trzyminutowych odstępach. Wielki Panie na niebiosach! A ten leży i śpi! Musi być całkowicie

pomyłony. Czy zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba?

– Nie potrzeba wielkiej wyobraźni – odparł Rothe bez cienia podniecenia. – Przekazaliśmy mu wszystko, co trzeba. Teraz to jego głowa, chociaż mam paskudne podejrzenia co do tego, co on może zrobić!

Gdy porucznik Rothe budził kapitana po dwóch godzinach, ten miał wrażenie, że spał ledwie kilka minut.

– Kapitanie! Pobudka, dywizja na linii! Niech pan się obudzi!

Ziewając, zaskoczony Henckel podniósł się z legowiska.

Rothe spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Pan jest chyba chory, prawda? Spał pan tak, że przez chwilę wydawało mi się, że pan umarł.

– Po kiego diabła mnie budziłeś? Co jest? Czy nie potraficie załatwić najprostszej sprawy bez budzenia mnie? Muszę przecież chwilę się przespać przed rozpoczęciem ataku!

– Panie kapitanie, dywizja domaga się, aby był pan natychmiast przy telefonie!

– Dywizja – bąknął Henckel, nadal skonfundowany.

Nagle uświadomił sobie gdzie jest, wyprostował się tak gwałtownie, aż zatrzeszczały mu kości i dodatkowo jeszcze uderzył głową w belkę stropu.

– Do diabła! – syknął i pomacał ręką głowę, na której już pojawiał się guz. – Jaki przekłety głupek robił tak niski dach? Musimy to jutro zmienić, Rothe. Rażąca

niekompetencja! Jutro przed 9.00 rano, ten człowiek do raportu! Zrozumiano poruczniku!

– Ale jesteś tępy – pomyślał Rothe. – Powinieneś się cieszyć, że masz w ogóle jakiś dach nad głową. Inni dostali tylko dziurę w ziemi.

Henckel podniósł słuchawkę i sennym głosem podał hasło i kod.

Po drugiej stronie linii telefonicznej, jakiś ożywiony głos meldował:

– Łączę z szefem sztabu.

Szybciutko szef sztabu ostrym głosem zaczął zadawać pytania. Kapitan ledwie mógł zrozumieć, o co pułkownik pyta. Coś było o czasie ataku i łączności.

– Tak jest, panie pułkowniku – odpowiadała automatycznie, grzebiąc bezmyślnie w notatniku.

– Zrozumiano? – doleciało ze słuchawki telefonu po krótkiej przerwie.

Henckel zakołysał się na nogach i prawie się przewrócił. Słuchał z zamkniętymi oczami.

Porucznik Rothe złapał go za rękę i mocno potrząsał.

– Niech to piekło! Człowieku obudź się!

Kapitan spojrzał na porucznika, ale oczy nadal uciekały mu w głąb głowy. Rothe wciąż nim potrząsał, aż zirytowany Henckel odepchnął go.

– Nie rozumie pan – powiedział porucznik głosem, który docierał do kapitana jak zza ściany.

– Czy pan jest idiotą? – darł się szef sztabu jak w gorączce. – Niech Bóg pana ma w swojej opiece! Jeszcze

raz powtarzam! Sprawdź każdy po kolei!

Wyrzucił jak z karabinu maszynowego serię kodów w ucho kapitana. Szef sztabu nerwowo bębnił palcami w mapę.

– Powtórz wszystko – wysyczał przełożony, gdy zakończył przemowę.

Na szczęście dla kapitana porucznik Rothe przysłuchiwał się rozmowie i natychmiast podsunął zapis z przerwami czasowymi w ostrzale przed oczy Henckela.

Jakimś grobowym, nierealnym głosem kapitan powtórzył, to, co było uzgodnione.

– Henckel, wydaje mi się, że ty śpisz na stojąco? Co się z tobą dzieje?

– Jestem bardzo zmęczony!

– Do cholery, ja też! – eksplodował wściekłością szef sztabu, co brzmiało w uszach kapitana jak okrzyk ludożercy. – Generał też jest zmęczony. Wszyscy padamy z nóg! I nie chcę więcej o tym słyszeć! Jesteś oficerem na służbie i masz wykonywać swoje obowiązki!

Uciał rozmowę i przestał hałasować Henckelowi w uszach. A ten odłożył słuchawkę, popatrzył się na telefon i chwiejnym krokiem powrócił do ławki.

Ponownie włożył płaszcz pod głowę, jeszcze zanim odezwał się następny telefon. Przeklinając powstał i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Niech pan zapisuje, kapitanie – prosił miłym tonem adiutant. – Godzina H, Bertha, Helga, Ludwig, Adolf, Bertha. Niech pan powtórzy! Over!

– Godzina H, Bertha, Helga, Ludwig, Adolf, Bertha. Over! – powtórzył Henckel, marząc o tym, aby adiutant i cały sztab smażyli się w piekle.

Połączenie zostało przerwane. Zaspany, pomyślał, że adiutant przerwał rozmowę i zapisywał informację. Jego ręka pukała nerwowo w stół z mapami. Nic nie chciał słyszeć o wyrównaniu czasów.

– Dajcie mi jeszcze trochę pospać! – powiedział, kładąc się ponownie na ławce.

Dwóch poruczników spojrzęło się na siebie z paniką w oczach.

– Dziwny sposób przerywania rozmowy – zauważył porucznik Rothe. – Mam wrażenie, że czegoś nie będziemy wiedzieli.

– Mój Boże! Jestem bardziej trupem, niż żywym – jęczał kapitan, kiedy porucznik Rothe obudził go pół godziny później.

Wylał kubek lodowatej wody na twarz. Pomogło tylko na chwilę.

Feldwebel przeniósł najnowsze raporty Razem z obydwoma porucznikami sprawdził różne połączenia. Mozolnie synchronizowali ostrzał.

– Chodź Rothe i przeczytaj to! – rozkazał Henckel zasparym głosem.

Rzucił się na krzesło. Podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy.

– Rozkaz otwarcia ognia będzie wydany o godzinie 5.06 – czytał głośno Rothe. – O godzinie 5.12 otworzą

ogień działa 75 mm. Dwie minuty później rusza natarcie pancerne i piechota. Przed nimi na poruszać się bariera artyleryjska i poprzedzać natarcie.

– Trochę rutyny, nic trudnego. – Zauważył Henckel bez emocji, wyciągając przed siebie długie nogi.

Głośno ziewnął, tak, że szczęki niemal wypadły z zawiasów.

– Do diabła! Prawie mi wypadły. Nigdy nie myślałem, że będę chorował na śpiączkę. Dajcie mi dużą wódkę! To odświeża!

Feldwebel popatrzył pytająco na porucznika Rothe i przyniósł szklanekę wódki.

Henckel wlał do gardła sporo wódki ze szklanki. Żle mu poleciała i zaczął spazmatycznie kaszleć. Skoczył na piętach, aby uniknąć zadławienia.

– Może wolałby pan kubek kawy? – spytał Hassow ostrożnie. – Powinniśmy zachować trzeźwe głowy. Lepiej nie mieszać alkoholu do naszych zadań.

– Niech pan mnie nie poucza, poruczniku – zachrypiął Henckel.

Zażądał następnej szklanki wódki i natychmiast ją pochłonał.

Porucznik Hassów podsunął kilka dokumentów do podpisania, co kapitan uczynił bez czytania.

Rothe spojrział na kolegę z ulgą, tak jakby chciał powiedzieć:

– On tylko tyle potrafi.

– Sprawdźmy połączenia – rozkazał Henckel, kładąc



rękę na plecach felwebela łączności.

Spojrzał na zegarek. Pokazywał godzinę 4.45.

– Połącz mnie z werferami. Oni zawsze potrzebują więcej czasu niż inni.

Po krótkiej rozmowie z Nebelwerferami, dowódca zapytał o karty ogniowe i wykaz celów. Razem z porucznikami szybko prześledził rozkazy armijne. Potem rozkazał, aby połączono go z wysuniętymi obserwatorami artyleryjskimi. Były jakieś nieporozumienia z placówką w 104. Pułku Piechoty. Henckel szorstko przywołał ją do porządku, po czym natychmiast przerwał połączenie.

Zadowolony, odchylił się do tyłu i zażądał kolejnej szklanki wódki.

– Czy sądzi pan, że to mądrze? – spytał z troską Rothe.

– Jeśli będę chciał poznać pańską opinię, to pana zapytam, poruczniku! – kapitan odrzucił radę i włożył do ust długiego, rosyjskiego papierosa z tekturowym ustnikiem.

Wypił pół szklanki i przeciągnął się tak, że zatrzeszczały szwy munduru. Spojrzał na zegarek i obliczył, że zostało jeszcze osiem minut do momentu rozpoczęcia ostrzału. Przez chwilę rozważał, czy nie wziąć jeszcze kolejnej porcji wódki przed natarciem. Alkohol dodał mu optymizmu. Wybiegał w przyszłość, myślał o piekielnym ogniu, którym będzie zarządzał. To był pierwszy raz, kiedy kierował ogniem do żywych celów.

– Otworzę oczy, tym tępym głupkom – pomyślał z

satysfakcją. – Kto wie, może nawet zdobędę Krzyż Żelazny za znakomite kierowanie ogniem. Dlaczego nie?

Wlał w siebie resztkę wódki i spojrzał z pobłażaniem na dwóch młodych poruczników, stojących nad kartą celów. Wyjął kolejnego rosyjskiego papierosa. Pasowały do człowieka w mundurze. Zanim zdążył zapalić zapałkę, zabręczał nieprzyjemnie telefon. Z pełnym samozadowolenia wyrazem twarzy przejął słuchawkę od porucznika Rothe.

– Co się z tobą dzieje? – rozległ się pełen furii głos szefa sztabu. – Dlaczego nie otworzyłeś ognia, jak rozkazaliśmy?

– Otworzyć ogień? – spytał Henckel, patrząc na zegarek ze zdziwieniem. – Przecież zostało jeszcze sześć minut!

– Czyś ty oszalał! – darł się pułkownik łamiącym głosem. – Ty przeklęty głupku! Jest teraz dokładnie godzina 5.10. Mam jeszcze czekać parę minut, aż to do ciebie dotrze! Jesteś największym idiotą, z jakim miałem do czynienia! Ty, ty, ty...

W tym momencie zabrakło pułkownikowi odpowiednich słów, które mogłyby opisać stan jego ducha i opinię o koordynatorze ognia.

– Kapitanie Henckel, czy wie pan co się stało? – spytał po chwili, lodowatym tonem, gdy się trochę opanował. – Wszystkie nasze pułki pancerne ruszyły do ataku, za nimi poszła piechota. Nie ma już takiej siły, która mogłaby je powstrzymać. Czeka...

Jego głos zawisł w powietrzu, słyhać było tylko głośnie sapanie.

– Halo! Halo, halo! – krzyczał Henckel, wściekły i przerażony, że wkradła się gdzieś pomyłka czasowa.

Dziko przewracał oczami i rozglądał się desperacko. Jego arogancja gdzieś uleciała. „Czekać... ” powiedział szef sztabu. Ale co to znaczy? Czekać przy telefonie? Czy może była to groźba? Że zostanie ukarany za niedopilnowanie swoich obowiązków? Nie, to nie jest to! Ma czekać na nowy telefon!

– Co się stało? – spytał porucznik Rothe, patrząc z niepokojem na przestraszonego Henckela.

– Mój zegarek się spóźnia – powiedział głucho kapitan  
– Powinniśmy otworzyć ogień parę minut temu! Czołgi już atakują!

– My powinniśmy? – spytał Rothe, podkreślając słowo „my”. – To pan powinien to zrobić, nie ja albo Hassow. Jak może się spóźniać pański zegarek? Przecież ustalaliście wspólny czas przed wyjazdem ze sztabu? To standardowa procedura!

– Przysypiałem na stojąco – przyznał Henckel grobowym głosem – musiałem to przegapić.

– Dobry Boże – wyszeptał Hassow przerażony.

– Przecież musiał pan wiedzieć, że nie synchronizowałem czasu z resztą oficerów! – dodał Rothe z wyrzutem.

– Pamiętałem o tym, gdy tylko wyszedłem z budynku – przyznał kapitan ocierając pot z czoła.

– To dlaczego pan nie zawrócił i nie sprawdził czasu? –

spytał sucho Rothe.

– Bo mój zegarek był zawsze dokładny co do sekundy  
– odparł Henckel.

– Ale nie tym razem – powiedział Rothe. – To będą drogie minuty.

Telefon zadzwonił ponownie.

– Wszystkie jednostki artylerii na linii – powiedział telefonista, podając Henckelowi słuchawkę.

Popatrzył przez chwilę na aparat. Co do jasnego gwintu ma zrobić? Poczł pustkę w głowie. „Czekać...” powiedział szef sztabu. No jasne! To znaczyło, że ma poczekać na kolejne połączenie.

– Odbierz ten cholerny telefon! – krzyknął Rothe bez żenady. – Przecież cała artyleria czeka na rozkazy!

– Rozkazy? – spytał zmieszany kapitan.

Patrzył bezmyślnie na porucznika Rothe. Rozerwał krępujący szyję kołnierzyk munduru i pokazał zęby w trupim uśmiechu.

– Dajcie mi jeszcze trochę wódki! – rozkazał szorstko i chciwie chwycił szklanę z dłoni Feldwebela.

Ja im jeszcze pokażę! – pomyślał.

Rezolutnie złapał słuchawkę aparatu łączącego ze wszystkimi jednostkami. Nabrał dużo powietrza w płuca. Jego oczy wypełniła energia.

– Cel numer jeden! Otworzyć ogień! – darł się do mikrofonu.

Potem zarżał jak koń i odłożył słuchawkę.

– Trening z Jüterburga, rozumiecie! Wiem o tym

wszystko!

– To była jasna i pewna decyzja – zapłakał ze śmiechu porucznik Rothe. – To powinno obudzić wszystkich po obu stronach frontu.

We wszystkich działach szczęknięły zamki, a lufy skierowane zostały w czarne niebo.

Kanonierzy stali z linkami spustowymi w rękach. Dowódcy oddziałów czekali w napięciu.

Załogi Nebelwerferów oczekiwały w ziemiankach za bateriami, z palcami na guzikach zapalników, aby posłać w powietrze śmiercionośne rakiety. Tłumy ładowniczych biegały w szalonym amoku. Było bardzo cicho i ta groźna cisza jeszcze przez chwilę królowała w trakcie tego czarnego poranka.

Ciszę przerwał straszliwy ryk. Pojedyncze wystrzały dział zwały się w jeden wielki jazgot. Pociski pomknęły salwami w kierunku poranka. Cały teren został rozświetlony setkami ogni wybuchów. Wszędzie pojawiły się płomienie.

Świt został wypełniony wszystkimi możliwymi dźwiękami. Pociski, jak niekończący się pociąg ekspresowy mknęły przez niebo. Huk był tak wielki, że obsadzie punktu kontroli ognia mało nie popękały bębenki w uszach. Długi, złowrogi, podobny do organów dźwięk rozdarł powietrze i zagłuszył huk dział. Ten odgłos szarpał całkowicie nerwy.

– To Nebelwerfery – mruknął Feldwebel, nie kryjąc strachu.

– Ojcie niebieski – jęknął porucznik Rothe, rzucając pełne niepokoju spojrzenie na teren przed nim. – Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył! Niebiosa i ziemia zapłonęły! Niech Bóg pomoże tym biednym diabłom, które są po drugiej stronie!

Dziki, niekontrolowane uczucie dumy ogarnęło kapitana Henckela, gdy wystrzały z ciężkich haubic wstrząsnęły punktem koordynacji ognia. Ciężki ryk dział 320 mm ranił uszy i wprawiał w drżączkę kręgosłupy.

Szary poranek zimowy rozjaśnił się jak najbardziej słoneczny dzień lata. Wszędzie było widać błyski wystrzałów artyleryjskich. Huk eksplozji łączył się w jeden wielki trzask, który wydawał się nie mieć końca. Pocisk za pociskiem wylatywał z tysięcy luf.

Spoceni kanonierzy wpychali ciężkie pociski, ułożone na szynach załadowczych do luf swoich dział. Potem już tylko następował wystrzał.

Z daleka to wszystko wyglądało jak ściana ognia. Ziemia zamienia się w piekło ognia. Jedna grzmiąca salwa następuje po drugiej z niewiarygodną szybkością, tworząc jeden ciągły oszałamiający hałas.

Ryk i huk pocisków stawał się nie do wytrzymania. Powierzchnia ziemi rozpadała się jak szkło. Budynki waliły się jak domki z kart. Kolorowe płomienie wystrzeliwały na wzgórzach. Podmuchy powietrza wrzucały ludzkie ciała w gotujące się błoto i śnieg. Na horyzoncie świetliki ognia rozpoczęły ponownie taniec. Specjalne baterie włączyły się do bitwy. Nowe odgłosy

przewyższyły huk już strzelających dział. Pociski zapalające, spadając na ziemię, rozlewały na wszystkie strony morze płomieni. Wydawało się, że nawet powietrze płonie.

Porucznik Henckel zapalił kolejnego rosyjskiego papierosa. Był z siebie bardzo zadowolony. Pociągnął, kolejny mały łyk wódki. Sen gdzieś odpłynął. – To dobrze – pomyślał. Dobra, mądra decyzja. Klepnął z radości w ramię łącznościowca. W tak wielkim momencie, okazanie odrobiny sympatii dla zwykłego szeregowca nie było czymś złym, pomyślał.

Jego medytację przerwał dzwonek telefonu polowego. Z miłym uśmiechem podniósł słuchawkę i był zadowolony, że zrobił to, czego od niego oczekiwano.

– To była zabawa dla dzieci – powiedział do siebie.

Trenował to przecież setki razy w szkole artylerii.

– Tu koordynator ognia! – szczechnął szorstko w słuchawkę i groźnie zmarszczył twarz.

– To ty Henckel? – doleciał do niego głos dowódcy artylerii, pułkownika Grüna.

– Tak jest, panie pułkowniku! To ja, Henckel! – zniżył grzecznie głos.

– To ty dałeś rozkaz otwarcia ognia?

– Tak jest! – odparł kapitan z dumą, pewien, że Krzyż Żelazny jest już w drodze.

Nastąpiła krótka, lecz znacząca przerwa w rozmowie.

– Kiedy dałeś rozkaz otwarcia ognia, Henckel?

– Dokładnie sześć minut temu – odparł z dumą

Henckel.

– Sześć minut temu! I rozkazałeś strzelać wszystkim jednostkom?

– Oczywiście, panie pułkowniku. Szef sztabu myślał, że mój zegarek trochę się spóźnia.

– I tak było, kapitanie? – pułkownik mocno podkreślił stopień Henckela.

– Byłem pewien, że szef sztabu się myli. Ufam mojemu zegarkowi, nigdy mnie nie zawiódł i dałem rozkaz otwarcia ognia. Mógłby pan powiedzieć, że podjąłem szybką decyzję. – roześmiał się Henckel z satysfakcją.

– Podjąłeś szybką decyzję! – Grün wypowiadał każde słowo bardzo powoli. – A co rozkazał ci szef sztabu, kiedy rozmawiałeś z nim przez telefon? Jakie było jego ostatnie słowo?

Wydawało się, że Henckelowi zamarzła krew w żyłach. Chciał w tym momencie rzucić słuchawkę telefonu i uciec. Uciec daleko w step, do Rosjan. Ukryć się, aby zapomniano o nim do końca wojny. Nawet w obozie koncentracyjnym. Czuł jakby śmierć była po drugiej stronie linii telefonicznej.

– Ostatnie słowo szefa sztabu brzmiało „czekaj” – wyjąkał.

Nagle zrozumiał wszystko.

– Tak, czekać! – wydarł się pułkownik dzikim głosem.

Jego poprzedni spokój znikł zupełnie.

– Czekać! Czekać! Czekać! Ty nieprawdopodobny głupcze! Czy zdajesz sobie sprawę, co narobiłeś? Grupy



pancerne i piechota zaatakowały, tak jak przewidziano. Nie było takiej siły na ziemi, która by je zatrzymała! Doszli już do pierwszych celów ataku, gdy ty otworzyłeś ogień! Sześć minut za późno! – krzyczał pułkownik. – Podjąłeś szybką decyzję! Wbiłeś nasze oddziały w ziemię! Zmasakrowałeś je! Rosyjska artyleria nie zrobiłaby tego lepiej! Nie wiem, co oni teraz myślą! Twoja szybka decyzja posłała cały korpus armijny do piekła! Czy przyznajesz, że szef sztabu wydał jasny rozkaz? Czekać!

– Musiało nastąpić jakieś nieporozumienie, panie pułkowniku – wyjąkał słabym głosem przerażony koordynator. – Myślałem, że mam czekać przy telefonie.

Pułkownik Grün wziął głęboki oddech. Gdyby Henckel był przy nim, to by go udusił.

– Czekać przy telefonie! – zaśmiał się chłodno pułkownik. – Czy ty myślisz, że jesteś chłopcem na posyłki! Jüterburg rekomendował cię na stanowisko koordynatora ognia. Zapłacą za to! Słuchaj uważnie, kapitanie Henckel. Nie chcę już żadnych nieporozumień. Przekażesz natychmiast komendę porucznikowi Rothe. Nie wtrącaj się w to, co się będzie działo! Umieść się pod aresztem i siedź w kącie, aż przyjedzie po ciebie mój adiutant. Przekaż pistolet porucznikowi Rothe! Pamiętaj, że jesteś aresztowany! Nie próbuj rozwiązywać problemów za pomocą pistoletu!

– Jestem oficerem – bronił się Henckel. – Proszę pozwolić mi ponieść konsekwencje tego, co się stało!

Jestem oficerem!

– Tym bardziej szkoda – warknął pułkownik. – Będziesz zaskoczony, gdy się dowiesz, co dowódca piechoty myśli o tobie. Dowódca pułku czołgów, pułkownik Hinka, już do mnie dzwonił. Chce twojej głowy! Wymordowałeś dwie trzecie jego ludzi! A ja chcę, żebyś stanął przed sądem wojennym! Ty nieprawdopodobny głupcze! Daj mi do telefonu porucznika Rothe!

W kompletnej ciszy Henckel przekazał słuchawkę porucznikowi.

– Tak jest! – powiedział Rothe – Tak jest!

Cicho odłożył słuchawkę.

Patrzył kamiennym wzrokiem na kapitana Henckela, który usiadł na stołku i ukrył twarz w dłoniach, kołysząc ciałem na boki.

– Rothe, zostałem zwolniony – powiedział głucho. – Jestem aresztowany. Ty jesteś dowódcą. To mój pistolet.

– Takie były rozkazy pułkownika – mruknął smutno Rothe – Ale co się stało?

– Strzelaliśmy do naszych oddziałów. Zmasakrowałem cały korpus!

– Niech Bóg ma litość nad tobą – wyszeptał przerażony porucznik Hassow.

– Rothe, pomóż mi! Daj mi pistolet! – prosił Henckel, rozkładając ręce w błagalnym geście.

Porucznik spojrzał na niego, potem na pistolet, ale w tym momencie otworzyły się z chrzęstem drzwi i wpadł

przez nie adiutant. Jak zwykle, cyniczny uśmiezek błąkał się na jego ustach.

– No, no, no! To tutaj mamy wielkiego specjalistę z Jüterburga! – krzyknął szyderczo, gdy spojrział na Henckela. – Dowódca dywizji bardzo stęsknił się za tobą i chce zedrzeć z ciebie pasy. Dlaczego nie mogłeś poczekać na rozkaz otwarcia ognia? Nawet idioci wiedzą, że nie otwiera się ognia z sześciominutowym opóźnieniem! Mój Boże! Ale bajzlu narobiłeś! Mam nadzieję, że zabiorą cię z dywizji, nim dowódcy czołgów i piechoty cię dopadną. Uduszą cię twoimi własnymi flakami.

– To nie była moja wina! To było nieporozumienie! – jęczał Henckel, a łzy kapały mu na mundur.

– Będziesz miał czas, aby to wyjaśnić przed sądem wojennym – zaśmiał się szyderczo adiutant. – Jedyna szansa to pochylić głowę. Jeśli cię nie oszczędzą, dostaniesz dziesięć kulek.

– Daj mi moją broń boczną – błagał kapitan, chwytając ramię adiutanta.

– A dlaczego? – roześmiał się oficer. – Nigdy przedtem nie chciałem zobaczyć człowieka stojącego przed sądem wojennym. Teraz jest to moje największe życzenie!

Wkrótce potem przybył pułkownik Grün w towarzystwie dwóch żandarmów i nadinspektora tajnej policji polowej.

– Zabrać go! – polecił z niechęcią pułkownik – Jego widok wywołuje u mnie mdłości.

Kajdanki zatrzasnęły się na rękach kapitana. Opuścił punkt koordynacji ognia, między dwoma wielkim żandarmami, jak szmata do czyszczenia butów do konnej jazdy.

*Żołnierze są mieszkańcami szarego ładu śmierci.*

## Siegfried Sassoon

*Kapitan NKWD ześlizgnął się z krzesła i przysiadł na kolanach, z szeroko rozrzuconymi nogami, pośrodku kałuży krwi. Ciemne okulary zsunęły mu się na nos, a oczy gorączkowo śledziły otoczenie. Czapka z niebieskim otokiem i wielką czerwoną gwiazdą przechyliła się na jedno oko. Lewa ręka wisiała bezwładnie, a po palcach ściekała krew. W prawej ręce trzymał nagan, którym lekko wymachiwał. W zamkniętej przestrzeni huk wystrzału zabrzmiał jak wystrzał z wiwatówki.*

*Porta strzelił do niego z półobrotu. Cztery kule trafiły w ciało oficera, które zaczęło drgać spazmatycznie. Czapka spadała i potoczyła się po podłodze. Okulary podskoczyły w przedziwny sposób i wylądowały ponownie na nosie.*

*Porta i Rosjanin wystrzelili niemal jednocześnie. Duża niebieska waza roztrysnęła się na kawałki, strumień wody poleciał na podłogę. Porta jeszcze raz nacisnął spust i oficer zwinął się w kłębek.*

*– Job twoju mać! – wyszeptał Rosjanin i podniósł nagana.*

*Porta próbował kopnąć go w rękę, ale poślizgnął się w kałuży krwi i przejechał na plecach przez kawałek podłogi.*

*Rosjanin zachichotał. Potem z jego gardła dobyło się*

*charczenie.*

*Porta leżał na podłodze i patrzył na wylot lufy nagana.*

*Mały przechylił się przez biurko. Niemal leżał na jego blacie, z lufę mauzera przyłożoną do szpakowatej głowy Rosjanina. Nacisnął spust. Głowa oficera eksplodowała jak dojrzały arbuz. Mózg, krew i kości poleciały w stronę ścian i sufitu. Czarne okulary pofrunęły w powietrzu i wylądowały przy drzwiach. Więzień w szarym drelichu zmiażdżył je obcasami.*

*– Hurra! – krzyknęła gromada skazańców.*

*Jeden po drugim podchodzili i kopali drgające ciało oficera NKWD.*

# Rozdział 4

## Więzienie NKWD

– Sprzęt gotowy? – spytał Stary, rozglądając się po naszych pozycjach. – Mieście uszy otwarte, wy nasiąknięte wódką worki i nie przeszkadzać! Mamy ruszyć zaraz za ruchomą barierą artyleryjską. Zmiotamy wszystko, co napotykamy na drodze. Jeśli ostrzał nie zniszczy albo zmiękczy obrony wroga, to my mamy to zrobić za pomocą granatów i broni automatycznej. Przez kilka minut nasi sąsiedzi nie będą wiedzieli, jakie gówno im wypadnie z nocnika. Musimy zrobić to szybko i założyć im ten nocnik na głowy. Widzicie te zabawne krzaczki, przy tym drzewie ze ściętym czubkiem?

Podał Porcie lornetkę, chociaż dziwne krzaki były widoczne gołym okiem. Miały kształt siedzącego konia.

– Co w nich jest takiego zabawnego? – spytał Gregor przejmując lornetkę od Porty.

– Mają tam armatę kalibru 50 mm, wkopaną mocno w ziemię. – wyjaśniał Stary, wydmuchując dym fajkowy z płuc. – Około 300 metrów dalej jest grupa dział 76 mm, też okopana. Kobiety. Ale nie popełnijcie błędu. To są baby z oddziału liniowego. Trzeba je więc rozwalić! Zostawcie je żywe za plecami, a załatwią was jak amen w pacierzu!

– Wyślemy je do piekła i naprzód – pozwiedzał z

przekonaniem Porta.

– Przed tym uszkodzonym drzewem leżą zwłoki czterech naszych – kontynuował Stary. – Widzicie je? Możemy użyć ich jako osłony, gdy będziemy czekali na rozpoczęcie ataku. Jeśli przeciwnik zobaczy koło nich ruch, pomyśli, że to efekt po wybuchu.

– A co będzie, jak te cipy w mundurach nie dadzą się ogłupić? – wtrącił się Mały. – I zorientują się, że te ciała są pełne germańskiego życia, to co wtedy?

– To sobie sam załatwisz paszport do królestwa niebieskiego prawda? – szybko oznajmił Stary. – Bo nie będziesz mógł pójść do przodu ani się wycofać!

– To powinna być niezła wyprawa. Nawet struś by się spocił ze strachu. – mruknął Gregor z powątpiewaniem.

Sprawdzał ostrożnie teren używając lornetki.

– Ci chłopcy wybrali dobre miejsce, aby wyciągnąć kopyta. Musieli mieć nas w mózgach, gdy to robili!

– To pochrzaniona armia. Powinni zwracać pieniądze – powiedział Albert cierpko. – Nawet gdy jesteś martwy, oni jeszcze nie skończyli z ciebie korzystać.

– Wystawiają nas do wyścigów, czy co? Jesteśmy dla nich jak wiadro z gorącym gównem – powiedział Barcelona – Kopnij się w tyłek i zamknij jadaczkę, aby ci gówno nie wyleciało ustami.

– Spokój będziemy mieli, dopiero wtedy, gdy będziemy zimni i sztywni – ciągnął dalej Albert oburzony.

– Kiedy będziesz już sześć stóp pod stokrotkami, to



sprowadzą ci skrzypki, fujarki i zaczną śpiewać o honorze i dumie – zaśmiał się Porta, rozkładając szeroko ręce. – Gdy jesteś żywy nikt o nas nie śpiewa. Tylko wtedy, gdy jesteś na tyle tępy, że nie schodzisz z drogi kuli, bo chcesz popełnić samobójstwo.

Przed natarciem, wszyscy coraz mocniej ściskaliśmy broń, z powodu tego straszego, śmiertelnego strachu, który poprzedzał każdy atak. Warczeliśmy jeden na drugiego bez najmniejszego powodu. Usta nasze przypominały cienkie, blade kreski. Oczy mieliśmy puste i świecące. Żołądki kurczyły się ze strachu.

Stary spoglądał na nas przez cały czas, tylko czasami kontrolował przedpole za pomocą lornetki.

– Czy dotarło do was to, co mówiłem – spytał, sprawdzając pistolet sygnałowy.

Nieczytelny pomruk był jedyną odpowiedzią.

– Czy ktoś chce porzucać kośćmi? – spytał Porta potrząsając nimi w zamkniętej dłoni.

Nikt nie kłopotał się odpowiedzią. Patrzyliśmy jeden na drugiego, wiedząc, że dla wielu z nas jest to ostatni poranek. Ilu z nas tym razem zginie? To pytanie krążyło bez słów, gdy rozglądaliśmy się dookoła. To nie będzie żaden z nas. Zawsze tak myśleliśmy z otuchą. I byliśmy zaskoczeni, gdy znowu ktoś od nas zginął.

Lista ludzi, których zabrakło jest bardzo długa. Bardzo długa! Kilku z nas było razem ze sobą już od dawna i wydaje się, że nauczyliśmy się wybierać drogę pomiędzy ostrymi jak nóż szrapnelami. Żyliśmy cały czas o

milimetry od śmierci.

Długi, przenikliwy gwizdek zmusił nas do skoku. Calowej długości rysa pojawiła się na czole Gregora. Krzyknął i przewrócił się na plecy. Przez chwilę wydawało się, że dostał, ale po kilku nerwowych minutach zamrugał oczami.

– Na moce piekielne – mruknął pod nosem, wykrzywiając twarz z bólu. – Nie lubię obrywać!

– Było blisko – powiedział sanitariusz, podoficer Jarmer, bandażując fachowo ranę. – Miałeś szczęście. Ta kula już traciła impet, gdy cię pocałowała.

– Czuję się jakby nadal pukała, aby wyjść ze środka głowy na zewnątrz – jęczał Gregor, trzymając ręce na skroniach.

Obok nas przeszedł major Zaun, prowadząc swoich saperów. Klęli i bluźnili niosąc ciężki ekwipunek. Mieli specjalne miotacze płomieni, ciężkie same w sobie, a do tego targali jeszcze skrzynki z materiałem wybuchowym i zwoje przewodów.

Obergefreiter z brutalną twarzą zerwał pokrywę ze skrzynki z ładunkami. Porta i Mały wzięli sobie po kilka.

– Co to jest, ludzie? – spytał Albert, zdziwiony, pochylając się nad skrzynią pełną pudełek wielkości mydła.

– Wyleciałyby w powietrze ta twoja czarna skóra – zaśmiał się Obergefreiter. – Spróbuj tego użyć, to zrobisz się jasny, kolego!

– Gówno z tym – warknął Albert i szybko odszedł.

– Zostało pięć minut do ataku – oznajmił major.

Jego szorstka sylwetka była dowodem udziału w wielu natarciach. Usta miał tak wykrzywione, jakby przeszły przez maszynkę do mięsa.

Stary poprawił pasek hełmu na brodzie i wcisnął parę granatów o kształcie tłuczka do kartofli w cholewy butów.

– Przygotować się, panowie – powiedział cicho.

– Nie zawieź nas, Obergefreiter – wydusił z siebie lekko gburowato major. – Wiele zależy od pana ludzi.

Saperzy przygotowywali długie rury z ładunkami wybuchowymi. Drugą ręką wszyscy sprawdzali zegarki.

– Gdzie do diabła są te działa? – pytał zaniepokojony Barcelona, niespokojnie oglądając się przez ramię.

– Jak zwykle – zaśmiał się Porta. – Znowu pojedynek bata z gołym tyłkiem. W tej cholernej armii nigdy nic nie idzie normalnie. Ci kulisi z artylerii będą smacznie spali, gdy będziemy potrzebować ich wsparcia.

– Co się do diabła dzieje? – spytał zaniepokojony nie na żarty major.

Od godziny H plus jeden do godziny H plus siedem, miała być zapa artyleryjska. Teraz jest godzina H plus osiem.

Porównał czas na swoim zegarku i zegarkach Starego oraz Feldwebela Brandta.

– W porządku – oznajmił zatroskany.

– Coś jest nie tak, ale dlaczego nie wysłali żadnej informacji?

Od strony więzienia doszedł huk eksplozji pocisków 122 i 150 milimetrowych. Eksplozje wyrywały z korzeniami drzewa w pobliskim lesie.

– Przygotować się do ataku! – rozkazał szorstko major i ściągnął z pleców pistolet maszynowy.

– Nie możemy atakować bez wsparcia artyleryjskiego!  
– zaprotestował gwałtownie porucznik Gernert.

– Jeśli będę potrzebował pańskiej rady poruczniku, to zapytam – oznajmił złośliwie major. – Godzina H plus dziesięć. Atakujemy według rozkazu!

– To szaleństwo! – próbował dalej protestować porucznik. – Idziemy na rzeź jak bydło! Nie zdobędziemy tego więzienia bez wsparcia artylerii! Próbowaliśmy niezliczoną ilość razy!

– Dla Boga i pruskiej armii nie ma rzeczy niemożliwych – powiedział flegmatycznie Porta. – Paluchy do góry i wytoczmy się na step! Dla Führera i Rzeszy! Heil!

– Zawsze zastanawiam się, czy Bóg był w dobrym, czy złym nastroju, gdy wypuszczał nas na ten zafajdany świat jako Prusaków? – zaśmiał się nosowo Mały.

– Powinieneś być dumny, że jesteś Niemcem – ogłosił patriotycznie Heide, uderzając się w pierś.

– Mam nadzieję, że po tej bitwie nadal będziesz dumny – uśmiechnął się kwaśno major.

Heide posłał mu pogardliwe spojrzenie i mruknął pod nosem parę lepkich słów.

– Czas! – rozkazał Stary i dmuchnął w gwizdek.

Sylwetki w białych strojach kamuflujących zaczęły pokazywać się na śniegu. Ruszyły naprzód szybkim marszem.

– Do przodu! Naprzód! – nawoływał major przenikliwym głosem.

Pomimo swoich pięćdziesięciu lat, poruszał się jak młodzieniaszek. Nacierał energicznie przez głęboki śnieg, trzymając w jednej ręce empi, a w drugiej ładunek wybuchowy.

Z wyrzutni harpunów wyleciały zwoje lin i z sykiem wspinały się po klifowym wzgórzu. Pierwsze grupy szturmowe zaczęły się wspinać. Flary magnezowe rozświetliły niebo. Z obu stron frontu pojawiły się ogniki wystrzałów.

– *Allah Akbar! Vive le mort!* – krzyczał mały Legionista fanatycznie, opanowany szałem bojowym, który zawsze go dopadał w trakcie natarcia.

Wtoczyłem się na drut kolczasty i załapały mnie jego zadziory. Rozdarły mi płaszcz zimowy i doszły prawie do skóry. Gorączkowo szukałem nożyc do drutu, ale nie mogłem ich znaleźć. Gdzieś musiały mi wypaść. Opanowało mnie przerażenie. Desperacko rozglądałem się za swoimi towarzyszami. Gdzieś znikli, bo nisko pochyleni posuwali się do przodu. Najgorsza rzecz w czasie natarcia, to pozostać z tyłu, bez wsparcia swoich. Na razie mieliśmy inicjatywę, ale to może zmienić się w każdej chwili. W ciągu minuty. A wtedy niech Bóg pomoże tym, którzy zostaną odcięci. Kula w plecy, albo

coś jeszcze gorszego!

– Ale się zaplątałeś! – roześmiał się Barcelona, klękając obok mnie. Szybkimi cięciami nożyc pociął krępujące mnie druty. Opadły na śnieg z obu stron.

Zaraz potem znalazłem się w jednej dziurze z Portą i Małym.

– Gregor jest trochę przed nami – powiedział Porta, wskazując w smolistą ciemność – Musimy do niego dołączyć. A ty musisz otworzyć drzwi granatami!

Mieliśmy nie więcej niż siedemdziesiąt metrów do okopanego działła, które było prawdę mówiąc świetnie zamaskowane. Nie było go widać nawet w świetle flar.

– Oni się chyba pospali – wyszeptał Mały zgorzony, wyciągając szyję ponad krawędź leja w którym leżeliśmy. – Cholerne dupki, już nigdy więcej do nas nie strzelą.

– Rzucać granaty – rozkazał Gregor chropawym głosem, biorąc wielki zamach.

No i poleciały, koziółkując w powietrzu dotarły do rosyjskiej placówki. Porta i Mały podali nam następne granaty.

Bolało mnie całe ramię. Dzięki specjalnej technice rzutu, którą trenowaliśmy z Gregorem, oraz dużej porcji siły, umieliśmy posyłać granaty na imponujące odległości. W rzut trzeba było zaangażować całe ciało. Było to jednak szczególnie trudne, gdy rzucało się z pozycji leżącej. Wtedy wydaje się, że część ciała leci razem z granatem.

Nasze dwa pierwsze granaty trafiły w stos amunicyjny.

Eksplozja godna była niezłego wulkanu. Długolufowe działo wyleciało w powietrze razem z całą obsługą. W oślepiającym tumanie śniegu Stary znowu znalazł się na czele naszej grupy.

– Wstawać, cholernicy! – krzyczał szaleńczo, chcąc jak najszybciej dotrzeć do rozbitego stanowiska Rosjan.

Ruszyliśmy na złamanie karku, biegnąc przez głęboki śnieg. Byliśmy już daleko od naszych pozycji. Musieliśmy dopaść Ruskich, nim oprzytomnieją i użyją przeciw nam tego, co im pozostało.

Mały biegł jak rozwścieczony słoń. Wymachiwał nad głową zaostrzoną saperką, tnąc wszystko w dzikim szale.

Przedarliśmy się przez zasieki i w ciągu pięciu minut wysadziliśmy w powietrze ziemiankę i wszystkie dołki strzeleckie. Przetoczyliśmy się przez pozycje wroga jak fala sztormowa.

W świetle flar zobaczyłem, jak major i jego saperzy za pomocą miotaczy płomieni atakują pozycje artylerzystek, które uciekały ze swoich ziemianek. Z wyciem pojawiały się długie języki ognia. Wszędzie unosił się smród płonącego oleju i przypieczonych ciał.

Po zajęciu pozycji wroga zrobiliśmy sobie krótki odpoczynek. Czuliśmy, że nasze klatki piersiowe są za małe dla rozdętych płuc. Pomimo przeraźliwego zimna, wszyscy byliśmy przesiąknięci potem. Rozpinaliśmy kołnierzyki mundurów, myśląc tylko o jednym: „powietrza"! Śnieg wokół nas był usłany poskręcany, poczerniałymi i krwawymi ciałami. Płomienie syczały i

bulgotały, gdy trawiły ciała zabitych.

– Gdzie do diabła jest ta artyleria? – krzyknął gniewnie Stary.

– Już jedenaście minut po czasie – zamruczał porucznik Gernert.

– Wszystko, czego nam teraz potrzeba, żeby otworzyła ogień, gdy będziemy na pozycjach wroga – przepowiadał ponuro Barcelona.

– Chyba nie będą tak szaleni! – zawołał przestraszony Gregor. – Przecież muszą wiedzieć, gdzie jesteście.

Dreszcz przerażenia zaczął pełzać wzdłuż naszych kręgosłupów. Najgłupsza rzecz, która mogła nas teraz spotkać, to ogień naszej artylerii, spadający prosto na nas.

– *Merde, aux yeux*, wynośmy się stąd, ale szybko – zaproponował Legionista, patrząc się pytająco na Starego.

Przez tumany wzbijanego kołami śniegu przebijała się kompania motocyklistów.

Ich dowódca, szpakowaty kapitan, machał do nas rękami i krzyczał coś, czego nie mogliśmy zrozumieć.

– Chrzanie tę cipę! – zgrzytnął zębami Mały. – Każdy dupek z pistoletem próbuje nam rozkazywać. Tak jeszcze źle nie było! Cały czas jesteście sobą, prawda?

– Naprzód! Naprzód! – krzyczał kapitan, pokazując gołą dłoń, że powinniśmy być już dwa razy dalej.

Roześmialiśmy się bezczelnie, udając, że nie rozumiemy o co mu chodzi. Z gorzkiego doświadczenia wiedzieliśmy, że możemy zostać wpakowani w coś gorszego, niż się spodziewamy. Mogli nam dać taką



robotę, która śmierdział tylko heroizmem i Walhallą.

– Nie ruszę się ani na krok, bez wsparcia artylerii, *paniatno?* – zdecydował kategorycznie Porta.

Wyłowił resztkę salcesonu z plecaka.

– Nawet Adolf na czele wszystkich psychicznych czubów nie ruszyłby na komunistyczne więzienie bez wsparcia artylerii!

Niezwykłej mocy eksplozja przerwała jego monolog. Skoncentrowany ogień artylerii zaczął spadać przed i za nami. W czasie dosłownie paru sekund ostrzał zamienił się w istny tajfun stali i ognia. Wydawało się, że cała ziemia poleciała do nieba i spadła z powrotem z ogromnym łoskotem. Od północnego wschodu do południowego zachodu, cały horyzont płonął.

Podmuchy wybuchów rzucały nami jak piłkami futbolowymi. Próbowaliśmy zaczepić się czegoś rękami i nogami.

Potężna salwa trafiła w ziemiankę centrum łączności. Deski, belki, kable telefoniczne, obdarte ludzkie ciała zostały wyrzucone w powietrze jednym wielkim podrzutem eksplozji. W innym miejscu pociski uderzały w uprzednio zniszczone pozycje, dokonując jeszcze większej masakry. Cały teren zamienił się w potworne wysypisko śmieci.

Trochę za nami pociski uderzyły w ziemiankę ordynansów, zmieniając ją w kocioł z gotującą się krwią i kośćmi.

Pociski spadały nieustannie. Tam, gdzie była kompania

miotaczy ognia, obecnie była kraina dymiących dołów i ekwipunku obryzganego krwią zabitych. Z niewiarygodną siłą ogień artylerii orał teren w kierunku wzgórz. Wyrzucał ludzkie ciała w powietrze, aby spadły na ziemię z powrotem, w postaci nierozpoznawalnych krwawych strzępów. Nowy huk przewyższył odgłos dział. Zasłona ognia zbliżała się do nas jak walec parowy.

Spanikowani Niemcy uciekali ramię w ramię z Rosjanami, ale dopadł ich niszczący wszystko deszcz pocisków. Gejzer porozrywanych ludzkich ciał poleciał pod niebo. Poranieni ludzie krzyczeli rozdzierająco, ale na razie nikt im nie mógł pomóc. Cały teren zamienił się w trudne do wyobrażenia piekło. To było jak koniec świata.

Ogłuszający ryk dział 105 i 150 mm rzucił nas ponownie twarzami w śnieg. Łańcuch eksplozji zmienił w parę sekund nacierające kompanie za pomocą deszczu ognia w mieszankę krwi i zmielonego mięsa.

Podniosłem ostrożnie głowę i próbowałem stanąć na nogach.

– Kładź się! – krzyknął ostrzegawczo Stary, staczając się do dymiącego jeszcze leja po wybuchu.

Nowy deszcz pocisków targnął ziemią, jakby zaczęło się trzęsienie ziemi. Całe powietrze wypełnione było rozgrzanymi do czerwoności szrapnelami. Pociski ryły każdy metr gruntu.

Stary wyrwał z rąk porucznika Gernerta raketnicę i wystrzelił w powietrze flarę sygnałową. Ale ogień trwał

bez przerwy. Stary wystrzelił drugą racę i zaczął przeklinać naszą artylerię. Teraz zdaliśmy sobie sprawę, że znaleźliśmy się pod ostrzałem naszych dział.

Mielący wszystko na proszek ogień przesuwiał się powoli w stronę pozycji rosyjskich, które teraz zajęte były przez Niemców. Pociski zaczęły spadać za plecami nacierających oddziałów. Co chwila w powietrze wylatywało jakieś ciało i śnieg. Ciemne chmury się rozstąpiły i ukazały długie, kipiące morze ognia.

W przeciągu sekundy wyglądało to tak, jakby olbrzymia pięść stuknęła w worek śmieci i w powietrze wyleciały domy i drzewa.

Z nerwów i przerażenia zaczęliśmy skamleć i wyć. Ze strachem patrzyliśmy na długie smugi ognia, poruszające się jak komety przez niebo w kierunku wzgórz. Las czerwonych grzybów podnosił się od ziemi. Rakiety wbijały się w teren przed nami.

Radziecka ciężka artyleria przyłączyła się do piekielnego koncertu. W powietrzu dało się słyszeć zgrzyt zderzających się pocisków. Grad stali spadał na ziemię. Nic nie mogło ocaleć. Pokryty szadzią las, który rósł na otaczających nas wzgórzach, po prostu znikł bez śladu, jak zarost ścięty brzytwą z policzka. Pozostały gdzieś tam tylko końcówki pniaków.

Powoli piekielny ogień przesuwiał się do przodu, niszcząc wszystko na swojej drodze. Nic nie mogło ujść przed zniszczeniem.

Cały teren był nierozpoznawalny. Tak, jakby pijany

rolnik zaorał ziemię wzdłuż i wszerz. Wszystko było przewracane do góry nogami. Wszędzie naokoło ciała i ten wrzask rannych.

Jak tylko wyszliśmy z kryjówek, nowe dźwięki wypełniły powietrze. Jakby miliony pustych puszek po oleju zaczęło o siebie uderzać.

Wielka płachta ognia wystrzeliła przed nami i ogłuszająca eksplozja wstrząsnęła ziemią.

Julius tylko pisnął ze strachu i zakopał się w śniegu obok Porty.

Porucznik Brandt wyczołgał się z na wpół rozwalonej ziemianki, z twarzy ciekła mu krew. Bez jednego słowa położył się między nami.

Cała kompania piechoty szukająca schronienia wyleciała w powietrze. Gdy znalazła się z powrotem na ziemi przypominała mieszankę krwi i strzępów mięsa.

– Niech bóg w niebiosach ma dla nas odrobinę litości!  
– modlił się histerycznie porucznik Gernert. – Ci przekłeci głupcy otworzyli ogień za późno!

Przerwał mu paskudny gwizd, po którym zostało mu tylko pół twarzy. Hełm został rozdarty, jakby był puszką konserw. Jak przebity balon, zapadł się w kałuży krwi.

– Rosjanie! Ruscy nadchodzą! – krzyczała grupa grenadierów z przerażeniem.

Uciekali ze wzgórz, jakby diabeł im siedział na plecach.

Barcelona posłał długą, dudniącą serię, myśląc, że to Sowietci.

Zerwałem granat z pasa, wyciągnąłem zawleczkę i rzuciłem nim przed siebie.

Działko przeciwpancerne zaszczechało morderczo i przyłączyło się do grzechotu ciężkiego karabinu maszynowego.

– Teraz robi się prawdziwa rzeźnia – powiedział ze szklanymi oczami Porta i przycisnął mocniej do ramienia kolbę erkaemu.

Przed nami zamajaczyły w śmiertelnej mgle sylwetki z czerwonymi gwiazdami na hełmach.

– Hurra! Hurra! – doleciały do nas chropawe okrzyki, gdy odziane w mundury khaki hordy były wypluwane z młyna i pobliskich wzgórz.

Gorączkowo przygotowywaliśmy broń maszynową. Ręczne granaty poleciały jak deszcz w stronę nadciągającej fali Rosjan.

Radiotelegrafista siedział przez swojej łącznicy i darł się w niebogłosy do mikrofonu. Ale linia była zerwana, kable zostały przecięte już dawno. Ze złością kopnął milczący telefon.

– Artyleria musi nas osłonić! – powiedział pułkownik Hinka, gdy pojawił się na naszych pozycjach z całym sztabem. Był uzbrojony w karabin i empi.

– Poślemy belfra, tego srającego atramentem dupka – zaproponował Mały i roześmiał się głośno, bo pomyślał, że powiedział coś zabawnego.

– Odbiło ci pod skorupą! – rzucił Porta. – Nie zatrzymałby się nawet nad brzegiem Atlantyku!

– On nie żyje – zaśmiał się Gregor, patrząc na byłego nauczyciela, którego ciało było oparte o wystającą skałę.

– Ty nie żyjesz! – ryknął Mały i dziobnął go bagnetem.

– Zostawcie mnie samego – zapiszczał belfer z desperacją. – Co ja takiego zrobiłem, że muszę przez to wszystko przechodzić? Pomóżcie mi towarzysze! Pomóżcie!

– Zamknij paszczę, ty tchórzliwa świnio! – warknął szorstko Stary.

Gdy to mówił, otworzyło się niebo. To tak jakbyśmy stanęli u wrót piekieł. Ogień ciężkiej artylerii spadł z rykiem na ziemię. Pociski kalibru 210 mm spadały tak blisko siebie, że było nie do uwierzenia, by ktoś mógł przetrwać tę nawałnicę. Powoli eksplozje zamieniały się w jeden wielki grzmot, który zatykał nam płuca.

Szeregi atakujących Rosjan zostały dosłownie zmyte deszczem ognia i stali. Zataczający się rosyjski żołnierz wyłonił się z chmury dymów siarkowych. Miał rozerwane całe podbrzusze. Za nim ciągnęły się wnętrzności. Po chwili zniknął w fontannie płomieni.

Grupa bezbronnych żołnierzy przyległa do ziemi z przeraźliwym krzykiem. Jeden straszliwy podmuch powietrza i zamienili się w sieczkę fruującą w burzy ognia.

– Naprzód! – pokazał pułkownik Hinka swym ocalałym ramieniem.

Brnęliśmy przez martwe ciała i jęczących rannych, ślizgając się na kawałkach surowego mięsa i resztkach

ludzkich. Na chwilę schowaliśmy się za stertą ciał. Powiększała się ona z minuty na minutę.

– Naprzód! – krzyczeli bezskutecznie dowódcy kompanii i plutonów.

Wystarczyło tylko wstać, aby przenieść się na drugi świat w postaci papki.

Szaleńczy deszcz wielkich eksplozji toczył się po stokach wzgórz jak erupcja wulkanu. Nieprawdopodobnie skoncentrowany ogień artylerii spadał na nas, zamieniając wszystko w proch i popiół. Piekło całowało ziemię! Trujące, omdlewające chmury gazów wydobywały się z wrzących po wybuchach kraterów.

Gigantyczne wzgórze z górującym na nim więzieniem przyjmowało nieustannie niezliczone ilości pocisków z ciężkich dział.

Nie wiem jak długo leżałem obok ubranego w mundur kamuflujący żołnierza, nim zdałem sobie sprawę, że to Rosjanin. Leżeliśmy przytuleni do siebie, starając schronić się przed deszczem rozgrzanego metalu. Wyglądało to, jakby wszystkie moce zła zostały spuszczone ze smyczy jedną konwulsją wściekłości.

Młyn na szczycie pierwszego wzgórza zniknął w chmurach śniegu, ziemi i ognia. Całkowicie zmielony! Gdy ostrzał przeniósł się trochę dalej, pozostały z niego tylko dwa kominy, sterczące oskarżycielsko na tle nieba.

Spojrzałem nerwowo na Rosjanina, a on ze strachem w oczach patrzył na mnie. Był to mały facecik wsadzony w za duży przynajmniej o dwa numery mundur. Ostrożnie

uśmiechnęliśmy się jeden do drugiego. Delikatny, strachliwy uśmiech. Jakbyśmy bez słowa sobie obiecali: „Jeśli ty nie zabijesz mnie, ja nie zabiję ciebie”.

Przez chwilę zaległa złowroga cisza. Jakby działa nabierały głębokiego oddechu, przed rozpoczęciem kolejnej kanonady.

Przed i za nami błyskały płomienie w szaleńczym, diabelskim tańcu. Ze wszystkich stron dochodziły jęki i krzyki rannych. Gdzieś z oddali zaczął docierać do nas kolejny ryk. Zbliżał się do nas błyskawicznie, tak jakby ziemia przewracała się do góry nogami. W powietrzu koziółkowały ciała, które spadały na ziemię z głuchym młaśnięciem.

Czwarta sekcja została wessana w trąbę powietrzną. Wysoko w powietrzu ludzie służący w niej eksplodowali i zamieniali się w mgłę złożoną z krwi, kości i kawałeczków mięsa. Rzeka przypominała gotujące koryto. Grube na metr kawałki kry fruwały w powietrzu i lądowały daleko od brzegu. Dolna połowa jakiegoś żołnierza wyleciała z różowo-żółtego piekła. A gdzie reszta?

Wyglądał niemal komicznie. Para butów i spodni biegła po topiącym się od temperatury śniegu.

– To nerwy – powiedział Heide, który zawsze wszystko wiedział.

– Dla Führera i Rzeszy! – zakrakał Porta, gdy bezpieczeństwa nogi utonęły w mieszaninie śniegu i krwi.

Wielki pocisk eksplodował w połowie długiego



budynku. W gejerze wybuchu utonął cały budynek.

Kompania, która się za nim schroniła wyleciała w powietrze jak na olbrzymiej trampolinie. Wzdłuż całej uliczki domy zostały ścięte do płowy. Prawie natychmiast okolica zapełniła się biegającymi w kółko zakrwawionymi cywilami, krzyczącymi w obłędnym strachu.

W dymiących ruinach siedział pluton Niemców z rozszerzonymi ze strachu oczami. Żywi, ale już umarli.

– Nowi ochotnicy do Giessen – kiwnął głową Porta.

Czołgi i sanie motorowe pojawiły się na wzgórzu więziennym i zaczęły zjeżdżać w dół w tumanach śniegu. Podskakiwały na szczelinach i rozpadlinach. Wiele płóz i prowadnic zostało połamanych. Pociski przelatywały nad nami i lądowały za naszymi plecami w postaci wielkich, błyszczących, czerwonych polnych maków.

Z resztek lasu dochodził narastający grzmot. Były to rezerwy nacierających niemieckich czołgów. Do tej pory trzymane były w pogotowiu. Wyplnęły, formując szyk w postaci klina.

Z leja po wybuchu i na wpół zniszczonej ziemi grupa karabinów maszynowych zaczęła strzelać do wszystkiego, co się rusza. Potem nawet do leżących nieruchomo ciał, które zaczęły podskakiwać pod wpływem impetu trafiających w nie kul.

– Załatwcie ich! – rozkazał pułkownik Hinka, wskazując gniazdo kaemów lufą karabinu.

Obsługa miotacza płomieni zaczęła czołgać się przez

zmieszany z ziemią śnieg. Dwóch ludzi osłaniało dziko wyglądającego Obergefreittra, który niósł na plecach zbiornik z mieszanką zapalającą.

Długi jęzor płomieni poleciał w stronę zniszczonych pozycji. Zaraz potem doleciał do nas krzyk przerażonych ludzi. Jeszcze raz długie strumienie płonącego oleju poleciały w tamtą stronę. Pojawiły się płonące cienie. Zaraz potem padały, tarzając się konwulsyjnie po ziemi. Przez resztki szczelin strzelniczych przeciskały się strzępy mundurów i ciał, jakby w środku eksplodowała beczka z prochem.

Wszystkie kaemy na chwilę zamilkły.

Obergefreiter z miotaczem płomieni rozglądał się za nowym celem.

Jak błyskawica, nowa fala wypełniła kolejne gniazdo karabinów maszynowych. Nawet umierający Rosjanie próbowali nadal nas ostrzeliwać. Jęzor ognia ponownie uderzył w płonące gniazdo oporu. Tocząc się niczym ognista kula, docierał do każdego zakamarka okopu.

Paskudny smród płonącego mięsa uderzył w nas jak pięść boksera.

Czułem, jak pot gotuje mi się na karku. Ten potwory swąd dosłownie odbierał przytomność.

Wokół nas rozległy się odgłosy wystrzałów dział czołgowych. Płonące pojazdy wysłały w górę chmury oleistego dymu w kształcie grzybów.

Nasza sekcja powoli torowała sobie drogę naprzód. Przeskakiwaliśmy przez poskręcane stalowe szkielety, a

nasze stopy ślizgały się w ludzkich szczątkach.

Teren wokół nas ponownie zamienił się w morze płomieni.

– Organy Stalina – zawył Barcelona i rzucił się głową w dół do leja, który jeszcze dymił po niedawnej eksplozji. Z daleka dochodziło do nas szaleńczy skowyt, który szybko zamieniał się w ryk cyklonu.

Potem nastąpiła trzecia faza. Uderzenie i eksplozja. Rozległ się monstrialny, toczący się ryk, głośniejszy niż cokolwiek dotąd słyszeliśmy.

– Naprzód! Chodźcie! To do was! – krzyczał pułkownik Hinka.

Raz za razem tonęliśmy w fontannach śniegu.

Czołgaliśmy się, podbiegaliśmy i ślizgaliśmy w stronę więzienia, którego wieże groźnie sterczały przed nami. Powoli wdzieraliśmy się w rosyjskie pozycje.

– Załatwić ich! – doszedł do nas rozkaz.

Wymietliśmy wrogów błyskawicznie. Cali przesiąknięci krwią ruszyliśmy pod górę. Byliśmy już w stanie rozróżnić detale wielkiego budynku.

Ciemne niebo rozwarło się nad nami i ukazały się samoloty szturmowe, wyrzucające spod skrzydeł smugi pocisków.

Próbowaliśmy znaleźć schronienie w ruinach młyna. Chmury mąki i otrębów niemal nas podusiły. Gardła mieliśmy wypełnione dławiającą mieszanką mąki i śliny.

Zjechałem w dół jakąś rynną. Zauważyłem Rosjanina z uniesioną saperką. Posłałem mu zawartość całego

magazyńka. Podziurawiony jak sito wpadł do kotła z wrzącą papką. Po chwili na jej powierzchni pojawiło się tylko kilka bąbli, które zaraz potem pękły.

– Ja już nie mogę! Nie mogę! – jęczał porucznik Haase z 3. plutonu.

Dławił się własnymi łzami. Jego oczy były rozbiegane z przerażenia. Gwałtowna fala podmuchu rzuciła go na resztki betonowej ściany. Odczołgał się od niej z dziecięcym płaczem.

– Nie! Nie! – bełkotał.

Przyciągnął do siebie empi i posłał serię pocisków w rozdęte ciało, które eksplodowało jak balon z wodorem.

– On jest pieprzony – warknął Mały i rzucił się na oficera całym ciałem – Ucisz go! – rozkazał Stary.

Mały zamachnął się swoją potężną pięścią i głucho uderzył leżącego pod nim człowieka w twarz. Porucznik zwiotczał jak pusty worek.

Czołg PzKpfw II przeleciał dziwną parabolą w powietrzu i wylądował z łoskotem na zewnątrz budynku. Odbił się od ziemi kilka razy jak gumowa piłka. Drzewa, ruiny, nawet rzeka zamieniały się w płomienie, gdy trafiały w nie rakiety z katusz. Płomienie lizały niebo, zmieniając barwy od żółci przez krwistą czerwień, aż do fioletu. Fala gorąca uderzyła w nas, jak ognisty koc spadający z czerwonych chmur.

Patrzyliśmy zafascynowani na to niewiarygodne zjawisko. Paraliżujący huk wypełniał cały czas zimową noc.

– Kryć się! – wrzasnął Stary, wskakując błyskawicznie w zagłębienie terenu.

Grupa zaszokowanych Rosjan ukazała się w poszarpanym terenie, a za nią biegła gromada nie mniej przerażonych Niemców. Za naszymi plecami rozległa się mieszanina gwizdu i skowytu.

– To one! – krzyknął wystraszony Gregor. – To pociski z 280-ek!

Cała salwa spadła pomiędzy uciekające grupy, które natychmiast zamieniły się w gromadę różowych obłoczków. Spadły na nas w postaci krwawego deszczu. Te pociski powinny upaść dwieście metrów przed nami, ale pół godziny temu! Teraz spadały prawie na nas, zabijając bez różnicy Niemców i Rosjan. Obiecano nam solidne wsparcie artyleryjskie o sile, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyliśmy. Mieli rację! Nie przesadzali. Ich ogień kompletnie zniszczył naszych ludzi. Przynajmniej 80 procent nacierających sił zostało wprasowanych w śnieg.

– Ta cholerna artyleria nas wymorduje! – narzekał Porta, przedzierając się do osłony stworzonej z dwóch nadpalonych belek. – Jak niewiele można zrobić, aby ocalić się z tego piekła!

Wszędzie dookoła latały bryły zamrożonego śniegu, ziemi, skał, porozrywanych drzew. Poskręcane kawałki metalu tylko świszczą w powietrzu. Przerażeni ludzie byli przybijani kawałami stali do ziemi, które nadlatywały z ciemności nocy jak włócznie rzymskich legionistów.

Ręce i nogi powyrywane z drgających ciał były porozrzucane wszędzie jak śmieci. Cały teren stał się w przeciągu paru sekund ludzkim bagnem, wypełnionym krwawymi szczątkami, wszędzie unosiła się para uchodząca ze stygnącej krwi i wnętrzności.

– Nasza własna artyleria załatwiła nas na amen! – krzyczał desperacko Oberfeldwebel, szukając gwałtownie schronienia.

Podmuch wybuchu rzucił go o resztki kamiennego muru. Rozpadł się jak skorupa jajka.

Były pułkownik rzucił się na ziemię i wydawał z siebie dzikie okrzyki.

Gregor złapał go wpół i wciągnął za osłonę. Chwilę później puścił ciało, które zostało przecięte na pół jakby olbrzymim nożem. Przerażony Gregor padł na kolana. Pozbawione górnej części ciało bluznęło strumieniem krwi. Głowa z szeroko otwartymi oczami potoczyła się po ubitym śniegu.

Przeskakiwaliśmy przez toczący się czerep. Mały, konsumujący resztkę zamrożonej smażonej kaczki, którą odebrał zabitemu komisarzowi, nie zauważył, że koszmarna piłka zatrzymała się na jego stopach.

– Co to jest? – krzyczał zaskoczony, odruchowo podrywając nogi. – Co się tak na mnie gapisz, ty głupku? To nie moja wina, że zgubiłeś resztę ciała, prawda? Wynoś się!

Machał przestraszony rękami, w których trzymał kawałki drobiu. Potem kopnął głowę, tak, że posłał ją w

ciemność, jak bramkarz futbolówkę.

Major od grenadierów pancernych, zaczął krzyczeć do Małego, grożąc mu sądem wojennym. Ale za chwilę sam utonął w morzu płomieni. Pozostał po nim tylko stalowy hełm, który przez chwilę kołysał się na śniegu.

Obok mnie leżał starszy wiekiem kapitan, który miał rozerwany cały bok. Przypominało to wnętrzności wrzucone do skrzyni w rzeźni. Rozerwane kości i płaty mięsa. Jego twarz była odbiciem bólu i przerażenia. Wojna jest piekłem agonii, poszarpanych nerwów, strachu i rozpacz. Kiedy przyjdzie kolej na mnie? Kiedy wylecę w powietrze jako gejzer kości, mięsa i krwi?

Cała ziemia płonęła. Błyszczące fragmenty broni, domów, zwierząt i ludzi spadały jak deszcz na nasze pozycje.

Kuchnia polowa, rozlana zupa i ziemniaki leciały w powietrzu. Konie koziółkowały rżąc przeraźliwie razem z zaprzężonym do nich wozem. Nad nami przelatywała kolejna burza pocisków, dając o sobie znać paraliżującym gwizdem. Za chwilę zmienił się on w kolosalną eksplozję.

Kompania na saniach znalazła się w środku tej zawieruchy, po to aby, zostać rozmazana jak czerwona farba, zmieszana z kawałkami metalu i kości. Ciężkie sanie motorowe wyglądały jak chaotycznie poskręcane kawałki metalu.

Dowódca 2. Kompanii miał urwanie nogi powyżej kolan. Upadł z przeszywającym krzykiem. Wyglądał jak szmaciana lalka, leżąca na ziemi. Nikt mu nie mógł

pomóc. Było zbyt dużo rannych i zabitych. Nie byliśmy w stanie zająć się jego losem.

– *Cest la guerre* – powiedział z grozą Legionista. – Jeszcze więcej śmieci na wojenne złomowisko.

Obergefreiter Lamm wyjął właśnie kawałek kiełbasy westfalskiej. Zaraz potem kompletnie zbladł i oparł się o ścianę okopu. Kawałek szrapnela pozostawił w jego głowie tylko mały otworek, z którego wyleciało ledwie parę kropel krwi.

– Na wszystkie diabły Kastylii – zapłakał Barcelona.

Chwycił się dłońmi za gardło. Spomiędzy palców wyciekała krew.

– No. To ty! – krzyknął Mały przerażony. – Jezusie i Maryjo, przeszło przez ciebie na wylot! Dobrze, że w tym czasie nie jadłeś! Komunistyczna kula zabrałaby ci żarcie!

– To jest właśnie tak, gdy idzie się na wojnę z generałami trzęsącymi głowami ze starości i monoklami w oczach – powiedział Porta, zakładając opatrunek Barcelonie. – Oni mają tylko jedną rzecz w głowie. Jak dostać się do książek historycznych. My się tam dostaniemy w postaci mięsa armatniego, bo my płacimy za to rachunki!

– Chcesz wracać? – spytał Stary, ruszając się z krańca naszych pozycji.

– Nie, zostanę tutaj – odpowiedział Barcelona zdecydowanie. – Nie chcę pozostać sam bez oddziału.

– Myślisz, że tak będzie dobrze? – dopytywał się dalej



Stary z powątpiewaniem, patrząc na otwór wlotowy rany.  
– Można tędy zobaczyć twoje stopy.

– Zostaję – mruknął Barcelona. – Coś mi mówi, że gdy was zostawię, to już nigdy nie powrócę.

– Bóg Germanów sika na nas – Mały wyjaśniał sytuację rosyjskiemu kapralowi, który przypadkiem wpadł do naszego okopu. – *Panimajesz?*

– *Nie panimaju!* – odpowiedział Rosjanin, podając Małemu machorkę, bo myślał, że o to mu chodziło.

Mały przyjął prezent i zrewanżował się łykiem wódki.

– Powinniśmy być na innym peronie – powiedział z szerokim uśmiechem. – Może byłoby zabawniej. Mógłbym zabrać cię do Hamburga na tanie cipki. W międzyczasie moglibyśmy podlać siusiu pod komisarza Nassa. Szkoda, że nie spotkaliśmy się przed wojną. A teraz to tylko mamy przed sobą czterdzieści rodzajów śmierci, które można spotkać do niedzieli.

– *Nie panimaju!* – zaśmiał się Rusek jak owca.

Wydłubał z kieszeni zdjęcie.

– *Żenszczina* – powiedział, całując tłustą i wyświechtaną od częstego oglądania fotkę.

– Fajnie wygląda na tym zdjęciu, naprawdę! – rzucił Mały z aprobatą i zaśmiał się jak kot z Cheshire – Mam nadzieję, że nie macie żółtych małp z Azji u siebie w domu na kwaterach. Mówią, że Mongołowie dupczą wasze panny tak szybko, że nawet królikom kręci się od tego w głowie.

– *Nie panimaju* – powtórzył Rosjanin, wkładając

zdjęcie z powrotem do kieszeni. – *Daswidania.*

Wstał szybko, podał wszystkim rękę. Pomogliśmy mu wyjść z okopu. Zanim zniknął wśród tumanów śniegu, odwrócił się i pomachał nam jeszcze na pożegnanie.

– Myślicie, że się przedrze do swoich? – spytał z powątpiewaniem Stary.

– Zastrzelą go – powiedział Porta ze znawstwem. – U nich to wielka zdrada zmienić choćby dwa słowa z kapitalistami.

– Mogliśmy dać mu belfra, aby przyprowadził go jako jeńca. Wtedy byłby w porządku – powiedział Mały. – A my byśmy uwolnili się od tego osła. Jest tak głupi, że nie potrafi znaleźć dziury we własnym tyłku za pomocą dwóch rąk.

Przeraźliwie zimny wiatr powoli zamieniał się we wściekła wichurę. Wielkie chmury śniegowe i kryształki lodu przewalały się przez zmarzniętą ziemię. Zaspasy śnieżne przemieszczały się jak fale po wzburzonym morzu, zasypując czołgi, działa, konie i ludzi bez względu na narodowość.

Jednak morderczy ostrzał artyleryjski nadal nie ustawał. Niezliczone masy koni utknęły w śniegu. Woźnice okładali je batami, ale one nie były nic więcej w stanie zrobić, poza coraz głębszym pograżaniem się w śniegu. Okrzyki i rzenie koni czasami przebijały się przez huk wybuchów. Drogi już dawno zniknęły pod gigantycznymi zaspami. Próbowano je zaznaczać długimi tyczkami, na szczytach których umieszczano wiechcie

siana.

Wyciągając mozolnie stopy ze śniegu, powoli przedzieraliśmy się do przodu, pozostawiając wielu towarzyszy w białym piekle. Mróz ich wkrótce wykończy. To była kompletna katastrofa. Artyleria dobrze wykonała swoją robotę, tylko szkoda, że to my byliśmy ofiarami.

Rosyjski pułkownik z rozwianymi połami płaszcza próbował biec po śniegu. Gnał, jakby wszyscy naokoło próbowali go zabić. Zakołysał się i przewrócił, po czym potoczył się parę metrów.

– *Giermańcy! Giermańcy!* – darł się na całe gardło.

Zniknął w fontannie płomieni, które zaraz zamieniły się w grzyb dymu.

Teraz zapora artyleryjska przypominała stalowy dywan. Wszystkie baterie strzały bez przerwy. To, co się działo do tej pory, nie można było porównać z tym co teraz oglądaliśmy.

Zaprzęg sześciu koni leciał po śniegu, ciągnąc za sobą działo kalibru 100 mm. Kanonierzy trzymali się kurczowo szalonego kuligu, chroniąc życie. Jeden z nich na chwilę stracił równowagę i natychmiast znalazł się pod kołami lawety działa. Cały zaprzęg podskakiwał, jakby był dziecinną zabawką.

Podoficer z zaopatrzenia dostał rykoszetem i spadł z konia. Nie zdążył wyjąć nogi ze strzemienia. Ciągnięty przez przerażonego konia uderzył z głośnym chrzęstem głową o wystający głąz.

Trzy PzKpfw IV z rykiem wycofywały się z postrzelanej jak sito wioski. Prowadzący pojazd obrócił się na lodowej pokrywie, przechylił na bok i zsunął z chrzęstem po pochyłości stoku. Z wieżyczki buchnął ogień. Po chwili pojawił się nad nim czarny jak węgiel grzyb dymu. Dowódca czołgu otworzył górny właz i próbował się przez niego wydostać. Gdy połowa ciała była już na zewnątrz, pokrywa zatrzasnęła się i obcięła nogi czołgisty na wysokości ud. Okaleczone ciało spadło pod gąsienice następnego czołgu i zostało zamienione w krwawą miazgę.

Grupa nieuzbrojonych niemieckich żołnierzy ześlizgiwała się po obludzonej skarpie. Mieli tylko jedno w głowie – uciekać! Uciec gdziekolwiek. Jeśli tylko można było wyrwać się z tego grzmiącego, płonącego piekła, które rozorywało pobliskie wzgórza.

Kübelwagen z proporczykiem sztabu generalnego przedzierał się przez śnieżną zasłonę. Co ciekawe, ten pojazd nie został zmiażdżony przez wszechobecne czołgi.

Z samochodu wyskoczył podporucznik z karminowymi naszywkami sztabu generalnego, w rękę trzymał gotowy do strzału empi.

– Z powrotem, wy tchórzliwe psy! – wydzierał się, machając pięścią w stronę porucznika w zakrwawionym mundurze. – Z powrotem na pozycje, wszawi dezserterzy!

Podniósł broń. i posłał kilka krótkich, dobrze wymierzonych serii w stronę grupy piechurów, wycofującej się z płonących wzgórz.

– Zabić bękarta! – wydarł się Feldwebel i próbował wyrwać z rąk sztabowca pistolet maszynowy.

– Najpierw miażdżą nas naszymi własnymi działami, a potem nasi oficerowie strzelają nam w plecy!

– Do piekła z nim, ty głupi pajacu! – zawołał podoficer strzelców.

Rzucił się na porucznika z pianą wściekłości na ustach, złapał go za gardło i wydusił z niego życie.

Kierowca wozu sztabowego, złapał pistolet maszynowy i posłał długą, szczekliwą serię pocisków w grupę rozwścieczonych żołnierzy, którzy wdeptywali jego przełożonego w brudny śnieg.

– Wy pieprzone sukinsyny! – darł się kierowca biały z wściekłości.

Rzucił następnie granat w ich kierunku. Dysząc z podniecenia podbiegł do samochodu i naciągnął na siebie płaszcz zimowy.

– Umierajcie, jak gówna, którymi jesteście! – krzyczał, dławiąc się własnymi łzami – Nie zasługujecie na nic lepszego! Jesteście dziurą w dupie armii!

Wcisnął się za kierownicę i po sekundzie samochód zniknął w śnieżnej zawiei.

Teraz Rosjanie podesłali nam piekło płomieni. Z nisko zawieszonych chmur spadały na nas z jękiem rakiety i zmieniały uciekające oddziały w miazgę i kłębowisko płonącej stali.

Salwa za salwą, rakiety z ognistymi ogonami przecinały ciemne niebo.

– Organy Stalina – powiedział Gregor, wciskając się jeszcze głębiej w śnieg.

Para T-34 wyłoniła się z wąskiego parowu, z chrzęstem przejeżdżając przez stosy zabitych, wyrzucając w powietrze fontanny krwi i kości na wszystkie strony.

– Czołgowe miotacze płomieni! – zawołał z furją Barcelona.

Rzucił się natychmiast za wysoką skałę. Albert biegał bezładnie w kółko, próbując znaleźć schronienie przed płomienną zagładą.

– Gdzie jest jakaś dziura? Gdzie, kurwa? – krzyczał, skacząc jak królik unikający strzałów.

Wreszcie zanurkował w jakiś lej po wybuchu.

– Jezu Chryste! – dyszał z przerażenia. – To nie jest miejsce do życia dla ludzi! Ani białych, ani czarnych!

– Nie zaprzataj sobie tym głowy – roześmiał się szeroko Mały. – Ludzkie życie zaczyna się od porucznika w górę! Reszta jest nikim i niczym! Tak jak my!

– Nigdy nie miałem być w piechocie liniowej – wyznał Albert, ścierając z twarzy śniegową maskę. – Nie ma nic, czego uczyłeś się w Sennelager czy Grafenwohr, co by przygotowało cię do tego, co się tutaj dzieje!

Zazgrzytał tak mocno zębami, że omal nie rozerwał szczęk.

– Życie na froncie nie jest zabawne – powiedział Mały z melancholią w głosie.

Zanurkował błyskawicznie, gdy przed nasypem leja wylądował granat i z paskudnym jękiem rozesał

wszędzie kawałki gorącego metalu.

Słyszeliśmy groźny chrzęst zbliżających się czołgów, był donośniejszy niż huk artylerii.

– Musimy dostać wsparcie artylerii – powiedział Stary.  
– Jeśli nie, to skończymy w łapach diabła.

Ściągnął ciało telefonisty z aparatu i założył osłoniętą gumą słuchawki na głowę.

– Kod, do diabła! – mruzczał z irytacją, przerzucając notatnik z hasłami.

– Tutaj – powiedział Heide i podał mu książkę kodów.

– Kto mówi? – nadeszło z aroganckie pytanie jakiegoś dupka wyższej szarży.

– Tu *Tryton 1* – odparł Stary i wysłał szybką serię poleceń.

Wkrótce po tym, ze skowytem przeleciały ponad nami pociski i uderzyły u podnóża wzniesień.

W ostrych słowach stary skorygował cele. Heide próbował gorączkowo określić współrzędne za pomocą kart obliczeń na kartach ogniowych i punktów charakterystycznych. Znowu pojawiły się fontanny śniegu, ziemi i stali. Tym razem znacznie bliżej wąwozu, w którym stały katusze.

– T-34 na miłość boską! – wołał podniecony Porta. – Załatwmy je szybko, albo będzie po nas!

W pobliżu działał przynajmniej batalion czołgów z miotaczami płomieni. Poruszały się zakosami, jak stado odyńców. Strumienie ognia wylatywały z ich luf i zamieniały wszystko na ich drodze w płonące kawały

mięsa.

Tłumy wiwatujących czerwonoarmistów nadbiegały z rejonu więzienia. Na czele szły bataliony z pistoletami maszynowymi. Za nimi piechota z nastawionymi bagnetami, jakby defilowała na Placu Czerwonym. Potem więźniowie w szarych drelichach, uzbrojeni tylko w pałki. Gdy szli do przodu, zbierali broń po zabitych. Na samym końcu szły specjalne grupy NKWD z pepeszami wycelowanymi w plecy skazańców. Ich zadaniem była likwidacja każdego, kto próbowałby się skryć.

– Boże na niebiosach! – zapłakał nadporucznik Löwe.  
– Skruszą nas i zmiażdżą kompletnie. Musimy się wycofać!

Za nami pojawiła się bariera ognia zaporowego. To Rosjanie próbowali zapobiec naszemu wycofaniu się, stawiając zasłonę ogniową, przez którą nie było szans przejścia. Rozciągała się wszędzie, gdzie sięgał nasz wzrok.

– Odwrót! – krzyczał pułkownik Hinka. – Odwrót kompaniami!

Odwrócił się zdziwiony, gdy usłyszał ogłuszający jazgot, nadciągający od naszych linii obronnych.

– Rakiety! – zawołał z radosnym zaskoczeniem i rzucił się między zwały śniegu.

Chwilę później groźne pociski spadły dokładnie w środek formacji czołgowych miotaczy płomieni, wyrzucając je w powietrze, jakby były zabawkami.

To spokojny i opanowany Stary podał właściwe



współrzędne wyższemu dowódcy artylerii.

– Dwa stopnie mniej – rozkazywał. – Zwiększyć zasięg o sześćdziesiąt metrów!

Ogień i stal wylatywały w powietrze.

– Mamy ich! – wołał radośnie Barcelona.

Fontanny ognia tryskały z trafionych ruskich czołgów. Ich kawałki dosłownie wypełniły powietrze. Czarne jak smoła słupy dymu rozjaśniane karmazynowymi płomieniami zaczęły wznosić się do nieba. Pole walki dosłownie rozpuszczało się od ciągłego ognia artylerii.

Z czerwono błyszczącej ściany ognia wylatywały bezkształtne, duże cienie. Jakby diabły grały czołgami w kręgle. Nasze zmysły notowały ciągle zmiany wybuchów, doprowadzając nerwy do kresu wytrzymałości. Zamienialiśmy się w drżącą gromadę.

– Odłamkowe i zapalające – domagał się Stary. – Szybki ogień, 460 metrów na prawo!

Wkrótce ciężkie pociski zapalające i rozpryskowe zaczęły spadać na szeregi nacierającej radzieckiej piechoty. Chemiczne środki zapalające spadały ze wszystkich stron. Teraz to nawet powietrze płonęło.

– Trzydzieści metrów do tyłu – rozkazał zimnym głosem Stary.

Podmuch wybuchów wrzucił nas ponownie do ośnieżonego krateru po wybuchu. Teren przed nami zamienił się w gotującą, bulgoczącą, trującą owsiankę. Śnieg i ziemia zamieniły się w katarakty błota, które zmywały wszystko na swojej drodze, gdy spływały po

stokach pagórków.

Coraz więcej jednostek artylerii koncentrowało swój ostrzał na tym terenie. Było oczywiste, że kieruje nimi fachowiec.

– Kto jest koordynatorem? – pytał ostry głos ze słuchawki. – Nazwisko i stopień! To ty Eberhardt! Słyszałem, że dostałeś? Znakomicie, Eberhardt, znakomicie!

Stary nie odpowiedział na te pytania, chociaż wiedział, że po drugiej stronie kabla jest dowódca dywizyjnej artylerii. Bez przerwy podawał korekty celów.

Jak gigantyczny strumień ognia, pociski ścigały wycofujące się bataliony wroga. Były one bezlitośnie rozrywane na strzępy.

– Nowe współrzędne – domagał się Stary.

– Tu są – Powiedział Heide ze satanistycznym uśmiechem.

Jego militarystyczne, nie żołnierskie serce śpiewało z radości na myśl o krwawym rezultacie dobrze skierowanego ognia artyleryjskiego.

Pozostałości naszego pułku nacierały przez krwawe pobojuwisko, prowadzone przez jednorękiego pułkownika Hinkę. Jakiś Maxim nadal strzelał ze zniszczonych pozycji wroga.

– Grupa radiowa na środek – krzyczał Oberst Hinka. – Naprzód, w stronę murów więzienia.

Wielkie, szaro-żółte chmury wybuchów wisiały nad kompleksem budynków jak olbrzymi parasol. Z każdą

sekundą był on coraz większy.

Całkiem blisko usłyszeliśmy wystrzały z dział czołgowych. Zaraz za mną pluł seriami karabin maszynowy.

– Czołgi! – krzyknąłem i rzuciłem się w poszukiwaniu osłony.

Widziałem wielkie podbrzusze potwora przepelzającego przez częściowo zburzony mur. Chwilę na nim się zakołysał. Potem przetoczył się i ruszył naprzód ze zgrzytem metalu. Silnik wył na maksymalnych obrotach.

Wieżyczka powoli obróciła się w moją stronę. Z długiej lufy wystrzeliła smuga płomieni. Ogień i eksplozja po uderzeniu nastąpiły niemal jednocześnie.

Czułem się, jakby ktoś wbił mi metalowy pręt między uszy. W moją stronę prześlizgnął się Porta. Z jego rąk wyślizgnął się granatnik przeciwpancerny i spadł na ziemię. Z fascynacją patrzyłem się lufę ruskiego czołgu, która powoli kierowała się a moją stronę.

– W samą porę – mruknął Porta i chwycił „rure od piecyka”, aby umieścić ją na ramieniu. Wycelował w czołg.

– Cieszcie się życiem, drodzy sąsiedzi, bo nie zostało wam go dużo – uśmiechnął się sardonicznie i nacisnął spust.

Dzika, gwałtowna eksplozja i czerwona gwiazda na wieżyczce znika zupełnie. Z wjazdu wylatuje ludzka postać, jakby niesiona na szczycie żółtych płomieni.

– Było blisko – powiedziałem wydychając z płuc powietrze, które już dawno zapomniałem wypuścić ze strachu.

Dwa T-34 toczyły się, szukając schronienia wśród ruin. Karabiny maszynowe z ich wieżyczek omiatały drogę odwrotu. Wystrzelone kule rykoszetowały nad moja głową.

– Tu nie mamy zamiaru umierać, tak ustaliłem z Bogiem! – krzyknął Porta, wyprostowując się z granatnikiem na plecach.

Mały gdzieś leciał z miną przeciwczołgową. Prześlizgnął się jak sanki w kierunku radzieckich czołgów, popychany mieszanką szaleństwa i strachu. Darł się jak opętany. Minę przycisnął mocno do ciała, ale zgubił gdzieś hełm i empi. Jak akrobata poderwał się na nogi i machnął ładunkiem wybuchowym pod obręcz wieży.

Właz w ostatnim z T-34 odskoczył z chrzęstem i pojawił się w nim człowiek w skórzanym kombinezonie z przygotowana do strzału pepeszą.

Kule ryły śnieg wokół Małego, ale żadna go nie trafiła. Rzucił się, ratując swoje życie, w stronę płonących ruin.

– Czarna rozpacz, jak ci Ruscy strzelają! – krzyknął Albert, skacząc przez śnieg z butelką koktajlu Mołotowa w ręku.

Tak szybko, jak stary kocur kradnie śledzia, znalazł się na pancerzu czołgu. Wrzucił butelkę za plecy człowieka wystającego z wjazdu. Rosjanin odwrócił się w jego stronę

i rozdziawił gębę za zdziwienia, widząc czarną twarz Alberta i wyszczerzone w radosnym uśmiechu białe zęby.

– *Panimajesz, towarzyszc?* – zawył Albert, wykonując koziółka, aby ukryć się w pobliskim leju po wybuchu.

Nim zdziwienie zniknęło z twarzy Rosjanina, czołg już frunął w kawałkach w powietrze.

Mały uciekał przez śnieg przed urwanym kołem napędowym gąsienicy, które z ogromną prędkością mknęło w jego stronę.

Wstrzymałem z przerażenia oddech. Jeśli go uderzy, to zmiążdży go na amen. Ale jakimś cudem stalowe koło odbiło się od wystającego kamienia i przeleciało kilka centymetrów nad głową Małego i wpadło do pobliskiego gniazda karabinów maszynowych.

Sekcja miotaczy płomieni przebiegła obok nas. Za nią do bramy więzienia zbliżała się powoli piechota.

Z zakratowanych okien strzelał do nas karabin maszynowy. Nad więzieniem wisiały flary oświetleniowe, rozpinając na olbrzymim kompleksie budynków parasol trupiobladego światła. Z dachów dobywały się kłęby czarnego dymu.

Saperzy zaczęli zakładać wzdłuż murów ładunki wybuchowe.

Tuż przede mną pokazał się radziecki oficer.

Krótką seria z empi, którą posłałem w jego stronę odrzuciła go w kierunku wrót. Upadł twarzą do ziemi. Desperacko rwałem do przodu i zderzyłem się z wpół oszalałym strażnikiem więziennym, który wymachiwał

pękiem kluczy, trzymanym w dłoni. W drugiej dzierżył pistolet.

Pierwsza kula trafiła go w serce, rozrywając je na kawałki. Umarł, zanim upadł na ziemię.

Z murów poleciał duży kamień, który z wielką siłą uderzył mnie w klatkę piersiową. Uszło ze mnie całe powietrze. Upadłem do przodu i zaryłem twarzą w śnieg. Nie wiem ile czasu leżałem bez ruchu. Gdy doszedłem do siebie, słyszałem gardłowe okrzyki Rosjan. Jeden z nich kopnął mnie z całej siły, ale pomimo bólu nie wydałem z siebie żadnego dźwięku.

Rosjanie pobiegli dalej, podczas gdy ich karabin maszynowy kontynuował ostrzał.

Wiedziałem, że leżenie tutaj bez żadnej pomocy będzie bardzo niebezpieczne. Mogłem przecież zamarznąć na śmierć, albo umrzeć od szoku. Moja pierś płonęła jak piec, a ból przeszywał całe ciało. Wszędzie biegały czarne cienie. Trudno było określić, które są rosyjskie, a które niemieckie.

Z kobiecego skrzydła sześciopiętrowego budynku wydobywały się przez zakratowane okna spore płomienie ognia. W jego świetle widać było, jak ludzkie dłonie chwytają rozgrzanych do czerwoności krat. Grube szkła okienne topiły się jak wosk. W ciągu paru sekund ludzkie ciała zamieniały się w czarne, zwęglone mumie.

– Po kiego diabła leżysz tutaj, wygrzewając się w blasku rosyjskiego komunizmu? – spytał Porta z szerokim uśmiechem, pochylając się nade mną. – Gdzie cię trafili?

– W pierś – wysapałem.

Wprawnym palcami obmacał moje ciało.

– Szczęściarz! – powiedział. – Jedyne, co możesz zobaczyć, że twoje białe ciało zamienia się w kolor Alberta.

– To był kamień, wielki kamień – jęknąłem.

– Do diabła! – zawołał Porta. – Iwanom musi brakować amunicji, skoro rzucają w nas kamieniami.

– Coś złego? – spytał Stary, przystając obok nas.

Zaraz za nim szedł Heide.

– Ruscy zrzucili na niego kamień. – śmiał się Porta – A teraz leży i miałczy jak chory kot.

– Dalej! Wstawaj synu! – rozkazał szorstko Stary.

– Nie myśl, że jesteś na feriach zimowych!

– Muszę dostać się do lekarza – jęczałem. – Myślę, że mam połamane żebra, czuję jak wbijają mi się w płuca.

– Weź parę głębokich oddechów – doradził Porta. – Zobaczysz! To wyprostuje klepki w twoim kadłubie.

– Chcę do lekarza! – upierałem się.

– Czy ty myślisz, że jakiś specjalista od dziecięcej ospy pokaże się w tym bajzlu? – spytał Porta.

– Stań na swoich pantofelkach i chodź z nami. Albo zostań, Iwan zapewni ci kurację! Jedna dawka jego mikstury i będziesz potrzebować szkła powiększającego, aby pozbierać swoje żebra!

Jęcząc z bólu, który doprowadzał mnie niemal do szaleństwa, powlokłem się za oddziałem. Jakiś dziwny sanitariusz dał mi garść pigułek.

Wrzuciliśmy miny do wielkiej hali recepcyjnej. Ciężkie stalowe drzwi zostały wyrwane ze ściany.

Podmuch wybuchu poprzewracał nas, ale zaraz byliśmy na nogach i dalej wdzieraliśmy się do więzienia. Strzelaliśmy do wszystkiego, co się rusza.

Wszędzie leżały stosy ciał, z takimi samymi, czerwonymi, nadętymi twarzami. Tak właśnie wyglądają ludzie, których zabił podmuch. Wielu z nich było młodych i wychudzonych. Stracili życie, nim mogli przekonać się, ile jest ono warte. Zostali zabici w ramach bezsensownego heroizmu.

Staliśmy cicho i patrzyliśmy z przestraczem na sterty zalegających ciał. Wiele z drzwi do cel wisiało na pojedynczych zawiasach. W środku pomieszczeń leżały ciała więźniów, całe zbryzgane krwią. Byli ewidentnie pozabijani granatami, które przed ucieczką wrzucali do cel strażnicy.

– Tak jak w domu – powiedział smutno Porta.

– Zabili więźniów, aby nie dopuście, by dostali się w ręce wroga. To jest właśnie niebezpieczeństwo niezależnego myślenia.

– Jest jeden żywy! – krzyknął Mały, który kopnięciem otworzył drzwi małego biura.

Schowany za biurkiem siedział olbrzymi gość w mundurze NKWD ze złotymi naramiennikami.

– Hej, towarzyszu! – zawołał zadowolony Heide i szturchnął lufą pistoletu maszynowego siedzącego oficera.



Ten spojrział na niego pełnymi nienawiści oczami.

Legionista podniósł kilka kartek z biurka.

– Rozkazy egzekucji – powiedział śmiejąc się i wręczył dokumenty porucznikowi Löwe.

– Zabierzcie go stąd – rozkazał nasz dowódca – ale niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli mu się coś stanie, Kalb! Bo będziecie odpowiadać za zabicie jeńca!

– Na Allana! Będziemy o niego dbać, jak o włosy z brody Proroka! – obiecał Legionista ze złośliwym uśmiechem.

– Chodź! – warknął w stronę komisarza z NKWD i brutalnie walnął go kolbą karabinu w plecy. – Mój Allah obiecuje, w swoim miłosierdziu przekleństwo powolnej śmierci. Ty pogański pies rosyjski! Małe płomienie ognia będą wytapiać z ciebie tłuszcz przez całą wieczność!

Dziwny tłum potykających się kobiet i mężczyzn schodził po koślawych schodach. Niektórzy z nich nosili śmieszne pizamy w niebieski paski, ktoś miał na sobie mundur estońskiego majora. Jakiś mężczyzna miał na sobie jasne spodnie do końskiej jazdy i czarny smoking z przewieszoną szarfą, która kiedyś musiała być biała. Jednak większość odziana była w szmaty i łachmany. Gdziekolwiek widoczne były niebieskie otoki czapek NKWD.

Trzymaliśmy pistolet maszynowe w pogotowiu. Ta dziwna kolekcja ludzka wywoływała w nas nerwowość. Wyglądali, jakby za chwilę chcieli rzucić się nam do gardeł.

– Dacie nam coś do jedzenia? – spytał ktoś z nich głośno i splunął na podłogę.

– Zamknij się! – próbował uciszyć go towarzysz.

Nagle wszyscy zaczęli się przekrzykiwać.

– Bonyszew jest tutaj! – zawołali niemal chórem.

– Co za diabeł ich opętał? – zawołał nerwowo Oberleutnant Löwe. – Uspokójcie ich!

Ustawić ich w szeregu. W razie kłopotów zapakować z powrotem do cel, to się przynajmniej wzajemnie nie wymordują!

– Co za różnica – roześmiał się Legionista. – Wszystko, czego chcą, to dopaść tych wrednych klawiszy!

Wskazał lufą empi na stratowane ciało, obok którego leżała czapka z niebieskim otokiem.

Więźniowie patrzyli na nas, a my pytająco na nich. Byliśmy trochę przestraszeni widokiem tych ludzkich szkieletów z głęboko zapadniętymi oczami.

– Boże, ale śmierdzi! – mruknął Stary, zaciskając palce na nosie.

– To stamtąd – wskazał kciukiem za plecy Heide.

– Piekło i demony! – załkał Barcelona. – To największa i najdłuższa latryna, jaką kiedykolwiek widziałem!

– Spróbuj zajrzeć na dół – poradził Porta. – Tam jest coś, czego na pewno nie widziałeś!

Mały człowieczek ze szczurzą twarzą, w mundurze NKWD podszedł do nas z rękami złożonymi na karku, na znak, że jest nieuzbrojony i że skończył już z wojną.

– Panie komendancie! – szczerką płynną niemczyzną, strzelając obcasami przez porucznikiem Löwe. – Niniejszym przekazuję panu oddział przyjęć więźniów i oddaję się pod pana komendę.

Nie ukrywając pogardy porucznik spojrział na niego, groźnie mrużąc oczy.

– Co to jest? – spytał wskazując na długą, drewnianą belkę.

– Latryna dla więźniów – odparł Rosjanin z fałszywym uśmiechem. – Nie mamy nic lepszego. Mamy swoje przepisy i ich przestrzegamy. Więźniowie są jak świnie. Mogą chodzić do kibla tylko w ściśle określonych porach. To nie jest luksusowy hotel. Ale nieraz nie mogą doczekać się swojej kolejki i załatwiają się w celach. Inni siadają na belce i zasypiają. Wtedy mogą wpaść do dołu i utonąć. To nie jest wina strażników. My wykonujemy rozkazy, tak jak inni żołnierze.

– Wrzucmy go do tego gówna – zaproponował Porta, uśmiechając się mściwie do strażnika.

– Zabierzcie go stąd. – rozkazał porucznik Löwe, obracając się na pięcie. – Wynośmy się. Jesteśmy oddziałem bojowym, a nie bandą strażników więziennych.

W innych skrzydłach budynku nadal trwały zacięte walki.

– To tak jak u nas – powiedział Porta i wskazał na niebiesko – białe ściany z czerwonymi napisami.

**ZA OJCZYZNĘ! ZA STALINA!**

Trochę mniejsze napisy, wykonane czarna farbą głosiły:

**BEZ WAHANIA ZLIKWIDUJEMY WSZYSTKICH WROGÓW LUDZKOŚCI, OBIBOKÓW I ZDRAJCÓW!**

Na murze warsztatu mechanicznego wypisano metrowej wielkości literami:

**PRACA JEST PRZYWILEJEM I ZDOBYCZĄ SOCJALISTYCZNEGO PAŃSTWA.**

– Chodźcie! Naprzód! Tutaj! – krzyczał Stary, dając znak, aby druga sekcja zebrała się koło niego.

Zgromadziliśmy się pod osłoną długiej rampy.

– Musimy przejść tędy – wyjaśniał Stary. – Przygotujcie ładunki. Te świnię zabarykadowały się w środku i używają więźniów jako tarcz!

Przerwał mu długi, wstrząsający krzyk kobiety. Krzyczał przeraźliwie głośno. Jakby umierała w trakcie tortur.

– Niech nas Bóg chroni! – zawołał Barcelona. – Co oni jej robią?

– Wyrywają ciało gorącymi szczypcami. Tak jak inkwizycja w dawnych czasach – wyjaśnił cierpko Porta, strzelając palcami.

Krzyki nagle ucichły, jakby ktoś zakneblował nieszczęsną kobietę.

– Dorwijmy ich – powiedział Stary z kamienną twarzą.

Zręcznym skokiem znalazł się na rampie. Pochylony nisko ruszył wzdłuż niej, mając za plecami Gregora i Legionistę, którzy nieśli skrzynki z amunicją i ładunki

wybuchowe. Mały wrzucił jeszcze trzy czy cztery dodatkowe skrzynki na rampę.

– Ty też, belfer! – powiedział wrzucając nauczyciela zaraz za skrzynkami. – Niech cię Bóg ma w swojej opiece ty wychudzony kundlu, jeśli będziesz próbował czmychnąć. Wezmę jeden ładunek i wyślę cię prosto w łapy tych szerokodupnych Iwanów!

– Dlaczego ciągle ścigasza tylko mnie? – skamlał były nauczyciel.

Chwycił jedną ze skrzyń, ale nie mógł jej podnieść.

– Trzymaj gębę zamkniętą! Wtedy gdy mówię i wtedy, gdy myślę! – rzucił krótko Mały. – Bierz ten kilof! Zrób dziurę na ładunek, ty sukinsynu. Gdy z tobą skończę, będziesz albo zwłokami, albo najlepszym żołnierzem w niemieckiej armii. Wtedy będziesz mógł wrócić kaczym kłusem do swojej wiejskiej szkółki.

– Ruszcie się! – pospieszał nas Stary. – Ładunki co pięć metrów! Heide, ty podłączaj kable!

– Ja ich wysadzę! – darł się Mały z ochotą.

Bardzo lubił odpalać ładunki.

Pracowaliśmy gorączkowo przez ponad pół godziny.

– Czy zdajecie sobie sprawę, jak grube są te mury? – spytał Barcelona. – Są grubsze niż mury fortecy w Brześciu Litewskim i nie są zrobione dla dekoracji!

– Przestań pieprzyć! – zaskrzeczał wściekły Stary.

Pchnął ramię Małego, a ten intuicyjnie założył potrójny ładunek w jedną z dziur.

– No, tu jest bogato od tego towaru – bronił się Mały,

wykazując na pełne skrzynki amunicji. – Poza tym, to co zużyjemy, nie będzie nas potem obciążać.

– Chcesz polecieć z tym w powietrze? – spytał złośliwie Stary. – Nie pakujemy tutaj cukierków toffi. To jest niebezpieczne jak cholera!

– Gotowe! – zameldował Heide, dumnie preżąc się za plecami Starego.

– Pozwólcie mi! – Mały niemal płakał, gdy Gregor przykręcał kable do skrzynki detonatora. – A teraz trzymajcie swoje kapelusze i kalesony, moi synowie! Robimy wielkie bum!

Roześmiał się, gdy poczuł uchwyt detonatora w ręku. Pochylił się do przodu, napał całym ciałem na rączkę i wcisnął ją do środka skrzynki.

Eksplozja oczyściła całą rampę. Poczuliśmy na naszych ciałach siłę potężnego ciśnienia. Jego miażdżąca moc wyrzuciła nas w powietrze i wypompowała powietrze z płuc. Wysoki na jakieś 18 metrów mur zawalił się w postaci deszczu cegieł i zaprawy. Kilka sekund później zawalił się cały mur zewnętrzny. Wszystkie budynki najpierw się zakołysały, a potem zapadły pod siebie. Dwa wysokie kominy w ciepłowni spadły na skrzydło kobiece. Zniszczenia dotarły do najdalszych zakątków więzienia. Chmura dymu była coraz większa.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Płomienie strzelały ze wszystkich stron, rozprzestrzeniając się z olbrzymią prędkością. Wyglądało to, jakby szalenie rozwijał ognisty dywan.

Mur padł, a na ziemię spadał wielki deszcz gruzu.

– Wy głupie buraki! – wyklinał Feldwebel od saperów, ścierając krew z twarzy. – Na moce piekielne! Tam nie pozostał żywy nawet jeden szczur! Zmiatałbym stąd na waszym miejscu. I martwiłbym się, aby nikt nie zgadł, że to wy.

– Jezusie i Maryjo! – płakał Mały, wstając z klęczek. – To się nazywa duże „Bum”! Ale ta cholerna klatka rozpadła się na kawałki. Upłynie trochę czasu, nim ją odbudują dla następnych niewolników. A Stowarzyszenie Pomocy Więźniom, przyzna nam medale w nagrodę! Panie, miej nas w swojej opiece, tak piękny był to wybuch!

Albert powstał z ziemi, był cały szary i wymachiwał pięściami nad głową.

– Czerwony front! – krzyczał idiotycznie.

– Ruszać się – powiedział Stary, powstając z ziemi.

W rękach miał gotowy do strzału pistolet maszynowy.

Na czele szła sekcja z miotaczami płomieni. Gdy rozległy się gdzieś strzały, natychmiast posyłali tam strumień ognia.

Zeskoczyłem razem z Portą, do jednego ze stanowisk obronnych i posłaliśmy tam smugi ognia z naszych miotaczy.

Wszędzie leżały zwęglone ciała w wysuniętych do przodu rękami, pozbawionymi skóry i mięsa. Dosłownie same kości. Wszędzie leżą skurczone mumie. Miotacz płomieni zabija jednym ognistym błyskiem. Ci, którzy nie

zostali bezpośrednio trafieni, wydają się nienaturalnie wielcy pośród skurczonych ciał.

– Okrutna wojna to szybka wojna. Tak jest napisane na plakatach propagandowych. – powiedział Porta. – Ale to jest kłamstwo, jak wszystko na tej wojnie. A to, co robimy tutaj, jest najokrutniejsze i wygląda jak wielkie piekło.

Na długim podwórzu, ograniczonym dwoma pokrytymi spalenizną budynkami więziennymi, leżały stosy ciał.

– Zwykły strzał w kark – oznajmił Barcelona, odwracając kilka ciał lufą karabinu.

– To nie może być prawda! – zawołał Gregor z niedowierzaniem, pochylając się nisko nad ciałem okrytym łachmanami.

– Najprawdziwsza prawda – westchnął Porta. – Chłopcy z NKWD byli zajęci uwalnianiem niedowiarków, gdy my, wyzwolicieli pukaliśmy do bram więzienia. Nie trzeba kończyć szkoły detektywów kripo, aby stwierdzić, co tu się działo. Jeden strzał w kark! Mała dziurka z tyłu, a z przodu wyrywa całą twarz!

Po drugiej stronie budynku rozległy się trzaski wystrzałów.

– To nasi dzielni chłopcy – wyjaśnił Legionista, obojętnie wzruszając ramionami – Einsatzgrupy z SD. Rozwalają komisarzy.

Przystanęliśmy na chwilę pomiędzy dwoma spalonymi ciężarówkami i przyglądaliśmy się egzekucji. Seria, która trwała ledwie kilka sekund, wydawała się nam



wiecznością. Chude ciało komisarza dosłownie podskakiwało w deszczu kul. Najpierw w powietrzu, a potem już na ziemi. Drgało spazmatycznie, chociaż życie już z niego uszło.

Untersturmführer z chłopcęą twarzą i trupią czaszką na czapce, dziarsko nasuniętej na oko, podszedł do zabitego i przystawił mu P 38 do głowy. Trzy strzały i twarz ofiary zamieniła się w nierozpoznawalną papkę.

Więźniowie, którzy byli uwieszeni na kratkach w oknach zaczęli krzyczeć z entuzjazmem.

Następny został wypchnięty przez wąskie drzwi. Był starszym człowiekiem, ubranym w mundur khaki, z zielonymi pagonami. Z widocznym strachem w oczach stanął przy murze. Dudniąca salwa rzuciła go na ziemię.

Więźniowie wiwatowali i gwizdali, gdy grupa różnorodnie umundurowanych kobiet i mężczyzn pojawiła się przy wejściu do pralni.

– Jazda! Jazda! – krzyczał niecierpliwie młody podoficer z SD. – Załatwmy ich szybko!

Uderzeniami kolb i kopniakami ustawiano ofiary przy ścianie. Skazańcy patrzyli apatycznie na swoich oprawców, którzy mieli na czapkach emblematy śmierci.

– Ognia! – krzyknął młody podoficer, szeroko rozdziawiając usta.

Pistolety maszynowe zaśpiewały pieśń śmierci. Jej echo odbijało się pomiędzy ruinami budynków.

Z okna na najwyższym piętrze odezwała się długa seria z karabinu maszynowego.

Podoficer upadł, a oddział egzekucyjny, pozostawiając kilka ofiar na czerwieniejącym śniegu, rozbiegł się jak stado kur. Teraz karabin maszynowy zaczął ostrzeliwać zakratowane okna pralni. Pękało szkło. Więźniowie za zmasakrowanymi twarzami odskakiwali od okien.

Natychmiast ukryliśmy się, aby po chwili odczołgać się na bezpieczną odległość. To nie był nasz interes.

Płomienie rzucały dziwne cienie na pokryte sadzą ściany budynków więziennych. Gdy przechodziliśmy obok długiego magazynu, zatrzymała nas gwałtowna strzelanina z broni automatycznej. Przeróżliwy okrzyk doleciał do nas z odosobnionej łaźni.

– Sprawdźmy, co tam się dzieje – rozkazał Stary. – Ty i Sven na czele.

Powiedział to wskazując na Portę, potem rzucił w naszą stronę torbę z granatami.

Pomiędzy resztkami połamanych drzew pobiegliśmy w kierunku łaźni. Przede mną pojawiła się jakaś postać. Odruchowo nacisnąłem spust i w jej stronę poleciała gromada pocisków. Człowiek toczył się po ziemi, bijąc konwulsyjnie rękami i nogami.

Porta kopnął drzwi, które wyleciały z zawiasów a łoskotem. Mały, gruby oficer popatrzył na nas z zaskoczeniem i pochylił się w stronę pepeszy leżącej na biurku. Kula z pistoletu rozorała mu gardło, rozpryskując krew na ścianie za jego plecami. Czapka z niebieskim otokiem potoczyła się podłozie i zatrzymała na stercie pustych butelek.

Wypróżniłem cały magazynek w ciemne przejście, z którego mogło nadejść niebezpieczeństwo. Już pierwszy strzał trafił w usta lidera niewielkiej grupy Rosjan.

Upadł bez słowa, a nasze pistolety maszynowe dalej strzelały jak w amoku.

Dwóch żołnierzy w długich do kostek płaszczach zimowych zostało rzuconych na ścianę naszymi salwami. Ześlizgnęli się z niej, przypominając wyglądem krwawe łachmany.

Z ciemnego przejścia wytoczył się granat. Błyskawicznie schroniliśmy się za ścianą i posłaliśmy kolejne serie.

Okrzyki bólu powoli zamieniały się w śmiertelne rżenie.

– Dalej! – powiedział Stary, wyjmując automat z rąk jednego z zabitych.

Szczekliwa seria z broni automatycznej poleciała w naszą stronę. Albert wyskoczył wysoko w powietrze, wydał dziki okrzyk wojenny i rzucił granatem w ciemny otwór.

Eksplodował on w dalszym końcu korytarza z oślepiającym błyskiem, wykręcając w przedziwny sposób trzy ciała leżące na podłodze.

– Do diabła, człowieku – jęczał Albert, przyciskając dłonie do uszu. – Chyba jesteś nieźle przerażony!

Spojrzał na siebie i powoli osunął się na podłogę pokrytą ludzkimi szczątkami i kawałkami szkła.

– Do diabła z tą całą niemiecką armią – mruczał.

– Tak, musisz sam przyznać, że dostałeś się nie do tej armii, co trzeba – śmiał się Porta, biorąc granaty z torby.

Pożar, z którym nikt nie usiłował walczyć, strawił prawie całe północne skrzydło więzienia kobiecego.

Obok niego wisiały całe rzędy kobiecych ciał, poruszane podmuchami wiatru. Wyglądały jak koszmarne girlandy.

– Pomimo wszelkich trudności, ten interes zawsze będzie się kręcił – powiedział Porta. – Egzekucja na pięć minut przed końcem przedstawienia.

– Powinny się nie wychylać i trzymać gęby na kłódkę – powiedział Gregor. – A teraz są tutaj i tańczą na linie. Co jest dobrego w ich protestach? Nic! Lepiej iść z prądem rzeki i pozwalać myśleć za nas tym, którzy rządzą. Dzięki temu można dłużej pożyć, a życie jest przecież tak krótkie.

Walki niemal zamarły. Tylko z głównego kompleksu budynków dochodziły jeszcze trzaski wystrzałów, huk wybuchów granatów i dudnienie moździerzy. Ale to już nie była nasza robota. Zostawiamy to piechocie i saperom.

Usiedliśmy w budynku kuchni razem z grupą więźniów i rozmawialiśmy na temat metod przesłuchań.

Szesnastoletni chłopak został aresztowany w szkole, za kontrrewolucyjną propagandę, stracił w czasie przesłuchania oko. Opisał swoje doświadczenia w dosłownie w kilku zdaniach.

Patrzyliśmy w milczeniu na jego twarz. Wyglądał zbyt

staro jak na swoje lata. Z jego wybitego oka ciekła ropa. W więzieniu tranzytowym nie ma lekarzy.

Starszy mężczyzna pokazał dziury po powybijanych zębach.

– Były jeszcze gorsze rzeczy – wołała kobieta, która miała przestrelone kolana.

Już nigdy nie będzie mogła normalnie chodzić.

– Powinniśmy wystrzelać wszystkich strażników – powiedział Mały z przekonaniem, potrząsając trzylufową strzelbą.

– I to właśnie robią – powiedział Porta, pokazując kciukiem w stronę podwórza, z którego dochodziły strzały z automatów.

Wódka, którą znalazł Porta w kredensie komendanta teraz rozgrzewała nas cudownie słodko.

Gruby strażnik więzienny, którego nazywali „Anioł z piekieł”, bo okazywał ludzkie uczucia więźniom, siedział na krześle tyłem do nas i śpiewał:

*Daliego, daliego, daliego między nami śniega igriaza...*

– Jak tylko weszliśmy do tej łaźni, człowieku, zaczęła mnie muskać po karku i podniecać – opowiadał Albert z szerokim uśmiechem. – Mówiła, że czarni mężczyźni wywołują u niej dzikie żądze i zaczęła dobierać się do moich jajek.

– Jezusie na krzyżu! – jęczał Mały z szeroko otwartymi oczami i drapał się w kroku. – No, mów dalej!

– Ściągnęła z siebie taką letnią sukienkę – kontynuował

Albert – rozpięła mi spodnie i wyciągnęła ptaka. Potem końcami zębów zaczęła go drażnić. Nie wypuszczaj go, mówiłem, bo powybijam ci zęby. Robiła to jak zawodowa dziwka, a cycki sterczały jej jak młodej matce przed karmieniem. Położyłem ją potem na ławce i wdrapałem się na nią. I to wszystko w zaparowanej łaźni. Jaja miałem tak twarde, że dzwoniły jak dzwony na niedzielną mszę. Nie ma nic lepszego, jak dziewczuchy ze służby pomocniczej, które nie dają dupy za Adolfa, tylko z czystej przyjemności. Gdy zasnęła, pobiegłem goluteńki do domu dla rekonwalescentów. Po drodze spotkałem drugą z nich i znowu stał mi jak pień drzewa. Jak brzoza, bo właśnie puszczały pąki, bo był to początek wiosny. Po tym wszystkim myślałem, że trochę odpocznę, więc rzuciłem się do spania. Jednak coś mnie zaczęło delikatnie budzić. Otworzyłem oczy i zobaczyłem dwie siostrzyczki z chirurgii. Szybko zorganizowaliśmy miły trójkącik. Robiliśmy to na wszystkie możliwe sposoby, po niemiecku, po francusku, szwedzku. Gdy byliśmy przy Japonii wpadł lekarz sztabowy ze swastykami w oczach i przerwał miłe przyjęcie. Nie wiem, co zrobili tym siostrzyczkom, ale zeznały, że zmusiłem je przemocą. Zaraz mnie zamknęli i oskarżyli o bezczeszczenie rasy i gwałt. A za to przeważnie rozstrzeliwują! Ale ten radca i dwóch sędziów, którzy mnie sądzili, zgłupieli, gdy stanąłem przed nimi i krzyknąłem „Heil Hitler”. Dali więc tylko trzy miesiące Germersheim, zamiast zgodnie z prawem zrobić ze mnie podziurawiony worek!

Po tej przemowie Albert rzucił się ze śmiechem na podłogę.

– Po opuszczeniu Germersheim, gdy udawałem się do Paderbornu, zatrzymałem się w hotelu garnizonowym. Tam spotkałem, dwie kobitki z marynarki wojennej. Po tym jak skończyły mnie obrabiać byłem cały sino-czerwony! O masażu to one wiedziały chyba wszystko. Robiły tak, jak tylko mężczyzna może zamarzyć. Jedna z nich drażniła mnie swoimi cyckami tak, że niemal straciłem rozum. Druga żuła moją armatkę, aż zamieniła się w największą latarnię morską na świecie. Gdy już dochodziłem do szczytu, wtedy przerywały zabawę, aby ochłonał i zaczynały wszystko od początku. Te dziewczynki to były prawdziwe profesjonalistki. W końcu, gdy trysnąłem jak fontanna, to wszystko mi się zlało w całość, piekło i niebo, słońce i gwiazdy, a cała ziemia zawałiła mi się na łeb!

– Przestań! Do cholery przestań! – jęczał Mały. – Musisz mnie do nich zabrać, albo do końca życia będziesz walić konia!

Porta nalał wrzátku do kubków z kawą, którą znalazł w biurku komendanta.

– Kawa – mruknął więzień w litewskim mundurze. – Skąd ją wzięliście?

– Mam wujka w Brazylii – szepnął tajemniczo Porta. – On mi przysyła cały czas worki kawy.

– Gdybyśmy tu dotarli trochę wcześniej – powiedział ponuro Mały, wyglądając przez rozbite okno.

Na drugim końcu szerokiego dziedzińca rząd kobiet wchodził na skrzynie ciężarówek, dla których specjalnie uprzątnięto drogę.

– Mogliśmy mieć niezłe jebanko, gdybyśmy przybyli wcześniej – powiedział lubieżnie Albert, wycierając usta grzbietem dłoni.

– Czy ty zwariowałeś? Przecież broniłyby się i darły – powiedział z udanym przestraszonym Gregor.

– To tylko jeszcze bardziej podnieca – powiedział Mały, oblizując popękane od mrozu usta.

– Karą za gwałt jest śmierć – powiedział groźnie Heide i poprawił pas z kaburą.

– Gwałt? – roześmiał się głośno Mały. – A kto mówi o gwałcie. Po prostu je pieprzymy. Tak się przecież robi w czasie wojny.

– Kiedy mnie wypuszczali z Germersheim za te sprawy z laleczkami – wtrącił Albert – słyszałem o paru ogierach wojennych, którzy załatwiali dziewczyny bez ich zgody. Gdy ich złapali, wsadzili do szopy, pod którą podłożony był pocisk burzący. Dziewczyny trzymały detonator. A pilnowali tego żandarmi! Tak człowieku!

Energicznie wyrzucił ręce w górę.

– Następnego ranka, jeśli dziewczuchy nie wysadziły ich w powietrze, szli przez plac ćwiczeń, ale odbywali drogę tylko w jedną stronę – pod ścianę!

– Zmieńmy temat – poradził Porta, dmuchając na gorącą kawę. – Najlepiej jest po prostu zapłacić za cipkę, jeśli chcesz później uniknąć jakichkolwiek kłopotów.



Rozległ się przenikliwy zgrzyt i kupa cegieł spadła ze szczytu budynku. Cali byliśmy obsypani gruzem i zaprawą.

Garnek z kawą wyleciał z rąk Porty prosto w powietrze.

– Szybko na zewnątrz! – krzyczał Stary – Iwany atakują!

Race oświetleniowe wisiały nad naszymi głowami. Salwy broni automatycznej rozlegały się niedaleko od nas. Znowu spadły kawałki osmalonego muru.

Ślizgałem się po ścieżce, aby wskoczyć do leja po wybuchu, z którego Porta i Mały już prowadzili ogień z karabinu maszynowego.

Albert i Julius pojawili się jak błyskawice.

– Nie strzelać, to my! – krzyczał piskliwie Albert, przeskakując niemal jednym skokiem wrak T-34.

Ale Porta nie przerywał ognia, bo za Murzynem już ukazywali się Rosjanie.

– Nie, poczekaj człowieku! – krzyczał Albert. – Za nami lecą sąsiedzi z całym swoim arsenałem – Czy ty myślisz, że strzelam do ciebie, ty czarny pajacu! – warczał Porta, zmieniając taśmę w karabinie maszynowym.

– Chodźcie tutaj! – machałem do nich ręką.

Potem podniosłem kaem i pociągnąłem serię po oknach skrzydła kobiecego.

– Do diabła, chłopie! – jęczał Albert. – Czy ty chcesz nam odstrzelić tyłki?

Strzelania przygasła. Słyszeliśmy tylko stukot butów biegnących ludzi. Potem ziemia zatrzęsała się od serii wybuchów.

– To nasi, czy sąsiedzi? – spytał wyraźnie przestraszony Heide.

– A kto to do diabła wie? – odparł Porta. – Wynośmy się stąd. Zabieram tego kłapoucha ze sobą!

Po czym wskazał na rosyjski erkaem.

– A sąsiadom jest obojętne kogo zabijają.

Wskoczyłem do głębokiego rowu, na końcu którego, majaczyły jakieś sylwetki. Porta skierował tam lufę zdobycznego erkaemu i posłał długą serię pocisków.

Biegliśmy jak szaleni, jakby ścigała nas horda demonów.

Potykając się o ciała zбитych, lecąc na złamanie karku, powróciliśmy na nasze pozycje. Broń wylatywała nam z rąk. Walnąłem twarzą w płytę osłonową rozbitego Maxima.

– Ratunku! Iwany idą! – skowyczał Albert.

Obrócił się i skoczył w powietrze ze zręcznością akrobata. Jego pistolet maszynowy zakaszłał i posłał serię pocisków w stronę Rosjan w kamuflażu, wyłaniających się z lasu.

– Sąsiedzi – mruzczał Mały. – Cholerni sąsiedzi, ani chwili spokoju!

– Wracajmy – powiedział Porta. – Nie mam ochoty ginąć za Führera, Naród i Ojczyznę.

Przenikliwy wiatr hulał w wąwozie, aby z jękiem

wydobyć się na zaśnieżoną równinę, gdzie zamieniał się w burzę śniegową. Wył tak głośno, że nie można było rozmawiać. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał się wystawiać na jego podmuchy. Ale kto pyta o to żołnierza na linii frontu? Realnie to powinniśmy już dawno zamarznąć. Mróz dosłownie ciął nas na kawałki i odbierał chęć do życia.

*Powiedz nam pieskie życie  
Jak kwiat może żyć pod lodem?*

Tak nucił sobie Porta pod nosem, gdy schroniliśmy się chwilę za kępą krzewów.

– Co na miłość Boską robi dumna niemiecka piechota?  
– zrzędził Albert.

– Leży na brzuchach w dołach i pozwala swoim tyłkom oglądać rosyjski księżyc w pełni – odparł Porta, posyłając długa serię w śnieżną zasłonę.

– Ruszmy się – powiedział Heide.

– Na siedem piekieł, ale kurewsko zimno – jęczał Albert.

A zęby dzwoniły mu jak cała orkiestra.

Plum, plum – spadały wokół nas granaty moździerzowe.

Nisko pochyleni przemykaliśmy zawianą dróżką.

Gwałtowny podmuch lodowatego wiatru obrócił mnie i rzucił na krawędź ścieżki. Burza lodowych okruchów uderzyła jak pięść. Desperacko chwyciłem się ostrej

krawędzi, ale dłonie ześlizgnęły się ze szklistej powierzchni. Zjeżdżałem w dół w kłębach śniegu. Kryształki lodu smagały mi twarz, jakby ukąsiło mnie tysiąc skorpionów. Czułem się, jakbym wpadł w olbrzymi wir. Obracało mną i kręciło jak na karuzeli. Wokół latały pociski świetlne. Dosłownie tuż nade mną eksplodowała flara, oślepiając mnie kompletnie. Wiedziałem, że spadam w dół w lodowatym powietrzu. Kawałki lodu zapchały mi usta, niemal pozbawiając tchu. Nagle zdałem sobie sprawę, że spadam głową w dół. Drzewa i skały wyskakiwały przede mną ze śniegu z olbrzymią prędkością. Gwałtownie starałem sobie przypomnieć, czego mnie uczyli w szkole wojennej.

„Kiedy spadasz z dużej wysokości, rozłóż szeroko ręce i nogi i próbuj szybować jak ptak!” Tak zrobiłem, ale to wcale nie poprawiło mojej sytuacji. Widziałem przed sobą wielką skałę, o którą muszę się rozbić. Byłem sztywny z przerażenia i myślałem, żeby tylko szybko to się skończyło.

Nagle poszybowałem w górę długim lotem jak worek pierza. Minąłem wielką skałę, rząd drzew, wszystko z olbrzymią prędkością. Pęd powietrza dosłownie mnie zatkał. Czułem jak przez prawy bok przenika przeszywający ból. Gdy wylądowałem, wokół mnie był tylko śnieg, śnieg i śnieg. Wpadłem do olbrzymiej zasy śnieżnej. Nade mną sterczało wysokie urwisko. Jakimś sposobem przekreśliłem się jeszcze w powietrzu i wylądowałem nogami do przodu. Dzięki temu

przejechałem kilka metrów na plecach jak tobogan.

Mój pistolet maszynowy i P 38 gdzieś zniknęły. Do obrony miałem tylko nóż bojowy i dwa ładunki plastiku.

Burza śnieżna nadal szalała. Gdzieś z lasu odzywały się złowrogo karabiny maszynowe.

Zacząłem krzyczeć, ale kto mógł mnie usłyszeć w czasie takiej zawieruchy? Nawet ktoś stojący blisko, nie zrozumiałby, co mówię. Nagle zrobiło mi się zimno. Bezlitosny, morderczy chłód przenikał całe ciało. Muszę się ruszać. Nie ma możliwości, aby wytrzymać długo w tak niehumanicznych warunkach. Wokół mnie rozległy się suche trzaski, to z mrozu pękały drzewa.

Blisko mnie rozległo się wycie. Gdy się obróciłem, zobaczyłem parę świecących oczu. Na tle śniegu majaczył wilk. Uderzyłem go kawałkiem drzewa, który miałem pod ręką. Warknął, ale się nie ruszył. Z cholewy buta powoli wysunąłem nóż.

– Odejdź – próbowałem odgonić go gałęzią.

Wolniutko odwrócił się i zniknął za kotarą śniegu. Chwilę potem zaczął wyć o tym jak mnie nienawidzi.

Nie wiem, jak wydostałem się z tej śnieżnej zasy po śliskiej dróżce. Co chwila traciłem równowagę i lądowałem na ziemi.

Krótką komendą „Stój” zmusiła mnie do szukania schronienia. Znalazłem je za korzeniami wyrwanego z ziemi drzewa. Rzuciłem jeden z ładunków w stronę ledwo widocznej postaci. Po lesie rozniósł się huk eksplozji. Rosjanin wyleciał w powietrze. Gdy wylądował, pozostał

nieruchomo.

Wybuch niemal wrzucił jego automat w moje ręce. Chwyciłem go i zacząłem zbliżać się do leżącego jak wąż. Miał rozerwany cały brzuch. Krew zamarzała na nim błyskawicznie.

Potem zobaczyłem czterech innych. Wszyscy zabici z broni maszynowej. Ewidentnie wpadli w pułapkę. Ten, którego ja zabiłem, był jedynym, który z niej ocalał. Gdyby siedział cicho w ukryciu, to ja byłbym jego ofiarą. Ale prawdopodobnie oszalał ze strachu, bo nie ma nic zabawnego w przebywaniu w zamarzniętym lesie, pełnym fanatycznych morderców.

Porzuciłem ścieżkę i ruszyłem lasem na przełaj. Trzymałem przez cały czas pepeszę gotową do strzału.

Nagle moją szyję otoczyło czyjeś ramie, niemal pozbawiając oddechu. Ostrze noża wciskało się w moje gardło.

– Jeden ruch i nie żyjesz, Fryc – warknął ktoś, jakby po rosyjsku.

Stałem kompletnie sparaliżowany. Zmroziło mi krew. Nacisk noża powoli wzrastał. Czekałem na nieunikniony koniec. Za chwilę szybkie cięcie otworzy mi gardło.

Wtedy rozległ się tubalny śmiech. Mocne pchniecie – Trochę przestraszony, co? – śmiał się Porta.

Spomiędzy drzew wyszli Mały i Albert, śmiejąc się do rozpuku. Wydawało się im, że zrobili dowcip roku.

– Masz szczęście, że to byliśmy my – powiedział Porta.  
– Teraz będziesz wiedział, że po tym lesie nie można

chodzić jak w czasie pokoju.

– Zamknijcie się, wy gówna! – warczałem z wściekłości, podnosząc do góry automat. – Do diabła, byłem przerażony!

– Musisz być szalony jak twój szanowny tatuś, aby wchodzić do tego komunistycznego lasu w środku wojny – powiedział z wymówką Mały.

– Może jeszcze nie zrozumiałeś, ale nasi sąsiedzi są gotowi pociąć twoją dupkę na kawałki!

– Wracajmy do domu – powiedział Porta.

Przez dom rozumiał linię naszych pozycji.

Tylko przeszliśmy przez zrujnowaną wieś i natknęliśmy się na resztki kompanii. Oberleutnant Löwe, cały pokryty krwią, coś mówił przez otwór, który pozostawili mu sanitariusze w obandażowanej głowie. Klatkę piersiową też miał w opatrunkach.

Długa kolumna ludzi idących pojedynczym szeregiem maszerowała przez zamarzniete jezioro. To wszystko pozostało z naszego pułku skoncentrowanego w Bajkanskim.

Z zaciśniętymi ustami pułkownik Hinka odbierał raporty od dowódców kompanii. Straty były olbrzymie, głównie spowodowane spóźnionym ostrzałem artyleryjskim.

– Piąta Kompania, stan 19 ludzi – meldował porucznik Löwe. – 98 zabitych, 36 rannych i 51 zaginionych.

Przez „zaginionych” rozumiano tych, którzy byli nierozpoznawalni po wybuchach, pozostawieni

umierający i wzięci do niewoli. Jest bardzo wątpliwe, abyśmy kiedyś jeszcze o nich usłyszeli.

Znów rozległ się złowrogi gwizd. Z ogłuszającym hukiem eksplodowała wokół nas salwa pocisków. W ciągu sekund Bajkanski zamienił się ponownie w morze płomieni.

Wyrwana z jakiegoś ciała obuta noga, uderzyła mnie w plecy. Przewróciłem się na ziemię.

– Dzięki, człowieku – powiedział Albert. – Ten gość musiał być nieźle wkurzony, skoro rzucił w ciebie nogą razem z butem.

Uciekaliśmy z tego morza płomieni najszybciej, jak umieliśmy. Rosjanie często tak działali. Najpierw szybki ostrzał artylerii, a potem gwałtowny atak fanatycznej piechoty, ukrytej blisko naszych pozycji. Przeważnie zatrzymywaliśmy ją ogniem broni automatycznej. Teraz było jednak inaczej. Mieli kolosalną przewagę i nie zwalniali tempa natarcia.

Wycofywaliśmy się, a za nami szła lawina wybuchających pocisków.

– Za mną! – krzyknął Stary, machając nad głową pistoletem maszynowym.



*Przede wszystkim, w wieku kiedy wszyscy nasi rówieśnicy sądzili jeszcze, że są nieśmiertelni, my o śmierci wiedzieliśmy już wszystko.*

P. Caputo

*Porta wyjął P 38 z kabury i ruszył, ostrożnie w stronę na wpół otwartych szerokich, głównych drzwi. – jestem za tobą – powiedział do Małego, stając grzecznie z boku.*

*– Ty wierzysz, myślę, że mam głowę wypełnioną rosyjską ziemią? – odparł olbrzym. – Już długo biorę udział w tej cholernej wojnie i przez lata odkryłem, że nie warto wchodzić jako pierwszy przez takie drzwi, chyba, że masz pragnienie dotarcia do piekła za pomocą "nagłej śmierci"*

*– Szatani – ostrzegł Porta, patrząc na zachęcająco uchylone drzwi.*

*Otwarte drzwi mogły oznaczać wiele rzeczy. Mogły na przykład podpowiadać, że jakiś sprytny koleś stoi za nimi i jest gotów walnąć kogoś takiego jak my za pomocą pepeszy, jeśli tylko będziemy na tyle głupi, aby wsadzić za nie głowę.*

*– Do diabła z tym – mruknął Porta, rzucając się na podłogę za nimi.*

*Zanim skończył ślizg, odwrócił się na plecy i strzelił w ścianę za uchylonym skrzydłem drzwi. Nie było tam nikogo! Odwrócił się i posłał serię w kolejne drzwi.*

*– Pusto jak w policyjnym łbie – zawołał, zaglądając*

*ostrożnie za biurko.*

*– Całkowita racja – przyznał Mały.*

*Wkroczył jak burza i posłał parę kul w drzwi, jakby mu ktoś kazał.*

*Mieliśmy otworzyć właz, gdy rozległ się grzechot serii z pistoletu maszynowego. Człowiek, który miał właśnie stanąć na podeście, znikł jakby eksplodował wśród kropli krwi. Głowa mu odleciała, jak wielki kapelusz na wietrze.*

*Pierwszy poleciał po schodach w dół Mały. Wykonał skok godny igrzysk olimpijskich i wylądował w kübelwagenie. Za nim, głową w dół, poleciał na siedzenie kierowcy Porta. Leciał z prędkością niewiele mniejszą niż światło. Odwrócił się i strzelił pomiędzy dwa czołgi, prowadzone przez przestraszonych dowódców, niemieckiego i ruskiego. Obaj niemal wypadli z wieżyczek, chcąc zobaczyć, co się stało.*

# Rozdział 5

## Wojenne pobojuwisko

Ciepła krew kapiała mi na twarz, mieszając się z topniejącym na niej śniegiem.

Miał urwane nogi aż do wysokości kolan. To z nich spływała krew. Nawet najmniejszy ruch powodował lawinę bólu. Dopiero po chwili byłem w stanie przesunąć hełm i lekko się obrócić, tak, że krew z gościa wiszącego na belce nie ciekła mi na twarz.

Na pustych skrzynkach po amunicji leżał Porta, zwinięty w kłębek jak pies. Obok niego, w kałuży krwi leżał Barcelona. Po chwili wzrokiem odszukałem wszystkich. Mały siedział obok Alberta, na resztkach tego, co kiedyś było wieżyczką czołgową. Lufa działa wyglądała jak nie do końca obdarty ze skóry banan.

– Gdybym był kurą... – śpiewał zachrypniętym głosem Albert.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co się stało, poza fontanną ognia i stali.

Kapitan powoli kroczył dumnym krokiem i lekko wymachiwał pistoletem. Dał rozkaz oddziałom, aby dłużej nie czekały.

Jak widmo, z dziury wychynął kapelan z odkrytą głową. Coś zagdakał i roześmiał się szaleńczo.

– Odejdź szatanie! – zawołał kapitan i przestrzelił

księżulowi głowę.

Z przenikliwym śmiechem zataczał się pomiędzy rannymi i zabitymi. Nie zwracał nawet uwagi na toczący się T-34, który z chrzęstem zbliżał się do niego. Uderzenie wyrzuciło jego ciało na pancierz czołgu. Po chwili zsunęło się, aby zostać zgniecione przez szeroką gaśnicę.

– Jednego *Giermańca* mniej – zaśmiał się kierowca czołgu, gdy poczuł, że gaśnica skruszyła zwłoki szalonego kapitana.

Stary zwinął się obok mnie. Miał obcięty hełm, jakby ktoś brzytwą przejechał przez papier. Szrapnel skasował mu ochronę karku i kawałek czołowy.

To był jeden z tych nowych hełmów, które miały chronić głowę przed szrapnelami.

– Na razie żyjesz – powiedział, uśmiechając się z ulgą.

Po czym wytarł krew z mojej twarzy.

– Gdzie cię trafili? Nie masz żadnych śladów na głowie.

Wskazałem na górę.

– To nie moja krew, to jego.

– Tak. Już nie musimy się o niego martwić – powiedział Stary, patrząc na pozbawione nóg ciało, wiszące na belce.

– Musiałem dostać w brzuch – powiedziałem z bólem.

– Boże, jak boli, nie mogę się ruszyć.

– Spokojnie – powiedział Stary i pogłaskał mnie po policzku. – Nie jest tak źle, jak myślisz.

– Co z innymi? – spytałem zmartwiony.

– Też nie mieli lekko – odparł. – Albert chyba oszalał, bo cały czas śpiewa. Między nami eksplodował cały ładunek. Odrzuciło mnie chyba ze dwie mile stąd. Piechota, która nacierała przed nami została rozerwana na atomy. Nawet guzik po nich nie został.

– Czy mam nogi? – spytałem ze strachem.

– W ogóle ich nie czuję!

– Są mocno do ciebie przyczepione – uśmiechnął się po ojcowsku Stary.

Zapalił fajkę ze srebrnym wieczkiem i dmuchnął w zimne powietrze chmurkę niebieskawego dymu.

– Ale wykonałeś piekielnie długi lot w powietrzu, Na razie nie ruszaj się. Jednak będziemy musieli się stąd wynieść, nim nasi radzieccy sąsiedzi będą wracać.

– Piekło i demony – jęczał Barcelona. – Byłem u wrót piekła i nieba, ale nigdzie mnie nie wpuścili. Jak to się stało? Zupełnie nie rozumiem.

– To normalne, jak stworzenie – mruknął Porta.

Wbił wzrok w Gregora, który leżał w kłębach drutu kolczastego i gadał coś do martwego Rosjanina.

Z lasu wyszła linia piechoty. Jakiś Oberfeldwebel patrzył krytycznie na nas.

– Zabierajcie tyłki i bebechy, bo wam je odstrzelą – powiedział przechodząc obok nas, nie próbując nam nawet pomóc.

– Pomóż nam! – krzyknął Stary. – Sami nie damy rady!

– Dobra, przestań gdakać – zachrypiał ze złościwym

uśmiechem – Chcesz odgrywać wielkiego białego ojca. Jest nas tu dwóch, którzy mogą rozkazywać.

– To od ciebie zależy – warknął Stary. – Pomóż nam, bo jeśli nie, to cię prędzej czy później znajdziemy. Wtedy nie spodoba się to twojemu tyłkowi!

– Tak myślisz? – roześmiał się dudniąco Oberfeldwebel. – Jesteśmy ostatni, synu. Taka tylna straż, chciałoby się powiedzieć. Za nami są tylko sąsiedzi i koniec świata, taki los. Ale nie dalej, jeśli Ruscy nas dopadną. To jest jak pożegnanie marynarza. Zbierajcie się, pomożemy wam.

Pokazał swoim ludziom, co mają robić.

– Jeśli któryś z was umrze, musimy go zostawić.

– Jak mamy zabrać tych szmaciarzy? – spytał podoficer, z miotaczem ognia na plecach.

– Zamknij jadaczkę – przerwał mu brutalnie Oberfeldwebel. – Ruszaj się!

– Nie możemy ich wszystkich zabrać – rzucił się jakiś Gefreiter. – Część z nich musi zostać i modlić się, żeby Iwany, gdy tu dotrą, byli w niedzielnym nastroju.

– Ci, którzy będą na końcu kolejki, zostają – zdecydował krótko sierżant.

Szorstko i niechętnie pomagali nam się pozbierać, nie zważając na nasze jęki.

Młody porucznik, tylko lekko ranny, ale wyniszczony dyzenterią, błagał i prosił, aby ktoś mu pomógł. Oferował zegarek na rękę i złotą papierośnicę jako zapłatę.

Obergefreiter, zważył złoto w rękę i wsunął do

kieszoni. On i drugi żołnierz wzięli oficera pod pachy i ciągnęli go jak worek ziarna w młynie.

– Boże, ale gówno – powiedział Obergefreiter z obrzydzeniem, gdy żółta ciecz, zmieszana z krwią, wyciekała porucznikowi spomiędzy nóg.

– Śmierdzi jak w piekielnym wychodku – przyznał drugi żołnierz.

– Nie chcę was obrażać – roześmiał się Mały – ale jesteście jak dwa ruchome kible.

– Interesuje cię to? – spytał Obergefreiter wysmarowany krwawymi ekskrementami.

– Uwierzcie mi, tak jest – potwierdził słowa Małego Porta. – Daję wam dwa tygodnie i będzie między chorymi na tyfus lub dyzenterię. To będzie straszna śmierć!

– Ty brudasie! – krzyknął Obergefreiter z furją, gdy porucznik wyrzucił z siebie kolejną porcję odchodów.

Wydawał się nieprzytomny, jego oddech przypominał rżenie umierającego.

– Nie możecie go jakoś wypróżnić z tego gówna – spytał ich towarzysz, rozglądając się wokoło.

– Stuknijmy nim o drzewo – powiedział Obergefreiter zamyślony. – To powinno z niego wytrzepać całe gówno.

– Możemy spróbować – dodał inny żołnierz.

– Zabijemy go albo uleczymy. Jeśli się wypróżni, to powinien poczuć się lepiej.

Parę razy uderzyli ciałem oficera o pień drzewa.

– Wy, dwa bękarty, zapłacicie za to! – krzyknął Stary z furją.

– Zamknij dziób! – ostrzegł strzelec, posyłając w naszą stronę pełne nienawiści spojrzenie.

Jęcząc ruszyli za kolumną z przewieszonym przez ramiona porucznikiem. Nie uszli daleko, gdy odkryli, że oficer nie żyje. Beztrosko porzucili ciało zmarłego w rowie i powolnym krokiem powrócili na czoło kolumny.

– Porucznik zasrał się na śmierć – zameldowali bezwstydnie Oberfeldweblowi. – Od tej pory jest w niebiańskim kasynie i gra na pianinie świętemu Piotrowi.

– Powinienem się domyśleć, że jest nieżywy – syknął wściekły sierżant. – Nikt by nie zniósł takiego traktowania! Spróbujcie jeszcze raz coś takiego zrobić, to zatroszczę się o wasze głowy! Zrozumiano!

Pozostawili nas obok polowego punktu opatrunkowego. Wszędzie leżały masy umierających żołnierzy. Nawet nie zameldowali, że nas przynieśli.

Wkrótce dzień zamienił się w noc. Cały czas przechodziły obok nas różne pododdziały. Trzy pomalowane na biało PzKpfw IV, przejechały z chrzęstem, ślizgając się po oblodzonej drodze. Zamrożone ciała pękały jak bańki szklane, gdy dostawały się pod ich gąsienice.

– Zabierzcie nas ze sobą! – krzyczał Porta, machając dziko rękami w ich stronę. – Zabierzcie nas, jesteśmy z 6. Pancерnej.

Na czołgach były widoczne znaki taktyczne 7. Dywizji Pancерnej. Miały namalowane żółte litery Y.

Jednak się nie zatrzymali. W wieżyczkach stali



dowódcy, opatuleni w skóry. Nawet na nas nie spojrzeli. Byli tak zajęci wycofywaniem się na bezpieczne pozycje, że na nic nie zwracali uwagi.

– To jest nasza siostrzana dywizja – stwierdził ironicznie Porta. – Koledzy spokojnie! Potrzebujemy pomocy!

– Zamykają interes – skomentował Stary. – Zaraz przyjdą sąsiedzi i zrobią remanent.

– Dobranoc! Marysiu, twoja głowa dziewicy już wisi na gwoździu! – zakaszłał pogardliwie Mały.

Było już późno w nocy, gdy dotarł do nas zmęczony asystent lekarza, za którym szło paru Feldwebli z sanitariatu. Przepychali się przez rzędy leżących rannych i umierających. Co chwila pochylali się nad noszami, poprawiali opatrunki i wzruszali z rezygnacją ramionami.

Sanitariusz dawał każdemu zastrzyk podskórny. Działał jak automat.

– Tężec – mruzczał i ruszał do następnego pacjenta.

– Gdzie są obcinacze kości? – spytał Mały. – Nie mają zamiaru operować? Mam w sobie połowę stali użytej podczas tej wojny!

– Operacja! Teraz, nie ma szans! – roześmiał się medyk. – To zostawimy sąsiadom. Już tu niedługo będą!

– Gównojady! Niemieckie świnię! – ryknął Mały rozwścieczony, rzucając za nimi kawałem lodu.

Generał-major z twarzą omotaną bandażami, wyszedł z długiego budynku.

Przyciskał mocno do siebie lekarza sztabowego.

Wszyscy naokoło im salutowali. Generał wcisnął się do stojącego obok samochodu, który po chwili zniknął w tumanie śniegu, ledwo unikając przejechania szeregu rannych.

– Dobry generał wie, jak się wycofać – roześmiał się Porta z kpina.

Zgiął lewą rękę w łokciu wokół prawej pięści, pokazując, że ich po prostu pieprzy.

Kilku oficerów lekarzy odzianych w grube futra opuszczało w pośpiechu długi barak z walizkami w rękach. Z trudem doturlali się do paru ambulansów ze znakiem czerwonego krzyża, które stały z zapalonymi silnikami.

– A co z rannymi? – spytał Feldwebel – sanitariusz, głupio salutując uciekającym oficerom.

– Możesz z nimi zostać, jeśli sobie tego życzysz – powiedział siwowłosy oficer z cynicznym uśmiechem, wskazując do furgonetki.

Kolumna żołnierzy stojąca za nami natychmiast się zmniejszyła.

Trzech żandarmów na motocyklach, z napierśnikami łowców głów, zatrzymała swoje ciężkie motocykle BMW. Niby przypadkowo, ich karabiny maszynowe, umocowane za przyczepkach zostały skierowane w naszą stronę. Stabsfeldwebel z łbem przypominającym owczarka alzackiego, rozejrzał się dookoła zimnym wzrokiem. Jego oczy ledwo były widoczne spod krawędzi hełmu.

– Wy mokre worki, dlaczego tutaj leżycie? – zawarczał pokazując żółte od tytoniu zęby. – Wstawać, leniwe świnie!

Skierował lufę empi w stronę najbliższego rannego, który leżał na stercie gałęzi.

– Wstawaj! – syknął. – Albo wywalę ci mózg na zewnątrz!

– Rozwalmy te zawszone psy gończe! – krzyknął Obergefreyter w zakrwawionym mundurze.

Zabrzmiały dwa szybkie strzały. Głośno i groźnie.

Dobrze odżywiony żandarm odskoczył do tyłu pół kroku i zakreślił spory łuk lufą pistoletu maszynowego.

Nowa seria strzałów wyrwała tuż obok jego stóp kawałki lodu.

– Czy wyście poszaleli? – zaprotestował chropowatym głosem, kryjąc się za motocyklem. – Nie możecie do nas strzelać!

– Nie wierz w to! – krzyknął Mały, potrząsając empi.

– Zabić ich! Załatwić bydlaków! – rozległ się głośny chór głosów rannych żołnierzy.

Wystrzały ze wszystkich niemal rodzajów broni ręcznej dosłownie zmiądzły ciężkie motocykle. Ekspłodowały całkiem ładnym bukietem płomieni. Feldwebel potoczył się po śniegu jak zwinięta w kulkę kartka papieru. Płonął.

– Zabrzmiało jakby maciora skwierczała na patelni – roześmiał się uradowany Porta.

Dwóch pozostałych żandarmów próbowało uciec. Natychmiast za nimi pokoziołkowało pięć lub sześć

granatów ręcznych i głucho eksplodowało. Wylądowali w śniegu, który pokrywał zamrożone ciała zmarłych żołnierzy.

Jak dar z niebios zatrzymała się obok nas kolumna wielkich ciężarówek. Przeklinając, żołnierze z zaopatrzenia wyskakiwali z nich i niechętnie pakowali nas na skrzynie.

– Tylko żywych – rozkazał rotmistrz.

Poganiał od niechcenia swoich ludzi.

– Szybciej! Szybciej! Musimy jechać! – gdał, smagając futrzane buty pejczem.

– Cholera, mam zamiar wsadzić ci do gardła twoje wszystkie kudły, gdy poczuję się lepiej – obiecywał Mały niosącemu go żołnierzowi, który upuścił go dwa razy na ziemię.

– Jeśli się nie zamkniesz – odparł żołnierz wielkości Małego – pozwolę ci tu poleżeć i wtedy stracisz głowę! Iwan załatwia każdego, kto nie jest Ruski. Na to możesz liczyć!

– Czy zabieramy tego czarnego podczłowieka? – zapytał podoficer wskazując z uśmiechem na Alberta.

Zaś Albert leżał na ziemi i szczyrzył białe zęby.

– Teraz zobaczyłem już wszystko! – krzyknął zaskoczony Feldwebel. – Kanibal w mundurze niemieckim? Czy jest to tajemnica, czy też Führer wie o tobie?

– Zamknij swój zasrany ryj! To nie jest zabawne – oburzył się Albert. – Wolę być sobą dziesięć razy

bardziej, niż miałbym być taką śmierdzącą niemiecką kiełbasą jak ty!

– Uważaj na jeźor! Ty walnięty Zulusie! Wracaj na drzewo do innych małp! – ostrzegł go Feldwebel z groźnym wyrazem twarzy.

– Zabieramy go? – spytał ponownie niecierpliwy podoficer, patrząc tak jakby chciał skopać naszego czarnoskórego kumpla.

– Byłoby lepiej – odparł Feldwebel – abyśmy go zabrali. Bo gdy przyjdą Rosjanie, to wykorzystają go propagandowo i powiedzą, że jesteśmy małpami z ZOO. Ale połóżcie go na końcu skrzyni, tak aby można było wyrzucić jego zwłoki na pierwszy napotkany stos.

– Tak jest! – krzyknął rotmistrz – wynośmy się stąd. Nie mamy dużo czasu. Resztę zostawimy tutaj. Zaopiekują się nimi Rosjanie.

Pozostali ranni zaczęli gwałtownie protestować. Ci, którzy mogli chodzić, desperacko chwyтали się odjeżdżających samochodów.

– Szybciej! Szybciej! – krzyknął rotmistrz i wskoczył do czołowej ciężarówki.

Wielu ludzi zawisło na bokach samochodów i pozwoliło im się wlec po śniegu. Strach przed Rosjanami dodawał wszystkim nadzwyczajnych sił.

Kilku z nich wciągnęliśmy na pakę samochodu, ale większość z nich odpadła lub dostała się pod koła ciężarówek. Kierowcy nie byli w stanie uniknąć przejechania tych nieszczęśników na oblodzonej drodze.

– To jest dobry przykład na to, ile jest warte życie zwykłego żołnierza – powiedział gorzko Stary.

– Nie więcej niż gówno, które hydraulik wygrzebuje z zapchanej rury kanalizacyjnej – warknął Porta, zapalając papierosa.

– Gówno na szczycie gnoju – oznajmił Legionista. – *Cest la guerre.*

– Popatrzcie na tego tłustego gościa – przerwał Stary, wskazując ustnikiem fajki na umierającego żołnierza z jednostki narciarskiej. – Ma w domu żonę, która trzepie chodniki i kupę zasmarkanych dzieciaków. One też kiedyś wylądują na stercie tego gówna, w którym kona ich ojciec. Wciąż dziwimy się takim rzeczom!

– Nie jesteśmy dużo więcej warci – stwierdził trochę filozoficznie Albert. – Często myślałem, co my robimy w armii? Dlaczego nie rzucimy tego w cholere i nie zostawimy tej zabawy tym, którzy ją wymyślili? Oficerom i tłustym urzędasom w biurach. To oni potrzebują nas, abyśmy chronili ich bogactwo, aby mogli siedzieć w swoich miękkich fotelach i pierdzieć!

– Zamknij swoją czarną gębę – krzyknął Heide, drżąc z wściekłości. – Gadasz jak pieprzony komunista!

Paciorki świetlnych pocisków wyleciały z lasu i przerwały całą dyskusję. Ciężarówka zsunęła się po skarpie. Ranni zaczęli spadać ze skrzyni pojazdu. Na dnie parowu samochód eksplodował i zniknął w powodzi czerwonych i żółtych płomieni.

– Naprzód! Naprzód! – krzyczał histerycznie rotmistrz,

wymachując w powietrzu empi. – Nie zatrzymywać się!

Kolejna ciężarówka wjechała w morze płomieni. Zapaliła się razem z rannymi i chorymi.

– Boże, ależ tu śmierdzi – westchnął Barcelona.

– Gorzej niż w chińskim wychodku po orgii żarcia.

– To tych pięciu dupków, siedzących leżących w rogu robi pod siebie i roznosi zarazki tyfusu – krzyknął Mały z zaczerwienioną twarzą.

Kopnął w jęczącą stertę ludzkich ciał, leżącą w kącie skrzyni.

– Wyrzucimy ich! – doradzał sierżant artylerii.

– Niech zostawią tyfus pieprzonym sąsiadom!

– Czyś ty oszalał? Nie możemy tego zrobić! – zaprotestował Porta. – Oskarżyliby nas o stosowanie broni bakteriologicznej i nie zajechalibyśmy wtedy daleko!

– Czy ktoś z was wierzy w nową cudowną broń Adolfa? – spytał Gefreiter ze szczurzą gębą.

– No, tu cię mam! Teraz ją zobaczyłem! – odparł Porta i zwinął się ze śmiechu.

Przez całą noc gnaliśmy z wariacką prędkością przez zniszczone wioski, w których rzędami dyndali powieszoni na słupach telegraficznych ludzie.

– Partyzanci – mruknął Heide z twarzą zmarszczoną z gniewu.

– Tak myślisz? – spytał z kpina w głosie Porta.

– Bardziej prawdopodobne, że jacyś sadyści z

morderczymi instynktami chcieli pokazać swoją władzę. Partyzanci nie przychodzą i nie proszą, aby ich powieszono. Są raczej jak węże. Szybkie uderzenie i odskok jak błyskawica.

Nasza lora wjechała w głęboką dziurę i zaryła głęboko. Niedaleko rozległo się dudnienie czołgowych silników, a po chwili było już słychać chrzęst gąsienic.

Ogarnęła nas panika. Ci, którzy mogli, wyskakiwali z ciężarówki i chowali się w zaspach śnieżnych.

Ze wzgórza zjechał samochód terenowy i ze zgrzytem uderzył w ścianę budynku. Z wraku zwisało jak szmaciane lalki czterech żołnierzy. Po chwili pojazd zaczął dymić i pojawiły się na nim niewielkie płomyki ognia.

Trzy szarobiałe T-34 wyjechały z lasu. Drzewa pod ich naporem łamały się jak zapalki. Docierał do nas miarowy szum, zmieniający się w grzmiący hałas, jakby pociąg towarowy przejeżdżał przez stalowy most.

Czołowy T-34 przejeżdżał przez lód, gdy zdmuchnęło mu wieżyczkę. Wyglądało to tak, jakby ktoś kopnął wiadro. Następna groźna eksplozja. Odpada lufa działa. Gigantyczny pomarańczowy błysk ognia i znowu ogłuszająca eksplozja. Tocząca się kula ognia oświetla okolice.

Drugi T-34 zatrzymuje się na chwilę i momentalnie staje w płomieniach. Dowódca w czarnym mundurze próbuje uciec z płonącego czołgu w ostatnim momencie. Urwana na wysokości kolana lewa noga leci w powietrzu



ponad płomieniami ognia.

Na szczycie wzgórza pojawia się Pantera. Jej długa lufa obraca się w stronę ostatniego T-34. Strumień ognia z otworu działa, dwa przeraźliwe wybuchy dzwonią nam w uszach. T-34 zapalił się w tym samym momencie, co Pantera.

Z obydwóch czołgów wydobywają się płomienie i czarny dym.

Dwóch ludzi z załogi Pantery wyskakuje z wieżyczki. Kaszląc, walczą o dopływ świeżego powietrza. Przez chwilę tarzają się w śniegu.

Trzech Rosjan z ostatniego T-34 wylatuje w powietrze, jak płonące pochodnie. Przez moment są jak gwiazdy na niebie, potem gasną na ziemi. Typowa śmierć czołgisty.

– Trzymajcie głowy nisko – ostrzegł Stary. – Za chwilę te stalowe pudła wylecą w powietrze.

Jakieś cienie biegały wokół płonących potworów, oświetlane jak widma ogniem płonącej stali.

– Iwany – powiedział Mały, wskazując sylwetki. – Sam chory na umyśle komisarz musiał ich kopnąć w tyłek, aby tam się pojawili.

– Może są zmęczeni życiem – wyszczerzył zęby bez uśmiechu Porta. – Kiedy amunicja się zapali, nastąpi takie bum, że wybuch wyniesie ich kulawego komisarza tak wysoko, że będzie mógł nawalić diabłu na twarz.

Parę sekund później czołgi eksplodowały. Przerazający wybuch wyrywał drzewa z korzeniami i posyłał je w powietrze jak oszczepy. Nic nie zostało z ciekawskich

Rosjan.

– Przemineęło z wiatrem – zapłakał Gregor, rozkładając szeroko ręce. – Po prostu przemineęło.

– Wyrzuciło ich chyba na drugą stronę Kołymy, możemy podyskutować, skąd się tam z nimi wzięło parę łosi – komentował Porta, układając się wygodnie na śniegu. – Bądźcie tak mili i obudźcie mnie, zanim umrę.

– Do diabła, czy ty w ogóle się nie denerwujesz – spytał Barcelona. – Nie możesz po prostu spać i czekać, aż przyjdą sąsiedzi i cię odstrzelą!

– A co powinienem według ciebie zrobić? – dopytywał się Porta. – Nie wyobrażam sobie, że chłopcy Iwana są gotowi na grzeczne pogaduszki. Jestem przygotowany na to, że dostali potężny zastrzyk oszczanej propagandy Ilii Erenburga. Zabijać Germańca! Wyrywać ich z łona matek i miażdżyć czaszki kapitalistom, szcurzej pladze zachodu!

Czołg PzKpfw III z długą lufą kalibru 75 mm, skierowaną do nieba podjechał z chrzęstem w naszą stronę.

– Potrzebujecie pomocy? – spytał dowódca, wychylając się z wieżyczki razem z ładowniczym.

– Podajcie nam jakieś liny! – krzyknął.

– Nie damy rady, większość z nas nie może chodzić, jesteśmy ranni. Ledwie dajemy radę pierdzieć i oddychać.

– Zapomnijcie, że jesteście ranni – mówił rozwijając zamarzną linę holowniczą. – Musimy się spieszyć. Iwany są naprawdę blisko.

Klnąc z bólu wstawaliśmy i chwytaaliśmy się sztywnej liny. Wreszcie zaczepiliśmy ją i czołg zaczął ciągnąć.

– Powoli i spokojnie – nakazał dowódca. – Nie chcemy ofiar. W tej temperaturze drzazgi metalowe są ostre jak szkło.

Całkiem wolno ciężarówka została wyciągnięta z dziury. Przez moment wydawało się, że przewróci się na bok. Jej przednia część balansowała nad krawędzią dziury z kołami wiszącymi w powietrzu. Ze zgrzytem i chrzęstem resorów, ciężarówka pokołysała się i jakimś cudem stanęła na drodze. Lina holownicza ze świstem urwała się i ścięła twarz jednemu piechurowi, który na czas nie zdążył zanurkować w śniegu.

Język ognia pojawił się na wzgórzu i charakterystyczny odgłos wystrzału czołgowego odbił się echem od ściany lasu.

Nasz PzKpfw III momentalnie stanął w ogniu. Czarny, oleisty słup dymu w kształcie parasola wzniósł się ponad drzewami. Załoga czołgu w płonących mundurach wyskakiwała przez otwarte włazy. Krzycząc, rzucali się w śniegu, powoli ulegając przemocy płomieni. Nic nie mogliśmy zrobić. Nie byliśmy w stanie im pomóc. Byli oblani paliwem z dwóch zapasowych zbiorników, które były fatalnie osłonięte w tym typie czołgu.

Nasza ciężarówka wyjąc całą mocą silnika gnała na złamanie karu. Zjechała po stoku nasypu i uderzyła w amfibię, w której było dwóch strzelców SS. Na zakręcie obróciliśmy się trzy razy wokół własnej osi. Ścięliśmy

przy okazji trzy słupy telefoniczne, które padły z głośnym skrzypieniem. Czterech ludzi siedzących na burcie skrzyni wyleciało jak z katapulty, ale nie przerywaliśmy jazdy. Kierowca bał się zatrzymać, gdyż mógłby nie uruchomić ponownie silnika. Musieliśmy jechać bez przerwy.

Było już dobrze po północy, gdy dojechaliśmy do punktu sanitarnego, który wyraźnie przygotowywał się do ewakuacji. Długi rząd ambulansów stał i czekał z zapalonymi silnikami. Samochody wypełnione były nie tylko rannymi, ale także sporą ilością skrzynek i walizek.

Oczekiwaliśmy niemal wieczność, nim pojawił się znerwicowany oficer medyczny. Zbadał powierzchownie stojących najbliżej niego żołnierzy. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że są tylko dwa rodzaje pacjentów. Ci, którzy mogą się ruszać i ci, którzy zostaną. Sprawdzał tylko ubrania. Ci, którzy mieli za dużo krwi albo byli obdarci, zostawali. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Odgłosy zbliżającego się frontu były coraz głośniejsze.

Pułkownik owinięty taką ilością bandaży, że przypominał egipską mumię, żądał widzenia się z lekarzem.

– To jest rozkaz! – ryczał jak na musztrze, gdy zdał sobie sprawę, że jest ignorowany.

– Tak jest – odparł bez troski sanitariusz.

– Dlaczego lekarz nie przychodzi?! – ponownie wydarł się Oberst.

– Niestety, nie wiem – odparł szybko żołnierz i pobiegł

do następnego pacjenta.

Kiedy pojawił się sierżant sanitariusz, pułkownik z uporem powtórzył swoje żądania.

– Medyk sztabowy zaraz tutaj będzie – obiecał sierżant, wrywając się z objęć oficera.

Ale lekarz naczelny nie pojawił się. Zamiast niego przyszło dwóch szeregowców i cichaczem wyprowadzili pułkownika z rosnącej kolejki rannych.

– Wy leniwe wory! – krzyczał Mały za odchodzącymi.  
– Jak wy nas traktujecie do cholery, kiedy przelaliśmy tyle krwi za Führera i Vaterland! Jesteśmy ludźmi!

Ordynansi zatrzymali się i zaczęli patrzeć na nas z poczuciem wyższości.

– Ludzkie byty? Z tymi dwoma paskami szkockiej mgły, które masz na ramieniu, jesteś tyle wart, co wrzód na tyłku łosia. Pies salonowy pułkownika stoi wyżej na drabinie władzy, niż ty, frontowy żebraku. Gdyby ten pies był tutaj, najpierw byśmy jego operowali, a nie takie gówno, jak ty!

– Oto czym jesteśmy, zwykłymi śmieciami – westchnął Albert.

Apatycznie postawił kołnierz zimowego płaszcza, aby osłonić uszy.

– Gdy już się wszystko po wojnie wyjaśni, dopadniemy te gówna z sanitariatu – obiecał Porta, wymachując pięścią łapiduchom, którzy odchodzili zadowoleni z siebie.

W trakcie nocy dostaliśmy się do środka baraku.

Uderzył nas smród gnijących ciał i gangreny. Wiatr hulał wzdłuż długiego korytarza, nawiewając tumany sypkiego śniegu.

Obandażowany pułkownik, cały czas wzywał doktora. Już od dawna przebywał w baraku. Gderliwie domagał się, aby zamknięto okna. Nie można było jednak tego zrobić, bo okien już dawno nie było. Próbował podnieść się, straszył ordynansów, ale w końcu ponownie opadł na pokryte plamami krwi nosze.

Jego oczy spoczęły na pustych noszach, które przyniesiono wcześniej niż jego. Ludzie, którzy na nich leżeli już dawno gdzieś znikli. Gdy dotarł do końca korytarza, zdał sobie, co się dzieje. Nie było końca korytarza, bo nie było końcowej ściany, tylko brzeg zamarznętej rzeki. Tam kończyli ci, którzy leżeli poprzednio na noszach. Łatwy sposób aby pozbyć się śmiertelnie rannych. Miejsce i nosze potrzebne były dla wciąż żywych. Tych, którzy mogli być stąd ewakuowani. Czasami jakiś biedny koleś, gdy się zorientował, co go czeka, zaczynał przeraźliwie krzyczeć. Nic mu to nie mogło pomóc. Leciał do rzeki, jak cała reszta przed nim. Jeśli nie zmarł w trakcie powolnej wędrówki, załatwiał go mróz.

– Zabierzcie mnie stąd! – wył pułkownik z furją. – Domagam się rozmowy z doktorem. Jestem pułkownikiem i dowódcą pułku!

Nikt się nim nie przejmował.

Jakiś starszy lekarz pochylił się nad nim.

– Wkrótce się panem zajmiemy – obiecał zmęczonym głosem.

Po czym dodał szeptem do ordynansa.

– Beznadziejny przypadek.

Ale pułkownik to usłyszał i zaczął krzyczeć i płakać. Powinien zlecić się cały sztab lekarzy i pielęgniarek. Ale to była olbrzymia rzeźnia, w której panika rozrastała się z minuty na minutę. Tak, że pułkownik krzyczał sam dla siebie. W jakimś szalonym odruchu wyciągnął bagnet i wbił sobie w gardło. W górę trysnął gejzer krwi.

Wkrótce potem podszedł do niego ordynans.

– Skończony – powiedział bez emocji. – Mamy następne nosze.

Wprawnym ruchem posłał ciało oficera w stronę rzeki, tak jak jego poprzedników.

Jego nosze dostał porucznik ze zmiążdżonymi nogami.

Byliśmy przepychani coraz bliżej sali operacyjnej, z której wydostawały się odór krwi i wewnętrzości.

– Teraz ten – wskazał sanitariusz pokrwawionego sapera.

– Nie myślisz, że on umrze? – spytał ordynans, odziany w wielki gumowy fartuch.

– Skąd do diabła mam wiedzieć, nie jestem jasnowidzem! – wybuchnął sanitariusz.

– Bo według mnie to dobrze przygotowane zwłoki – wyjaśnił ordynans.

– Bardzo dobra diagnoza – syknął asystent chirurga, podnosząc powiekę sapera.

Strząsnął z nosa olbrzymią wieszak i rozdeptał ją obcasem buta.

– A, noga! Moja noga! – jęczał saper, gdy kładli go na stole operacyjnym i przywiązywali rzemieniami. – Więcej nie zniosę. To pali! Pali jak piekło!

– Podwójna morfina! – zarządził chirurg, odcinając resztki munduru przylegające do ran. W nodze była olbrzymia dziura, tuż poniżej kolana. Cała kończyna była spuchnięta i prawie czarna. Gangrena rozwinęła się od stopy do kolana. Palce nogi wyglądały jak małe nadmuchane balony.

– Noga do amputacji – oświadczył szorstko lekarz. – Narkoza!

– Już nie ma – powiedział lakonicznie asystent.

– Morfina – szepnął chirurg.

Sięgnął po narzędzia, które przygotował w sali operacyjnej pomocnik-instrumentariusz.

Powietrze wypełniał słodkawy, wywołujący wymioty smród.

Asystent oczyścił olbrzymią ranę, a chirurg rozciął skórę. Operacja przebiegała sprawnie. Wszyscy pracowali w milczeniu. Tylko chirurg, szef, wydawał szybkie polecenia, zaś instrumentariusz wprawnymi ruchami podawał narzędzia, jakie były potrzebne. Nóż zagłębiał się coraz bardziej w zepsute ciało.

Saper zaczął krzyczeć.

– Wsadźcie mu coś do ust – polecił chirurg z gniewem.

Zaczął przecinać kość. Szczypce zamykające główną



arterię ześlizgnęły się i struga krwi trysnęła na twarz lekarza.

– Piła – rzucił szybko i wyciągnął do tyłu rękę, czekając na instrument.

Z przerażającym chrobotem metal zaczął zagłębiać się w kość. Asystent – anestezjolog wzruszył zrezygnowany ramionami. Jego szef, chirurg wyraźnie się śpieszył. Piła jęczała, tnąc długą kość pod kolaniem. Amputowana kończyna opadła głucho na podłogę.

– Następny! – rozkazał lekarz.

Na stole położono kolejnego porucznika, ten miał rozerwany brzuch.

– Transport gotowy! – krzyknął Feldwebel.

Jego głos odbił się echem w długim korytarzu.

Kiedy wkładano Alberta do sanitarki, jako ostatniego pacjenta, ten odchylił kołnierz i pokazał swoją czarną twarz ordynansowi. Facet spojrzał z rozdziawioną gębą na hebanową twarz rannego.

– Do diabła! – zawołał zaskoczony. – To Niemcy mają nadal oddziały kolonialne?

– Nie, człowieku! – roześmiał się Albert. – Jestem amerykańskim bossem! Wnukiem wuja Toma! Tak, tak, proszę pana!

Ambulans jechał z taką prędkością, że czuliśmy się, jakbyśmy mieli wszystkie kości połamane. Gderaliśmy i jęczeliśmy, ale kierowca zupełnie nie zwracał na to uwagi. Ale mimo wszystko dla nas najważniejsze było, aby wynieść się jak najdalej od linii frontu.

– Jak nie lubicie szybkiej jazdy, możecie wyskoczyć i iść na piechotę – krzyknął kierowca i zamknął szybkę oddzielającą nas od jego kabiny.

– Wyrwę mu później jego zwiędłego ptaka, zobaczycie! – obiecywał nieźle wkurzony Mały, próbując stanąć na nogach.

Po chwili zrezygnował, bo było za mało miejsca pomiędzy noszami.

Kilka godzin później, po wariackiej jeździe, kierowca zatrzymał sanitarkę. Usłyszeliśmy szcęk uderzających o siebie kanistrów po paliwie. Z głośnym zgrzytem otworzyły się tylne drzwi ambulansu i ukazała się w nich twarz Feldwebla – sanitariusza. Przypominała ona ryj przekarmionej świni, z wąskimi szparkami, na niemieckie, błękitne oczy.

– Czy ktoś zmarł, mówić szybko! Wielu czeka na miejsce!

– Wejdz i sprawdź – zaproponował Porta ze śmiechem przypominającym krakanie. – Możesz sprawdzić, ile życia w nas zostało!

– Później się spotkamy, Obergefreiter – obiecał sanitariusz, trzaskając drzwiami z obiecującym zgrzytem.

– Jedźmy dalej – krzyknął strzelec nerwowo. – Czołgi Iwana zaraz wjadą nam na tyłki.

Gdy budził się dzień, równie zimny jak noc, dojechaliśmy do rachitycznego mostu, który wisiał na przerdzewiałych linach. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę zapaść. W normalnej sytuacji nikt przy zdrowych

zmysłach by na niego wszedł. Ale za strachu przed Rosjanami wszystko wydawało się możliwe.

Ruskie czołgi ze wspierającą je piechotą zmotoryzowaną przedstawiały większe niebezpieczeństwo niż ten rozpadający się most.

Oddział saperów pod komendą porucznika przygotowywał się do wysadzenia przeprawy. Z obawą patrzyli na setki żołnierzy, którzy pchali się przez most niezorganizowaną gromadą.

W rykiem silników nadjechała kolumna czołgów, nie zwracając uwagi na żołnierzy, którzy umykali im z drogi, ratując życie.

– Stop! Stop! – krzyczał porucznik – saper, machając rozpaczliwie rękami. – Ten most nie utrzyma czołgów! Musicie przepawić się gdzie indziej!

Z wieżyczki prowadzącego czołgu wyjrzał żyłasty major.

– Bądź tak miły i zamknij się, poruczniku. Mam zamiar przejechać przez ten most z moimi czołgami, bez względu, czy ci się to podoba, czy nie. Zejdź z drogi, albo cię spłaszczymy!

Porucznik zrobił krok do tyłu, potrząsnął zrezygnowany głową i usiadł na pustej beczce po paliwie. Co może działać porucznik przeciwko szalonemu majorowi?

– Pojedynczo! – krzyknął major. – Rozpedzić się i gazu! I niech Bóg ma w opiece tego, który by rozwalił most, nim ostatni z naszych wozów nie przejedzie.

– Majorze, przekazuję panu odpowiedzialność za ten most – powiedział zagniewany porucznik.

– Dobrze, jeśli cię to uszczęśliwi – zawarczał obojętnie major.

Z mostu dochodził chrzęst i zgrzyt konstrukcji. Zakołysał się jak hamak, gdy pierwszy czołg wjechał na niego. Liny dźwięczały jak napięte struny skrzypiec. Wkrótce pierwszy czołg przejechał na drugą stronę, zaraz potem ruszył drugi pojazd.

– Przekłęci cholerni idioci – rozpaczwał porucznik.

Wstrzymał oddech, gdy ze świstem bata pękła jedna z głównych lin nośnych. Jej kawałki z gwizdem przecinały powietrze. Następny czołg wtoczył się na most. To, czego porucznik się spodziewał i obawiał, wreszcie się spełniło. Kierowca był nerwowy. Czołg uderzył w kotwy lin w środku rozpiętości przęsła mostowego. Te pękły jak bawełniane nitki. Most rozpadł się na deszcz stalowych belek i kawałków lin. Czołg obrócił się lekko, po czym koziołkując poleciał w otchłań pod nim. Przez chwilę zatrzymały go skały, wystające na brzegu, po czym powoli zsunął się do rzeki. Połamał lód pokrywający rzekę. Szybciej niż można to wypowiedzieć, kra pokryła miejsce tragedii – Niech Bóg nas chroni – wyjąkał porucznik. – Przecież mówiłem, co się stanie. I co, posłuchał? Idioci nigdy nie słuchają!

– To wyglądało jak wrota piekieł, które się otwierają i zamykają! – krzyczał Porta przerażony, patrząc na krę płynącą po rzece.

Oślepiający błysk rozjaśnił szary dzień. Wyrzucony w powietrze ambulans, poleciał jak akrobata z resztkami mostu i wylądował na drugim brzegu rzeki.

Pokazały się na nim płomienie. Dwoje noszy wyleciało przez otwarte drzwi. Wpadły do rzeki i je też pochłonęła lodowata woda, pokryta grubą krą.

– Czołgi! Czołgi! – dobiegły nas alarmujące krzyki.

Długie strumienie światła przeszukiwały ciemność dnia w poszukiwaniu łupu.

Z hukiem odezwał się panczerfaust, rozdzierając ze zgrzytem pancierz. Strumień ognia wystrzelił z pierwszego T-34, który zaraz potem eksplodował.

– Moja noga! Moja noga! – krzyczał Heide, czołgając się, by znaleźć jakąś osłonę.

Złapałem go za kołnierz i pociągnąłem za sobą. Wtoczyliśmy się pod ciężarówkę, stojącą na stosie zamarzniętych ciał.

Szarobiały T-34 przebił się przez ściany budynku, który rozpadł się jak domek z kart. Dwie belki stropowe zaczepiły się na przedzie potwora i kołysały się ramiona huśtawki. Niebieski koc zwisał z podwójnej anteny i powiewał jak sztandar wolności. Kawałki dziecięcego wózka zahaczyły o koło napędowe. Charakterystyczny gang silników Otto rozlegał się wokół nas.

Nadchodziły z chrzęstem z zaśnieżonej pochyłości terenu. Przejeżdżały przez dwutorową linię kolejową Moskwa-Kijów. Kłęby śniegu kompletnie przysłoniły niskie zabudowania. Ulice były zbyt wąskie, aby mogły

przejechać przez nie czołgi, dlatego domy rozpadały się na kawałki w chmurze cegieł i zaprawy.

Za nimi nadciągnęły hordy kozaków z wyciągniętymi szablami. Ścinali bez miłosierdzia uciekających żołnierzy.

– Hurra! Stalin! Hurra! – rozległy się zwycięskie okrzyki spragnionych krwi Sybiraków.

Szli do przodu jak burza, strzelając do wszystkiego z pistoletów maszynowych. Rozpaleni szaleństwem, cięli, dźgali, miażdżyli wszystko, co nie było rosyjskie.

– Zabijcie ich w łonach matek, wytoczcie z nich krew!  
– hasło Ilii Erenburga cały czas dźwięczało nam w uszach.

Walcząc desperacko, wycofywaliśmy się powoli do zabudowań w pobliskiej wiosce, które były raczej ruinami. Zapomnieliśmy o ranach i bólu, ważne było tylko uratowanie życia. Biliśmy się jak szaleńcy. Noże bojowe cięły wnętrzności, a saperki rozwalały czaszki.

W trakcie tych piekielnych walk, na małym skwerku ukazała się gromadka cywilów. Stanęli u stóp cokołu pomnika ze skaczącym koniem. Kobieta-komisarz z insygniami majora krzyknęła coś do nich gardłowym głosem. Mówiła tak szybko, że pojedyncze słowa zlały się w bełkotliwy potok. Cywile, sparaliżowani strachem, zbijali się w coraz ciaśniejszą gromadkę. Pani major cofnęła się kilka kroków. Jej pepesza zaczęła pluć śmiercią. Grupa ludzi momentalnie zmieniła się w stos drgających konwulsyjnie ciał. Tylko pomnik stał nienaruszony.

– Do diabła! – krzyknął zaskoczony Porta. – Czyżby naszym gospodarzom już nie wystarczało wymiatanie tylko nas?

Kobieta – komisarz roześmiała się jak koń i kopnęła jedno z leżących ciał.

– Co oni takiego zrobili? – spytał Gregor.

– *Rien* – odparł Legionista. – *Cest le guerre!* Ta pani z gwiazdkami chce powiększyć kolekcję ciał, zanim wojna się skończy.

Przez podwórze biegły trzy spanikowane niemieckie pielęgniarzki. Gonili ich grupa kozaków syberyjskich.

– Czasami ktoś szuka kłopotów – kłapnął szczękami Mały i przycisnął mocniej do biodra lekki karabin maszynowy.

Posłał serię pocisków w kozaków. Padali jakby ktoś im wymierzył w głowy ciosy pałką.

– Onaniści – roześmiał się Mały i założył nowy magazynek.

Olbrzymi Rosjanin z dzikim rykiem chwycił dwie uciekające sanitariuszki. Trzymał je jak kurczaki i tłukł głową o głowę tak długo, aż zaczęły przypominać czerwone gałgany. Potem z żółtej skórzanej kabury wyjął nagana i przyłożył lufę pistoletu do karku jednej z dziewczyn. Trzy szybkie strzały i było po sprawie.

– To się nazywa doskonała likwidacja – powiedział zaskoczony Porta. – Ale gdzie jest trzecia sanitariuszka?

– Schowała się za drzewem – powiedział Mały, wskazując przed siebie.

Olbrzymi Rosjanin rozejrzył się wokół siebie i kopnął ciała swych ofiar.

– On żyje za długo – powiedział Porta, podnosząc wielkokalibrowy karabin.

– Wsadź mu jaja do gardła – sugerował mściwie Mały.

Porta celował dokładnie. Rozległ się suchy trzask wystrzału i Rosjanin został trafiony. Specjalna kula rozerwała całą klatkę piersiową. Pocisk był pokryty utwardzoną stalą, tak, że przebijał nawet płyty pancerne.

– Ta cipa, komisarz, jest moja – powiedział Mały.

Posłał serię wybuchowych pocisków, ale jej nie trafił. Kobieta znikła wśród dymiących ruin, jak czarownica w drodze na sabat.

– Wynośmy się stąd! – zdecydował Stary.

Rosjanie znaleźli niewielki skład zaopatrzeniowy i przez chwilę nie myśleli o niczym innym, jak o rabowaniu. Scena przypominała azyl dla lunatyków, gdy wszyscy pacjenci naraz popadają w amok. Skrzynki i butelki fruwały w powietrzu. Dwóch ludzi wytargało worek z mąką. Pocięli go bagnetami i po chwili wyglądali jak dwa wielkie kawały ciasta.

Wódka i śliwowica płynęły jak rzeka. Ruscy nie tracili czasu na otwieranie butelek. Obcinali ich szyjki i od razu wlewali do gardeł alkohol, który gulgotał jak woda w pisuarze. Nikt się nimi nie przejmował. Chyłkiem przemknęliśmy do poczerniałych od dymu ruin domów. Parę kilometrów od nieszczęsnej wioski natknęliśmy się na oddział rosyjskich moździerzy.



W powietrze poleciały granaty. Zagrzechotała broń automatyczna. Zlikwidowanie wroga zajęło nam dosłownie parę minut.

W rozwalonej do połowy szopie, zgromadziliśmy się przy stosie nadpalonych krowich ciał. Porta znalazł nawet uwędzoną szynkę, leżącą pod zwęgloną belką, ale nikt nie miał ochoty jej skosztować. Zrobił to sam, bo był wieczne głodny.

Mały leżał w kałuży krwi, jęcząc rozpaczliwie. W trakcie ataku na moździerze dostał brzydki postrzał w udo.

– Panie niebieski – powiedział Stary, opatrując go – Potrzebuję dwa kilometry bandaża, aby opatrzyć tę ranę!

Mały zajęczał z bólu, gdy dezynfekowaliśmy mu alkoholem ranę.

– Zamknij się! – warknął Stary – gdybyśmy tego nie zrobili, noga zaczęłaby ci gnić w ciągu dwóch dni.

– Samochód! – krzyknął Gregor ostrzegawczo i wybiegł na leśną drogę, gdzie zatrzymał się z kaszlem rury wydechowej wielki Büssing.

Pojazd był pełen rannych, pokrytych zakrwawionymi bandażami.

– Koniec jazdy! – oznajmił kierowca. – Silnik rozpadł się na kawałki. Najlepiej będzie, jak wrócicie z powrotem.

Wsadził empi pod pachę i podniósł na uszy kołnierz płaszcza.

– Nie możesz nas tu tak po prostu zostawić –

zaprotestował ranny wachmistrz. – Tobie, jako sanitariuszowi powierzono opiekę nad nami!

– Obowiązki – roześmiał się sardonicznie były kierowca. – Wsadź je Adolfowi w dupę!

Założył na ramię opaskę czerwonego krzyża, bo wiedział, że Ruscy nieraz oszczędzają personel medyczny.

– Połóżcie się na śniegu, to koniec szybciej nadejdzie – zasugerował, nim przeskoczył przez rów pełen śniegu.

Po chwili zniknął wśród zawieruchy.

– Jak go kiedyś dopadnę, to wyrwę mu ptaka i wsadzę w gardło, a potem będę patrzył jak się dusi! – krzyknął Mały.

– Takiego gówna nigdy nie złapiesz – powiedział Barcelona. – Tacy przeżywają wojnę!

– Boże, ale jestem śpiący – ziewał Gregor, że aż mu szczęki trzeszczały w zawiasach. – Nic mnie nie obchodzi, co się stanie, bylebym mógł się trochę przespać.

Porta rozciągnął się na ziemi, z głową złożoną na ciele martwej krowy.

– Tak mógłbym spać do przyszłego roku.

– Spanie jest zabawne – mruczał Albert. – To jest naprawdę fajny sposób umierania.

– Nie ma dla faceta nic fajniejszego od spania – powiedział Gregor. – To jest lepsze nawet niż żarcie i bzykanie.

– Gdy śpię – powiedział chrypiąc Albert – zawsze śnię

o takim przecudnym miejscu, gdzie wszyscy są śliczni i nie ganiają za takim czarnuchem jak ja. Zawsze jestem tak bogaty, że mogę kupić wszystko. Pewnego razu śniło mi się, że stanąłem przed sądem i sędzia ukarał mnie grzywną w wysokości 100 reichsmarek, ale to dla takiego bogacza, jak ja, nic nie znaczyło. „Hej, chłopcze”, powiedziałem do niego i dałem mu 500 dolców, „Niech sobie wasza sprawiedliwość je wymieni w banku i kupi jakąś czarna koteczkę”. Podniosłem jedwabny cylinder i wyszedłem.

– Czy gdy idziesz na przyjęcie, zawsze nosisz cylinder?

– spytał zaskoczony Porta.

– Zawsze noszę cylinder i czarną pelerynę z białą, jedwabną podszewką, gdy tylko zaczynam śnić – wyjaśnił zadowolony z siebie Albert.

– Ale zrób to, co mówiłeś z niemieckim sędzią, a wsadzi cię do więzienia na sto lat – skomentował sen Murzyna Mały, który miał nieliczne doświadczenie w kontaktach z sądem.

Basowy ryk pracującego obok ciężarówki silnika przerwał naszą rozmowę. Z werwą ruszyliśmy do drzwi wyjściowych. Zobaczyliśmy ośmiokołową Pumę, z wjazdu której wystawała beczelna twarz młodego porucznika.

– Czego do cholery potrzebujecie? – spytał opryskliwie, wycierając twarz ze śniegu.

– Podnośnika – odparł krótko Stary.

– Wstawajcie i podnieście ją na plecach – doradzał niechętny do pomocy oficer.

– Większość z nas nie może ustać na nogach – odparł Stary.

– Niech to szlag – powiedział ze złością porucznik.

Wydał swej załodze polecenie, aby nam pomogła.

– Tylko szybko, szybko! – krzyczał nerwowo.

– Nie jesteśmy oddziałem Czerwonego Krzyża. Jesteśmy ze służby czołgowej.

Załoga okazała jeszcze mniej litości niż dowódca. Powrzucał nas na tył pojazdu, za wieżyczką, kompletnie nie zważając na nasze rany.

– Nie mogliście ciepłe gówna, umrzeć trochę wcześniej! – krzyczał do nas Obergefreiter.

Jego brutalna twarz wystawała zza grubego futrzanego kołnierza.

– Jeśli nasi sąsiedzi nas dopadną, to będzie wasza wina – rzucił z pretensją.

– Kiedyś spotkamy cię w podobnej sytuacji – pogroził mu Porta. – Wtedy też rzucimy cię na stos gówna i popatrzemy, jak szczury dobierają się do ciebie.

– Lepiej zamknij buźkę – ostrzegł go Gefreiter z zajadłością w oczach. – Bo może się zdarzyć, że zapomnimy cię zabrać!

– Ludzkie bagno – powiedział cicho Gregor.

– Tak sądzisz? – roześmiał się kwaśno Obergefreiter. – Jestem kierowcą i zrobię wszystko, żeby was zrzuciło z tej gondoli.

– Chciałbym zobaczyć, jak opiszecie to w raporcie bojowym – wtrącił się wściekły Julius. – Słyszysz mnie,

Obergefreiter?

– Oj, zobaczysz! – roześmiał się kierowca z żądzą mordu w oczach.

Pochylił się w stronę małego podoficera z cienkim nosem, z naszywkami dywizji Gross Deutschland.

– Pilnuj tego miłego żołnierzyka, aby nic mu się nie stało, bo byłaby szkoda, gdyby nie usłyszał naszego raportu.

– Zamknąć się cholernicy! – krzyknął porucznik.

Aż promieniował żądzą mordu. To był jeden z tych niebezpiecznych typów, który zawsze stawiał na swoim. Spróbuj wkurzyć go na poważnie, to bez zastanowienia wyciągnie pistolet, aby go użyć.

– Ten podoficer chciałby złożyć na nas raport do zwierzchników – zarechotał Obergefreiter.

– No to go zostawcie – rozkazał krótko porucznik. – Niech złoży ten raport Roskim. Oni zaraz tu będą!

Dwóch ludzi z ich załogi zepchnęło Heidego, który uderzył głową w sprężynę podwozia. Ten wydarł się głośno. Z rany na karku pociekła struga krwi.

– Czy to gówno nie żyje? – spytał żołnierz ze spiczastym nosem, okazując radość na twarzy.

– Niestety – odparł Obergefreiter. – Ale umieścimy tego miłego podoficera, tam, gdzie będzie mu łatwo spać.

– Wystarczy! – krzyknął porucznik. – Resztę ludzi zabierze następny pojazd.

– Ale to już będą Rosjanie! – roześmiał się głośno

Obergefreiter.

Wsiadł do Pumpy przez właz kierowcy i zamknął za sobą klapę.

– A teraz zaciśnijcie ząbki, a ptaszki wsadźcie w kratki wentylacyjne, bo czymś musicie się trzymać! – zawołał, krztusząc się ze śmiechu facecik z cienkim nosem.

Zaraz potem zamknął górny właz wieżyczki. Porucznik ostatni raz rzucił nam złe spojrzenie i poprawił mikrofon na krtani.

– Maszyna! Pełną prędkością naprzód, marsz! – rozkazał.

Zniknął w wieżyczce i z rozmachem zamknął właz.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy pierwszy z nas zamarzył na śmierć. To był chudy piechur z amputowaną prawą ręką.

– No, to jeden odszedł do Walhalli – skomentował Mały.

Odepchnął ciało na bok, robiąc więcej miejsca dla reszty.

Opancerzona Puma mknęła po spadkach stepu jak samochód wyścigowy. Feldwebla zrzuciło prosto na zamarznąłą powierzchnię drogi. Jego głowa rozpadła się jak bombka choinkowa po upadku na beton. Nikt z nas nie zauważył, kiedy dwóch ciężko rannych udusiło się spalinami silnika. Mieli tego pecha, że leżeli na spodzie stosu, z twarzami tuż przy rurach wydechowych.

– Stać, stać! Wy zboczeńcy! – darł się Mały i walił kolbą empi w klapę włazu.

Jednak pokrywa pozostawała zamknięta. Nawet jeżeli

nas słyszeli, to i tak nie mieli zamiaru reagować.

– To brudny gang morderców – złościł się Heide.

Oprzytomniał, a na szyi miał szarfę, która tamowała krew z rany.

– Ciesz się, że w ogóle cię zabrali – powiedział Stary głosem pełnym rezygnacji. – Przecież tylko idiota mógł im grozić raportem. Ich cała szóstka to zimni mordercy jak rosyjska zima.

Przerwała mu potężna eksplozja. Kawałki stali tylko gwizdały nam koło uszu. Róg wieżyczki po prostu zniknął, tak, że mogliśmy zajrzeć do środka wozu bojowego.

– To był przeciwpancerny – zawył Gregor i mocno przytulił się do pancerza.

Ciężki pojazd opancerzony obrócił się trochę i ruszył pomiędzy dwa gołe krzaki, gdzie było ukryte działko przeciwpancerne. Po chwili została z niego tylko sterta złomu.

Obsługa działa w prymitywnym, białym kamuflażu uciekała na oślep w stepowe pola. Czołowy karabin maszynowy Puma posyłał za nimi paciorki pocisków świetlnych. Żołnierz biegnący przed nami przewrócił się na twarz i zwijał się z bólu. Inny zginął pod wielkimi kołami transportera. Puma zatrzymała się i na wstecznym biegu ruszyła w kierunku kolejnego Rosjanina, który stał z rękami w powietrzu. Kiedy ten zdał sobie sprawę, że ciężki pojazd może go zmiażdżyć, dostał kompletnego zajoba i zaczął biegać w kółko. Załoga pojazdu-mordercy,

zaczęła grać ze swą ofiarą w kotka i myszkę. Za każdym razem, gdy Puma już miała rozjechać rosyjskiego kaprała, kierowca wrzucał wsteczny bieg i zatrzymywał się w miejscu.

– Co jest? – denerwował się Stary. – Załatwiliśmy sobie miejsce w objazdowym domu wariatów?

Uciekający Rosjanin upadł na śnieg. Wyciągnął ręce w kierunku Pumpy, jakby błagał o litość. Wielki pojazd zatrzymał się. Wydawało się, że przygotowuje się do skoku. Silnik zawył na maksymalnych obrotach. Ośmiokołowe monstrum ruszyło gwałtownie do przodu i zmiażdżyło piechura. Na śniegu pozostała tylko krwawa plama.

– Niech mnie diabli, jeśli nie złożę na nich raportu! – krzyczał z furią Stary. – Zabijanie na wojnie to jedna rzecz, to normalne. Ale to!

– Czy nie myślisz, że dla ciebie byłoby mądrzej, gdybyś został w Torgau? – spytał Porta z szerokim uśmiechem. – Mógłbyś zakładać się z Żelaznym Gustawem kto wypił koniak i nalał zamiast niego do butelki koński mocz.

– Żelazny Gustaw już nie jest w Torgau – powiedział Stary ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu. – Jest teraz Hauptwachtmeisterem w Germersheim.

Gwałtowny skręt transportera pozbawił kierowcę kontroli nad kołami. Puma zaczęła się okręcać wokół własnej osi i balansować na krawędzi drogi. Potem powoli zsuwała się po pochyłości terenu i przełamała



grubą pokrywą lodu skuwającą rzekę. Przerażliwie zimna woda oblała nas wszystkich. Zaraz potem schowani byliśmy w skorupach z lodu. Po krótkim kasznięciu silnik zamilkł.

– Teraz to już naprawdę jestem zmęczony tą wojną – złościł się Porta, gdy uwolniliśmy się od lodowego pancerza. – Chcę wracać do domu i usiąść spokojnie na porcelanowym klozecie i korzystać ze wszystkich współczesnych udogodnień. Zostawiam Rosjanom siadanie na nie oheblowanej, zamrożonej belce i sranie z niej w dziurę w ziemi. Nie chcę więcej podcierać się zwirem.

– Dom – westchnął Stary. – Chyba nigdy tam nie wrócimy.

Niemal z nadludzkim wysiłkiem wdrapaliśmy się na drogę przez murek ochronny, który w znacznym stopniu zniszczyła Puma, spadając do wody. Natknęliśmy się na sanie motorowe, które prowadził chudy Obergefreiter z długą, końską twarzą. Poza nim w saniach były tylko zamrożone zwłoki pułkownika, siedzące na tylnym siedzeniu.

– Co sądzicie o wyrzuceniu szefunia na zewnątrz? Byłoby więcej miejsca. – zaproponował Porta. – On chyba nie ma pretensji?

– Nie da rady – odpowiedział Końska Twarz. – To moja przepustka. Już pokonałem pięć kontroli drogowych żandarmerii. Mówię im, że to nasz szef sztabu i że rozkazano mi przewieźć go do prawdziwych Niemiec, na

chrześcijański pogrzeb bohatera. Flagi, trąbki bębny i całe to gówno. Tak się dzieje, gdy ważny człowiek odchodzi do Walhalli.

– Dokąd masz zamiar jechać? – spytał Gregor, wciskając się obok zamarzniętych zwłok.

– Do Kolonii – odparł kierowca z jęklwym śmiechem.

– Musisz nadymać się jak komisarz – ocenił Porta. – Inaczej powieszą cię, zanim tam dotrzesz, a obok ciebie, twojego pułkownika, jako przykład dla innych.

– Nie wierz w to – odparł Końska Twarz z przekonaniem. – Szef sztabu z czerwonymi akselbantami najwyższego dowództwa otwiera wszystkie drzwi. Nawet jeżeli jest martwy. Psy gończe momentalnie robią się ciche.

– Czy on naprawdę był szefem sztabu? – spytał Stary, patrząc krzywo na pocerniałą twarz zmarłego pułkownika, na której nadal czaił się tajemniczy uśmiech.

– Oczywiście, że był – odparł Końska Twarz. – Sprawdzaliśmy pozycje artylerii, gdy trafiliśmy na ogień nekający naszych sąsiadów. I to wyrwało życie z mojego pułkownika. Dowódca dywizji chciałby wiedzieć, że Oberst będzie miał chrześcijański, niemiecki pogrzeb. Czy mógłby on odbyć się na tej bezbożnej ziemi? Dlatego wiozę tego starego chłopca do Kolonii, bo jak mi wiadomo, jest tam kawałek katolickiej ziemi, która była poświęcona przez obecnego papieża Piusa XII.

– Zbierz jeszcze jednego – zawołał Porta z podziwem. – A podzielę się z tobą moim kapeluszem i skarpetkami.

– To się nie uda – stwierdził ponuro Gregor. – To jest niemożliwe. Tu lub gdzie indziej, dopadną go łowcy głów i przepytają tak dokładnie, że sam sobie założy sznur na szyję. A wtedy żegnaj Kolonio!

– Piekło i demony! – załkał Porta.

Punkt kontroli żandarmerii oślepił nas czerwonym światłem, które było sygnałem do zatrzymania. Pojazdy stały na poboczu drogi, żołnierze uciekali przez pola. Na okolicznych drzewach wisiały ciała w mundurach. Żandarmi byli uzbrojeni po zęby. Ich dowódcą był paskudnie wyglądający kapitan. Jego pistolet maszynowy był gotowy do strzału i widać było, że ma wielką ochotę go użyć.

– Skąd jesteście i dokąd jedziecie! – spytał głosem, który przypominał grzechot zamka karabinu maszynowego. – Rozkazy wyjazdu!

– Tak jest, panie kapitanie! – głos naszego kierowcy wskazywał na głębokie doświadczenie w sprawach takiej natury. – Pragnę zameldować, że zgodnie z rozkazem dowódcy dywizji, nasz zmarły szef sztabu ma być pochowany na cmentarzu bohaterów! Na koszt państwa!

Haupt-żandarm zdawał się rozumieć powagę sprawy. Spojrzał podejrzliwie na zamarzniętego pułkownika i nie zauważył Porty leżącego za zwłokami. Ten wyłonił się niespodziewanie za plecami kapitana.

– Pragnę zameldować! – zakrakał, stosując zasady wojskowego drylu. – Mamy kłopoty! Tam, za nami! Generał z korpusu utknął z całym sztabem!

Oficer żandarmerii odwrócił się z furją i spojrzał na Portę, który stał sztywno na baczność, z ręką salutującą do obandażowanej głowy.

– A co mnie to obchodzi? – szczechnął kapitan. – O jakim generale mówisz?

– Nie wiem! Przepraszam panie kapitanie, ale to jakaś wysoka ranga. Siedzi w opancerzonym mercedesie. Ty, Obergefreiter, mówi do mnie. Zbieraj swoją dupę i leć do tego kapitana żandarmerii na skrzyżowaniu. Masz mu powiedzieć, żeby zabrał swoich ludzi i natychmiast do mnie przybył.

– Na dzwony piekieł! – zaklął kapitan. – Gdzie jest ten cholerny generał? Możesz usiąść na motocyklu? Tak, ty Obergefreiter!

– Niestety nie, panie kapitanie. Mam odstrzelone pośladki, rozumie pan, Rosjanie.

– Głupi dupek – powiedział kapitan i przekręcił manetkę gazu do oporu.

Motor skoczył gwałtownie w ciemność nocy, a za nim ruszyły jego wierne psy.

Porta nawet się za nimi nie obejrzał, tylko zajął miejsce w saniach.

– Cholera, pewnie szlag go trafi, gdy przekona się, że taki prosty Obergefreiter zrobił go w balona. – Końska Twarz zanosił się ze śmiechu. – Ale jak cię dopadnie, to wykopie ci tyłek na piętnaście metrów w górę!

– Nigdy mnie nie znajdzie – zapewniał Porta, plując na śnieg.

Kilka mil dalej wpadliśmy na niekończącą się z pozoru kolumnę wielkich ciężarówek, które bezradnie ugrzęzły w błocie pośniegowym.

Na środku drogi stał pułkownik i wymachiwał pistoletem maszynowym jak semafor.

– Z wozów! – darł się wściekle. – Tylko kierowcy zostają w samochodach!

Nikt się nie ruszył, bo nikt nie chciał stracić szansy na ocalenie.

– Co się dzieje? – dopytywał się zaciekawiony Gregor, wyciągając szyję jak czapla.

– Jakiś opętany wojną dupek, chce grać bohatera. Pragnie obsadzić pozycje obronne – odparł podoficer z kabiny Büssinga. – Chodzi mu o przysięgę na sztandar i te inne gówna. Chce bronić Vaterlandu do ostatniego naboju i ostatniego żołnierza.

– Czy oni nigdy nie mają dosyć? – złościł się Stary. – Czy nie słyszymy ciągle o „przysiędze na flagę” i walce „do ostatniego naboju”

– Tak – powiedział Porta. – Przysięga na sztandar. To niemiecka choroba. Wkrótce jak spotka się trzech Niemców, to zaraz zaczną składać przysięgę na Niemieckiego Boga. A co najgorsze, zawsze znajdzie się ktoś z tępym mózgiem, kto wprowadza nas w dziurę dupy piekła.

– Tego już dosyć – krzyknął obrażony Heide.

– Tępy mózg! Założę się, że zgadłem, iż mówisz o Führerze, prawda?

– No, tu cię mam! – zaśmiał się spokojnie Porta.

– Mamy dużo więcej takich, którzy mają gówno pomiędzy uszami i gotowi są grać Nibelungów, więc reszta Niemców musi smażyć sobie tyłki na narodowej patelni!

– To całe średniowieczne gówno ładują nam narodowosocjalistyczni myśliciele – powiedział Gregor z pogardą.

Heidego zamurowało! Jeszcze nie słyszał czegoś takiego. Ktoś nazwał narodowe arcydzieło gównem. Zapisał w swoim notesie datę i osoby obecne przy tej rozmowie.

Mały spojrział mu badawczo przez ramię i zaśpiewał falsetem.

*Gdy inni są niewierni,  
Zawsze na straży prawdy,  
Będę stał...*

Z długiej na milę kolejki pojazdów nadjechały sanie motorowe i stuknęły w pułkownika, rozpaczliwie machającego empi. Szeroki rząd czołgów przemieszczał się po stepie, wzdłuż wzgórz. Za nimi podążały transportery opancerzone piechoty i uzbrojone sanie.

– Jesteśmy w samym środku kontrataku – oznajmił Stary z niepokojem.

Zapatrzył się w długą linię przejeżdżających obok nas dział samobieżnych.

Z nisko wiszących chmur wyskoczyły z wyciem Sztukasy. Zrzucały bomby w środek rosyjskich jednostek. Całe bataliony rzucały broń i podnosiły ręce do góry. Teraz tylko mogą zostać zmiażdżeni przez gąsienice czołgów, które przedzierają się przez śnieg długą zabójczą linią.

Opuszczamy sanie motorowe obok wysuniętego punktu opatrunkowego, który jest dosłownie obleżony przez rannych i chorych. Końska Twarz nie chciał nas dalej zabrać, bo stwierdził, że będzie bezpieczniejszy w towarzystwie samego tylko zamarznętego pułkownika.

Za niewielką łapówkę mogliśmy pozostać wszyscy razem. Gdybyśmy się rozstali, to moglibyśmy więcej się nie spotkać. Nasza dywizja została zniszczona i może nikt nie będzie jej chciał odtworzyć.

– Berlin, Berlin, tam jedziemy – marzył głośni Porta.

Roześmiał się ponuro.

– Jest tam paru ludzi, którzy zesrają się za strachu, gdy wrócę do tego miasta!

Dwóch piechurów leżało na stercie starej słomy. Mieli obandażowane całe głowy. Pozostawiono im tylko małe szczeliny na usta.

– Zostaliśmy rozstrzelani – powiedział jeden z nich, wskazując na siebie poczerńiałym od odmrożenia palcem.

– Rozstrzelani? – spytał zaciekawiony Barcelona, podnosząc łokieć jednego z nich. – Nie wiedziałem, że to można przeżyć.

– Sam jestem dowodem – dobiegło do nas spod

bandaża. – Wzięli nas do niewoli wkrótce potem, jak tylko opuściliśmy nasze pozycje. Na początku byli w porządku. Zabrali nam tylko zegarki. Iwany mają w głowach tylko zegarki, rowery i kobiety. Na nic innego nie zwracają uwagi. Ale potem pojawił się kulawy pułkownik, jeden z tych paskudnych sukinsynów z naganem w otwartej kaburze. Sam wziął od razu dwóch SS-manów i załatwił na środku drogi. Jeden dostał w brzuch, tak, że wypłynęły mu jelita. Potem zaczął krzyczeć do nas, że nas spotka to samo. Poszliśmy na wschód, kilku naszym udało się w tym całym zamieszaniu uciec. Rusczy jednak nie lubią, gdy im się rachunki nie zgadzają. Trochę nas skopali, a trzem uciekinierom, których złapali, rozwalili czaszki i wbili bagnety w brzuchy. Kulawy pułkownik gdzieś zniknął i pomyśleliśmy, że uda nam się przeżyć. Zwykli żołnierze nie są na ogół dla siebie źli, nawet, jeśli są po przeciwnych stronach. Potem zatrzymaliśmy się na dobrze strzeżonym placu, wokół nas ciągle było słychać warkot silników. Rosjanie z zadowoleniem nam się przyglądali. Wydawało nam się, że te silniki to Maybachy i mieliśmy nadzieję, że idzie nasz kontratak. Ale to raczej tubylcy szykowali nam coś paskudnego. Coś paplali w dziwnym azjatyckim dialekcie i podawali sobie wielki garnek naszego sznapsa. Po pewnym czasie nieźle sobie wlali i zaczęli śpiewać, co było słychać nawet z daleka. Zaczęli grozić nam pepeszami i obiecywali szybką podróż do Perłowych Wrót Raju i nigdy więcej wojny.



Rano ustawili nas w długim rzędem w pojedynczym szeregu i pomaszerowaliśmy do lasu. Na polanie, gdzie było kilka karabinów maszynowych, kazano nam się zatrzymać. Zaraz potem poczułem lufę pistoletu na karku.

– *Daswidania, Fritz* – zawołał za moimi plecami gość, zadowolony, jak świnia wytarzana we własnym gównie.

Wszystko zniknęło w jednym huku i błysku. Musiałem jednak poruszyć lekko głową tuż przed samym strzałem. Tak czy inaczej, nie zostałem zabity i ocknąłem się, gdy ktoś mnie ciągnął. To był gość z naszych oddziałów szturmowych, które znalazły nas. Przeżyliśmy tylko ja i mój towarzysz. Reszta miała odstrzelone głowy. Nagan to nie jest broń dla panienek. Tak jak widzicie, przeżyłem, ale straciłem oczy.

– Może byłoby lepiej, gdyby cię tam zabili – powiedział ze smutkiem Porta, patrząc na zabandażowaną głowę.

– Może masz rację – zgodził się Barcelona i westchnął głęboko.

Długi korytarz był pełen rannych, wzywających lekarza lub sanitariuszy. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Musieli czekać na swoją kolejkę.

Z sali operacyjnej wyjeżdżał ciągły strumień zwłok. Po chwili zaczęliśmy myśleć, że większość rannych umiera na stołach operacyjnych.

– Partyjni bonzowie będą mocno zajęci przez kilka najbliższych tygodni – powiedział Porta, śledząc pięć ciał wynoszonych przez jeńców radzieckich – Heil Hitler,

pani Miller, partia łączy się z panią w dumnym smutku. Pani syn zginął za Führera i Ojczyznę. Führer pani dziękuje, Pani Miller.

– Przestań, to świństwo! – przerwał mu Stary. – Nie uważasz, że już dosyć?

Młodzi lekarze w zakrwawionych kitlach pochyłili się nad nami i zaczęli coś mówić, używając fachowej terminologii: kąt penetracji, perforacja płuc, złamanie szczęki, różne stopnie spalenia, wybite oczy, zmiażdżone twarze, połamane kostki i jakieś inne komplikacje. Byliśmy dla nich obiektami studiów. Gdy ustalili rozpoznanie, opisywali wyniki badań punktami. Ci, którzy otrzymali powyżej pięciu punktów, przenoszeni byli na jedną stronę, a na przegubach dłoni umieszczano czerwone trójkąty. To byli ci, których nie warto było operować.

Gdy rozejrzałem się wokoło, wydawało mi się, że widzę tylko czerwone trójkąty.

Porta pomachał mi, gdy przenosili go do wywołującej mdłości sali operacyjnej. Po nim wynieśli Gregora. Rzucił krótkie spojrzenie w moim kierunku. Mały chciał dostawić swoje nosze do moich, ale nie zdążył. Zabrali go do dużej sali, gdzie zapracowani lekarze amputowali nogi, ramiona, otwierali brzuchy i trepanowali czaszki. Ciągły wir zamieszania.

Sanitariusze w gumowych fartuchach, biegali podnieceni w tę i z powrotem, walcząc przeciwko wszechobecnej śmierci. W tej sali nie miał znaczenia

stopień wojskowy. Oficerowie i szeregowcy leżą razem. Stos ludzkich odpadków. Twardy Prusak dostał się pomiędzy tych, którzy zebrzą o ratunek. Chcą płacić wszystkim, co mają: pieniędzmi, biżuterią, zegarkami, spirytusem, tytoniem, wszystkim, co umożliwia dostanie się do zielonej strefy. Ceny rosną cały czas. Zielony bilecik daje prawo do ewakuacji, daleko od ostrzału i rozpalonych fanatyzmem syberyjskich czytelników Ilii Erenburga.

Czułem się jak licha skorupka na rozszalałym morzu. Wszystko przed oczami skakało mi w górę i w dół. Teraz dokuczał mi nie tylko ból doprowadzający mnie do szaleństwa, ale również nieznośne pragnienie. Palące pragnienie, które mogła ugasić tylko zimna jak lód woda. Nade mną pojawiły się jakieś zamglone twarze.

– Bierzcie tego – doleciał do mnie jakiś głos.

Poczułem, jak podnoszą moje nosze. Chciałem protestować, ale nie byłem w stanie.

Znalazłem się na szczycie ścianki z nieheblowanych desek, potem zrzucano mnie na dół, na stos martwych, zamarzniętych ciał.

Potem jakieś inne ciało wylądowało obok mnie. Niewypowiedziany smród gnijących ciał uderzył mnie w nozdrza. Ku swojemu przerażeniu zrozumiałem, że wyrzucono mnie na ten stos, myśląc, że jestem martwy.

Amputowane kończyny uderzały o przeciwległą, murowaną ścianę z głuchym młaśnięciem. Za nimi poleciało nagie ciało. W jego plecach była wielka dziura,

przez którą widać było dyndające płuca. Wyglądały jak perforowany pęcherz.

Chciałem krzyczeć, ale przez usta nie mógł przejść żaden dźwięk. Z desperacją myślałem, że muszę się stąd wydostać. Przecież pogrzebią mnie żywcem razem z tymi wszystkimi ciałami. Rosyjscy jeńcy, którzy tworzyli komando grabarzy nie zaprzęтали głów, czy wśród zmarłych znajduje się ktoś żywy. Jako jeńcy wojenni wykonywali to, co im rozkazano, alfabetycznie. Chwyciłem się za klatkę piersiową i podniosłem tabliczkę identyfikacyjną. Połowa z niej znikła. Teraz nie było wątpliwość. Zostałem uznany za zmarłego. W rozpaczę poczułem, że jestem w stanie zwlec się ze sterty trupów. Powoli ześlizgiwałem się jak po krwawej rynnie, aby jak najdalej znaleźć się od tego przedsionka piekła.

Nic nie pamiętałem do chwili, gdy chwyciły mnie silne dłonie i pociągnęły w kierunku błyszczącego, jasnego światła.

Jakiś męski głos krzyczał coś gardłowo po rosyjsku. Pociągnęli mnie dalej od stosu. Ktoś głośno się śmiał. Niemieckie głosy mieszały się z rosyjską paplaniną.

Rosjanin w wysokiej futrzanej czapie, podniósł mnie i zaniósł do ciepłego korytarza, gdzie czekał sanitariusz Feldwebel.

– Do diabła! – człowieku. – Musisz być bardziej ostrożny. To jest zły pomysł wkładać do dołu z wapnem żyjącego człowieka! Nie pozwalam na takie brakoróbstwo!

– *Da, gaspadin* – powiedział Rosjanin z kompletną obojętnością.

– Zanieś go do kolejki z innymi – rozkazał pospiesznie Feldwebel. – Wszystko idzie lepiej, gdy wykażesz trochę operatywności. Powinni znaleźć chwilę czasu dla faceta, który po prostu odmówił umrzeć!

Zaciągnęli mnie na materac wypchany sianem i poszli sobie. Zacząłem rzucać się i omal nie udusiłem się gorzką żółcią. Ból rozrywał mnie na kawałki.

Stacja medyczna trzęsła się i drgała. Znowu rozbrzmiewał huk salw artyleryjskich. Gdy odwróciłem twarz w stronę okna, zobaczyłem błysk wybuchów. Czy strzelali Rosjanie, czy Niemcy, nie byłem w stanie ustalić.

Spod brudnego koca wypłynęła żółta ręka. Wyciągnąłem swoją dłoń, ale nie zdołałem jej uchwycić.

*Morgenrot, Morgenrot Leutechst mir zum frühen Todle,*  
[Różany poranku, różany poranku, czy zabłyśniesz po śmierci mej.] wykaszłał gość na noszach obok mnie, sinymi ustami, rozszerzonymi w zwierzęcym uśmiechu. Podniósł się do połowy, popatrzył na mnie, dziwnymi, martwymi oczami. Po chwili opadł z westchnieniem na legowisko. Jego głowa zwisała bezwładnie między uchwytami noszy, kiwając się bezwładnie na zbyt długiej szyi. – Jakiś gruby lekarz ze zmęczonymi, wypalonymi oczami i białą jak śmierć głową wziął błyszczący instrument z rąk sanitariusza, stojącego obok.

Igła ukuła mnie w klatkę piersiową. Od razu ruszyłem ramionami. Czułem, jakby odpadały ode mnie kawałki

ciała, pękały kości i przygniatały mnie do kręgosłupa.

– Zamknij się – warknął chirurg i przyłożył mi coś do twarzy.

Obudziłem się dużo później. Leżałem na sali z całym mnóstwem rannych. Po pobielonej ścianie szła kolumna wszy. Skreściły i ruszyły w stronę trzech pacjentów obok mnie. To był zły znak. Jestem przeraźliwie wyziębiony. Mój brzuch płonie. Wydaje mi się, że cała sala tańczy wokół mnie.

Tłusty szczur z łysą głową siedzi na podłodze niedaleko i coś ogryza. Skądś nadlatuje stalowy hełm i uderza w ciało gryzonia, który z piskiem ucieka w stronę kostnicy.

Sanitariusz w białym drelichu pyta, jak się czuje.

– Jak w piekle – odpowiadam słabym głosem.

– Damy ci zastrzyk – powiedział, wyjmując zielony kawałek papieru. – Jesteś szczęśliwym facetem. Szef lekarzy był dzisiaj w dobrym humorze. Gdy cię wyciągnęliśmy ze sterty ciał, miałeś czerwony trójkąt. Masz jakieś rzeczy? Jesteś mi coś winny. Według mnie mogłeś wylądować w dole z gaszonym wapnem. Wierzysz mi!

– Nic nie mam – powiedziałem zgaszonym głosem.

– Bezżyteczny palant – warknął z gniewem. – Problem w tym, że wszyscy co do jednego jesteście świniami.

Przeszukał mi kieszenie i znalazł zegarek. Taki antyczny, który dał mi kiedyś dziadek.

– Wezmę go – powiedział chłodno. – Chyba twoje życie jest jego warte, prawda?

Podnosił co chwila czasomierz do ucha.

– Zabawny zegareczek – powiedział. – Zaopiekuję się tobą. Ale teraz nie rób problemów. Jeszcze nie jesteś w pociągu. Łatwo możemy zapomnieć o tobie, a Iwany na T-34 są w drodze, razem ze specjalistami od strzelania w kark.

Pozwoliłem zabrać mu zegarek. Gdy pojawił się Feldwebel ze służby medycznej, znikł tak szybko, jak poprzednio szczur.

– Jednak cię naprawili – powiedział podoficer, starszy siwowłosy facet, z latami praktyki w swym fachu. – Zanim zabierzemy cię do pociągu, chcę zobaczyć jak robią ci zastrzyk.

Podziękowałem mu i zastanawiałem się, czego będzie chciał za swoją przysługę.

– Nie myśl o mnie – uśmiechnął się przyjacielsko. – Mówimy przecież tylko o regulaminie medycznym armii. Ale dam ci dobrą radę. Nie jęcz! Zaciśnij zęby i nie rób hałasu. Staraj się wyglądać jak najlepiej. Jeśli nie, to mogą cię nie zabrać, chociaż masz zielony kartonik. Ten, kto robi hałas, przysparza pracy!

Zapadłem w drzemkę, we śnie zastanawiałem się, gdzie jest reszta moich kumpli. Śniłem o Porcie, siedzącym w zaparowanej kuchni i przygotowującym „zupełnie wszystkich Rosjan”.

– Sprzedasz mi swój zielony kartonik – spytał gruby

kwatermistrz, leżący na łóżku obok mnie.

Pokazał garść kamieni.

– Diamenty – powiedział z zachętą w głosie.

Spojrzałem na niego. Musiał być szalony. Nikt nie sprzeda szansy ocalenia, gdy Ruscy już prawie pukają do drzwi.

– Mam nadzieję, że udławisz się własnym gównem – syknął i spróbował handlu z innymi rannymi.

Wkrótce oferował budynek w Hamburgu.

– To wielki dom – powiedział, rozkładając ramiona, aby pokazać, jak jest wielki. – Czterdzieści osiem mieszkań, solidni najemcy, którzy płacą na gwizdek. Dziewięć sklepów daje niezłe czynsze.

– Wsadź sobie ten dom i dzierżawców głęboko w dupę – śmiano się z niego. – Spróbuj zrobić interes z Iwanem, gdy się pojawi. Na pewno są jacyś Rosjanie, którzy chcieliby być właścicielami domu w centrum Hamburga.

– Chyba nie zdajecie sobie sprawy, co oferuję – kontynuował z uporem. – Budynek taki jak ten, w centrum Hamburga, będzie fajną rzeczą, gdy skończy się wojna. Ludzie, którzy posiadają domy i ziemię, zawsze przetrwają. Pieniądze można stracić, gdy twój kraj przegra wojnę.

– Tu masz rację! – wybuchnął śmiechem ranny saper, leżący przy ścianie. – Jesteś szczęśliwym gównem! Wszystko, co ja posiadam, to rower bez opon, jeśli go nie rąbnęli. Ale za to mam zielony bilecik!

Kamienicznik z garścią diamentów zaczął płakać.



Teraz zdał sobie sprawę, jak jest biedny.

– Chcę stąd uciec! – krzyczał histerycznie.

– Uda ci się! – obiecywał Gefreiter z wyglądem myszy.

– Tylko w innym kierunku. Na Syberię!

Wszyscy z zielonymi bilecikami roześmieli się złośliwie. Narobili takiego hałasu, jakby siedzieli w piwiarni.

Grupa sanitariuszy z pełnymi paczkami biegała podekscytowana wzdłuż korytarza.

– Szybko, no pospieszcie się! – krzyczał histerycznie naczelnny lekarz. – Za chwilę będą tu Rosjanie.

Sanitariusz, który zabrał zegarek, przyszedł i zrobił mi zastrzyk w ramię.

– Chodź braciszku – powiedział z uśmiechem, zapinając rzemienie pękatego plecaka, który miał na plecach.

Objął mnie ramieniem i pomógł wstać.

– Możesz stać na nogach? – spytał.

– Wierzę, że tak – wyjąkałem, zaciskając z bólu usta.

– Lepiej by było, abys uwierzył – warknął. – To jest jedyna szansa dla ciebie. Jeśli nie możesz chodzić, to cię tu po prostu zostawią. Nawet, gdybyś miał przywiązane do fiuta pięćdziesiąt zielonych kartoników!

Wisiałem na nim, starając się ulżyć mu jak najbardziej. Jeśli poczuje, że ma za dużo kłopotów ze mną, to mnie po prostu wyrzuci, jak pustą paczkę papierosów.

Ulica była pokryta brudną śniegową mazią. Wszędzie leżały porzucone nosze i wyposażenie medyczne. Jęczący

ranni z przesiąkniętymi krwią bandażami czołgali się po ziemi jak wpół obumarłe jaszczurki. A daleka dochodził szum silników czołgowych, a na niebie terkotały „młynki do kawy”.

Na środku drogi płonął PzKpfw IV. Spalone ciała członków załogi wystawały z otwartych włazów. Puste oczodoły śledziły nas z demonicznym blaskiem.

– Czas się wynosić – roześmiał się „mój sanitariusz” złośliwie, kopiąc czołgającego się rannego, z amputowanymi oboma nogami.

– Dlaczego te dupki nie zostaną w łóżkach – mruczał z irytacją. – Przecież nie pozwolą wejść im do pociągu. Jeśli wszyscy wyczołgają się na zewnątrz, to zmiażdżą ich czołgi.

Wielki, tłusty obłok dymu wisiał nad stacją kolejową. Natknęliśmy się na podmuch gorącego powietrza. Ziemia, asfalt, dachówki, pogieęte żelazo i kawałki stali spadały jak rześisty deszcz. Kompletny warsztat ciesielski przeleciał w powietrzu i rozpadł się na kawałki pośród ruin domów. Wielki grzejnik do wody spadł na ziemię, ze zgrzytem rozrywanego metalu. Ludzkie szczątki zwisały za słupów latarni. Ciała bez pleców. Następny podmuch zrzucił je i na ich miejscu pojawiły się nowe ludzkie strzępy.

– No, nareszcie dotarliśmy – powiedział sanitariusz, klepiąc mnie z zadowoleniem w plecy.

Wepchnął mnie do przeładowanego wagonu towarowego i znikł gdzieś w tłumie ze swoim pękatym

plecakiem.

Wszyscy są tutaj. Albert obejmuje mnie ze śmiechem. Mały macha z kąta wagonu. Porta oczywiście siedzi blisko gorącego piecyka i piecze w nim ziemniaki.

– Ciężko było cię odszukać – powiedział Gregor. – Na szczęście znaleźliśmy ordynansa, który obiecał nam pomoc. Kosztowało to trochę grosza.

– Ci bandyci są gorsi, niż wszystkie sępy w Niemczech – powiedział Porta. – Prawdziwi łowcy ochłapów.

– Modłę się do Boga czarnych ludzi, aby ta świnia nie wyjechała stąd, dopóki nie dopadną go w swoje ręce Iwany – powiedział mściwie Albert.

Ugiął ręce i wzniosł wzrok w kierunku brudnego dachu bydłowego wagonu. Jakby się spodziewał, że Afrykański Bóg wysłucha tutaj jego próśb.

Długi pociągął wyraźnie drgnął. Dwie ciężkie lokomotywy, które go ciągnęły gwizdnęły przeraźliwie. Z tyłu wagonu ktoś zaczął śpiewać *Zu mir zu kommen ist nicht leicht für dich Und bis zum Tod sind bloss vier Schritt* [Trudno jest ci przyjść do mnie, gdy śmierć jest tylko o krok.] Porta wyjął z kieszeni gruby notes z plecaka, polizał grafit ołówka i coś w ciszy notował.

– Co tak pracowicie zapisujesz? – spytał zaciekawiony Stary.

– Sprawdzam, kto nie zapłacił 80% prowizji, gdy walczyłem na wojnie światowej. Wygląda na, to że będę bardzo zajęty w Berlinie. Jest dwóch lub trzech facetów w naszej stolicy, którym muszę odstrzelić jaja.

– Jesteś pewien, że jedziemy do Berlina? – spytał z niedowierzaniem Gregor.

– Pewnie, że tak! Kupiłem bilety dla całej naszej bandy. Jeden Gefreiter ze sztabu, który jest tam ważnym urzędasem, a do tego moim kumplem, załatwił to. Pożyczyłem mu na 80% trochę gotówki. Ten zagwarantował, że jedziemy do Berlina!

– Pewnie cię przekreślił – powiedział Stary cicho i oparł się plecami o pokrytą szronem ścianę wagonu.

– Nie on – powiedział Porta. – Jest świnią, ale nie kompletną.

Przez dziewiętnaście dni pociąg jeździł dziwnymi zygzakami po Ukrainie, Polsce, a potem Czechosłowacji. Przejechaliśmy obok Egeru i Hofu. Potem z całym transportem rannych ruszyliśmy na północ.

Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się ze zgrzytem hamulców w Berlinie na Anhalter Bahnhof.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedział Stary.

Potrząsnął głową z cichym podziwem.

– Jesteś naszym królem, Porta! Ósmym cudem świata, naprawdę!

– Czy nie mówiłem, że jedziemy do Berlina – odparł Porta.

Cały czas udawał bardziej chorego, niż był w rzeczywistości i nim pojawili się sanitariusze, którzy mieli wynosić nas z wagonu, sam otworzył drzwi.

– Skąd jedziecie? – spytał Hauptfeldwebel głosem jak komenda koszarowa.

– Z dupy wszechświata – odparł Porta z szerokim uśmiechem.

– Nie żartuj sobie ze mnie, Obergefreiter – zaszczeakał Oberfeldwebel groźnie, wygładzając swój świetnie skrojony mundur.

*Berlin, Berlin so sehen wir uns doch wieder...* [Berlinie, Berlinie, znowu się spotykamy.] nucił Porta, gdy dwie pielęgniarzki, sapiąc z wysiłku niosły go wzdłuż peronu do oczekujących ambulansów.

*Gdy młodzi żołnierze zaczynają zabijać, bardzo trudno ich powstrzymać.*

*Zabijanie stało się dla nas codziennością. Nie było broni, której nie potrafiliśmy używać jak eksperci. Od drutów duszących jak garota, po ciężkie karabiny maszynowe. Wielu z nas potrafiło mordować gołymi rękami. Mocne uderzenie kantem, nasadą dłoni. Dwa sztywne palce. W wieku dwudziestu lat byliśmy bardziej doświadczeni, niż nasi siedemdziesięcioletni dziadkowie. Wiedzieliśmy o życiu i śmierci więcej, niż oni dowiedzieli się przez całe życie. Nigdy nie pozostawiliśmy ciała wroga bez wpakowania kuli w głowę. Zanim weszliśmy do jakiegoś domu, zawsze poprzedzał nas granat. Byliśmy pozbawieni jakichkolwiek złudzeń, zawsze i wszędzie. Nic nas nie mogło zaskoczyć. Doświadczyliśmy zbyt dużo różnych szoków. Życie emocjonalne zostało rozerwane na strzępy przez setki zdradzieckich pułapek, takich jak nagły ostrzał artyleryjski. Gwałty rozśmieszały nas. Szczególnie, gdy była nas kompania, a kobieta tylko jedna. Braliśmy, to, co chcieliśmy. Nie mieliśmy dużo czasu, bo śmierć była zawsze o krok za nami.*

# Rozdział 6

## Osiemdziesiąt procent

– Sally jest w Berlinie! – krzyczał Porta z radością. – I to w Sztabie Generalnym!

– W Ministerstwie Wojny – poprawił go Feldwebel sanitarny.

– To jeszcze lepiej – ponownie roześmiał się Porta. – Jest tak, jak zawsze mówiłem. Jeśli Bóg cię kocha, słońce zawsze świeci! Sally jest w Berlinie! Sally w samym *Domu Wojny!* Takie rzeczy zawsze utwierdzają człowieka w wierze.

Śmiał się długo, serdecznie i głośno.

Szef służby medycznej, pułkownik, dokładnie w tym samym momencie otworzył drzwi do naszej sali.

– Wydaje się, że odkryłeś najwspanialsze lekarstwo – powiedział pułkownik, wskazując Portę stetoskopem. – Jeszcze wczoraj byłeś całkowicie sparaliżowany, jak w wariackiej gorączce. Musisz mi opowiedzieć o tym lekarstwie, które postawiło cię na nogi w ciągu jednej nocy. Może w przyszłości je zastosujemy, gdy trafimy na beznadziejne przypadki!

– Tak jest, panie pułkowniku – uśmiechnął się zadowolony Porta – stało się, o czym napisano w Biblii! O jednym gościu z Palestyny. I Jezus powiedział „Wstań i idź!” I powstał gość z klęczek i poszedł z wypchaną torbą

na ramieniu.

– Czyli był to jeden z cudów natury – stwierdził szyderczo lekarz. – Byłoby lepiej, gdybyśmy od razu skierowali cię do batalionu rekonwalescentów. Tam zafundują ci parę ćwiczeń dla zdrowia.

– Pragnę zameldować, panie pułkowniku, że Obergefreiter Creutzfeldt też został wyleczony w ciągu jednej nocy. Cały ból w jego plecach zniknął.

Mały zaczął machać gniewnie głową za plecami pułkownika i wyrzucił ręce pod niebiosa. Nie zrozumiał ani słowa z tego, co się dzieje. Plan zakładał zarzucenie kotwicy w berlińskim szpitalu aż do końca wojny – To dobrze słyszeć, że Creutzfeldt też jest pod wpływem tego skutecznego lekarstwa – powiedział sarkastycznie szef służby medycznej. – Dlatego jego też stąd zabierzemy. Odeślemy was do batalionu rekonwalescentów.

– Pragnę zameldować – zakrakał Porta. – Niedługo mamy być przeniesieni do specjalnych zadań w Ministerstwie Wojny.

– Gdy was widzę, to nietrudno w to uwierzyć – zaśmiał się krótko medyk. – Pewnie macie tam stworzyć oddział zmartwychwstańców. W innym wypadku trafiacie do bataliony ozdrowieńców.

Wskazał na kule leżące na łóżku.

– Zanieście je do magazynu. Jeśli ktoś was zobaczy, to uwierzy, że nic mu już nie jest potrzebne.

– Pozer – wyszeptał sanitariusz do Porty i opukał go.

– Tak myślisz – zaśmiał się głupio Porta. – Za kilka dni



sam będziesz chciał, abyśmy pomyśleli o twojej dupie. Będziemy leżeć w Ministerstwie Wojny i myśleć, gdzie wysłać jakiegoś generała i takich kulisów jak ty, gdy tylko nam przyjdzie na to ochota.

Było bardzo głośno, gdy Porta i Mały przedzierali się przez niezliczone punkty kontrolne, aby dotrzeć od biura Oberfeldwebel Sally w departamencie ogólnowojskowym Ministerstwa Wojny.

– Jak tu fajnie – wołał Mały, podskakując na sprężystej sofie.

Porta rozwalił się w głębokim fotelu, trzymając grube cygaro w kąciku ust. Rozpiął mundur pod szyją i zsunął czapkę na lewą brew. Lubił siedzieć w ten sposób. Wyglądał, jakby był kimś ważnym, tak przynajmniej sądził.

– Co sądzicie o spłukaniu bakterii szpitalnych z waszych gardel? – spytała Sally, wyjmując butelkę z szafy. Na jej drzwiach widniał napis „AKTA SZTABOWE – TAJNE”.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział Porta, wydmuchując wielką chmurę dymu. – Mogłabyś napełnić szkło tym płynem, jeśli o to chodzi. Czy nie masz ochoty zajmować się tym przez cały czas?

Wznieśli toast, pochylając się beczelnie w pas, jak pruscy oficerowie. Ostatecznie byli przecież w ministerstwie wojny.

Porta wypił zawartość kieliszka jednym haustem i

oblizwał szkło.

– Słyszałam, że miałeś kupę zabawy z tym żbikiem, którego co posłałam – śmiała się serdecznie Sally. – Co z drugim? Miałam dwa na składzie i jeszcze jeden został. Mogę ci podesłać drugiego, jeśli chcesz dać komuś lekcję.

– Nigdy więcej tych kocurów – zaprotestował z rozpaczą Mały, pokazując długie rany na rękach, które pozostały mu po pierwszym spotkaniu.

– Musisz posłać nas natychmiast do służby specjalnej – powiedział poważnie Porta, popychając w stronę dziewczyny puste szkło. – Inaczej jesteście jedną nogą w Rosji.

– Da się zrobić – powiedziała – W jakim pionie chcecie się znaleźć?

– Siedzenie. Planowanie, coś razem z tobą i picie śliwowicy! – zaproponował Mały.

Potem wybuchnął głośnym śmiechem.

– A co sądzicie o HDv – spytała Sally – spokojne i komfortowe miejsce. Nie dla niebezpiecznych ochotników do Walhalli, marzących o huku pola bitwy.

– Co to jest HDv? – spytał jak zawsze podejrzliwy Porta.

– *Heeresdruckvorschriftenverwaltung* – wyjaśniła Sally tonem wyższości – czyli Wojskowe Biuro Regulacji Przepisów.

– Jedno z takich miejsc, gdzie zjadają sterty przepisów i potem srają nimi jak po świętach Bożego Narodzenia – pokiwał ze zrozumieniem Porta. – Brzmi całkiem nieźle.

Wrzuć nas na listę płac, tak szybko, jak tylko potrafisz, to od razu ustalimy plan działania, bo jestem bardzo zmartwiony.

Pochylił się konfidencjonalnie nad biurkiem wielkości małego lotniska.

– W Berlinie są ludzie, którzy myślą, że mogą mnie olać. Tylko dlatego, że byłem w Rosji i śledziłem postępy tej wojny. Trochę jej powąchałem i stwierdziłem ku swemu smutkowi, że nikt mi nie płaci. Co gorsza, wyśmiewają się ze mnie i plują mi pod nogi. Nawet chciwa Minna, w swoim interesie udawała, że mnie nie zna. Śmiała się tak, że ją brzuch rozboleł, gdy przypomniałem jej o 80% prowizji. Zażądała nawet zapłaty za usługi tych jej chudych dziwek. Doprowadziła mnie do stanu, gdy facet może tylko pić i chędożyć, a w międzyczasie popada w depresję. Od czasu gdy wróciłem do Berlina wszyscy próbują mi dokopać. Już byłem gotów stanąć na krześle z pętlą zarzucona na szyję.

– Popełniłeś życiowy błąd, odrzucając moją ofertę pracy w archiwum w Paderborn – powiedziała Sally. – Chciałeś być kierowcą. Mówiłeś, że to zabawniejsze.

– Ale nie wiedziałem, że Adolf wplącze mnie w wojnę – tłumaczył się Porta.

– Ale to zrobił – uśmiechnęła się Sally – A ty na nią poszedłeś, razem z tymi wszystkimi naiwniakami prosto w deszcz pocisków. Tych kilku, którzy mieli łeb na karku wybrali mniej niebezpieczny deszcz dokumentów i maszyny do pisania. Prowadzimy interesy jak dawniej i

doczekamy do dnia, gdy słońce zaświeci tak jak dawniej.

– Byłem głupi – przyznał Porta, rzucając krytyczne spojrzenie na swe odbicie w lustrze stojącym za biurkiem.

– Pozbieraj się Porta!

Jeszcze raz rzucił spojrzenie na własne odbicie. Pokręcił głową i stanął tak, aby obejrzeć własny profil.

– Wyglądam całkiem rażno – powiedział z cieniem satysfakcji. – Te wszystkie kulawe dupki, odkrywają niedługo, że niepłacenie 80% prowizji nie ujdzie im bezkarnie.

Oberfeldwebel Sally odchyliła się z uśmiechem do tyłu na bujanym fotelu.

– Czy wiesz, że Egon Ciota zasadził się na twój interes. Chodzi wszędzie i rozpowiada, że jesteś już niczym więcej, jak króliczym łbem faszerowanym kapusta kiszona. I jeśli będziesz miał tyle szczęścia, że wrócisz cało z frontu, to deportuje cię do jakiejś dziury w południowej Bawarii, śmierdzącej krowim łajnem, gdzie cała populacja składa się z wiejskich głupków.

– Jezu! – zawołał Mały z udawanym przestraczeniem.

Klasnął rękami nad głową, co nie było łatwe, bo leżał na brzuchu.

– Czas, aby Adolf sam zaczął się martwić o wojnę na wschodzie, a my musimy wzmocnić front wojny domowej.

– Do czorta! – powiedział oburzony Porta. – To całkiem niezły dowcip, jak ten dupek na to wpadł. Poza tym, że to jest z jego strony próba popełnienia

samobójstwa, albo coś bardzo osobistego.

– Chodźmy i zrobmy z niego worek na ziemniaki – domagał się Mały.

– Nie ma się co spieszyć i ryzykować, a potem żałować – ostrzegła Sally, napełniając ponownie kieliszki. – Weźcie przykład ze mnie. Zawsze działać trzeba zgodnie z dobrze przemyślanym planem. Wierzcie mi, to się opłaca.

Porta patrzył zamyślony w okno. Jego oczy podążały za wyładowaną barką, płynącą Landwehrkanal, przy sterze której stała tłusta, ruda kobieta.

– Egon, to wredny bękart – oznajmił z nienawiścią, uderzając delikatnie pięścią w parapet okna. – Strzelę mu prosto w serce, aż rozpadnie się na kawałki. Umrze, zanim zda sobie z tego sprawę.

– Znam kilku ludzi, którzy lubią się stroić w szaty pastora – powiedziała tajemniczo Sally.

Zapaliła wielkie kubańskie cygaro i dmuchnęła kłębem dymu ponad olbrzymim biurkiem.

– W szaty? – spytał Porta, nie bardzo rozumiejąc.

Zaległ po chwili w obszernym fotelu.

– To ci goście, co wspinają się do nieba, aby przeprowadzić intymną rozmowę z Jezusem i Bogiem?

– Kaznodzieje, chodzące ciuchy – wyjaśniła uprzejmie Sally, wydmuchując ponownie dym. – Ci goście wiedzą, czego chcą. Noszą księgi Mojżesza w lewej ręce i wyglądają na świętych, gdy chodzą w świetle dnia. Jezus wie o tobie wszystko, mówią ci, gdy ich spotkasz. Potem

wyjmują „czyściciela dusz” spod świętego munduru i po minucie jest po sprawie. Biorą jedną trzecią tego, co znajdują!

– Jak gość natyka się na tych chłopców? – spytał zaciekawiony Porta – To nie są jacyś głupawi zjadacze spaghetti, prawda? Nigdy nie widać, co zabierają.

– Absolutnie nie! – zaśmiała się serdecznie Sally. – To grzesznicy z więzienia na Moabicie. Moi dobrzy przyjaciele!

– Jak dobrzy? – spytał Porta podejrzliwie.

– Na tyle dobrzy, aby się z tobą spotkać, gdy ich o to poproszę – zaśmiała się Sally głupawo, pokazując rząd śnieżnobiałych zębów, ze złotymi plombami.

– Masz dobrego dentystę – westchnął Porta z zazdrością, ssąc swój jedyny ocalały ząb, który oczywiście był czarny.

– A mam – odparła Sally. – Mieszka zaraz za rogiem na Prinz Albert Strasse.

– Spodziewam się, że jest również dentystą Heinricha z SS – spytał Porta z wisielczym uśmiechem.

– Masz rację – odparła wesoło Sally. – Znalazłam parę plam na jego pochodzeniu w starych dokumentach, jeszcze z czasów Republiki Weimarskiej. Nigdy nie muszę się umawiać na spotkania i nie płacę rachunków.

– Uważaj, aby cię kiedyś nie powiesili – ostrzegł ponuro Porta. – Jednak nie pozwoliłbym dotykać się SS-manom moich szczęk. Gdy ta cała zaszrana wojna się skończy, mogą odkryć, że złoto w twoich zębach

pochodzi od jakiegoś Żyda, którzy wszyscy wiedzą w jaki sposób opuścił ten świat.

Sally roześmiała się długo i serdecznie.

– Gdy nadejdą wyzwolicieli i skopią wam tyłki, a wasze ciała rozerwane zostaną przez kruki, nikt o mnie nawet nie pomyśli. A do tej pory jestem nieusuwalna. Potrzebują do ostatniej chwili „czystych” Niemców, którzy będą wysyłali bohaterów na front.

– Myślisz, że będziesz do tego potrzebna? – spytał Porta z lekceważeniem. – Nie są aż tak głupi.

– Ja nie myślę, ja wiem – chwaliła się Sally z przekonaniem, naciskając guzik zamontowany pod blatem biurka. – Ale teraz zajmijmy się twoim interesem. Możemy urwać łeb temu mętowi, który wszedł ci w paradę.

Zaraz potem rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Chudy jak szczapa Gefreiter z wypisanym nieszczęściem na twarzy, przykrytym lekko złoconymi okularami belfra, przemykał się pod ścianą biura. Uczynił nieudaną próbę przyjęcia postawy zasadniczej, a jego stuknięcie obcasami przypominało szuranie kapci po podłodze, a nie pruskie szkolenie.

Sally odchyliła się do tyłu i spojrzała władczo na to nieszczęście. Facet stał sztywno przed biurkiem i spoglądał nią oczami wiernego psa, oczekując rozkazów.

– Słuchaj mnie dokładnie, Lange. Czynień cię osobiście odpowiedzialnym za to, aby podoficer Hartnacke na pewno stawił się w „Trójnogiej Gęsi” o godzinie

osiemnastej wraz ze specjalnym wyposażeniem. Tych dwóch Obergefreitów z oddziałów pancernych chce się z nim skontaktować.

– Tak jest! – zapiał Lange, ponownie próbując strzelić obcasami.

– O Boże, chłopie! – jęknęła Sally. – Ty się tego nigdy nie nauczysz! Spójrz, jak ci podskakują ramiona! Trzymaj swoje złodziejskie paluszki wzdłuż szwów spodni! Łokcie do przodu i zaciśnij pośladki! Twoje ręce wiszą, jakbyś chciał zostać garbaty! Jednak chyba po tym wszystkim, zrobię to! Wyślę cię do brata Iwana, może on cię nauczy, jak stawać na baczność! Jesteś rozlazły jak krowa! Jesteś chyba niczym innym niż tylko krową!

– Pragnę zameldować, że Obergefreiter Lange jest niczym innym jak krową!

– Zmykaj stąd! – Sally zaczęła machać rękoma, jakby chciała odgonić muchę od kanapki.

Lange odwrócił się i wychodząc oczywiście potknął się o próg drzwi. Pocąc się ze strachu, uklonił się jak spłoszony uczeń i cichutko zamknął drzwi.

– Jezu! Z jakiego cyrku on uciekł? – jęknął Mały, cały czas leżąc na podłodze.

Podstawił kubek do napełnienia.

– Co my wytrenowani Prusacy musimy znosić w czasie tej wojny.

– Był profesorem na jakimś uniwersytecie, czy czymś podobnym – wyjaśniła spokojnie Sally. – Nim go dostałam, zdążył wymazać prawie kompanię z list



poborowych. Jest kompletnie nieprzydatny jako żołnierz, ale świetny w operowaniu gumką i ołówkiem.

– Dobrze mieć czasami ludzi, którzy tym się zajmują – przyznał Porta. – Parę słów wymazanych w odpowiednim miejscu może zmienić historię.

Kilka minut po szóstej Porta i Mały przyszedli do „Trójnogiej Gęsi”, gdzie podoficer Hartnacke już urzędował przy barze, grzebiąc w wielkiej misce sałaty z sosem czosnkowym.

Mały jak zwykle zajął dwa stołki barowe.

– Po jednym na każdy pośladek – powiedział do barmanki o kwaśnej twarzy, śmiejąc się nosowo.

Wyglądała na pulchną, ale tylko raczej z tego powodu, że nosiła przyciasne ubranie.

Mały wlał kieliszek śliwownicy do kufla piwa.

– To jest dobre lekarstwo na nerwy – roześmiał się Porta, opróżniając swój kufel jednym długim haustem.

– Następny? – spytała barmanka trochę obrażonym tonem.

Podrapała się widelcem w głowę, który potem razem z nożem zwinęła w papierową serwetkę i położyła obok talerza jakiegoś gościa.

– Jeśli będziesz o to pytać cały czas, to dostaniesz chryпки – powiedział Mały przyjacielskim tonem.

Porta odwrócił się i mrugnął do dużego mężczyzny.

– Słyszałem, że potrafisz szybko pracować, nie robiąc wiele hałasu – powiedział.

– Nazywają mnie „szczęśliwy traf” – odparł Hartnacke lakonicznie, pakując sałatę do ust, jakby to było siano.

– I nigdy ci źle nie poszło? – spytał Porta ze zrozumiałym powątpiewaniem.

– Odchodzą szybko ci ludzie, którymi się opiekujesz? Tak szybko, że nie zdążą powiedzieć pa, pa?

– Urodziłem się w Chicago – odparł Hartnacke z dumą.  
– Moja matka jest z Palermo, a ojciec został deportowany do Grecji. Reszty możecie się domyśleć.

– Jezusku! – zawołał z entuzjazmem Mały. – To brzmi obiecująco!

– A co z twoim sposobem? – spytał Porta bardziej konkretnie. – Słyszałem, że działasz przebrany za pastora. Alleluja! Niech Pan będzie z tobą! Czy coś w tym rodzaju?

– Ty stawiasz? – spytał Hartnacke, podstawiając pustą szklanę.

Porta dał barmance znak dłonią, aby napełniła szkło.

– Widzisz – powiedział likwidator konspiracyjnym tonem, biorąc do ręki spory kij, leżący na ladzie za jego plecami. – Gdy idzie wybraniec boski, ludzie są do niego przeważnie przyjacielsko nastawieni i czują się lekko skrępowani. Inna zaleta jest taka, że gdy robota jest skończona i lecą już psy z Alexanderplatz, szukając kilerów, nie zwracają uwagi na zwykłego niemieckiego podoficera.

– Czy kripo mocno węszy wokół takich małych robótek, jak ta? – spytał badawczo Porta, patrząc na

upstrzony muszymi kupami portret Adolfa, wiszący na ścianie.

– Nie za bardzo – wyznał Hartnacke, wycierając reszkę sosu czosnkowego z talerza kawałkiem chleba. – Robią trochę szumu na pokaz, bo są zbyt zajęci sabotażystami i przeciwnikami przejęcia Austrii przez stare Niemcy. Z tym mają sporo kłopotów. A gdy trafi się jakiś natrętny komisarz, który pcha za mocno nos w te sprawy, wtedy Sally w ministerstwie wojny naciska jeden ze swoich guziczków i zanim gość się zorientuje, musi wykorzystać całą swą energię, aby ścigać partyzantów w Polsce. I wszystko jest w porządku, dopóki nie mieszamy się do polityki. Gdybyś chciał posłać jakiegoś gauleitera do nieba za pomocą nitrogliceryny, wlanej w jego buty, nie przychodź do mnie. To tworzy problemy, bo wtedy chłopcy z komendy na Alexplatz wywalą wszystkie drzwi w całym budynku i nie zrezygnują tak długo, dopóki ktoś nie wyzna prawdy.

– Zaczynam rozumieć – powiedział domyślnie Porta i wyciągnął do góry szyję, aby lepiej przypatrzeć się kobiecie w pelerynie z cielecej skóry. – Idziesz w swoim ubranku pastora i z niewinnym uśmiechem podchodzisz do klienta i pytasz się, kiedy ostatnio był w kościele. Zanim koleś zdąży pomyśleć, co ma odpowiedzieć, robisz w nim ołowiany szlaczek i wysyłasz go do aniołków.

– Coś w tym stylu – przyznał Hartnacke. – Co byś powiedział na gorący stek? Dają tu koninę bez kuponów żywieniowych, To pytanie wywołało furję barmanki,

która powiedziała, że nie będzie podawać gorących dań przy barze. Zmieniła zdanie, gdy Mały położył na ladzie baru wielki bagnet i zapytał czy była kiedyś pieszczona takim sprzętem.

– I nikt jeszcze nie rozszyfrował twojego pomysłu „na pastora”? – spytał Mały z ustami pełnymi krwistej koniny.

– To zabawne – wtrącił Porta. – Jeśli usłyszę, że jakiś mój przyjaciel będzie miał odbyć przejażdżkę autobusem do nieba, nigdy nie pozwoli zbliżyć się do siebie komuś w czarnym stroiku. Chyba, że najpierw sam napełni go ołowiem.

– Jednak ludzie są coraz głupszy na tym świecie – wyjaśniał Hartnacke. – Nie wolno ci zapominać, że gość który zobaczy mnie w czarnej sutannie, już nie będzie miał szansy o tym komuś później powiedzieć. Bo jest trupem!

– Jak ich wysyłasz na tamten świat? – spytał z zainteresowaniem Porta, zamawiając kolejny stek.

– Stosuję skuteczne i sprawdzone metody. Drut jak do garoty albo pistolet z tłumikiem. Nic, co tworzy bałagan. A bałagan to kłopoty. Nauczyłem się tej roboty w forcie w Zittau, gdzie służyłem jako ochotnik. Tam wiedzą i uczą o rzeczach, których nie poznałbyś w czasie pokoju.

– Uczyliśmy się takich trików, które dżentelmeni ze starej szkoły uznałoby za niemożliwe do wykonania, nie wiedzieliby, co z nimi zrobić – kontynuował Hartnacke, wybierając z talerza resztki koniny z gracją zamiatacza świńskiego chlewu.

Kiedy parę godzin później opuszczali „Trójnoga Geś” Porta stuknął familiarnie łokciem w żebra Hartnackego i powiedział:

– Chcę, aby Egon Ciota zamienił się z żywego w mrożoną baraninę. Ale chcę też, aby ten lachociąg wiedział, kto zafundował mu tę przemianę. A gdy wyślemy tę brudną duszę do piekła, chcę aby pozostawić kartkę z napisem „80%”. To pokaże całemu Berlinowi, co dzieje się z ludźmi, którzy myślą, że niepłacenie swoich zobowiązań to dowcip.

– A czy nie będzie za bardzo ryzykowne? – spytał ostrożnie Hartnacke. – Wszyscy przecież wiedzą, że jesteś 80-cio procentowym facetem i nawet łapsy z Alexplatzu, które przecież nie są elitą kryminalistyki, nie będą długo drapać się po głowach, aby załapać o co chodzi. Ciota poza tym ma całą flotę szlifierek do bruku. Kilka z tych dziewczynek na pewno szepnie coś chłopcom z komendy i ci bez chwili wahania zaczną dobierać ci się do tyłka.

– Ale nie będzie zabawy, gdy Egon nie dowie się, kto na niego podpisał kontrakt. – zaśmiał się nosowo Porta. – A to jest warte ryzyka!

– OK, to jest twoja głowa – odparł Hartnacke beztrąsko. – Ja w każdym razie jestem czysty.

– Masz rację – uśmiechnął się Porta, gdy pomyślał sobie jak parę osób w Berlinie zesra się ze strachu, gdy dowiedzą się, że przy Egonie znaleziono kartkę z napisem „80%” i ruszą spłacać swoje zobowiązania.

– Nasza cierpliwość nie jest bezgraniczna – ryknął Mały, a echo jego głosu odbijało się od okolicznych kamienic. – Muszą się dowiedzieć, że wróciliśmy z wojny. Kiedy załatwimy Ciotę, weźmiemy się za karła.

Potem Porta zadzwonił do Egona, aby przekazać mu radosną wiadomość o swoim powrocie do miasta.

– Kocham was, moi drodzy! To naprawdę ty, Porta? Co za miła niespodzianka – niemal płakał Egon. – Nic złego ci się nie stało na tej potwornej, okrutnej wojnie? Takie straszne rzeczy dochodzą do nas stamtąd. Siedzisz i myślisz o swoich przyjaciółach na froncie, gdy nagle ktoś przychodzi i mówi o ich śmierci!

– No to nie musisz płakać – zapewnił Porta. – W tym starym psie, jak ja, jest więcej życia niż w tobie i więcej niż inni by sobie życzyli. Możesz sobie przypomnieć, ile jesteś mi winien z tych 80% za ostatnie dwa lata. Zapłacisz mi to do ósmej wieczorem!

– Drogi, kochany Porta, wszystko się zmieniło od czasu, gdy wyruszyłeś dwa lata temu, aby powiększyć przestrzeń życiową starych Niemiec. Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro, że to ja muszę ci o tym powiedzieć, ale pojawili się bardzo źli ludzie, którzy przejęli twoje interesy. To są bardzo źli ludzie, nigdy się nie uśmiechają.

– Chrzanić to! – ryknął Porta, tracąc samokontrolę.

Dmuchnął w mikrofon słuchawki dymem, jakby to była twarz Egona.

– Przyjdiesz na czas i przyniesiesz mi moją kasę. I

możesz tych swoich groźnie wyglądających ludzi nafaszerować swoim gównem, bo ja ci swojego nie pożyczę!

– Ale Porta, mój drogi – mówił Egon grubym, pełnym zadowolenia głosem. – Chyba nie myślisz, że mam zamiar sam siebie zabić! Szczególnie teraz, gdy przyszłość rysuje się trochę jaśniej?

– Słuchaj mnie uważnie, ty śmierdząca dupo starej mały, ty brudny synu zuluskiej kurwy, ty zdrażliwy szakalu, ty...! – Porcie aż zabrakło słów z wściekłości, gdy ryczał w słuchawkę telefonu. – Jeśli nie pojawisz się z wielkim workiem brzęczących monet, to stanie ci się naprawdę coś złego. Bardzo złego! Coś, co wyciągnie z ciebie to parszywe życie bardzo skutecznie!

– Nie zrobisz tego, prawda – jęczał Egon nerwowo, stukając w słuchawkę aparatu.

– Pomyśl o tym, ty mały robaku i przemyśl sobie, kto tu jest szefem! – Porta rzucił słuchawką, która spadła za skrzynki telefonu i zawisała na przewodzie telefonicznym.

Gdy ruszyli ulicą, nadal dolatywały do nich piskliwe dźwięki z wiszącej słuchawki.

– Był chyba nieźle przerażony ten Egon – powiedział Mały z satysfakcją w głosie. – Na pewno przyjdzie.

Ale Mały się mylił. Egon nie pojawił się. Następnego dnia Porta, Mały i podoficer Hartnacke szli wzdłuż Sperling Strasse, aby osobiście porozmawiać z Egonem. Gdy skręcili w bramę budynku, w którym on mieszkał, wyleciała z niej jak rakieta Viola „Zgniatacz Jąderek” i

wpadła całym impetem na Małego.

– Co do diabła! – krzyknął zagniewany olbrzym, podnosząc czapkę z rynsztoka. – Nie możesz uważać ty wymalowana macioro!

– Kto jest maciorą? – krzyknęła Viola z obrazą i kopnęła Małego w kostkę.

– Co ty sobie myślisz dwumarkowa dziwko, płacona w siedmiu ratach, co? – wybuchnął wściekły Mały, podskakując na jednej nodze i rozcierając bolącą kostkę. – Zrobię to, ty wszawa cipo, rżnięta przez goryla i rozerwę się od tyłka po jadaczkę!

– Zmiataj, ty wiejski gwałcicielu krów – syknęła Viola i zabrała się za to, co lubi najbardziej. – Wyrwę ci jaja, jeśli w ogóle coś takiego posiadasz!

– Ty musisz jednak rżnąć się z ośmiornicą – ryknął Mały i wyprowadził taki cios, że gdyby trafił dziewczynę, to by ją zabił.

Viola uniknęła uderzenia, robiąc szybki unik. Znowu kopnęła przeciwnika w kolano. Gdy Mały pochylił się, próbowała sztywnym palcem trafić go w oko.

Ten obrócił się i chwycił jeden z kubłów z rybami, stojący przed sklepem rybnym. Podniósł go do góry i sterta rybich wnętrzności wylała mu się na głowę. Potem rzucił z całej siły wiadrem w dziwkę. Kawałki ryb i flaki dosłownie fruwały w powietrzu.

– Przestańcie rozrabiać – krzyczał zdenerwowany Porta, bezskutecznie próbując ich rozdzielić. – Nie mamy czasu na takie zabawy. Jesteśmy tu w interesach!



Ale Viola była już rozjuszona jak kotka w marcu. Złapała wielkiego suma, zakręciła nim parę razy nad głową, aby nadać mu impetu i rzuciła w stronę Małego. Rzuciła nim, ale spudłowała. Trafiła natomiast właściciela sklepu prosto w twarz. Ten wywinął takiego kozła, że aż odpadła mu proteza nogi, którą stracił w czasie I wojny światowej i uderzyła w dziewczynę. Ta zaś pomyślała, że to Mały ja kopnął, rozcapierzyła palce, jak orzeł pazury i rozorała olbrzymowi policzek.

Ten z wściekłości złapał leżącą protezę i uderzył nią Violę. Drewniana noga pękła na dwoje.

Ale dziewczyna nie była jeszcze pokonana! Była wyćwiczona i potrafiła walczyć nawet szyjką zbitej butelki. Dysząc jak ranna lwica, uderzyła w klejnoty Małego. Wytrenowanymi palcami przeniknęła przez gruby płaszcz zimowy wielkoluda oraz trzy pary ukradzionych armii gaci.

Mały z bólu rozdziawił usta, potem wzdłuż ulicy poleciał długi, agonalny okrzyk bólu. Wielkolud wyskoczył w powietrze tak, że mógłby spokojnie występować w cyrku Kranza. Kolana miał wyraźnie powyżej głowy. Potem spadł na chodnik i potoczył się na jezdnię, prosto pod trójkołowy wózek dostawczy, wyładowany workami z ziarnem i przewrócił go. Był tak obolały, że nawet nie zauważył zderzenia. Kiedy powróciła mu świadomość, myślał tylko o Violi. Ale ta zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

– Moja noga! – krzyczał właściciel sklepu rybnego,

otoczony porozbijanymi skrzynkami.

– Tutaj, ty kulasie! – zawołał Mały, rzucając połamaną protezę na stos ryb.

Odnalazł wzrokiem niebieski kapelusz Violi, który sterczał zza skrzyni na odpadki.

– Tam jesteś! Ty pieprzony lachociągu! – ryczał.

Chwycił ją na wysokości piersi i rzucił nią przez drzwi „Zielonej Kury”.

Leciała w powietrzu jak kula, trafiła w Portę i razem wpadli na stojak dla kapeluszy i parasoli. Ten mebel zrobiony był z łusek pocisków artyleryjskich z pierwszej wojny światowej i ważył chyba z pół tony. Pod wpływem uderzenia dwóch ciał rzeczony stojak runął na szklaną gablotę przy barze, rozbijając ją na kawałki. Piwo, wieprzowina, konina, sosy i kiełbasy wystrzeliły w powietrze i oblepiły wszystkie ściany.

– To jak Ruscy! – wołał zrozpaczony inwalida z I wojny. – Czerwony front!

Tyle zdążył powiedzieć, nim zasłabł. Zapomniał zdjąć odznakę partyjną, która błyszczała w klapie jego marynarki pośród kawałków kapusty kiszzonej. Potem już nigdy jej nie przypiął.

Podoficer Hartnacke, który właśnie przebierał się w księżą sutannę, został uderzony, przeleciał przez ladę i wylądował w trzech półmiskach z kapustą kwaszoną i fasolą. Wydał chrapliwy okrzyk starej sowy i dostał amoku. Wszystkie wcześniejsze plany wzięły w łeb. Nie było już czasu na ostrożność i dyskretną akcję. Od razu

do ataku! Z diabolicznym uśmiechem wyciągnął nagan z kabury pod pachą.

– No dobra, Ciota, idę do ciebie, jesteś na wylocie!

Wiedział, że Egon siedzi w swoim biurze z rozgrzaną do czerwoności maszynką do liczenia, który jakby czekał, aby nadchodzący morderca odstrzelił mu głowę.

Przeskoczył zręcznie przez ladę, ledwie unikając zderzenia z Portą i Violą, którzy leżeli na podłodze i próbowali wzajemnie oberwać sobie uszy. Wytarł resztki kapusty z twarzy i jak burza ruszył przez salę barową. To, pomyślał, przejdzie do historii Berlina. Coś takiego wcześniej się nie zdarzyło. Kiedy stary Fryc i jego pieprzeni generałowie umrą i zostaną zapomniani, ludzie będą nadal wspominać „Szczęśliwy Traf” i co zrobił z Egonem w czasie II wojny światowej.

Egon siedział na głębokim krześle bez poręczy, czując błogość i patrzył na rząd cyferek wyskakujący z maszynki do liczenia. Wtedy od kopnięcia otworzyły się drzwi, zawisając na jednym tylko zawiasie. W pierwszej chwili pomyślał, że to regiment wojska wkracza do jego biura i zaraz potem patrzył już w czarny otwór lufy pistoletu. W jego uszach dźwięczał krzyk, który postawił dęba resztkę włosów na jego głowie. To krzyczał Leo, kucharz, który chciał ostrzec szefa, przed nadciągającym atakiem i śmiercią. Karzeł, Olfert, który miał około 145 cm wzrostu i tyle samo w barach, schował się jak błyskawica za krzesłem Egona i machał rękami, jak indyk skrzydłami, gdy mu obcięli łeb.

Ciota w przerażeniu otworzył szeroko wodniste, niebieskie oczy i zaczął miauczeć jak przemoczony deszczem kot.

– To się doigrałeś! Ty tani alfonsie! – darł się Hartnacke. – Mam zamiar odstrzelić ci ten zardzewiały mózg i zrobię to!

– Może o tym porozmawiamy – błagał Egon, który był ekspertem w tego typu sytuacjach, gdy człowiek jest przyparty do muru.

– Już się dosyć nagadałeś w swoim życiu – przerwał mu Hartnacke z lodowatym uśmiechem. – Teraz dostaniesz za swoje.

Ustawił pistolet naprzeciw nosa Egona i nacisnął spust.

Ogłuszająca eksplozja odbiła się echem od ścian baru i spowodowała, że właściciel sklepu rybnego za strachu poczołgał się w stronę beczki ze śledziami, szukając osłony.

Egon potoczył się po podłodze razem z krzesłem, a karzeł Olfert siedział na środku podłogi, wzywając na pomoc policję i SS. Był podrzutkiem i zawsze wiedział, że jego życie jest zawsze w niebezpieczeństwie.

Hartnacke stał osłupiały patrząc na swą poranioną dłoń, z której drobnymi kroplami skapywała krew na dokumenty rozłożone na biurku. W tym całym zamieszaniu popełnił fatalną pomyłkę. Niewybaczalną nawet dla rekruta, który dopiero co pobrał mundur od kwatermistrza. Miał on złe przyzwyczajenie noszenia dwóch pistoletów, rosyjskiego nagana i niemieckiego P

38, a amunicji do nich w jednej kieszeni. W rezultacie bójki, które miała miejsce przed chwilą, przez pomyłkę załadował nagana amunicją do P 38. Nie ma broni na świecie, która zniosłaby złą amunicję. Nagan został rozerwany na strzępy razem z palcami pechowego strzelca. Hartnacke w szoku wybiegł z „Zielonej Kury” i nie pamiętał jak dotarł do ministerstwa wojny. Sanitariusz Steinhart pozszywał mu nieudolnie rany, tak, że żaden chirurg by tego nie zaakceptował.

– Nie wyjdiesz stąd przez miesiąc – syczała z furją Sally. – Mam nadzieję, że wreszcie się wyleczysz z noszenia różnorodnej broni! Ty wariacie! Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś głupkiem? Czy ty kompletnie oszalałeś? Teraz już cały Berlin wie, że strzelałeś w „Zielonej Kurze”. Nawet głodny Żyd nie byłby tak głupi. Po tym wszystkim jestem przekonana, że twoja matka musiał mieć sparaliżowany mózg, gdy wypuszczała cię z brzucha.

Niefortunny strzelec skomlał i jęczał z rezygnacją. Przysiągł sobie po cichu, że gdy spotka Egona, wbije go na metr głęboko w najbliższy mur.

W wewnętrznym pomieszczeniu Egon siedział na krześle i z niedowierzaniem dotykał delikatnie twarzy. Powoli, bardzo powoli docierało do niego, że nie ma na niej krwi, że jest cały i zdrowy. Przez jego ciało przebiegł niesamowicie ciepły strumień radości.

– Wróciłem spośród umarłych! – powiedział, chlipiąc i śmiejąc się na przemian.

Zaczął dziękować Bogu, a po chwili go przeklinać.

– Zemsta! – zazgrzytał zębami – Zemsta! Chcę tego drania „Szczęśliwy Traf”. Macie go przynieść w dwudziestu pięciu kawałkach. Przepuszczę go przez maszynkę do mięsa i sprzedam jako karmę dla psów, poza przydziałem!

Gang Egon z karłem Olfertem na czele przeczesywał cały Berlin w poszukiwaniu niefortunnego strzelca. Ciota był tak wściekły, że przez trzy dni nic nie jadł, a trzeba wiedzieć, że był wielkim obżartuchem.

Z czasem polowanie skończyło się. Pewnego późnego popołudnia, gdy Egon zabawiał się z dwoma swoimi faworytami, Porta i Mały wpadli bez pukania do jego buduaru. Ciota właśnie wciągał na siebie damską, jedwabną bieliznę, pełną wstążeczek i haftek. Bardzo lubił nosić takie wdzianka.

Mały przycisnął obrzyna do ucha grubasa.

– Co, myślałeś, że to koniec, co? – wysyczał zajadle Mały. – Nie! To dopiero początek. Jak to mówią kulturalni ludzie, chodzący do opery, że najlepszy zawsze jest finał!

– Przecież prosiliśmy cię grzecznie, abyś wszystko nam przekazał – powiedział Porta, pochylając się nad nim.

Uśmiechnął się i uszczypnął go delikatnie w policzek.

– Nie wydaje się, abyś był zainteresowany tym, co chcieliśmy ci powiedzieć, więc odstrzelimy ci uszy. Jedno i drugie! I to na pewno usłyszysz! To będzie ostatni huk jaki do ciebie dotrze. Poczujesz, jakbyśmy odstrzelowali

ci głowę. Może tak zrobimy! Ale tego już nie usłyszysz, bo nie będziesz miał uszu!

– Nie możecie tego zrobić! – płakał łamiącym serce głosem Egon, wyciągając przed siebie ręce.

– Nie? – spytał Mały z rechotem – Lepiej się przyzwyczajaj się do tej myśli, ty opalona dziwo!

– To morderstwo! – szeptał z chrypką Egon, próbując się wycofać.

– *Folie de graundet* – roześmiał się uprzejmie Porta z fałszywą życzliwością. – Nazwijmy to raczej deratyzacją, ty mały szcurze. Kiedy odetniemy ci ptaka i pošlemy do komendy na Alexplatz, to nam jeszcze medal dadzą! Hej, wy tam!

Ostatnie słowa skierował do dwóch półnagich towarzyszy uciech, siedzących przy kredensie na miękkiej sofie.

– Zróbcie jakikolwiek hałas, głośniejszy niż kot skradający się za kotką, to wyrwiemy wam mózgi przez dupę!

Klepnął Ciotę grzbietem dłoni po plecach.

– Znasz jakieś modlitwy? Mamy w gruncie rzeczy dobre serca. Nie lubimy posyłać gości w zaświaty bez modlitwy – spytał uprzejmie Mały.

– Nie mówcie tak! – błagał Egon ze łzami w oczach. – Mam pieniądze. To, że nie przyszedłem, to tylko nieporozumienie.

– Tak, tak! Błędy i nieporozumienia. To one powodują wszystkie kłopoty na świecie – westchnął Mały z

rozzewnieniem. – Ale najpierw się pomódl, to sprawisz radość Świętemu Piotrowi.

– Nie znam żadnej modlitwy, nie jestem religijny! – płakał nieszczęśliwy Egon.

– Nie spodziewam się, że jesteś. Tylko dobrzy ludzie są religijni, a ty nie jesteś! – powiedział Mały, stukając Egona lufą obciętej strzelby w plecy.

– To wy się za niego pomódlcie – powiedział Porta do dwóch towarzyszy zabaw Egona.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje – zaintonował Mały ze wzrokiem wbitym w sufit. – Zostań tam gdzie jesteś, a nas zostaw na dole, abyśmy wykonali nasze małe prace, które nie psują twojej reputacji.

– Chodźmy zatem, Egon, na małą przechadzkę – powiedział Porta, narzucając na niego płaszcz przeciwdeszczowy. – Załóż to, bo nie chcemy, abyś paradował po ulicach Berlina w damskiej bieliźnie. Paru panom mogłoby pęknąć serce.

– I nie wrzeszcz – upomniał go Mały, gdy schodzili po schodach. – Chyba, że chcesz poczuć własne jaja w gardle.

Wzięli Egona między siebie, poszli wzdłuż Friedrichstrasse do amfibii ministerstwa wojny, którą załatwiła im Sally.

Schupowiec stojący na ulicy, przyglądał im się z zainteresowaniem, gdy wpychali grubasa do pojazdu.

– Dezerter? – spytał się policjant patrząc na Egona jak



komornik na szafę.

– No właśnie – odparł Porta. – Ma przecież obowiązki wobec oddziału, sukinsyn. Tak to już jest. Gdy jakiś tchórz boi się śmierci z ręki wroga, dostaje to samo, tylko że od nas.

– I tak ma być – zgodził się poważnie Schupo.

Wsadził kciuki dłoni za wypolerowany pas munduru.

– Oni chcą mnie zamordować! – krzyczał desperacko Egon, myśląc, że ma szansę ocalenia.

– Egzekucja, to odpowiednie słowo – poprawił go policjant szorstko.

Potem klepnął kaburę pistoletu, jakby chciał powiedzieć: Mam nadzieję, że cię załatwią, nim trafisz na front, ty zdradziecki tchórze!

– Nie – zaśmiał się obłudnie Porta. – Nie tak to załatwiamy w armii. Jesteśmy humanitarni. Celujemy w czoło!

Podniósł rękę do daszka czapki i nonszalancko zaszalutował. Schupowiec odsalutował, jakby był na paradzie.

Ruszyli z dużą prędkością wzdłuż Friedrichstrasse.

– Zapewnimy ci całkiem niezwykle doświadczenie – oświadczył Porta, gdy skręcali w Charlottenburg Chaussee. – Chcemy, abyś był pierwszą osobą, która poleci z Kolumny Zwycięstwa, Siegessaule.

– Porozmawiajmy chwilę – szeptał wątłym głosem Egon. – Nie wiecie, co przeszedłem. Wy mieliście tylko wojnę na głowie, a mi tu wszystko waliło się na głowę.

– Coś o tym wiemy – powiedział Porta, prowadząc pojazd jedną ręką. – I te zmartwienia powodują, że ten zawszony świat zamienia się w czarną dziurę. Ale tacy optymiści jak ja, zawsze wydostają się na szczyt tego gówna. Od pierwszego dnia, gdy wróciłem do Niemiec, zostałem poważanym biznesmenem, robiącym uczciwe interesy z tymi, którzy tego chcą!

– Na przykład – wtrącił się ze znajomością tematu Mały. – Cipki! Przecież nigdy nie prosiłeś o więcej niż rozsądne 80 procent. Prawda?

– Ty jesteś jednak głupi, Egon! – ciągnął dalej Porta. – Jeśli myślisz, że chociaż jesteś tutaj i w cywilu, to wyciągniesz mi dywan spod nóg.

– To jakiś wariat! – mówił podniesionym głosem Mały. – Najpierw próbuje wylać nam na głowę wiadro pomyj, a potem zaprasza na przejażdżkę.

– Trochę cię zaskoczyliśmy naszym powrotem do Berlina, co? – spytał ze smutkiem w głosie Porta.

– Zawsze byłem dobrym kumplem dla swoich przyjaciół – zaklinał się Egon. – Bądźcie tak mili i odwiedźcie mnie z powrotem do „Kury”. Przecież te wasze 80% leży w stosach i czeka na was. Wszystkie wyliczenia są w księgach. Może wkradły się jakieś niewielkie błędy, ale to zrozumiałe w trudnych czasach wojennych. Nie wierzcie w to, co o mnie mówią. W środku mnie siedzi porządny facet. Zasłużyłem na słowa podziękowania, za to, co zrobiłem dla ludzi, ale nikt nie powiedział mi nawet dobrego słowa.

– To, na co zasłużyłeś, to walnięcie globusem w łeb i to wiele razy – oznajmił Porta, skręcając kołem kierownicy.  
– Wiem na przykład, że to ty wystawiłeś policji „Złodzieja Rowerów” i wiem, że z twojego powodu rozwalili Charlocie „Dziwce” głowę.

– To paskudne kłamstwo! – zaprotestował Egon, łapiąc się za głowę. – Moje ręce nigdy, ale to przenigdy nie zostały splamione krwią.

Wyciągnął ręce przed oczy Porty, chcąc dowieść prawdy swoich słów. W rezultacie tego ledwo uniknęli rozjechania roznosicielki gazet, której kierowca nie zauważył z powodu ograniczenia widoczności. Kobieta posłała za nimi wiązkę godną wersów Goethego.

– Jesteś zbyt tchórzliwy i za sprytny, aby robić to samemu – zaśmiał się Porta. – To karzeł zajmuje się tą częścią twojego biznesu. Tak było z Charlottą, a z nim był Stork. Powiedzieli, że wyrzucą jej dzieci przez okno, jeśli nie odda im 60% pieniędzy zarobionych w „Sowie”. Kiedy nie zapłaciła, wrócili i zmasakrowali jej twarz. Ale to nie pomogło, bo poszła do „Złodzieja rowerów”, aby zrobił z nimi porządek. No to donieśliście na niego do psów, a ją razem z dziećmi spuściliście przez okno. Głowami w dół!

– Chyba nie wierzysz, że mogłem mieć z czymś tak okropnym coś wspólnego? – spytał Egon z drzeniem w głosie. – Znajdź „Złodzieja rowerów” i spytaj go, że to kłamstwo!

– Ty chyba myślisz, że to komedia? – zarżał Porta. –

Jeśli ktoś zobaczy „Złodzieja” poza Moabitem, po odsiedzeniu wyroku, to będzie on miał długą brodę i ponad 97 lat! A podobno już wygląda, jak mówili mi znajomi, na skrzyżowanie Frankensteina z Mumią.

– Musisz mnie wysłuchać! – krzyczał zdenerwowany Egon. – Co mieliśmy z nim zrobić. To był straszny facet i torturował panie!

– Jak ty to mówiłeś? – przerwał mu rozdrażniony Mały. – Bądź choć raz prawdziwym Niemcem. Spójrz odważnie śmierci w oczy. Jesteś przecież jednym ze starych SA-manów Adolfa i chodziłeś wymachując pałką już w 1933 roku!

– Nie siedziałeś na korytarzu, gdy trzeba było z rozkazu wodza, jak on to mówił, maszerować dziesiątkami – uśmiechnął się Porta, gdy wjeżdżali do parku amfibią.

– Nie pakujcie się w morderstwo z mojego, błahaego powodu – bełkotał Egon. – Ja tylko żartowałem, gdy mówiłem, że jesteście poza intereselem. Nie macie poczucia humoru? Trzeba się czasami pośmiać w tych trudnych czasach!

– No to się śmieć – powiedział Porta i roześmiał się. – Z tego powodu właśnie jedziemy do Kolumny Zwycięstwa. Potem pośmiejemy się z tego smutnego dnia. Ja i Mały widzieliśmy już wszystkie rodzaje nagłej śmierci, ale nikogo, kto leciałby w dół z Siegessaule. Kiedyś, jak pamiętam, marzyłeś, aby nauczyć latać się szybowcem. Dzisiaj spełnimy twoje marzenie. Nie

zapomnij rozłożyć szeroko ramion, tak, jak robią to mewy. Wszyscy pomożemy ci przy starcie i obiecuję, że będziesz miał dobry rozpęd!

– To będzie prześliczny widok – zawył Mały z radością. – Ponad 67 metrów lotu i lądowanie pośrodku łoża zrobionego z róż!

– Dokładnie 67 i pół metra – poprawił Porta. – Ale nie zapominaj machać nogami, gdy będziesz lecieć nosem w dół i nie wierz, że twój miękki łeb zniesie to lądowanie.

– Tak, rozplaszczysz się, jak to mówią piloci szybowców – powiedział Mały. – Próbuj wykorzystać prądy wstępujące!

Zgrzyt łamanych blach przerwał ich rozmowę. Porta wyleciał z pojazdu wielkim łukiem, kończąc lot w jeziorku. Łabędzie i kaczki z szalonym trzepotem skrzydeł podrywały się do lotu. Mały potoczył się po asfalcie jak kula, ale szybko poderwał się na nogi. Uciekał bezładnie przez trawę, uchodząc przed bezpańsko toczącą się amfibią.

Płomienie wystrzeliły ponad drzewa, gdy pojazd stanął w ogniu.

Klnąc i złorzeczając głośniejsz niż protestowało przerażone ptactwo, Porta wyszedł z jeziorka, ociekając wodą.

– To jebany mały robak – wściekał się – Przechytrzył nas obu! Gdzie on uciekł?

– Wsiadł do taksówki, która w nas rąbnęła – wyjaśnił Mały, machając rękami. – Wcześniej ją zauważyłem. Już na nas czekała, jak grabarz na pogrzeb. Myślałem, że

czeka po prostu na kurs. Potem zobaczyłem za kierownicą karła, ale było już za późno, aby coś zrobić.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie – mówił wściekły Mały – miał cholernie mocne nerwy, aby wyskoczyć z wojskowego pojazdu Adolfa i pobiec do taksówki. Tutaj maksymalna prędkość wynosi 20 km/h, a ta bryczka pędziła z prędkością prawie 100 km/h. Gdzie ta cholerna policja drogowa jest, gdy jej potrzebujemy! Nigdy jej nie ma!

– Już o wszystkim słyszałam – złościła się Sally, gdy przybyli do ministerstwa wojny. – Nigdy nie słyszeliście o dynamicie? Wsadzasz gościowi parę lasek w majtki i po sprawie! Jeśli chcecie zostać przy życiu, to musicie zabić tego małego szczura. Jego ptaki więzienne będą krążyć po całym mieście, aby odstrzelić wam głowy. A wy tu siedzicie jak para zmokłych kotów, suszących się przy rządowym kaloryferze! Powinnam was stąd wywalić!

– Tę sprawę trzeba raz na zawsze załatwić – warknął Porta ze złowrogim błyskiem w oczach.

Nadal wyzymał wodę z płaszcza zimowego.

– Ciota beknie za to. Kiedy zabieraliśmy go na szczyt Kolumny Zwycięstwa nie miał czasu zamówić taksówki!

– Nie mogę zrozumieć, jak zdołali dopaść nas w parku – dziwił się Mały z rzadko spotykanym u niego zamyśleniem.

– To ci dwaj zamknięci w kredensie – wyjaśniła Sally, machając z rezygnacją rękami. – Słyszeli wszystko, co mówiliście i wiedzieli, gdzie go chcecie zabrać. Nie

trzeba Einsteina, aby rozszyfrować wasz plan godny klaunów cyrkowych. Szare komórki karła zaczęły krążyć po jego wielkiej głowie i wiedział, co zrobić. No, ruszcie się i skończcie wreszcie to, co zaczęliście. Egon na pewno siedzi w „Sowie” i trzęsie się ze strachu. Idźcie przez podwórze i wejdźcie przez okienko w piwnicy, wtedy znajdziecie go od tyłu. Z tyłu jest łatwiej. To dlatego stalinowscy komisarze strzelają ofiarom z tyłu w kark!

Porta wsadził ulubiony nagan w kaburę pod pachą i wrzucił dziesięć dodatkowych nabojów w kieszeń kurtki mundurowej.

– Może lepiej wziąć „pianino”? – spytał Mały, wkładając do kieszeni P 38 – Może być pomocne, gdyby sprawy się komplikowały.

– Nie – powiedział Sally. – Jesteście w cywilizowanym mieście, gdzie ludzie nie lubią, gdy ktoś im rozwala okna za pomocą karabinów maszynowych.

– Idziemy – powiedział Porta z zaciętą twarzą.

– Teraz załatwimy to bardzo prosto. Powiesimy go jak koniokrada w Teksasie.

– Bądźcie ostrożni – ostrzegała ich Sally, gdy opuszczali gabinet. – Mogą być niespodzianki. Egon nie jest prostym chłopem ze Szlezwiku! To rasowy Berlińczyk i wie co zrobić, by ocalić życie!

Gdy wczołgivali się przez okienko, Mały utknął w zbyt wąskiej futrynie i Porta musiał rozwalić ją niewielkim łomem.

Potem na paluszkach weszli po schodach na pierwsze

piętro, skąd dochodziły głosy. Dwa pierwsze pokoje były puste, dopiero w trzecim zastali ludzi.

Egon siedział za wielkim biurkiem, przez co wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Był ubrany w czarny strój i oślepiająco białą koszulę, która podkreślała mocną opaleniznę. Wierzył, że opalanie dodaje mu mocy i powagi. Z obydwóch stron krzesła stali rośli ochroniarze, czujnie rozglądający się po pokoju. Przy drzwiach prowadzących do restauracji stało dwóch następnych osiłków, kryjąc się z cieniu rzucałym przez klosz lampy. Zza ściany dochodziła muzyka grana przez saksofon i perkusję.

– Hau, hau! – zaszczekał Mały, pochylając się w stronę Egona. – Wygląda, że jesteś otoczony przez flotę os, ale ty byłeś chyba na małej przejażdżce wokół Zoo i może stamtąd ich przywiozłeś?

– Wy chłopcy chcieliście mnie zabić! – sylabizował powoli Egon.

Potem dmuchnął dymem cygara w twarz Małego, tak jak robili to na amerykańskich filmach gangsterskich. Ten śmiał się długo i głośno, jakby grał w filmie gangsterskim.

Potem wszystko zaczęło dziać się błyskawicznie. Później Porta opowiadał, że to co widział, najbardziej przypominało trzęsienie ziemi. Cały gang rzucił się na nich. Osilek najbliżej Małego uderzył go na odlew kijem, który pękł na kawałki.

– Zabić ich! – zawodził Egon, próbując morderczym



kopnięciem dosięgnąć olbrzyma.

Dwóch strażników przy drzwiach złapało Portę i chciało mu ukręcić głowę. Przed jego twarzą błysnął kastet. Porta zrobił lekki unik i kopnął coś miękkiego. Jeden z napastników odskoczył z krzykiem, trzymając się za krocze.

Mały potoczył się jak kula i błyskawicznie poderwał na nogi. Złapał za stojące krzesło i jak maczugą trzasnął nim najbliższego napastnika. Mebel rozpadł się na kawałki, a trafiony ochroniarz ze skamleniem osunął się na ziemię.

Pozostały ochroniarz ruszył na Małego z pałką, który natarł na niego swymi 130 kilogramami. Zaczepił stopą o nogę przeciwnika i obaj przewrócili się na podłogę, tocząc się jak kocioł parowy po przebiciu stropu u sąsiada. Mały trzasnął ochroniarza w gardło, dosłownie miażdżąc mu jabłko Adama. Osilek zaczął nieludzko charczeć i wypuścił pałkę z ręki.

Złapał ją Porta i zaatakował nią dwóch pozostałych goryli.

Egon, widząc, że sytuacja zmienia się na niekorzyść, a nie lubił być w centrum bijatyki, chwycił cienki płaszcz i pognął w stronę drzwi.

– Za nim! – krzyknął Porta i trzasnął jednego z przeciwników niemal przyjacielsko w twarz.

– Łamiecie mi serce! – krzyczał Mały, wyrywając z kieszeni pistolet. – Tym razem pozwolimy wam odejść, ale jak was jeszcze zobaczę, wyślę do piachu. Zazwyczaj nie zabijamy ludzi bez powodu, ale dla was zrobimy

wyjątek. Pod ścianę! Rozstawić nogi i oprzyjcie ręce na ścianie! Łapy wyżej! Nigdy nie pojawiajcie się w Hamburgu!

Sprawnymi ruchami opróżnił im kieszenie, wyciągając z nich wszystko, co znalazł, klucze, monety, portfele, papierosy. Portfele schował do swojej kieszeni, reszta wyleciała przez okno, potem cofnął się do drzwi. Wyszedł i zamknął je na klucz, podstawiając krzesło pod klamkę.

Porta gnał przez restaurację, przewracając kelnera, który nieopatrznie znalazł się na jego drodze. Po chwili był na ulicy. Pobiegł w dół, ale po chwili zawrócił, zdając sobie sprawę, że Egon prawdopodobnie uciekł w drugą stronę.

Mały wybiegł przez bramę, nadal trzymając pistolet w rękę. Rozejrzał się zdezorientowany po ulicy.

Za nim rozległ się chrzęst.

– Zaraz cię dopadnę! – krzyczał jeden z ochroniarzy, August, który dostał już raz łomot, ale znowu podjął walkę. – Zmiażdżę cię!

Chłop trzymał w rękę pałkę, którą porzucił Porta i wymachiwał nią, aby nie było wątpliwości, o co mu chodzi.

Z ciemności ulicy przyleciała z gwizdem kula. Obróciła go wokół osi i rzuciła na drzwi knajpy, powodując deszcz szkła i drewnianych drzazg. Przez chwilę wydawało się, że chce zrobić krok, ale po sekundzie osunął się jak dziurawy worek z ziarnem.

– Uważaj! – krzyknął Porta, bardziej wyczuwając niż

widząc zarys postaci, kryjący się za wózkami na śmiecie.

W błysku wystrzałów zauważył groźny przedmiot skierowany w ich stronę. Chwycił Małego i pociągnął go za stos worków z pomidorami. Wokół nich przelatywały pociski z morderczej serii. Chwilę potem trzymali odbezpieczone pistolety i siedzieli cichutko. Niebezpiecznie cicho. Ostrożnie podnieśli się z ziemi.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – kłął Porta. – Wszystko pod górkę! Kim do diabła jest ten zdradziecki nazista, który ośmiela się strzelać do umundurowanych żołnierzy?

Ruszyli wzdłuż murów domów, z dobrze wytrenowaną ostrożnością.

– To na pewno nie był Egon – zauważył Mały. – Rozpadłby się na kawałki, gdyby zaczął strzelać z pistoletu. To musiał być stary żołnierz i do tego zajadły gość!

Mały wyglądał dyskretnie zza węgła budynku, gdy rozległa się ogłuszająca eksplozja. Echo wybuchu rozeszło się po wszystkich okolicznych ulicach. Jednak w żadnym oknie nie uniósł się nawet rożek kotary, aby rozejrzeć się w sytuacji. Każdy Berlińczyk wiedział, że nadmierna ciekawość może znacząco skrócić życie. Jeśli to nie gestapo ścigało swoje ofiary, to mogło to być coś gorszego, z pewnością niezdrowego dla świadka zdarzeń.

Skradając się jak koty z pistoletami w dłoniach, Mały i Porta ruszyli wzdłuż ulicy. Dokładnie obserwowali każdy stojący samochód i podnosili pokrywy każdego kosza na śmiecie.

– Do diabła! – krzyknął zadowolony Porta, przykleknął, trzymając w dwóch rękach pistolet, tak jak to czynią nowojorscy policjanci.

Posłał pięć kul tak szybko, że brzmiało to jak jeden wystrzał. Żadna nie dosięgła celu, co go bardzo zaskoczyło, bo policjanci nowojorscy nigdy nie pudrują. Przynajmniej na filmach!

– Tu potrzeba pistoletu maszynowego – westchnął. – Ta świnka rozplynęła się bez śladu. Tylko poczekaj ty...

– Ten chłopak jest przestraszony jak cholera – zarechotał Mały. – Ucieka jak królik, któremu obcięto jajka. Tu i tam, potem znowu tutaj. Zaraz go dopadniemy i zrobimy w nim dziurkę. Jeśli go ubijemy, to znaczy, że możemy załatwić bez hałasu całą armię.

– Ruszaj drugą stroną bruku i narób zamieszania, a ja zatańczę walca z tej strony ulicy – rozkazał Porta. – Potem, gdy tylko zobaczę tę wredną małpę, to bang, bang, bang i wykreślimy obiekt z mapy Berlina.

– Żaden taki chłopak nie jest w stanie mnie załatwić. Nawet za pomocą dynamitu i obcegów – powiedział Mały, szczerząc zęby. – Gdyby wszystkie pogańskie diabły dostały do pomocy wszystkich świętych, to i tak dopadnę tego bezbożnego sodomitę!

Porta przemknął cichutko wokół na wpół zrujnowanego pomnika przy Frankenstrasse i jak buldog rzucił się na rękę trzymającą pistolet maszynowy. Nie da się ocenić, kto zawył głośniej, ale wrzaski przynajmniej ostrzegły Małego. Ten bez wahania zaczął strzelać w poprzek ulicy.

Okno wystawowe sklepu i witryny kinowe zniknęły, zamieniając się w ulewę potłuczonego szkła, które posypało się na ulicę.

– Dzięki Bogu, że możemy ściągnąć posiłki z Rosji – jęknął Mały i schował się w rynsztoku.

Strzelec uciekał wąską alejką, zaraz za nim biegł Porta z wysuniętym do przodu naganem. Okna i szklane gabloty rozpadały się na trasie ich wyścigu. Tu i tam trafiali w szyby samochodów.

Zdyszany Porta zatrzymał się na pętli tramwajowej, aby poczekać na Małego. Ten nadchodził jak burza, waląc podkutymi butami o bruk tak, że aż iskry leciały.

– Jezu – wydukał Mały, stając rozgorączkowany obok Porty. – Pewnie trochę przypiekliśmy ogon temu pieprzonemu cywilowi. Chyba odstrzeliliśmy mu kawałek tyłka. Krew leciała z niego jak deszcz a rynny, kiedy go widziałem przy Bellevue Strasse.

– Na pewno go trochę popsuliśmy – powiedział Porta, którego ten pościg dopiero rozgrzewał.

W kilku oknach i drzwiach pojawiły się głowy ciekawskich mieszkańców. Od strony Link Strasse rozległy syreny policyjne. A koguty radiowozów zaczęły błyskać tam, gdzie zaczęła się strzelanina.

– Kiedy te gówna są potrzebne, to nigdy ich nie ma – wściekał się Porta na Schupowców, przeładowując nagana. – Może Bóg Germanów poobcinał im pośladki drewnianym nożem?

– Czy wiesz, kto chciał nas nafaszerować ołowiem? –

spytał Mały. – Byłeś tak blisko niego, że mogłeś sprawdzić, czy ma hemoroidy. Nawet ślepa mucha powinna go rozpoznać!

– To gość zwany „Krem Truskawkowy” – powiedział Porta i ładował do bębena nagana przyciętą na krzyż kulę dum-dum. – Jak go dopadnę, to będzie wyglądał jak marmolada truskawkowa.

– Dlaczego go tak nazywają?

– Czerwone włosy i biały ryj. Wygląda, jakby ktoś wrzucił truskawki w mąkę. Trochę postrzelony – odparł Porta. – Wygląda tak, jak go nazywają.

– Musi być rąbnięty – ocenił Mały – Lata po ulicach miasta, jak jakiś szaleniec i na oczach ludzi urządza strzelaninę jak w Chicago. Nie trzeba filozofa, żeby stwierdzić że ma gówno zamiast mózgu!

Zamyślony Porta zsunął czapkę lufą pistoletu i podrapał się muszką w czoło.

– Chodźmy wzdłuż Koester Strasse. Jeśli się nie mylę, to ucieka w stronę doków rzecznych, bo chce się schować w jakiejś dziurze pomiędzy skrzyniami ładunkowymi.

Gdy skręcili w stronę Hafenplatz znowu poleciał w ich kierunku grad kul. Nadlatywały ze świstem i wyrywały nad ich głowami kawałki muru i tynku.

Mały nie wytrzymał i strzelił ze swego P 38. Kula urwała kawałek cegły z narożnika budynku i rzuciła go w pobliskie okno. Jakiś mieszkaniec ulicy został zasypany kawałkami szkła.

– Pokaż no się, ty truskawkowa babeczko! – zawołał

Porta z podniecenia i strzelał z nagana, tak szybko, jakby był to pistolet maszynowy. – Wystaw ten swój łeb, to ci go odstrzelimy!

Jednak strzelca na jego nieszczęście poniosły nerwy. Ruszył zygzakiem przez skwer w kierunku wysokiego płotu, przez który przeskoczył, ale wpadł za nim w pojemniki na śmiecie. Zabrzmiało to, jakby T-34 wjechał do sklepu z chińska porcelaną.

– To jest jednak niedojrzała truskawka – uradował się Mały.

Skokiem godnym olimpijczyka przesadził płot i wylądował na wozie pełnym śmierdzących odpadków. Plując z wściekłością, wystawił głowę ponad skrzynię. Sześć kroków od niego, na worku cebuli siedział „Truskawka” i walił z rozpaczą w empi, nie mogąc założyć nowego magazynka.

– Jezu Chryste! – krzyknął strzelec i porzucił angielskiego stena z rezygnacją.

Teraz broń zadziałała i seria pocisków poszła po szczytach okolicznych budynków.

Ponad płotem ukazała się głowa Porty. Ostrożnie rozejrzał się w po okolicy i widząc, co się dzieje, przerzucił ciało ponad ogrodzeniem. Jeszcze w powietrzu zaczął strzelać. Kule świstały i z jękiem rykoszetowały obok „Truskawki”, który z przerażeniem rzucił się na ziemię. Facet myślał, że jest już trupem.

To był już koniec. Mały i Porta stali nad nim, celując w jego głowę.

„Truskawka” leżał cicho, czekając na strzał. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu nic takiego nie nastąpiło. Gdyby był na miejscu swoich wrogów, pewnie by się nawet nie wahał. Tego nauczyło go doświadczenie.

– To wszystko, co masz nam do pokazania? – spytał Porta, udając rozczarowanie, po czym kopnął leżącego. – Wstawaj ty zielony owocu i powiedz nam, gdzie Egon i karzeł się ukrywają! I nie próbuj żadnych numerów. Nie pozwolimy, aby taki zgniły owoc jak ty, nas kantował. Powiedz coś zbyt głośno, aby ich ostrzec, a twój mały mózdek rozleci się po całym Moabicie. A gdybyśmy pozwolili ci odejść, to masz iść prosto w stronę zachodzącego słońca, *panimajesz?*

– Dlaczego nie chcesz go zabrać, aby nam pokazał, gdzie Egon i karzeł się ukrywają? – spytał Mały.

– Jesteś jednym z tych bękartów, co lubią panienki w butach do konnej jazdy, prawda? – dopytywał się Porta, dziobiąc „Truskawkę” lufą pistoletu w żebra, aby pobudzić go do aktywności życiowej.

Facet zabczał jak owca i starł odpadki z twarzy. Słuchał, co się do niego mówi. Mały zaś wysypał na niego zawartość całego kosza na śmieci – Jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co chcemy i skłamiesz – zadowolony Porta machał mu palcem przed nosem – nie zobaczysz nigdy, ale to przenigdy butów do konnej jazdy na nogach dziewczyny. A twoim następnym obuwiem będą betonowe buciki, które założymy ci, nim wylądujesz wyrzucony z mostu do Sprewy. No, to teraz nam



powiedz, gdzie znajdziemy Egona, hurtownika damskich ciał.

„Truskawka” rozglądał się desperacko dokoła, jak rozbitek wypatrujący zbawiennego lądu. Nie widział żadnego i zdecydował, że najmądrzej będzie powiedzieć prawdę, mając nadzieję, że Porta szybciej dopadnie Egona, niż ten odkryje, kto zdradził jego kryjówkę. Wziął dwa głębokie oddechy i próbował nadać swojej twarzy wyraz uczciwości.

– Egon i karzeł są u tego szalonego dozorczy z zoo, czekając na informację, że już zostaliście zabici – wyszeptał konspiracyjnym tonem, rozglądając się dookoła.

– To ten wariat, co kupuje padłe zwierzęta i je wypycha? – dopytywał się Porta.

Walnął leżącego w głowę, aby pobudzić jego mózg.

– Tak, tak! – szybko dodał „Truskawka” – Doznacie szoku, gdy tam pierwszy raz wejdziecie. Ma całą kolekcję zabawek mechanicznych, które ryczą i ruszają się jak żywe!

– Egon i karzeł doznają szoku, gdy my tam wejdziemy – roześmiał się z ukontentowaniem Mały.

– Nie ruszaj się stąd przez pół godziny po naszym odejściu – ostrzegł Porta, gdy ponownie pokonywali płot.  
– Zrób to, a na pewno będziesz sprytnym sukinsynem, ale również martwym.

Przemknęli przez park do domu zarządcy ogrodu

zoologicznego.

– Teraz – rozkazał Porta, gdy stanęli pod drzwiami.

Wcześniej musieli przebyć basen, w którym zarządca moczył padnięte zwierzęta nim je zaczął wyprawiać.

Natrafili na przeszkodę w postaci olbrzymiej gospodyni, która stała za zamkniętymi na łańcuch drzwiami.

– Dzień dobry, mamuśka – ukłonił się Porta z przecudnym uśmiechem.

Wielka kobieta zmarszczyła czoło i spoglądała podejrzliwie na ich pistolety.

– Czego chcecie tutaj chłopcy? – spytała z wyraźnie pruskim akcentem. – Zarządca ma teraz spotkanie i nie życzy sobie, aby mu przeszkadzać.

– Jestem jego bratem i właśnie do niego przyjechałem – roześmiał się serdecznie Mały.

– Ty? – spytała nie próbując nawet ukryć niedowierzania. – Nigdy nie słyszałam, aby zarządca miał brata. Też się nazywasz Taut?

– Bracia przeważnie mają te same nazwiska – uśmiechnął się pojednawczo Porta.

– Zejdź mi z drogi! – Mały w końcu stracił cierpliwość i podsunął kobiecie pod nos P 38. – Może potrzebujesz ołowianej pigułki na trawienie?

– O Boże! Nie! – wyjąkała, zakrywając dłońmi twarz.

– To zdejmij łańcuch z drzwi i siedź cicho, to nic ci się nie stanie – powiedział Porta. – Nie chcemy skrzywdzić takiej miłej pani jak ty, bo to byłoby bolesne, a ludzie od

ubezpieczeń na życie musieliby wypisać kupę kwitów!

Trzęsącymi się rękami odpięła łańcuch blokujący drzwi i stanęła cicho z boku.

– Mądra dziewczynka – uśmiechnął się Mały i zamknął ją na klucz w łazience.

Cicho jak wielkie koty podążające za łupem przeszli przez mieszkanie zarządcy. Mały aż kipiał od przelewającej się w nim wściekłości. Był gotów iść prosto przez betonowy mur, aby dopaść gangsterską dwójkę. Zaglądali pod sofy, otwierali szafy. Nawet otworzył okno, aby sprawdzić, czy nie ma ich w ogrodzie.

Znaleźli ich na pierwszym piętrze, razem z gospodarzem i dwoma ulicznymi. Dziewczyny leżały oddzielnie na kanapie i robiły to, czego nie przepuściłby żaden cenzor.

Karzeł trzymał w rękach pistolet, tak wielki, jak on sam.

– Stójcie, albo będę strzelać! – zakrakał, wymachując pistoletem, jakby odganiał kury z grządki.

– Możesz się oszczać – zaśmiał się Mały i złapał go wielką dłonią, jak pająk muchę. – Wedle rozkazu masz mieć wsadzone jaja w pułapkę na szczury!

– Wyrzuć go przez okno głową naprzód – rozkazał spokojnie Porta.

– Jak daleko ma polecieć? – spytał Mały, używając twarzy karła do rozbicia szyby.

– Tak daleko, jak potrafisz – warknął Porta – i upewnij się, że spadł na twardą, ostrą skałę.

Mały trzymał karła na wyciągniętej ręce ponad głową. Potem zrobił krok do tyłu, aby mieć miejsce na zamach.

Panienki ukryły twarze i zaczęły żałośnie płakać.

– Do widzenia pigmejski członku – krzyknął Mały i rzucił karzełkiem jak piłką.

Żywy pocisk zahaczył o ramę okna i wyleciał z nią do ogrodu.

Karzeł wylądował na ziemi z nieprzyjemnym łomotem, ale daleko było mu do śmierci. Wręcz przeciwnie! Jak strzała z łuku pomknął między krzewami owocowymi i przepadł wśród podmokłych wzgórków, nierozsądnie wybierając trasę ucieczki obok basenu, w którym zarządca moczył nieżywe zwierzęta.

– No, to już chyba twoja ostatnia taksówka – powiedział Porta.

Sprawnym ruchem zarzucił Egonowi cienką pętlę na szyję.

Jedna z dziewczyn ruszyła do akcji. Była ubrana w kusę, czarną sukienkę. Skoczyła Porcie na plecy i próbowała dobrać się zębami do jego ucha. Ten zaś z okrzykiem przewrócił się na Egona. Ciota był już w drodze do drzwi, gdy dopadł go Mały. Stoczyli się po schodach, szczepieni w przedziwny sposób ramionami, wydając dzikie okrzyki. Na dole wpadli na olbrzymiego, wypchanego orangutana. Wypchany zwierzak otworzył szeroko czerwone usta i zaczął machać łapami jak wahadłem. Mały ze zdziwienia aż otworzył usta. Szukał niezdarnie pistoletu, ale gdy go nie znalazł, skoczył przez

okno i niezdarnie pomykał przez głębokie kałuże. Woda i błoto tylko tryskały wokół niego. Jeszcze raz nadzieją się na basenik nadzorcy, ale tym razem nie zwracał na to uwagi.

Egon, który przez chwilę leżał twarzą do ziemi, odwrócił się z trudnością, chcąc zobaczyć, gdzie umknął Mały. Ale zamiast niego zobaczył wielkiego włochatego stwora, który zbliżał się do niego. Potwór machał łapami i straszył wielkimi kłami, sterczącymi z rozwartej, czerwonej paszczy. Z jego wnętrza wydostał się paralizujący, dziki ryk. Egon, który już poderwał się na kolana, aby dalej uciekać, przewrócił się na plecy i ze strachu skamieniał. Życie powróciło do niego, gdy potwór w pomarańczowym futrze, z błyszczącymi ślepiami i obnażonymi kłami przewrócił się na niego. Próbował wytoczyć się spod niego, jednak paraliżował go strach, bo leżał na plecach, a kły potwora drapały go po klatce piersiowej. Wrzasnął dwa razy ze strachu, a potem jego głowa znalazła się w paszczy orangutana. Ciemność, to była ostatnia rzecz, jaką zobaczył w swoim krótkim, ale burzliwym życiu. Jego serce zawiodło kompletnie. Spazm, jeden za drugim, dusił go. Umarł na miejscu z powodu szoku, z krzykiem, który był wołaniem o powietrze.

– Do diabła! – krzyknął Porta, zrzucając czarno ubraną ładacznice z pleców. – Lepiej się stąd wynośmy. Zobaczcie, przyjedzie taki kmiot do miasta i nawet tłumek na przystanku tramwajowym jest w stanie go

przestraszyć. Już pewnie wszyscy słyszeli, że odbywa się tu „berlińskie party”. Za chwilę będą tu schupowcy i na pewno będą strzelać.

– Będą do nas strzelać? – spytały chórem panienki.

– Możecie się założyć o swoje życie – odpowiedział Porta i pociągnął je za sobą w stronę ulicy, gdzie wmieszali się w tłum ludzi.

Wyglądali, jakby dopiero co wysiedli z pociągu przyjeżdżającego ze Śląska lub Westfalii.

– Chryste Ukrzyżowany! – wystękał Porta, biorąc jakiś czas potem w biurze Sally, długi głęboki oddech. – Nareszcie mogę trochę odetchnąć, mogę teraz pomyśleć jak normalny człowiek.

– A temu pieprzonemu karłowi wyrwę uszy – obiecywał Mały, jak zwykle leżąc na dywanie, twarzą do dołu. – Nie możemy mu pozwolić tak po prostu odejść. Jestem tak naładowany, że muszę dopaść tego brzdąca z grzbietem goryla i wysłać na drzewo, na którym się urodził.

– Przede wszystkim musimy mieć nowe klamki, takie czyste, nie namierzone przez policję – powiedział Porta, rozrywając pieczoną gołębią pierś.

Potem zaczął zaglądać do wnętrza munduru.

– Znowu będę miał wszy, czy nie?

– Po co ci nowa broń? – spytał Mały nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Mam swoją pukawkę i mogę z niej odstrzelić łeb lecącej muchy w ciemnościach, takich jak w piekle. Do nowej broni będę musiał się przyzwycząić!

– Jednak ty jesteś głupszy niż w dniu narodzin – powiedział wkurzony Porta. – Czy ty nie rozumiesz, że gdy strzelasz do ludzi na ulicy, potrzebujesz broni, po której cię nie namierzą. To tworzy bolesne problemy i kupę głupich pytań. Jeśli cię złapią i prokurator stanie przed tobą z twoim pistoletem, który był użyty od odstrzelenia jakiegoś głupka, to trzeba będzie wyjątkowo tępego sędziego, aby nie uznali cię winnym. Teraz rozumiesz, dlaczego potrzebujemy nowej ręcznej artylerii, która nie jest nasza i nie ma na niej naszego imienia!

– Sam sobie z tym poradzę – zarechotał Mały z zadowoleniem. – To proste, jak całowanie mnie po tyłku. Rąbnę zaraz coś strażnikowi na dziedzińcu. Wszystkie ich pistolety wiszą na wieszakach, wystarczy tylko wyciągnąć rękę!

– Nie zgadzam się! – zawołała Sally przeskakując biurko, aby zasłonić drzwi. – Nie w ministerstwie, zaraz zacznie się afera.

– Dobra, to pójdę na Prinz Albert Strasse – oznajmił beztrąsko Mały. – Znam stamtąd parę psich głów, które chodzą po szynach jak pociągi i ustalają rozkład jazdy. Gdy te barany z Alexplatzu zobaczą, że karzeł został załatwiony z broni SD albo gestapo, to pogłupieją, albo ogłoszą to jako legalną egzekucję.

– To niegłupie – przyznał Porta z podziwem w głosie.

Gdy Mały wrócił z trzema Waltherami PP, [Walther Polizeipistole (PP) – niemiecki pistolet kal. 7, 65 mm.] które wyniósł z

gestapo przy Prinz Albrecht Strasse, Sally mała nie dostała zawału.

– Jak je wyniosłeś? – dopytywała się z rozdziawioną buzią. – A może cię śledzili?

– Powiedziałem, że znam paru ważnych gości – wyjaśnił tajemniczo Mały.

– Może Himmlera osobiście? – spytał Porta z krzywym uśmiechem.

– Jego też znam – uśmieł się Mały, okazując dziecięcą radość – ale on na szczęście nie zna mnie! Rąbnąłem też parę „zielonych tabletek”. Są tak mocne, że po nich staje nawet eunuchowi.

Po czym wyciągnął z kieszeni spodni pudełko pastylek.

Sally i Porta wzięli po dwie, a Mały trzy, powiedział, że trochę źle się czuje. Potem popili cudowne tabletki kilkoma łykami whisky.

– Te zielone są fantastyczne – przyznał Porta.

– Zaczynają działać, gdy jeszcze są w przełyku. Nie wiem jak na ciebie działają, ale ja się po nich czuję jak dywizja pancerna ze wsparciem ogniowym, przechodząca przez drewnianą wioskę! Ten karzeł będzie szczęściarzem, jeśli przeżyje dzisiejszy dzień! Poza tym nie znam nikogo, kto byłby na nas zły, za to, że wyprawimy go daleko z naszej doliny.

W czasie przeszukiwania Berlina zahaczyli o „Złotą świnię”, ale tam też nikt nie widział karła od jakiegoś czasu.

– To było miejsce potańcówek – powiedział Porta, gdy



przechodzili przez Gendarmenmarkt.

– W czasie jednej z imprez przed Bożym Narodzeniem, jeden z czarnych miłośników wielbłądów, który wynosił całe kartony z zakładów Siemens'a został kaleką, a kilku jego ciemnych koleśki zostało wykopanych. To było niezłe party! Tak mówią. Potem zamknęli to miejsce na trzy miesiące. Przyszedł jakiś wielki komisarz ze swoimi świniami i powiedział „Zamykamy to wszystko, chłopcy”.

– Naprawdę to zrobili?

– Musieli! Bo ten komisarz ściągnął schupowców z całego świata, a do tego byli uzbrojeni po zęby.

Sprawdzili wiele miejsc. W „Drewnianej Nodze” spotkali znajomego Porty. Siedział na wysokim stołku barowym w futrzanym płaszczu i okularach przeciwsłonecznych, pomimo panujących w środku ciemności i gorąca.

– Widziałeś karła – spytał Porta konspiracyjnym tonem.

– Nie chcę cię znać – powiedział koleś w okularach. – Ty już byłeś w Berlinie.

Aby uniknąć nieporozumień sięgnął ręką pod futrzany płaszcz.

Rozległ się głuchy łomot. To Mały potężnie kopnął go w plecy. Okulary i kapelusz zostały podrzucone pod sufit, a ich właściciel, kręcąc się jak kołowrotek wyleciał przez drzwi wahadłowe.

– No i po członku „Ringu” – splunął pogardliwie Porta.

- „Ring”? – spytał Mały z niedowierzaniem.
  - Tak, „Ring”. Wszyscy jego członkowie przesiedzieli za płotem przynajmniej trzy lata.
  - Szukacie miniaturki? – spytała prostytutka odziana w czerwoną sukienkę.
  - Musisz być jasnowidzką – zaśmiał się przymilnie Porta.
  - Wsadźcie nosy do „Transwestyty” – uśmiechnęła się głupawo, machając kokieteryjni powiekami z doklejonymi sztucznymi rzęsami.
  - To, zabawne, że on może być w „Transwestycie” – powiedział zadumany Porta, gdy ponownie przechodzili przez Gendarmenmarkt. – Zwykle siedzą tam szaleni zbrodniecy, którzy noszą nadmuchiwane cycki zamiast jajek, mają buty na wysokim obcasie i śmierdzą babskimi perfumami.
- A jednak karzeł był tam. Siedział przy barze, plecami do wejścia. Właśnie chciał zgasić cygaro na nagiej piersi prostytutki, która zapomniała zapłacić za ochronę.
- Tyle się nabiegaliśmy, aby cię spotkać – szepnął Porta, podchodząc cichutko do małego sutenera. Przystawił ostrze noża bojowego do karku ofiary.
- Karzeł wrzasnął z przerażenia i spadł ze stołka barowego na ziemię. Uderzył głową o ścianę, ale poderwał się natychmiast i ruszył w stronę drzwi. Gdy zobaczył w nich Małego, wydał kolejny przeraźliwy okrzyk i z głową wysuniętą do przodu skoczył przez zamknięte okno, nie zważając, że było ono na pierwszym

piętrze.

Poleciały za nim z Walthera dwa ciche strzały, na lufę którego Mały założył tłumik.

– Możesz spać ze mną przez tydzień za darmo, jeśli odstrzelicie jaja temu małemu, sadystycznemu gnomowi – powiedziała dziewczyna, którą karzeł chciał użyć zamiast popielniczki.

– Spać – zarechotał Mały, poruszając śmiesznie uszami. – Mylisz się. Byłem w szpitalu i nie muszę spać przez przynajmniej tydzień!

– Jesteś ładną dziewczynką – powiedział Porta tonem pełnym galanterii, wciskając delikatnie dłoń pomiędzy jej uda. – Dość ładna, aby stary Odyseusz, który zgubił drogę, mógł się przy tobie pocieszyć.

Wyciągnął szyję w stronę rozbitego okna.

– Gdzie do diabła ten Pigmej mógł uciec?

– Znajdziecie go w parku Tiergarten – powiedziała dziewczyna w srebrnych pończochach i czerwonych podwiązkach na zgrabnych udach. – Kiedy sprawy idą źle, wtedy melinuje się u jednego ze swoich ludzi. Nie możecie się pomylić. To taki biały domek, przy początku ścieżki do konnej jazdy. Śmierdzi tam końskim łajnem.

– No to ruszamy – powiedział Porta z zawziętością w głosie.

Pokonał schody dwoma skokami, a za nim ruszył jak lawina Mały.

Alfons, który stał przy drzwiach, został dosłownie zmieciony z ich drogi.

– Czy to Rosjanie? – krzyczał przestraszony, patrząc ze strachem za odchodzącą parą, która zajmowała teraz środek ulicy.

Weszli kilka kroków do parku i zaraz natknęli się na ślad karła. Gdy ten ich zobaczył, wydał kolejny przeraźliwy okrzyk śmierci i pobiegł ścieżką dla koni, pozostawiając za sobą obłoczki kurzu. Popełnił jednak taktyczny błąd, chowając się do opuszczonej wieży ciśnień.

– Mamy go! – zakasłał Porta. – Jednak zobaczymy, jak ktoś spada z dużej wysokości. Tu jest nawet lepiej, niż przy Kolumnie Zwycięstwa!

Mały odchylił głowę do tyłu i spojrzał w górę.

– Cholernie wysoko – powiedział z zadowoleniem. – Kiedy już stąd wyskoczy, będzie leciał długo i wyląduje w częściach. A co będzie, gdy nie zechce wyskoczyć? Może być za mały, aby stanąć sam na poręczy, a nawet dosięgnąć jej rękami.

– Nie będziemy go poganiać – wyjaśnił Porta – tylko mu pomożemy stanąć na szczycie.

Roześmiał się z zadowoleniem, widząc oczami wyobraźni, jak karzełek koziołkuje w dół z wysokiej wieży.

Musieli użyć sporo siły, aby otworzyć stare metalowe drzwi. Zgrzyt rozrywanej blachy rozniósł się złowrogo po wnętrzu pustej wieży, bo karzeł zamknął za sobą wejście na żelazny skobel, który musieli sforsować. Teraz słyszeli jak jego nogi stukają o metalowe schody.

– Strasznie mu się śpieszy, aby dostać się na górę – zaśmiał się Porta.

– Jeszcze szybciej znajdzie się na dole – odparł Mały z radością. – A nie byłoby fajnie, gdyby taki mały dupek spadł jako amerykańska bomba na kwaterę główną Adolfa?

Dotarli na szczytowy poziom zaraz za karłem, który krzyczał i jęczał ze strachu. Trzy razy okrążyli wieżę, ścigając ofiarę. Dopiero przy czwartej rundzie Porta zmienił kierunek biegu i karzeł sam wpadł w jego ręce.

– No, to mamy cię, kochasiu! – syknął z satysfakcją Porta, chwytając malucha za gardło.

– Nie, nie! – zaskowyczał karzeł i kopnął przed siebie dwoma podkutymi butami.

Porta zbyt wolno wykonał unik i został trafiony w goleń. Gdy pochylił się z bólu, karzeł gwałtownie wyprostował się i trafił go głową w twarz. To był prawie nokaut! Mały sutener z pochyloną głową zanurkował między nogami Małego, obrócił się nagle na plecy i kopnął w górę. Prosto w krocze Małego, który natychmiast zakrył to miejsce rękami. Olbrzym ryknął jak średniowieczna wiedźma rozpinana na kole tortur. Potem trzykrotnie wystrzelił, ale nie trafił w cel.

Przerażony karzełek wskoczył nie wiadomo jakim sposobem na poręcz ochronną, stanął na niej, utrzymując równowagę machaniem rąk.

Porta opuścił pistolet i patrzył z rozdziawioną gębą na malutkiego człowieka, który wyglądał teraz jak ptak

siedzący na drucie telefonicznym.

– Jezusie! – zawołał Mały, zapominając o własnym bólu. – Ten Pigmej chyba nie zdaje sobie sprawy, jak daleko ma do ziemi!

– Święta Matko Boska! – zawył malec z przerażeniem.

Kołysał się w tył i przód, próbując utrzymać równowagę.

– Jeśli to przeżyje, to będzie mógł występować na pokazach – powiedział dziwnie spokojnie Porta. – Ciekawe, czy zatrudniliby go w cyrku objazdowym?

Mały już wyciągał ręce, aby pomóc w skoku karłowi. Okazało się to jednak niepotrzebne, bo nagły podmuch wiatru zepchnął malucha z poręczy. Mały człowiek wygiął się pod nieprawdopodobnym kątem. Wyciągnął ręce przed siebie, ale nic już nie mogło mu pomóc w odzyskaniu równowagi. Poleciał w dół, niknąc w zamglonym powietrzu.

Mały i Porta przechylili się przez poręcz, patrząc za odlatującym karłem.

– Używaj ramion! – krzyknął Mały – Tak jak mewy! Wtedy miękko wylądujesz i nie złamiesz nawet pazura!

Schupowiec, który stał przy bramie parku, prowadząc konspiracyjną rozmowę z dozorcą, kątem oka zobaczył spadający przedmiot z wieży. Chrząknął i skierował kroki w jej stronę. Nazywali go „Gniewny Peter”. Zdobył to przezwisko, gdy pod koniec lat dwudziestych okazał się odważnym specjalistą od używania pałki i kolby karabinu

w czasie walk ulicznych.

Dozorca parkowy padł na ziemię, kryjąc się za metalowym śmietnikiem. Myślał, że zobaczył nowy model bomby alianckiej.

Z dachu piaskowego volkswagena wystawały tylko buty numer dwanaście. Tyle było widać po upadku karła. Reszta ciała została zmiksowana razem z kierownicą i dźwignią zmiany biegów lub rozbryzgana na desce rozdzielczej.

– Pomyśl, on to sam zrobił! – krzyknął dziko Porta, gdy schodzili po metalowych schodach z dźwięczącym dudnieniem echa. – Jesteśmy kompletnie niewinni.

– Nasze ręce są tak czyste, jak ręce tego zjadacza spaghetti, który je mył i mył i w końcu zaprowadził Jezusa na krzyż.

Teraz Mały zbiegał tak szybko, że o mało co nie pogubił butów.

Kilka minut później zaczął dzwonić cały rząd telefonów w komendzie na Alexanderplatz.

Komisarz „Morderca” Schulze, którego pseudonim pochodzi z czasów, gdy był zastępcą dowódcy grup likwidacyjnych, ledwo mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Coś ty powiedział? Skoczył z wieży ciśnień i rozpląszczył się w państwowym pojeździe. Może to jakiś zagranicznik, albo Żyd. Prawdziwy Niemiec nie byłby taki głupi. Rozwalić się na kawałki! Muszę na to spojrzeć, przyjeżdżam natychmiast!

Zaraz po przybyciu Schulze kazał aresztować

„Gniewnego Petera" i dozorcę parku za niepowstrzymanie szaleńca przed skokiem z wieży i zniszczenie mienia państwowego.

Gdy komisarz odkrył, że to karzeł był nieszczęsnym lotnikiem, zaczął intensywnie myśleć. Ta mała świnią na pewno została wypchnięta, domyślił się, wypuszczając kłęb dymu z ust. Gdybym wiedział, kto to zrobił, uściskałbym mu rękę i podarował dobre brazylijskie cygaro. Powietrze w Berlinie będzie trochę czystsze, gdy ten karaluch leży tutaj w strzępach.

Dobry rezultat polowania był powodem do małej imprezy w biurze Sally.

– Skok taki jak ten, siedemdziesiąt pięć i pół metra – zaśmiał się Mały – był centralną częścią imprezy. Teraz będą ustawiać się w kolejce, aby płacić stare długi. Będziemy mieć tyle kasy, że nawet nie wiem, jak to nazwać!

– Tylko pospieszcie się z jej zbieraniem – doradzała Sally, patrząc na Portę. – W niedzielę wracacie na wojnę. Nie mogę was niestety ukryć. Wyśledzili jeden z waszych pistoletów i zaczynają rozpytywać. Musicie zniknąć, zanim tajne biuro żandarmerii przejmie sprawę od kryminalnych. Nasz szef, ten tępogłowy pułkownik, zaczął robić szum po raz pierwszy od dziesięciu lat. Zadzwoił do mnie przed kilkoma chwilami i pytał się, czy ludzie z naszego departamentu byli zamieszani w jakąś strzelaninę.

– Błogosławione owoce ziemi – zaintonował poważnie



Mały.

Wsadził grubą gęsią nogę w usta i popił potężnym łykiem wina.

– I wszyscy, którzy je tworzą – dodał Porta, biorąc garść suszonych śliwek z półmiska.

– Amen – zakończyła Sally, pociągając łyk wina prosto z butelki.

*Twój śmiech jest jak przerwana pieśń A śmierć jest ci  
bratem i przyjacielem*

Siegfried Sassoon

*Kiedy Porta się obudził, czuł jakby mu w głowie  
wybuchł granat. Rozejrzył się dookoła zdeorientowany.  
Leżał w jakiejś dziwnej sypialni. Była cała pomalowana  
na czerwono, nawet lubił ten kolor. Ze zdziwieniem  
zauważył obok siebie jakąś osobę, czarnowłosą  
dziewczynę z migdałowymi oczami.*

*– Co jest u diabła! – zawołał. – Czy po śmierci  
znalazłem się w raju pierwszej klasy?*

*Powoli się rozbudzał i zaczynał myśleć jak żołnierz.  
Wstał z łóżka i chwycił butelkę z wódką, po czym  
pociągnął kilka łyków.*

*– Jestem żywy – powiedział do siebie. – Nie jestem w  
niebie. To jest garsoniera grubej Nataszy i zapłaciłem za  
to 500 reichsmarek, za pełny serwis.*

*Zaczął szukać portfela, którego oczywiście nie znalazł.*

*– Niebo to cholernie drogie miejsce – powiedział po  
cichu, po czym ponownie sięgnął po butelkę.*

*Dziewczyna z migdałowymi oczami obudziła się i z  
zaciekawieniem popatrzyła na nagiego mężczyznę z  
czapką na głowie, jakby zastanawiała się, co ten gość  
robił w jej łóżku. Przeciągnęła się i ziewnęła.*

*– Giermaniec, chcesz trochę seksu, teraz? Zapłaciłeś za  
wszystko do ósmej rano. Czyli za godzinę i piętnaście*

*minut kończy się twój czas. Panimajesz, Germaniec?*

*– Głowa mnie boli – odparł Porta – ale dzięki za gotowość.*

*– Nie musisz – odparła dziewczyna, odwracając się na bok – ja idę spać. Zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodzić, panie Giermański!*

# Rozdział 7

## Mecz Bokserski

– Nie mam wątpliwości, gdzie jesteśmy – powiedział Mały, śmiejąc się smutno. – To jest Rosja. Znalazłem pierwszą wesz. Biedaczka była martwa. Ciężkie życie!

– To miałeś szczęście – wyduł wargi Porta. – Rodzina, która zameldowała się u mnie jest naprawdę żywotna.

– Ja też myślałem, że mam szczęście – westchnął Mały ze smutkiem – ale osiemnastu gości przybyło na pogrzeb biedaczki i chyba postanowiło zostać.

– Dostyc tego – powiedział Porta – mam ważniejsze rzeczy na głowie, niż dyskutować o pogrzebie wszy.

Chwilę później zatrzymał się i taksował z zainteresowaniem duży, jasnożółty napis.

GEHEIME SONDERKOMMANDO IV/3 z. b. v. DLA  
NIEUPRAWNIONEGO PERSONELU WSTĘP  
WZBRONIONY.

Jak zwykle był całkowicie przekonany, że jest uprawniony do wejścia. Dumnie wypiął pierś, zasalutował, mijając ulubionego kota szefa mechaników Wolfa, który został mianowany podoficerem i siedział teraz myjąc łapy przy chłodnicy wojskowego pojazdu. Przeszedł spokojnie długim korytarzem i zatrzymał się

przed ciężkimi drzwiami, na których widniał napis.

BIURO KOMENDY WSTĘP SUROWO  
WZBRONIONY Słowo „surowo” było podkreślone.  
Porta nastawił uszu, potem z trzaskiem kopnął w drzwi,  
które się otworzyły. Znalazł się w elegancko  
umeblowanym biurze, na widok którego pruski  
arystokrata czy generał zagryzałby wargi z zazdrości.

– Czego do diabła chcesz? – spytał główny mechanik  
Wolf, niekoronowany król armijnego zaopatrzenia i  
wyposażenia.

Stał naprzeciwko wysokiego lustra, podziwiając swój  
wygląd.

– Czy nie zwróciliście uwagi, że przygotowuję się do  
wyjścia? – powiedział bez śladu sympatii dla gości.

Wylał chyba pół butelki wody kolońskiej na czarne,  
gładko przyczesane włosy. Potem wygiął usta, aby  
podziwiać złote koronki zębów.

– A jak tu weszliście? – spytał, okazując  
niezadowolenie. – Nie czytaliście napisów. Wstęp surowo  
wzbroniony!

– Jak weszliśmy? – spytał Porta – Przez drzwi  
oczywiście. Co jeszcze? Po co wylewasz na siebie te  
„Marzenia dziwki”? Idziesz na ruskie cipy?

– To dlatego, aby nie czuć twojego smrodu, ty kupo  
gówna! – odparł cierpko Wolf.

– Świetnie się prezentujesz – starał się przypochlebić  
Porta.

Potem chciał strzelić z palców, ale mu nie wyszło.

– Czego się spodziewacie? – spytał Wolf z boską wyższością. – Chyba nie myślicie, że główny mechanik, będzie się angażował w sprawy takich kulisów jak wy, męty społeczne? No więc?

– To tylko moja opinia – uśmiechnął się Porta fałszywie, mając swoje zdanie na ten temat.

Uważał, że Wolf dla całego świata wygląda jak błyszcząca małpa.

– Jesteś wyjątkowo eleganckim człowiekiem. Zapach twojej wody różanej wiatr roznosi na pięć mil. Nikt nie może mieć wątpliwości, co do tego, że masz się dobrze i jesteś z siebie dumny.

– Masz rację – odparł Wolf.

Nie próbował nawet ukryć, że słowa Porty sprawiły mu wyjątkową przyjemność.

– Jeśli chcesz osiągnąć wyżyny, gdzie pieniądze same świecą, musisz mieć wokół siebie aurę szacunku. Ale to nie dotyczy was, wam daleko do porządnego wyglądu. Wyglądacie, jakbyście toczyli beczki z paliwem. Klasa, klasa jest podstawą. Jeśli ją macie, to wszystkie marionetki będą całować wam dupę!

– Nie zaprzeczam – powiedział spokojnie Porta. – Wszyscy mówią, że główny mechanik Wolf jest przystojnym mężczyzną.

– Do cholery, przecież wiem o tym – odparł Wolf, preżąc się dumnie.

Potem przekreślił głowę, aby zobaczyć swoje odbicie pod innym kątem.

– Mamy problem – powiedział skromnie Porta.

Powoli przechodził do sedna sprawy.

– Co jest? – spytał Wolf – Gównojady nie chcą kupować biletów?

– To nie to – wyjaśniał Porta. – Wykupili bilety i sprzedają teraz w całej dywizji po wyższych cenach. Jesteśmy wyprzedani!

– To wstawcie więcej krzeseł – powiedział obojętnie Wolf potrząsając ręką. – I musicie przychodzić do mnie z takimi sprawami?

– Mamy problem ze „Skórzaną Nogą” – westchnął Porta. – Dał nam do dyspozycji tę halę, gdzie trzyma traktory. Te komunistyczne traktory. A tam jest tylko trochę miejsca dla naszych ludzi.

– Pomyślmy chwilę – powiedział mechanik i wziął cygaro.

Zaczął je wachać jak grecki armator, dopiero wspinający się na szczyble kariery.

– Weź sobie – zaproponował Porcie.

Przypalili cygara i po chwili utonęli w kłębach dymu. Zaczęli myśleć! Obaj byli ludźmi czynu i uważali wojnę tylko za interes wyższego ryzyka. Dla nich linia frontu i wrogowie nie istnieli. W większości były tylko „trudne interesy”.

Jeśli ktoś myśli, że chcieli wykorzystać sytuację, to jest w błędzie! Dla nich wszystko miało cenę, w tę, czy w drugą stronę.

– A co z małym Enzianem – zasugerował Porta,

wskazując na wielką karafkę, stojącą okazale na francuskim stoliku, obok stalowego hełmu Wolfa, ozdobionego srebrnym orłem.

– Jeden łyk takiego sznapsa poprawia człowiekowi humor – powiedział Porta, potrząsnął karafką i przystawił ją wprost do ust.

– Ty się nigdy nie nauczysz manier – warknął Wolf. – Nawet, jak będziesz bogaty.

Z kwaśną miną wyjął dwa kieliszki z szuflady.

– Nie masz mniejszych? – spytał złośliwie Porta.

– Niestety nie – odparł Wolf, udając, że nie rozumie o co mu chodzi.

Trzy pierwsze kieliszki zniknęły w gardłach błyskawicznie.

– Tak jak mówiłem – zaczął Porta. – Ma być wielki mecz. Nasi ludzie od reklamy, już go zapowiadają. Już chyba każdy dupek w naszym korpusie ma bilet i będzie ciasno, gdy wszyscy się zjawią. Bardzo ciasno! I prawdziwe pieniądze. Nie jakieś kwity z armii. A „Skórzana Noga” jest po prostu głupi. Ma naprawdę kanciasty łeb. Mówi, że musi trzymać się regulaminu armii!

– Jest tak ostrożny, że nie wejdzie do obcego kibla bez zgody kwatery głównej. Nie tak dawno jego własny pododdział nie mógł się umyć i napić wody, bo ten idiota nie chciał odkręcić wody bez rozkazu ze sztabu. Ale najgorszą rzeczą jest, że słucha co mu inni mówią i jeszcze w to wierzy! Doprowadza mnie do szaleństwa,



gdy zasłania uszy rękami, robi minę zdobyczej świni, która nie może zakwiczeć!

Porta pochylił się do przodu i zmrużył oczy – Dlaczego nie wykorzystasz tych swoich żółtych Chinoli, aby mu przemówili do rozsądku? Kiedy do niego dotrze, że przyjaciel w potrzebie, to prawdziwy przyjaciel i jest ci potem winien przysługę. Nie znoszę ludzi, którzy robią dużo szumu, bo nie chcą przyjąć świata, takiego, jaki jest.

– Porozmawiam z nim rozsądnie – obiecał Wolf z błyszczącymi oczyma. – Weźmiemy chłopców ze sobą. Oni mu powiedzą, co robią Chińczycy i czarni z ludźmi, których nie lubią. Niech tylko Albert nad nim trochę postęka!

Mały, Albert, Porta, Gregor i Wolf pomaszrowali z podniesionymi głowami przez długi magazyn zapakowany po brzegi sprzętem artyleryjskim. Pod ścianami stały jedno przy drugim armaty z lufami skierowanymi do nieba. Przysadziste haubice z grubymi lufami zajmowały środek podłogi.

Kanonier Kunze, zwany „Skórzana Noga”, siedział za biurkiem. Szeroki i tłusty dosłownie ociekał mocą i autorytetem. Obnosił się z toporną powagą rasy panów.

– Czego chcecie? – spytał, próbując zrobić groźną minę, ale mu to za bardzo nie wyszło.

– Wyobrażam sobie, że to tylko plotki, ale podobno odmówiłeś usunięcia całego tego gówna z magazynu? – rozpoczął rozmowę Wolf. – A może źle słyszałem?

Kunze otarł łysą głowę dłońmi i popatrzył na Wolfa

psimi oczami.

– Tylko mówię – zaczął gniewnym falsetem – że ani ty, ani Porta nie będą mi rozkazywali, co mam robić. To nie jest twój interes. To jest moje. Pamiętaj o tym!

Porta aż klasnął w ręce i zaczął śmiać się z powątpiewaniem.

– Skończ z tym, pedałowaty dupku! To nie jest twoje żelastwo. Nie masz nawet na własność zelówek w butach. Armia ci je tylko pożyczyła! To wszystko jest armii! Ty też jesteś własnością armii! A kto jest armią? My!

– Złożę raport do sztabu korpusu! – zaczął grozić z wściekłością Kunze.

Wstał z krzesła, choć ta operacja sprawiał mu nielichy problem.

– Wtedy zobaczymy, co powie naczelny kwatermistrz! On jest twardy! Twardy jak stal Kruppa!

– Olewamy z wysoka twojego kwatermistrza – zaśmiał się Wolf z wyższością i wycelował sztywny palec w pierś kanoniera. – Masz zrobić, to, co ci powiemy. Albo spotka cię coś bardzo brzydkiego!

– Spuść na niego swoje psy! – podpuszczał zajadle Mały.

Gregor rozłożył duży rysunek na blacie biurka.

– To jest to, co proponuję – oznajmił z dużą swobodą Gregor, wskazując na plan.

– Nie chcę tego – jęknął Kunze.

Opadł z powrotem na krzesło, jakby uszło z niego powietrze.

– Ty nie musisz niczego chcieć – wyjaśnił Porta. – Po prostu rób, to co ci powiemy. Te wszystkie cholerne działa mają zniknąć!

Potem spojrział badawczo na „Leśnego Wilka”, szefa grupy do specjalnych poruszeń u Kunzego. Leśny Wilk siedział cztery lata w Torgau, za nieumiejętność posługiwania się bronią. On i jego kumpel ze szkoły podoficerskiej chcieli załatwić szybką pożyczkę w Dresdener Banku w Bielefeld. Ale mieli w tym czasie broń w rękach, tak że zamiast pożyczki, dostali cztery lata odsiadki. Potem dostali bilet do jednostki z adnotacją: nie warto dawać im broni do ręki.

– Chodź no tu, więzienny ptaszku – pomachał zachęcająco Porta.

– Nie pozwalaj sobie za dużo ty klaunie – powiedział Leśny Wilk z gniewem, stając dumnie w miejscu.

Sprowokowany Porta wyszedł na zewnątrz.

– Słuchaj żółwiku – zaczął Porta. – Chcemy mieć wolne miejsce pod ścianami i na środku. Wszystko ma być wyczyszczone przed godziną dwunastą w sobotę.

Zrobił artystyczną pauzę, a potem zaczął powoli i uroczyście przemawiać.

– Wtedy przyjdą widzowie i będą cholernie wkurzeni, gdy zobaczą, że nie ma dla nich miejsca!

– Co tu się będzie działo? – spytał Leśny Wilk, spluwając bez troski na wyczyszczonej betonowej podłodze.

– Dzisiaj jest środa.

Potem policzył na palcach.

– Tylko trzy dni do soboty!

– Dolicz do tego noce, to wyjdzie ci sześć – powiedział Porta. – Wszystko, co będą chcieli widzowie, musi być gotowe na sobotnie południe. Wtedy odbędzie się największy mecz bokserski w historii. Jeśli nie, będziesz zbierał miny na polu, nim się zorientujesz! A to jest dużo niebezpieczniejsze, niż czyszczenie tej stodoły starą ruską miotłą, którą tak lubisz!

– Co na to Kunze? – spytał niepewnie Wilk, zaglądając z ukosa do biura.

Z małego pomieszczenia dochodziły popiskiwanie Kunzego, zagłuszane co chwila koszarowym rykiem Wolfa.

– A kogo to obchodzi, co on mówi? – podniósł głos Porta.

Chwilę później otworzył szeroko usta i posłał dziką wiązaną bluzgów Leśnemu Wilkowi.

– Ty źle wystrugany drewniany kutasie! Rób co ci mówię! Bierz tych swoich zamiataczy gówna, tych ścierwojadów i do roboty! I to szybko, nim stracę cierpliwość i naprawdę się wścieknę!

– Myślę, że ty nie znasz dobrze Kunzego – ostrzegł Leśny Wilk. – Musisz wiedzieć, że on ma naprawdę dobre kontakty. Wysokie koneksje! Wyższe, niż możesz sobie wyobrazić! Zmiażdży cię, zwykły Obergefreiter dla niego nic nie znaczy. Kiedyś załatwił pułkownika, który chciał mu się dobrać do tyłka!

– Zamknij się – uciał podrażniony Porta. – Albo

przekonasz się, jakie ja mam kontakty!

Szef mechaników Wolf ruszył przed siebie dumnym krokiem, podzwaniając nieregulaminowymi ostrogami.

Podnosił nogi jak kogut bojowy i stawiał je na betonie z taką mocą, że aż drżały stalowe belki podtrzymujące szeroki dach.

Cały magazyn wypełniony był pomalowanymi maskującymi farbami działami, ciągnikami artyleryjskimi, nowymi ciężarówkami, przyczepami amunicyjnymi i pojazdami półgąsienicowymi. Wszystko ustawione w doskonale równych rzędach.

Wolf napluł pogardliwie w otwór lufy 88 milimetrowej armaty przeciwpancernej.

Potem przypalił brazylijskie cygaro i stanął obok wielkiego napisu:

## PALENIE SUROWO WZBRONIONE

– Co ten kastrowany dzwon rozwalił się tak swobodnie? – spytał, wskazując brytyjską szpicrutą na Leśnego Wilka. – Nie ma nic do roboty?

– To głupek i tyle. Głupi jak krowia dupa! – powiedział Porta.

Kunze wyszedł pospiesznie z małego biura, walił nogami jak koń w kieracie i pocił się nerwowo.

– Wynoście się z mojego arsenału – wył z furją tak, że omal nie zgubił sztucznych zębów.

– Ty wiesz, że lepiej jest podporządkować się naszym

rozkazom – mówił Porta, przeszywając Kunzega wzrokiem.

– Ta szopa ma być pusta i czysta jak cipka kurwy w poranek wigilijny – dodał groźnie.

– Ale słuchaj – skowytał magazynier, kłapiąc sztuczną szczęką. – Przecież nie mogę porozstawiać gdziekolwiek tych dział. Czy ty wiesz, ile one kosztowały naród niemiecki? Są bardzo drogie! Będą przecież potrzebne, gdy rozpocznie się wielka ofensywa, którą zapowiada kwatera główna Wodza. A poza tym, to nie moje działa. Są częścią 4. Armii Pancerniej.

– No to w porządku – zahuczał Wolf z radością.

– My jesteśmy 4. Armią Pancerną! To nasze!

– Co masz na myśli? – wybełkotał Kunze, patrząc na przemian z otwartymi ustami na Wolfa i Portę.

Obaj stali jak prawdziwi Prusacy, kołysząc się w kolanach, jak para feldmarszałków.

– Powiedziałem – rzucił Wolf z nutą wyższości – że to my jesteśmy 4. Armią Pancerną.

Lekko uderzył po nosie Kunzega niewielką książeczką żołdu.

– Tu jest napisane, czarno na białym, że należymy do 4. Armii. I tak jak powiedziałeś, ten cały złom jest nasz. A teraz chcemy go stąd wynieść, tępy magazynierze!

– A jeżeli nie zaczniesz robić tego szybko – kontynuował Porta pewien swego – to możesz mieć spotkanie z Chińczykami głównego mechanika Wolfa. Z radością się z tobą zapoznają. Ale nie spodoba ci się ten

miting.

– Grozisz mi? – spytał Kunze, próbując udawać, że jeszcze nie podjął decyzji.

– Jesteś bystry – zaśmiał się Porta szyderczo. – Ludzie, którzy mają dwie lewe ręce, często tracą rozum i potem coś im wypływa między udami. Bierz się do roboty!

– Działa zostają, tam, gdzie są – oznajmił srogo Kunze, po czym uderzył się po nodze zwiniętym w rulon regulaminem wojskowym. – I mówię ci, Obergefreiter Porta, nie nadymaj się tak w moim biurze i magazynie, bo pęknie! A poza tym, nie wiem czy zauważyłeś, że jesteśmy w wojsku. Nie jestem wszą, tak jak ty, na którą może nasikać każdy bezpański pies!

Potem klepnął się po wąskich, zielonych naszywkach.

– Jestem, prawie tak jak oficer!

– Święta Agnieszko! – roześmiał się Porta a udanym podziwem. – Łamanie takich chłopców jak ty jest łatwiejsze, niż wyrywanie kłaków z ogona kulawej ruskiej krowy.

– Dłużej tego nie zniosę! – krzyczał obrażony Kunze. – Masz się do mnie zwracać, tak jak jest w zwyczaju wojskowym!

– Musisz zrozumieć, że musimy wyprowadzić stąd te działa – próbował dyplomatycznie załagodzić konflikt Wolf, a fałszywa koleżeństwo aż z niego kapiała. – Bądź rozsądny, Bernt. Zrzuć tę maskę praworządności i bądź normalny! Organizujemy mecz bokserski, jakiego jeszcze świat nie widział. Ludzie już zapłacili za miejsca. Nie

możemy ich posadzić na lufach armat. Będą wyglądali jak zakochane ptaki na drutach telegraficznych, które oglądają jak papuga dobiera się do wędrownej lamy.

– To nie dlatego, że jestem nieżyczliwy – wysapał niepewnie Kunze. – Po prostu nie mogę. Jak tylko wystawię na zewnątrz pierwsze działo, ruski wywiad będzie wszystko wiedział. I kto wtedy wyjdzie na głupka? Ja, Feldwebel artylerii, Kunze! Mnie postawią przed sądem wojennym i może nawet dostanę kulkę! A tego chyba nie chcecie?

– To by nas nie zmartwiło – powiedział z radosnym uśmiechem Porta. – Chcemy po prostu, abyś wyprowadził stąd to żelastwo, abyśmy mogli przygotować się do naszego pojedynku. Ta szopa z gównem ma być opróżniona, abyśmy mogli zacząć przygotowania.

Dmuchnął dymem z cygara w twarz magazyniera, który nim się zakrztusił.

– Jeśli nie chcesz mieć własnego paska zaciśniętego wokół szyi i obciętych uszu, to szybciotko wytoczysz te działa na zewnątrz!

– Musicie być rozsądni – Kunze już prawie płakał, skręcając nerwowo rękami regulamin. – Co byście powiedzieli, gdybym przyszedł do was i kazał wyrzucić wasze wszystkie ciężarówki?

– To nie ma nic do rzeczy – zaśmiał się Wolf. – Po prostu pozwoliłbym swoim Chinolom zabawić się z tobą, tak jak lubią. A to z reguły nie jest bezbolesne.

– No widzisz! – krzyknął triumfalnie Kunze – Myślisz



tak samo jak ja, tylko, że ja nie mam Chińczyków! Działa zostają w szopie, gdzie jest sucho i czysto.

– Wyjrzyj na zewnątrz! – krzyczał zniecierpliwiony już Wolf. – Tam jest sucho jak na pustyni Gobi, na której tylko kiedyś ktoś słyszał o deszczu!

A komunistyczne słońce świeci tak, jakby oświetlało bogate kapitalistyczne państwo! Dobrze, żeby te twoje działa trochę się przewietrzyły!

W głębi zbolącej głowy magazyniera wreszcie budziły się zdrowe myśli. W korze mózgowej zaczęły przebiegać normalne procesy myślowe. Otworzył usta i zaczął krzyczeć, ale to nie pomogło. Wtedy uderzył głową w pustą łuskę po pocisku artyleryjskim, zawieszoną na drucie, która udawała dzwon. Teraz pomogło! Zaczął wydawać nieskoordynowane rozkazy.

– Zaproszeni goście usiądą tutaj – powiedział Porta, wskazując na trzydzieści pięć haubic. – No chodźcie tu, ruszcie się!

Ostatnie słowa skierował do grupy żołnierzy, którzy siedzieli na ciągniku artyleryjskim i popijali piwo, jakby nic innego nie mieli do roboty.

– Zabierajcie ten złom wojskowy! Nadchodzi cywilizacja! Zróbcie miejsce dla zachodniej kultury, jak mówią rosyjscy chłopcy, gdy palimy im domy!

– Nie ty tu wydajesz rozkazy – powiedział jeden z pracowników, który przypominał goryla ze zbyt dużą głową w stosunku do reszty ciała. – Nic stąd nie wyjeżdża. To jest magazyn artyleryjski i to, co jest tutaj,

tutaj zostaje. Chyba, że przyniesiecie rozkazy ze stemplami w czterech egzemplarzach!

– Jezus Maria! Czy musimy słuchać tego strumienia gówna! – ryknął Mały, podnosząc groźnie pięści. – Ten pajac oszalał! Chyba dostał kompleksu wyższości i to akurat teraz! Wbiję mu trochę rozsądku w ten tępy niemiecki łeb!

– Poczekaj, poczekaj – powiedział Porta, powstrzymując Małego. – Ci kulisi jeszcze nie załapali, że nie lubię komplikacji. Wolę proste rozwiązania.

– To jest barak artyleryjski – twierdził z uporem goryl – a nie boisko dla zwariowanych sportowców. Jeśli chcecie walczyć, to znajdźcie sobie kupę gówna na zewnątrz!

– Żaden prosty robot nie będzie do mnie tak mówił – wściekł się Mały.

Walnął żołnierza w żołądek tak, że ten zgiął się jak scyzoryk. Potem chwycił go za włosy i walnął jego twarzą o metalowy kosz.

Reszta żołnierzy natychmiast wzięła się do roboty, szczególnie, gdy Mały wyrzucił dodatkowo jednego z nich przez okno na kupę śmieci, po której hasał rój much.

Pierwsze haubice wyjeżdżały na światło dzienne. Kunze biegał wokoło jak przestraszona kura.

– Tylko ostrożnie! Ostrożnie! – bełkotał nerwowo. – Ustawiajcie je równo w rzędach, każdy kaliber oddzielnie, bo potem nigdy ich nie posortujemy!

Kiedy działo o średnicy 105 mm zsunęło się powoli do

pobliskiej rzeki, Kunze niemal utonął z rozpaczy w stercie pocisków.

– Nie przejmuj się tak bardzo – uspokajał go Porta, dając mu kanapkę z kielbasą. – Cóż znaczy jedno działo? Przecież mamy zamiar przegrać całą wojnę!

Przez następne trzy dni z magazynów artyleryjskich dochodziły odgłosy gwałtownej krzątaniny. W międzyczasie komitet organizacyjny zebrał się w biurze mechanika Wolfa, gdzie serwowano „Rajskie Jabłka” i ciastka żydowskie, splukiwane „szampanem biedaków”, czyli wódką z piwem.

– A kto będzie zwycięzcą? – spytał Mały, wsadzając do ust kawałek jabłecznika, który miał rozmiar traktora.

– To oczywiste, zwycięzca – odparł Porta ustami pełnymi ciasta.

– Dlaczego? – dociekał dalej Mały z szatańskim uśmiechem. – Kiedy organizowaliśmy z Dawidem spotkania bokerskie na Heinz Hoyer Strasse dla zwariowanych kibiców, zawsze wiedzieliśmy, kto będzie zwycięzcą, zanim zaczął się pojedynek!

– To o to chodzi! – Porta dopiero teraz zaskoczył na łączach – To już załatwione. Klienci postawią na pewniaka, a my wybierzemy zwycięzcę. Zgarniemy całą ładną kupę miedziaków.

– A co będzie, jak nas na tym złapią? – dopytywał się jak zawsze nieufny Barcelona.

– Tylko jedno wyjście. Zmykać do Ruskich, ile sił w nogach!

– Nie jesteśmy afrykańskim zjadaczami bananów. Mamy sześć walk przed głównym spektaklem. Te odbędą się prawidłowo, bez żadnych machlojek. Publika się tak rozgrzeje, że jak nasz człowiek zacznie walczyć z Ruskiem, będziemy już w domu.

– I Większe Niemcy wygrają – obwieścił Heide z patriotycznym przekonaniem. Jego śmiech był uśmiechem zwycięzcy.

– Nie, mój chłopcze! Tego Wielkie Niemcy nie zrobią!  
– roześmiał się Porta, stukając konfidencjonalnie mechanika Wolfa w zębra – Wszyscy ci ciułacze, walnięci kompleksem germańskości i duchem swastyki, popartej sosem do sałatki, będą pewni, że Większe Niemcy wygrają i postawią całą kasę na germańskiego osiłka.

– I dużo wtedy stracą – zawołał radośnie Wolf – bo ruski podczłowiek wykopie przedstawiciela szlachetnej germańskiej rasy.

– Nie obawiacie się, że będą kłopoty? – spytał z troską Mały.

– Ani trochę – odparł z błyskiem w oczach Porta.

– Problem będą mieli ci, którzy postawią na naszego. Przez pierwsze sześć walk będą wydawać wszyscy okrzyki na cześć niemieckich zwycięstw, co potwierdzi ich kompleks wyższości. Gdy nadejdzie walka finałowa, zastawią nawet swoje tyłki, tak będą przekonani o niemieckiej wyższości.

Wolf walną radośnie z taką mocą w stół, aż „rajskie

jabłka" pospadały z talerzy, a kropla dżemu doleciała do cygara w jego ustach.

– Zrobi się niezła awantura – przewidywał czarny scenariusz Stary – i będą kłopoty z całą kasą.

– Ale nas już nie będzie – powiedział Albert, pokazując śnieżnobiałe zęby w uśmiechu.

– Czy możemy być pewni, że nasi bokserzy nie dogadają się za naszymi plecami i nas nie załatwią? – spytał Barcelona, który był urodzonym niedowiarkiem. – Ktoś już mógł do nich dotrzeć i powiedzieć im, o co idzie ta gra!

– Coś w tym jest – przyznał Porta. – Lepiej mieć jakieś zabezpieczenie i wiedzieć, że jesteśmy po dobrej stronie, tylko jak?

– Klatki dla małp – powiedział Mały, śmiejąc się szeroko. – Zawiesimy je pod sufitem. Jest taki sklep ze zwierzętami w Paljmie i mają tam fajne skrzynki. Mają tam nawet czarną panterę, naprawdę dziko wygląda z tymi żółtymi ślepiami, Jestem pewien, że gdyby zobaczyła ją jakaś zakonnica w sutannie, to uciekałaby szybciej niż Jessie Owens na olimpiadzie w Berlinie. To jest dopiero strażnik!

– Nie panterę – zaprotestował gorąco Stary. – To rozkaz! Tylko nie pantera!

– Dlaczego nie? – spytał Porta bez wyrazu. – Możemy mieć kupę zabawy z takim kołeczkiem!

– Chyba cię pogięło! – krzyknął Barcelona, stając po stronie Starego. – Czy ty wiesz, co to bydlę je?

– Ludzi – wyznał Porta. – Znam wielu, którymi nakarmiłbym czarną panterę.

– *Quel bruit pour une omelette* – wtrącił Legionista.

– Lepiej kupmy klatki bez pantery.

– Są też klatki dla skazańców, jak ta, w której trzymali Żyda Süssa – wyjaśnił Mały. – Gość ma pętlę na szyi i jeśli odejdzie, to tylko na długość sznura. A jak się zacznie szarpać, to złamie kark.

– Tylko jak my je mamy wykorzystać – zastanawiał się Porta. – Przecież nie chcemy podusić bokserów!

– Czasami nic nie kapujesz! – rzucił pośpiesznie Mały.

– Zawiesimy ich w klatkach pod sufitem. Nikt do nich nie dotrze i nie porozmawia w cztery oczy. Gdy wybije gong, otworzymy klatki i wypadną na ring jak dojrzałe śliwki i zaczną się od razu walić!

– To może być niezły pomysł – przyznał Porta.

– Jest w tym coś nowego, gdy dwóch bokserów wagi ciężkiej spadnie z nieba.

Główny mechanik Wolf wyjął cygaro i zapalił swoją złotą zapalniczkę z głośnym kliknięciem. Trzymał cygaro w lewej ręce, pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem, po czym zaciągnął się kilka razy. Potem wypuścił ponad stołem wielką chmurę dymu.

– Kupujemy klatkę razem z panterą – powiedział tonem nie znoszącym dyskusji – ale tylko wtedy, gdy jest druga taka sama. Do jednej wsadzimy Niemca, a do drugiej *untermenscha*.

– A co zrobimy ze zwierzętami? – spytał z drzeniem

Stary, któremu zaczęły mnożyć się pantery.

– Znajdziemy dla nich zajęcie – zaśmiał się Porta, biorąc bez pytania cygaro od Wolfa.

– Nie chcę mieć czegoś takiego w czołgu – powiedział kategorycznie Stary, zdając sobie nagle sprawę, że był już w połowie drogi do zaakceptowania całego pomysłu.

– Nie mógłbyś nawet – powiedział głośno Mały. – Zajęłaby całą wieżyczkę.

– Widziałem je. Chociaż to nadal kociaki. Nie potrafiły nawet gryźć. Ale gdy jedno z nich podrośnie, wojna od razu nabierze tempa!

Było późno, gdy dotarli do sklepu ze zwierzętami.

Mały upierał się twardo przy gorylu, który naśladował ludzkie śmiechy i pił piwo jak zawodowiec. Ale sprzedawca nie chciał się go pozbyć, bo twierdził, że jest dla niego jak członek rodziny, niemal brat.

– Do czego są wam potrzebne takie klatki – spytał właściciel sklepu, kiedy sprawa była już załatwiona i wynosili klatki z magazynku.

– Zaczęliśmy handel niewolnikami – wyszeptał dyskretnie Porta.

– No, no! – zawołał właściciel, otwierając szeroko oczy – A są z tego pieniądze?

– Dziwnie wygląda to zwierze – mruknął Porta, przyglądając się przez kraty czarnej panterze. – Ma za długie i za duże łapy.

– Bo to jeszcze szczeniak, ma dopiero osiem miesięcy – odpowiedział właściciel sklepu.

– Wygląda tak, jakby miał ochotę przeżuć moją rękę – powiedział Porta.

Zaraz odskoczył od krat, gdy w jego stronę wystrzeliła łapa z okazałych rozmiarów pazurami.

– Nie obawiaj się jej – dodał sklepikarz. – Jest łatwa w prowadzeniu. Daj jej kawałek mięsa, a zapomni o całym świecie. Jest trochę przestraszona obecnością ludzi, ale poczekaj kilka miesięcy. Pantery są bardzo czujne, gdy ktoś lub coś się zbliża, a są bardziej niebezpieczne niż dziesięciu gestapowców z pistoletami maszynowymi.

Około północy w Umańskiej rozległy się krzyki i ryki. Głowy ciekawskich pojawiły się w drzwiach i oknach, ale nie na długo. Znikały z trzaskiem okien, gdy tylko pojawił się Mały, ciągnący klatkę z protestującą panterą.

Klnąc i wrzeszcząc Mały wciągnął klatkę do biura Wolfa. Ciężko było ją tam ustawić z powodu ogromnej ilości skrzynek i walizek, znajdujących się w pomieszczeniu. W końcu klatka wylądowała w małej kanciapie na zapleczu biura. Zwierzak dostał całą szynkę zdjętą z haka, którą Wolf przepchnął przez pręty kraty. Potem zamknęli na klucz drzwi do pokoiku.

– Taki kotek może pokazać się w mieście – mówił z zadowoleniem Porta, opatrując niezliczone, głębokie rany Małego. – Na razie się tylko bawi. Ale to będzie dopiero coś, gdy zda sobie sprawę, do czego naprawdę służą kły i pazury.

– Jeszcze nie robi zbyt dużo krzywdy – powiedział Mały, próbując otworzyć oko, którego o mało nie stracił,



podczas jednego z ataków pantery.

– Zobaczycie, będą z nią kłopoty – powiedział ponuro Stary. – Pułkownik Hinka wyskoczy z butów, gdy dowie się o całej sprawie. Od czasu, gdy przyprowadziliście niedźwiedzia, zabronił trzymania jakichkolwiek zwierząt.

Przed odejściem wrzuciliśmy jeszcze do klatki całą torbę porąbanego mięsa.

Patrzyła na nas złotymi, błyszczącymi oczyma. Dwie potężne łapy chwyciły torbę jeszcze w powietrzu. Jej zawartość była dla zwierzaka tylko jednym kęsem.

– Jezu! – westchnął Mały – Widzieliście to? Tylko poczekajcie, jak zaczniemy dawać jej ludzi!

Jeszcze nie zostały zbite ostatnie ławki, a już nadciągnął spory tłum kibiców. Atmosfera zaraz się ożywiła. Maniacy sportu zaczęli się kłócić, jeden z drugim, a szczególnie z tymi, którzy nie byli fanatykami ich idoli. Niemieccy patrioci krzyczeli „Heil”, ci z Nadrenii gwizdali na palcach we francuskim stylu.

Psy z żandarmerii nie miały na głowach stalowych hełmów, ale starali się utrzymać tłum w ryzach. Słysząc było wyraźnie głuchy łomot gumowej pałki, po tym jak podoficer z Tyrolu wcisnął żandarmowi w twarz kiełbasę pokrytą musztardą i pastą pomidorową, nazywając go przy tym „chrapiącą pruską świnią”

Kocioł czarownic ucichł trochę, gdy rozległ się gong oznaczający rozpoczęcie pierwszej rundy pierwszej walki. Toczyła się ona między małym, kościstym Bułgarem z surową twarzą a muskularnym Westfalczykiem. Walka

skończyła się w drugiej rundzie. Westfalczyk zwyciężył przez nokaut, o czym zdecydowali Porta i Wolf.

Kiedy druga i trzecia walka zakończyła się zwycięstwem naszych barw narodowych, wydawało się, że wiwatom nie będzie końca. Gdy czwarta walka została wygrana przez Niemca, kibiców ogarnął amok i zaczęli śpiewać *Deutschland, Deutschlami, über Alles i Wacht am Rhein*. Obściskiwali się, stawali na baczność i krzyczeli „Niemcy na zawsze”.

Piąta walka odbyła się pomiędzy Grekiem Konstantinem, który był mistrzem swego regionu w wadze półśredniej i Austriakiem z Salzburga o imieniu Rudolf.

Swoim wyglądem naprawdę zasłużył na to imię.

– Chcesz się pomodlić, nim cię zmiotę z ringu? – spytał Grek ze złośliwym uśmiechem.

– Chyba mu tego nie darujesz! – krzyczał Oberzahlmeister Saul ze sztabu korpusu.

– Zmiażdż go! – darł się Alpejczyk z Włoch z tylnego rzędu, zapominając, że Grecy są jego od pokoleń zawziętymi wrogami.

Ze zwierzęcym rykiem Austriak ruszył do ataku i uderzył Greka znacznie poniżej pasa. Potężne uderzenie mogło natychmiast wyeliminować przeciwnika z walki. Ale wyglądało na to, że Grek wcale nie odczuł tego trafienia. Trzasnął Rudolfa w twarz nasadą dłoni. Znowu faul. Jednocześnie podstawił mu nogę. Ten ostatni postępek pobudził do działania sędziego, który zaczął

dziko machać rękami. Zanim Austriak podniósł się z ziemi, dostał od Konstantina lewy prosty i prawy hak. Tłum domagał się powtórzenia pierwszej rundy, co też się stało. Austriak wygrał przez nokaut w ósmej rundzie.

– To wszystko zrobiła ta cholerna wojna – krzyczał Albert.

Przyłączył się do wiwatującego tłumu, pomimo, że nigdy nie miał z Austriakami do czynienia.

– Teraz będziemy mieli walkę wieczoru – powiedział Wolf, przypalając ze stoickim spokojem brazylijskie cygaro.

W magazynie artyleryjskim, zamienionym na halę sportową było trzy razy więcej ludzi niż przewidzieliśmy. Według ostrożnych kalkulacji. Ściągnęli ze wszystkich stron i poszło na to masę paliwa, tak potrzebnego w okresie wojny. Ludzie siedzieli na belkach pod sufitem, kręcąc się jak kurczaki na różnie lub siedząc jak kury na grzędach. I ciągle napływali. Klienci pchali się i sapali, aby dostać się do małego betonowego pomieszczenia, w którym Porta i Wolf przez małe okienko przyjmowali zakłady. Przez niewielki prostokąt widzieli tylko ręce i pieniądze wpychane przez kibiców. Chwyтали banknoty i wydawali kwity zakładów. Ręce były wszystkich kształtów i rozmiarów. Grube, cienkie, blade, spalone słońcem, czyste, brudne, całe i okaleczone.

Teraz wszystkie oczy skierowane były na dwie klatki zawieszane pod dachem.

Wrzask wzrósł do niewyobrażalnych rozmiarów, gdy

otworzyły się w nich klapy i z wysokości prawie trzech metrów na ring wypadło dwóch bokserów wagi ciężkiej. Rosjanin z Kaukazu powstał pierwszy i podniósł w geście triumfu wielkie jak bochny chleba dłonie ponad głowę. Niemiec włochaty tak, że nie musiał nosić swetra, ruszył wokół ringu z rękami, które zwisały mu poniżej kolan. Wyglądał jak małpa, która podpira się pięściami podczas marszu, prawdziwy czwororęczny. Krzyczał wyzwanie, że rozsmaruje Ruska po całej hali, nim skończy się pierwsza runda.

Rosjanin tylko zacisnął usta ze zwierzęcą zawziętością. Przejechał krawędzią dłoni po gardle, pokazując, co czeka Niemca. Tłum był już na granicy szaleństwa. Kilka rzędów ławek rozpadło się od walenia w nie butami kibiców.

Rozległ się gong i dwa monstra, śliniąc się i piniąc, natarły na siebie. Stalowe pięści waliły w głowy i naprężone mięśnie brzuchów, podobnie jak głowy, które miały chyba podobną twardość. Jeden z haków doszedł czysto do celu. Normalnemu człowiekowi taki cios urwałby głowę, ale na rozjuszonym bokserze nie wywołał żadnego wrażenia.

– Do diabła! – mruknął Barcelona. – Te dwa tępe młoty nie wiedzą, kto ma wygrać? Jak będą walczyć w ten sposób, to doprowadzą do podwójnego samobójstwa!

– Nie denerwuj się – uspokajał go Wolf. – Nie są tak tępi i wiedzą co dla nich najlepsze. W ostatniej minucie tej młócki gość z Lipska polegnie. Musimy coś

dostarczyć tłumowi z zamian za pieniądze, które zapłacił, bo inaczej zaczną podejrzewać, że coś jest nie tak jak trzeba.

W pierwszych dwóch rundach wyglądało, że Kaukaz nie zaliczył zbyt wielu ciosów. Walczył raczej w defensywie i unikał zabójczych ataków Niemca. Potem, w trzeciej rundzie przeszedł do ofensywy, tańczył na ringu i zatopił dwa szybkie ciosy pod żebra Niemca.

Tłum na chwilę zamilkł, bo te dwa ciosy mogłyby posłać konia do piachu. Ale bokser z Lipska tylko otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody i roześmiał się mściwie.

Jego lewy wystrzelił jak błyskawica na spotkanie wroga. Wylądował dokładnie na nosie Rosjanina, łamiąc chrząstki nosa. To było wyraźnie słychać. Skakali nadal wokół siebie, ciężko dysząc przez poobijane usta i nosy. Szybki cios wylądował na germańskiej twarzy, rozbijając łuk brwiowy. Krew zaczęła spływać po policzku, a usta napuchły. Wydawało się, że bokser ma częściowo sparaliżowaną twarz.

– Święta Mario! – wyszeptał Gregor z wybałuszonymi oczami. – To jakby walczyły dwa byki na gołe pięści.

– Byki tak nie potrafią – powiedział Porta, przegryzając kiełbasę, niezauważenie wyjętą z ręki Bawarczyka, który był całkowicie pochłonięty tym, co się dzieje na ringu.

Rosjanin zaczął atakować twarz przeciwnika, ale ten zdawał się nie zwracać na to uwagi. Niemiec zanurkował sprytnie, pozwalając przemknąć ciosom ponad jego głową

i wyprowadził paskudny lewy. Wyglądało na to, że chce od dołu rozerwać gardę Rosjanina i potem posłał kilka ciężkich haków. Ku zdziwieniu gapiów, trafiony Kaukaz westchnął tylko kilka razy i dalej tańczył po ringu.

– Zabij go! Zdepcz tego podludzia! – krzyczał siny z wysiłku Niemiec, waląc w hełm cynową miską, aby dodać walczącym animuszu. – Wyślij go tam, skąd pochodzi, do gnoju!

Westfalczyki z 6. Dywizji Kawalerii ruszyli z rykiem na Prusaków z 5. Pancерnej.

– Bękart! Świnie! Parowy! – krzyczeli.

Bitwa pomiędzy kibicami z dwóch dywizji przenosiła się z jednej części magazynu do drugiej. Jej odgłosy były słyszalne w promieniu wielu kilometrów.

Bawarczyki z 8. Pancерnej i chłopcy ze 116. Dywizji piechoty radośnie przyłączyli się do walczących stron. Żandarmi wyciągnęli pałki, ruszyli wszystkimi wejściami i zaczęli tłuc po głowie rozentuzjasmowany tłum. Okładali wszystkich równomiernie.

– Śmierć Niemcom! – krzyknął Mały, podnosząc żandarma ponad głowę.

– Jesteś aresztowany! – krzyczał pies gończy, machając nogami w powietrzu.

Jedną z nich kopnął gościa z kwatermistrzostwa, który wyglądał jakby był kiełbasą pokrytą musztardą i ketchupem.

– W imieniu Führera, rozkazuję, abyś mnie puścił!

– Wedle rozkazu! – ryknął Mały i rzucił gościem w

dwóch Bawarczyków.

Ci zaś zwalili się pod ławki, widać było tylko ich wierzgające nogi.

W końcu żandarmom udało się uciszyć kibiców i walka mogła być kontynuowana. Służba porządkowa wycofała się w pogotowiu za mały kościółek. Jej członkowie zaczęli się modlić, aby nie musieli ponownie walczyć wewnątrz budynku.

– Ta dyscyplina sportu powinna być zakazana – powiedział starszy wiekiem major, a jego ludzie skwapliwie pokiwali głowami.

Walka zaczęła się od nowa. Wydawało się, że obaj bokserzy dostali amoku, nie zważali na żadne reguły walki. Niemiec ruszył na Rosjanina i kopnął go w brzuch. Ten zaś w odpowiedzi ugryzł Niemca w policzek, tak, że krew spływała po twarzach obu walczących.

– Jezus, Maria! – krzyknął podniecony Mały, kopiąc beczkę po piwie. – Zaraz się zjedzą!

Sędzia, chudy szczurowaty Jugosłowianin, próbował rozdzielić pięściarzy. Nagle, niespodziewanie dla siebie, znalazł się pomiędzy dwoma górami mięśni, pałającymi żądzą mordy. Wydawało się, że zostanie zgnieciony. Wykręcił się i zachwiał, po czym zawisł na linach, aż do czasu, gdy dwóch sanitariuszy nie zabrało go do punktu medycznego, gdzie próbowano go ocucić.

Nowy sędzia zajął jego miejsce. Mówił coś poważnie do pięściarzy, machając groźnie palcem przed ich twarzami. Patrzyli na niego, jakby chcieli go wyrzucić z

ringu na głowy podnieconego tłumu.

W trzeciej rundzie Kaukaz zszedł Niemcowi taki cios poniżej ucha, że trafiony natychmiast poleciał do klinca. Sędzia ruszył do przodu, ale nim dopadł walczących, Niemiec przerwał zwanie i ruszył do ataku, jakiego nikt nie widział od czasu walki Carnery'ego z Sharkeyem w 1933 roku.

Tłum na parę sekund zamarł. A potem rozległ się piekielny ryk. Wszyscy klepali się po plecach, krzycząc z radości. Jeśli komuś coś się nie spodobało, to sąsiedzi byli gotowi go wykopać.

– Hurra! – darli się opętańczo kibice siedzący wokół ringu.

Rosjanin pochylił głowę jak bawół wodny w czasie szarży i twardą jak stal pięścią uderzył przeciwnika w okolicę nerek. Miłośnicy sportu naturalnie musieli zaprotestować. Niemiec zaczął natychmiast pracować zabójczym lewym prostym. Nagle rozległ się krótki krzyk. Ręka została złamana. Chrząst kości był wyraźnie słyszalny w okolicy ringu. Dreszcz strachu przebiegł przez wszystkich znajdujących się na rzeczy.

Nie było wątpliwości, że obaj bokserzy zapomnieli o przedmeczowych uzgodnieniach. Ruszyli na siebie jak dzikie bestie. Z ich postaci aż kipiała mordercza chęć zniszczenia przeciwnika. Szef mechaników Wolf zaczął się denerwować. Mały i Porta musieli go siłą przytrzymać, aby nie wtargnął na ring z pistoletem maszynowym, by przypomnieć bokserom o umowie.



Wydawało się, że dach się rozpadnie, taki był wrzask. Musiał on być słyszalny w odległości wielu kilometrów.

Bokserzy już nie byli ludzkimi istotami. Wyglądali jak rozwścieczone małpy.

A odgłosy wydawali jak rozdrażniony Tarzan.

– Powinniśmy wsadzić Kaukazowi dwie podkowy w rękawice – mruczał zmartwiony Mały. – Wtedy mielibyśmy pewność, że rozwali tego niemieckiego bękarta!

– Cholera! Do diabła! – przeklinał Porta. – Będziemy zrujnowani, jeśli ten cholerny Niemiec rozwali tego ruskiego idiotę na kawałki!

– Przecież obiecał! – krzyczał nieszczęśliwy Gregor. – Przecież obiecał przegrać! Śmierdzący niemiecki kłamca, jak zwykle! Tylko propaganda!

– Jezu! – jęknął Mały, jak zobaczył, że potworny cios Niemca poderwał Rosjanina z podłogi i rzucił na liny.

– Obetnę twojej matce cycki! Naszczam na twój grób! Ty paskudne niemieckie gówno! Ty! – ryczał Mały, wygrażając Niemcowi pięściami.

– Obetnijmy ten głupi łeb – zaproponował błąd na twarzy Albert – i wyślemy w paczce jego żonie!

Gregor złączył dłonie i zaczął się cicho modlić, gdy Niemiec zatopił pięść w splocie słonecznym Rosjanina. Następny cios podbródkowy powinien urwać trafionemu Ruskiemu głowę.

– Mężczyzna zrodzony z kobiety, na podobieństwo Boże – bezładnie próbował modlić się Albert, chowając

twarz w dłoniach.

– On nas zrujnuje! Będziemy biedni jak na początku! – bełkotał Barcelona.

– Nie możemy na to pozwolić – warknął Wolf, żując nerwowo kawałek cygara. – Biedni! Do diabła, biedni! Jak jesteś biedny, to wszyscy cię olewają! Jesteście głupcy! Jak zwykle smarki!

Ławki rozpadały się od ciągłego tupania. Zgraja kibiców wyła w podnieceniu. Ludzie ściskali się, a wszelkie animozje uleciały w niepamięć, kiedy Niemiec wyprowadził lewy hak, który błyskawicznie został poparty prawnym. Bokser włożył w niego całą energię. Potężny cios wylądował na barku Rosjanina.

– To już koniec! – stwierdził zdesperowany Gregor. – Teraz będziemy musieli żyć na cienkim żołądź od Adolfa!

Ale fortuna zaczęła się odmieniać, teraz Rosjanin zaczął zdobywać przewagę. Niemiec przestał w zasadzie walczyć lewą ręką, już jej nie mógł podnieść, bo spuchła mu jak bania. Mógł walczyć tylko prawą, dodatkowo starając się osłonić uszkodzoną lewą. Teraz Kaukaz zmienił taktykę, próbując dobrać się przeciwnikowi do gardła.

– *Cojonudo!* – zawołał Barcelona – Teraz powinien dorwać tego pieprzonego Niemiaszka!

Porta otwierał i zamykał bezdźwięcznie usta pochłonięty sytuacją na ringu. Rosjanin cały czas atakował przeciwnika, który usiłował unikać potężnych

ciosów, nadlatujących ze wszystkich stron. Jeden z nich trafił go w skroń i posłał na kolana. Niemcowi płynęła krew z nosa. Gdy próbował się podnieść, brutalny kop posłał go na deski.

– Zniszcz go! Zadepcz! – krzyczał Mały grubym głosem.

Nowy sędzia ruszył do przodu pomiędzy machające ręce, tylko po to, aby otrzymać piekielny cios, który rzucił go na liny. Sanitariusze wynieśli go natychmiast za kosze ze śmieciami, gdzie leżał już jego kolega, próbując odzyskać przytomność. To już nie był boks. Teraz była to mordercza walka, gdzie wszystkie triki były dozwolone. Wyglądało to na amerykańskie zapasy, jakie czasami widywano w kinie. Warcząc, przeciwnicy szczepili się ze sobą i przewrócili na deski.

Toczyli się po nich jak kłębowisko rozwścieczonych mięśni.

Rosjanin wydał potworny okrzyk bólu, gdy Niemiec ugryzł go w jądra.

– Już sobie nie pobzyka ten chłopak! – krzyknął Porta.

Kopnął pustą beczkę po piwie, która toczyła się w stronę luźnej części magazynu, kierowana tam przez uderzenia kibiców.

Jednym kopnięciem i szybkim ciosem, który wyładował na karku Niemca, Rosjanin uwolnił się od przeciwnika i stanął na nogach. Ale Niemiec też nie był leszczem. Poderwał się tak szybko z ziemi, jak Jessie Owens i ruszył do przodu w takim tempie, że nawet ten

mistrz by mu nie dorównał. Rosjanin odpowiedział prawym prostym, który spuścił powietrze z Niemca, po czym strzelił lewym. Powinien on posłać przeciwnika do krainy wiecznych łowów, gdyby doszedł celu.

Poza miłośnikami prawdziwego boksu, którym walka przestała się podobać, reszta krzyczała jak szalona. Siedzenia zostały połamane i wszyscy tupali butami o podłogę.

– Urwij mu uszy! – krzyczeli ci z tańszych miejsc.

– Jezus, Maria! To jest najlepsza walka, jaka widziałem w życiu! – wydzierał się uradowany Mały.

Rozgorączkowany kopnął sąsiada swoim wielkim butem w kolano. Ten wrzasnął boleśnie i oboma dłońmi chwycił poranioną rzepkę.

– Sprasuję cię! – syczał Niemiec, podnosząc się z kolan z twarzą wykrzywioną z bólu. – Zmawiaj modlitwę, ty ruski bękarcie! Już jesteś w kostnicy!

Był tak wściekły, że kompletnie zapomniał, jaki powinien być wynik walki.

– Zabij go! – krzyczał Porta, gdy dwóch bokserów tańcząc po całym ringi okładało się, stosując wszystkie brudne chwytty.

Miłośnicy boksu coraz głośniejsze protestowali. Nie chcieli aby pojedynki przemieniały się w uliczną bójkę. Ale inni, wśród nich Mały i Porta, uważali, że nigdy nie było lepszej walki i rzucali w malkontentów czym popadnie.

Walka trwała nadal. Towarzyszyły jej odgłosy podobne

do bombardowania wielkiego miasta. Nagle nastąpiła przerwa, wszystko ucichło. Niemiec chwycił Rosjanina, podniósł go na chwilę ponad głowę i rzucił nim o deski. Ten spadł jak worek i chwilę leżał nieruchomo.

Kibice z 8. Pułku Pancernego poderwali się do góry i zaczęli poważnie śpiewać *Straż nad Renem*.

– Ci pieprzeni patrioci – powiedział Porta – nie wiedzą, gdzie spędzają połowę czasu. Nie powinni śpiewać *Straż nad Renem* ale *Straż nad Wołgą!*

Wreszcie Rosjanin poderwał się na nogi i teraz walka wkraczała w fazę finałową. Patrioci dostali białej gorączki, gdy zobaczyli, że Niemiec próbuje zadać bezwładną do tej pory lewą ręką decydujący cios. Ale Rosjanin nie dał się zaskoczyć i zaatakował przeciwnika tak szybko jak łasica kureę.

Kopnął go w rękę, a dwoma dłońmi uderzył w głowę Niemca. Germanin padł na kolana jak pokutnik i otwierał usta jak karp wyjęty z wody. Prawy prosty wyrzucił klęczącego w powietrze. Wykonał on regularne salto i nie wiadomo jakim cudem wylądował na nogach.

Uderzył prawą ręką w twarz Rosjanina, a lewą, zapominając o bólu walnął go w splot słoneczny.

– O, nie! – jęknął Wolf, widząc, że zwycięstwo wymyka się z rąk.

Porta już zaczął snuć paniczny plan, jak przedrzeć się do Rosjan. Jeśli Kaukaz przegra, nie widział możliwości, jak spłacić pieniądze zwycięzcom zakładów.

Ale Rosjanin jeszcze nie skończył. Skoczył w stronę

Niemca, który wykonał obrót o 90 stopni i z rozmachem kopnął w krocze przeciwnika, Na szczęście nie trafił. Kaukaz uniknął ciosu nogą i wykonał ryzykowny atak, aby skrócić Niemcowi kark. Ten to zauważył i odskoczył w prawą stronę, po czym uderzył mocno Rosjanina w bark. Rusek dostrzegł lukę i zaatakował gardło wroga. Złapał za nie i potrząsnął tak mocno, iż wydawało się, że głowa odpadła od kręgosłupa. Niemiec padł na kolana, zaczął kaszleć i pluć. Potem zrobił się bordowy na twarzy, pochylił na bok i wywalił na deski wszystko, co miał w żołądku. Chwytając się lin, stanął chwiejnie na nogach.

– Teraz ten germański śmieć powinien być wykończony! – ryknął z radością Mały. – Niech mu chłopak od sąsiadów jeszcze raz dołoży i będzie po sprawie!

Ale Mały się mylił. Niemiec jeszcze się nie poddał. Po wylaniu paru wiader wody na głowę, był znowu gotów do walki. Ruszył jak podniecony łoś za krową. Rosjanin jednak trzasnął go prosto w krtań. Niemiec z trzaskiem wylądował na taborecie, stojącym w narożniku ringu. Zmiażdżył go i przewrócił stojące obok wiadro z wodą, po czym powoli osunął się na deski.

Kaukaz chodził wokół ringu z rękami podniesionymi do góry. Przechodząc obok leżącego przeciwnika, kopał go za każdym razem w korpus.

Tłum oszalał. Bawarski podoficer ruszył w kierunku miejsc przy ringu, machając torbą ponad głową. Kiedy

dostrzegł głównego mechanika Wolfa w jego pięknie skrojonym mundurze, rzucił mu ją w twarz. Torba się rozleciała, a zgniecione pomidory, kolby kukurydzy i kawałki pieczonego drobiu zaczęły latać w powietrzu.

Gruby Feldwebel ze służby zaopatrzenia lotnictwa nadchodził rycząc od strony tańszych miejsc, wymachując butem trzymanym za sznurowadło i żądał zwrotu pieniędzy, twierdząc, że cały mecz był jednym wielkim szwindlem.

Porta podniósł prawą rękę i pokazał znak „V”.

– *Faites vos jeux!* – krzyknął i skierował palce w oczy rozrabiającego Feldwebla.

– Niech żyją Większe Niemcy! – krzyczał fanatycznie jakiś podoficer z 8. Pułku Pancernego, po chwili wsadził czarny kubek ze śmieciami na głowę inspektora z policji polowej.

Pechowy inspektor był cały oblepiony śmierdzącymi odpadkami.

– Boże wszechmocny! – krzyknął Porta odskakując od biedaka na bok. – Te świństwa mogą zabić szybciej cały sklep chemiczny!

Wkrótce po tym Bawarczycy zaczęli obrzucać wszystkich naokoło kluskami i budyniem, które kupili zbiorowo jako obiad. W kilka minut cały magazyn wyglądał jak kuchnia polowa po wybuchu. Wielkie kanapki z serem i cebulą przelatywały w powietrzu jak granaty blisko muru przy którym stał Stary.

W naszą stronę leciały kawałki flaków i kiszki

wieprzowej. Porta zanurkował do ziemi i cała salwa trafiła w Małego z głuchym młaśnięciem.

Porcie jednak nie uszło na sucho, bo gdy obserwował skutki poprzedniego ataku, dostał w szyję rybą w galarecie. Urwana głowa ryby poszybowała dalej i wpadła Gregorowi w usta, niemal go dusząc.

Porta ruszył za małym artylerzystą. Chciał go skopać, ale nie trafił i przewrócił się na plecy. Artylerzystą złapał kawałek salami i próbował rozetrzeć je na twarzy leżącego. Porta poderwał się z ziemi i podstawił nogę małemu kanonierowi, przekręcając się wokół osi i przewrócił przeciwnika.

Mały wyrwał Alberta z rąk dwóch Nadreńczyków, którzy próbowali go udusić.

– Pantera! – wrzasnął Porta. – Uwolnijcie czarnego potwora. On im pokaże, gdzie Mojżesz chodzi na piwo!

Z dzikim okrzykiem i wyciem Mały pomknął i przyprowadził czarną panterę do magazynu. Drapieżnik poczuł jedzenie i zaczął bić na boki długim ogonem.

– Jezus! Maria! – krzyczał Mały z nadzieją. – Już zaczął! Naprzód Ulrich, oni wszyscy są twoi!

– Starzy ludzie są często lepsi, gdy już nie żyją! – zawołał Porta, waląc wyrwaną deską starszego wiekiem Stabsfeldwebela z warsztatów dywizyjnych.

Pantera wydała przeciągły ryki sprężyła się do skoku.

– Nie! Nie! – krzyczał wachmistrz artylerii, machając nad głową szyjką pustej butelki.

Zajrzał w otwartą paszczę wielkiego kota i nogi się pod



nim ugięły. Pantera lekko się cofnęła, jakby mierząc dystans do długiej lady, która cała była pokryta kawałkami salami, kiełbasy, flaków i kapusty kiszanej.

Dwóch czujnie wyglądających żandarmów z napierśnikami w kształcie półksiężyca stało przerażonych i patrzyło jak kociak przeleciał w powietrzu jak czarna strzała i wylądował na ladzie z głuchym tąpnięciem. Zwierzak poślizgnął się trochę na błocie z rozgniecionej jedzenia. Natychmiast zabrał się do jedzenia, jakby od dziesięciu lat głodował.

Jeden z żandarmów zwany „Zgniataczem Jajek”, bo preferował taką metodę przesłuchiwania, patrzył okrągłymi z przerażenia oczami w otwarty pysk zwierzaka, czuł jego gorący oddech. Trzęsąc się ze strachu, zanurkował pod ladę i schował się pod półkę, gdzie normalnie nie zmieściłoby się dziesięcioletnie dziecko. Teraz tkwił tu stukilogramowy tłuścioch i wydawał dziwne jęki.

Ulrich zaciekawiony popatrzył w dół. Być może zastanawiał się, czy zmieści się też pod taką niską półką.

– Mein Führer! Ratuj mnie! – krzyczał „Zgniatacz” bezradnie.

Żółte oczy pantery błyszczały w panującym półmroku. Powoli wyciągnęła łapę i dla zabawy pacnęła nią w plecy chowającego się żandarma.

Ten miał już dość!

– Ona mnie zje! – wrzeszczał przerażony.

Z długim jękiem wyczołgał się spod ławki i ruszył na

brzuchu przez pokrytą resztkami jedzenia podłogę, zostawiając ślad jak ślimak.

Ulrich uwielbiał się bawić.

Uszczęśliwiony skoczył obok pełzającego człowieka i znowu pacnął go w plecy.

Żandarm zaskowyczał ze strachu, przekreślił się na plecy i zaczął bezładnie młócić rękami i nogami.

To była wspaniała chwila dla Ulricha.

Ugryzł żandarma w nogę, potem dla zabawy pacnął go w ramię. Mundur został rozdarty jednym ruchem pazura. Ofiara patrzyła prosto na potężne kły. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył „Zgniatacz”.

– Szok – powiedział potem lekarz, który oglądał ciało.

– Dwie duże wódki, butelkę czerwonego wina na przepłukanie – powiedział prowokacyjnie Porta, kiedy weszliśmy do „Nataszy”.

– Tu nie ma kredytów! – krzyknęła „Ania Kąsek”, ściskając mocno butelki.

– Kredyt? – roześmiał się Porta i wyjął z kieszeni plik banknotów. – Gdybym chciał, to mógłbym kupić to miejsce.

Ania otworzyła szeroko oczy i natychmiast stała się milutka.

– Czy chcielibyście zobaczyć moje kołeczki? – spytała Małego, hojnie napełniając mu szklanę.

– Nie interesują nas – odparł Mały zadzierając nosa. – Chyba wszystkie są pokrzywione i stare!

– Nie róbcie kłopotów – ostrzegł „Bębniarz”, który w

rzeczywistości był sierżantem policji bezpieczeństwa i miał polecenie pilnować w tym burdelu porządku. Jego przezwisko wzięło się stąd, że przed wojną był perkusistą w nocnym klubie w Lipsku, który nazywał się „Żółty Wilk”

– Może po prostu się zamknij – powiedział Stary, krztusząc się przetykaną wódką.

Bębniarz zrobił się czerwony na twarzy i zagadał coś w proteście.

– Powiedziałem już, żebyś był cicho – szeptał z uporem Stary, który jeszcze nie mógł normalnie złapać oddechu. – Jestem Oberfeldwebel i mam jedną gwiazdkę więcej niż ty!

– Pieprzyć wszystkie gwiazdki – krzyknął Bębniarz kobiecym głosem. – Macie się zachowywać tak jak ja mówię!

– Ciekawe, czy miał kiedykolwiek kontakty seksualne ze swoją matką? – spytał głośno Porta.

– Wysłali go na wojnę, bo molestował siostrę! – ryknął Mały, śmiejąc się długo z własnego dowcipu.

– Ale teraz to już bądźcie dla siebie mili – zażądała Ania. – Bo inaczej będzie nam przykro, że musimy was wyrzucić.

– No to dlaczego nie spróbujecie? – spytał Barcelona i wyzywająco wałnął krzesłem o podłogę, patrząc na Bębniarza.

– Jak stałeś się tak czarny? – spytała „Dolly Dunaj”, dziewczyna, którą wysiedlono z Rumunii, popychając

zachęcająco Alberta.

– Jest czarny, bo jest pruskim czarnuchem – wyjaśnił Mały z zaciśniętymi ustami.

Starał się mówić w filmowym stylu Humphreya Bogarta. Uwielbiał tego aktora i starał się naśladować w życiu. Raz poszedł do kina i zobaczył film, w którym Bogart spycha dwie starsze damy z wózkami inwalidzkimi ze schodów, a potem podcina im gardła. Małemu tak się spodobał ten film, że był na nim tego samego dnia jeszcze trzy razy. Zaś następnego dnia, stał trzy godziny przed otwarciem kasy, aby kupić pierwszy bilety.

– Jesteś ślicznym kąskiem, na pewno się nie mylę – łąsił się Mały do szczupłej dziewczyny, która siedziała na stołku barowym i pokazywała wszystko, co miała warte do pokazania.

Pochylił się nad nią i ryczał głosem przypominającym zaloty lwa, który wydawał mu się szeptem.

– Chciałbym cię bardzo poczuć. A ty może byś się troszkę ze mną zabawiła?

– Chcesz się zabawić? – spytała dziewczyna niskim, nosowym głosem, wkładając papierosa w długą na pół metra szklaną firkę, którą potem umieściła w karmazynowych ustach.

Mały zamiauczał z rozkoszy i próbował wpakować swoje brudne paluchy pomiędzy jej uda.

– Nie tak prędko, mój duży chłopczyku – powstrzymała go szorstko, wypychając jego rękę spod

sukienki. – Nie jestem fanką Frankensteina, ani jego potomków. Pamiętaj o tym żołnierzu!

– Obergefreitrze, proszę – poprawił ją – Jesteśmy kręgosłupem armii. Proszę o tym pamiętać!

– Jego dolną częścią? – spytała głosem słodkim jak cukier.

– A skąd mogę wiedzieć! – ryknął Mały, gubiąc się przy tym pytaniu.

Zachichotał, uszczypnął ją lekko w pierś i klepnął głośno w plecy. Dziewczyna zawyła z bólu. Porta nauczył Małego, że jak dziewczyny trochę się bronią, to znaczy, że mają ochotę.

– Ty i ja, moja pani, możemy pobawić się w zoo! – wyjaśniał dziewczynie swoje zamiary, pokazując międzynarodowy znak uciech seksualnych.

– Nie mam zamiaru iść do małpiarni – odmawiała dziewczyna, odpychając go rękami.

– Jakie tam małpy – roześmiał się Mały. – Obejmiesz mnie mocno udami i małpy nie będą potrzebne.

Pociągnął ją mocno na parkiet taneczny, gdzie tańczyły już trzy pary w rytm pobudzającej muzyki.

– Moje palce! – jęknęła przymusowa tancerka.

– Stań na moich stopach – zaproponował Mały.

– To najszybszy sposób nauki tańca. Powiem ci, że tak nauczyłem się tańczyć w „Lausen” na Reeperbahn w Hamburgu.

– Założę się, że w pobliżu musiały stać dwa ambulanse – powiedziała dziewczyna sarkastycznie.

– Nie, w „Lausen” walki były zabronione – wyjaśnił wojowniczo Mały. – Może masz na myśli „Czerwoną Latarnię” na Davidstrasse. Tam wylatywał codziennie cały garnitur zębów.

Dziewczyna przeraźliwie krzyknęła, gdy Mały posuwał się krokami, które według niego były tangiem i kopnął ją podkutym butem numer 14 powyżej kolana.

– Gdzie jest ten koń, który mnie kopnął? – spytała rozcierając bolące miejsce.

– To może pójdziemy na górę? – spytał Mały z wilczym uśmiechem.

– Po co? – spytała, próbując wyrwać się z jego uścisku.

– Nie przeciągaj struny – ostrzegł ją groźnie, próbując zrobić z nią piruet, tak jak robią to w filmach zawodowi tancerze.

Znowu krzyknęła, gdy uderzyła głową w oparcie krzesła.

– Idziemy na górę na szybki numerek, czy najpierw kolejka drinków? – spytał Albert, tańcząc z dziewczyną, która mu sięgała co najwyżej do pępka.

– To nie potrwa długo – powiedział Mały, okręcając swoją partnerką tak, że tym razem uderzyła głową o podłogę. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Porta zaś tańczył w taki sposób, że powstawała za nim trąba powietrzna.

– Co to było? – spytała jego partnerka, patrząc mu w oczy.

Tańczył on jak tajfun z damą zwaną „Świnka Petunia”, ze względu na jej tuszę i twarz podobną do ryjka tego

smacznego zwierzęcia.

– Nie mam ochoty już tańczyć – powiedziała wysoka dziewczyna, idąc do baru.

Usiadła po przeciwnej stronie niż Mały i rozcierała obolałe miejsca.

Potem zażądała trzech aspiryn.

– Skąd jesteście? – spytał głośno Mały poprzez bar.

– Z Moskwy – odparła kwaśno.

– Dużo jest tam panienek? – spytał olbrzym.

– Świnia – prychnęła na niego.

– Wy dwie macie ochotę na zabawę z nami, zrobimy to razem? – spytał, gdy ociekająca potem matrona zbliżyła się do baru.

– A wy dwaj jesteście może spadkobiercami germańskiej kultury? – spytała szyderczo wysoka kobieta.

– Czy ktoś wbił ci gwóźdź w głowę? – spytał Mały napinając dumnie klatkę piersiową, że omal nie popekały szwy w kurtce mundurowej. – Gdybyśmy przybyli tu wcześniej, to nie musiałabyś używać żwiru do podcierania tyłka. Teraz będziesz używać papieru toaletowego, jak my, ludzie zachodu. Zostawmy tę pustą gadaninę i chodźmy na górę, to będę mógł ci pokazać, jak kulturalni ludzie wchodzą na szczyty.

– Mógłbyś kupić małego drinka dla twojej małej dziewczynki? – spytała Petunia Portę z fałszywym uśmiechem.

– Rum krymski i oranżadę – powiedział, rozwalając się po pańsku na ladzie barowej.

Błyskawicznie rozeszła się wieść, że mamy górę pieniędzy. Wielką górę pieniędzy. Szybko zostaliśmy otoczeni kwilącymi kobietami. Dwie dziewczyny, które do tej pory tańczyły razem, zaczęły puszczać oko do Wolfa. Ten pół leżał, pół siedział na specjalnym stołku barowym, z ruchomym oparciem.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował coś więcej niż drinka – łaśliła się jedna z nich, pocierając ciało, jak podniecona kotka. – Chyba się nie mylę, gdy powiem, że myślisz o seksie?

– Może tylko opowiadają plotki o Związku Radzieckim – zaśmiał się Wolf, przesuwając palcem pomiędzy jej udami. – Ty masz naprawdę łysą cipkę!

Wydawał się zaskoczony, gdy podniósł jej sukienkę.

– Ogoloną, kochanie – zachichotała dziewczyna.

– To zwykle kosztuje 10% procent więcej, ale ty jesteś przystojny, więc dla ciebie będzie ekstra taryfa. Tylko 500 za noc. A co byś chciał? Po francusku, niemiecku, szwedzku, czy coś innego? Dwieście ekstra za masaż japoński!

– Czy to ostateczna cena sprzedaży? – spytał Wolf, zapuszczając coraz głębiej dłoń.

Uzgodnili cenę na 400 i znikli za drzwiami z napisem „Prywatne”.

Po kilku minutach Wolf wychylił głowę poza drzwi i zagwizdał na swego wilczura. Ten, szczęśliwie szczekając, wskoczył za swoim panem.

– On też będzie bzykać? – spytał Mały, któremu ze



zdziwienia szczęka opadła.

– Bardzo prawdopodobne – powiedział Porta.

– Wolf bardzo lubi zwierzęta.

Szczuplutka dłoń z zielono pomalowanymi paznokciami zaczęła delikatnie muskać wnętrze ud Gregora. Ta rączka pracowała wokół jego gaci tak sprawnie, że nie było wątpliwości, iż należy do mistrzyni.

– Mogłabym naostrzyć twoją szablę. Mógłbyś pomyśleć, że lecisz do nieba – powiedziała kusząco. – Dużo potrafię.

Gregor zarechotał z radością.

– Chodźmy więc. Zobaczymy, jaki z ciebie kowal.

– Nie, najpierw potańczymy, aby się rozgrzać – powiedziała z wyrzutem, wypychając go na parkiet taneczny.

Wkrótce po tym znikli również za prywatnymi drzwiami.

Albert, który zawsze był trochę nieśmiały, kłapał dziobem jak pijana papuga, gdy dziewczyna, z lekko skośnymi oczami wzięła jego rękę i wcisnęła ją pomiędzy swoje nogi.

– Jesteś milusi, mój czarny kochaneczku – wzdychała, kręcąc tyłkiem.

Pocierała jego ręką o swoje ciało.

– Chodź, mój mały żołnierzyku – zachęcała go.

– Chodź ze mną, a nie będziesz chciał wychodzić. Po co masz się dać zabić tym paskudnym czerwonoarmistom, bez zakosztowania niebiańskiej

rozkoszy.

– Jesteś moim pierwszym kanibalem – wyznała, gdy przechodzili przez część taneczną i kierowali kroki do kameralnej części przybytku – Dostaniesz wszystko za pół ceny. Ale nie wolno ci gryźć, nie jestem jedzeniem!

Ledwo powróciliśmy do baru, kiedy się rozległa seria wrzasków, która zagłuszyła muzykę i knajpiane rozmowy.

– Ulrich! – krzyknął Porta, puszczając niespodziewanie Petunię, która zwała się na podłogę z łoskotem.

– O, do diabła! – jęknął Barcelona, wychylając *krazisom* jednym łykiem.

Był to specjalny drink, robiony ze szlachetnego likieru, ale w tej knajpie była to tylko jego namiastka.

Albert, który właśnie szufłował swoje ulubione danie, rybę słodko-kwaśną, całkowicie zapomniał o jedzeniu i patrzył na długi czarny kształt wypełniony mięśniami i ścięgnami, czający się przy drzwiach. Kocur czał się do skoku.

Mongoł w czarnych kamaszach, który zawzięcie polerował ręcznie szyte w Rzymie buty Wolfa, padł na kolana, wziął dwa głębokie oddechy, popatrzył bestii w oczy i zazgrzytał zębami.

Spoza jednych drzwi z napisem *Prywatne* doleciał przeszywający mózg wrzask. Wszyscy spojrzeli w górę, na chwilę zapominając o panterze.

– Morderca! Morderca! – wrzeszczała szczupła kobieta, umykająca przed rozsierdzonym Małym.

– Stój spokojnie, ty brudna rozwiercona dupo! Wyrwę ci tego zwiędłego fiuta! – darł się bez opamiętania.

– Biedak, miał pecha – wykrztusił, pękając ze śmiechu Legionista. – Kupił sobie transwestytę.

– Masz za to! – krzyczał Mały, rzucając krzesłem w przestraszonego śmiertelnie przebierańca. – Pięć stów za potrzymanie tego zwiędłego fiuta!

Transwestyta był tak przerażony, że nawet nie zauważył warczącej pantery koło drzwi. Przebiegł obok kota i trzasnął nimi, przycinając mu ogon, którym do tej pory uderzał o podłogę. Drapieżnik boleśnie zaryczał, co natychmiast oczyściło parkiet z tancerzy. Kot obrócił się i zasyczał groźnie w stronę drzwi. Z nastroszoną na grzbiecie sierścią i naprężonymi mięśniami gotował się do akcji. Eleganckim skokiem pantera znalazła się na barze. Zaczęła obwąchiwać kark „Dolly Dunaj”. Kobieta opadła wydając dziwne dźwięki, a mocno pomalowana twarz wylądowała w misce z ciepłą słodko-kwaśną rybą. Ludzie, którzy stali przy ladzie rzucili wszystko, co mieli w rękach. Kocur jednym głębokim mlaśnięciem pochłonął pieczonego prosiaka. Ulrich maszerował po ladzie barowej. Wsadził łapę z wielkimi pazurami do miski z makaronem i pastą.

Idąc dalej, klepnął łapą po plecach „Karla Pocisk” z korpusu amunicyjnego, któremu wypadła z wrażenia sztuczna szczeka. Żołnierz upadł na ziemię jak zdmuchnięty silnym wiatrem domek z kart.

Oberscharführer SS Gerner z dywizji Totenkopf, który

był znany ze swojej brutalności, odepchnął od siebie tacę z pieczonym prosiakiem, gdy pantera sunęła w jego stronę z rozcapierzonymi pazurami. Wydał tylko krótki, rozpaczliwy okrzyk, nim się zderzyli. Zasłabł kompletnie. Ulrich obwąchał z zainteresowaniem leżące ciało i zwrócił się do resztek pieczeni, które zaczął zjadać z głośnym chrzęstem łamanych kości, tak, że wszyscy myśleli, iż konsumpcji podlega esesman.

– Będą kłopoty – powiedział proroczo Stary.

– Lepiej zabierzmy stąd kocura – osądził Barcelona.

Rzucił świeżego królika w stronę pantery, która leżała teraz na wielkim dywanie, po tym jak wypłoszyła ludzi z całego burdelu.

– Nigdzie nie idzie – postanowił Porta. – Zostaje tutaj.

– Ale człowieku, ona powoduje niezliczone kłopoty – płakał przestraszony Stary.

– To są wasze problemy – ocenił główny mechanik Wolf. – Nigdy nie spotkałem pantery w swoim życiu. Faktycznie, nawet o niej nie słyszałem. Zapisz to, jeśli chcesz.

– Ty śmierdzące gówno! – krzyknął pogardliwie Porta.

– Nie znam nikogo bardziej zdradzieckiego i fałszywego niż ty. Nawet Chińczycy nie kupiliby od ciebie ogni sztucznych, gdybyś je miał!

– A ja nie pozwolę zrobić z mojej sekcji jakiegoś zoo – powiedział Stary, bębniąc pięściami o blat lady.

– Pantera Ulrich zostaje w 2. Sekcji – zdecydował krótko Porta i wskazał palcem na Starego. – Jeśli nie,

razem się przeniesiemy i wtedy będziecie żałować!

– Umieszczę to w raporcie! – krzyknął z furją Stary.

– Bo umrę ze śmiechu – roześmiał się Porta. – Tego właśnie nie chcesz zrobić! Wiesz dobrze, co się stanie, jeżeli odkryją, kto odpowiada za interes z panterą. Zapiszą wszystko i nazwą to próbą nielegalnego morderstwa, groźną zdradą i wszystkim, co im jeszcze przyjdzie do głowy. Dostanie piętnaście wyroków dożywocia plus parę wyroków śmierci. On i pantera zawisną na stryczkach, a wiatr będzie im rozwiewał włosy.

Te słowa tak naprawdę skierował do Wolfa.

Zaraz następnego dnia w sztabie pułku rozdzwoniły się telefony.

– Co, pantera? – pytał beznamiętnie pułkowy pisarz, Stabsfeldwebel Weingut.

– Czarna pantera, do cholery! – krzyczał pisarz dywizyjny, niemal plując z podniecenia w słuchawkę.

– Chyba ci odwaliło – zaśmiał się Weingut z przekąsem. – Wszystkie nasze Pantery są żółte albo szare i mają w tyłkach silniki Maybacha.

– Tylko poczekaj! Zmazę ci ten uśmiezek z twarzy – groził ponuro pisarz dywizyjny. – Generała Huhnersdorfa mało szlag nie trafił. Prawie z butów wyskoczył. Nasze telefony o mało nie popekały od skarg, które zwałają się na nas od rana. Zanim się zorientowaliśmy, o co chodzi, już swoją wizytę zapowiedział feldmarszałek!

– Nie rozumiem, co te skargi mają z nami wspólnego?  
– odparł grzecznie Weingut. – Nasze Pantery są tam, gdzie powinny być. Ludzie, którzy mogą się skarżyć na ich obecność, to Rosjanie, ale nie sądzę, żeby ich żale was interesowały.

– Macie czarną panterę, która biega po okolicy i powoduje u ludzi zawały serca i udary mózgu! Generał domaga się śledztwa. Prawdziwego śledztwa! Zapamiętaj to, ty głupia świni, mój przyjacielu!

– Może idź do lekarza i weź jakieś proszki na uspokojenie – poradził po ojcowsku Weingut. – Nie ma w naszym pułku nikogo tak słabego na umyśle, kto by zajmował się czymś takim jak czarna pantera. Przecież one zjadają ludzi!

Pół godziny później zadzwonił adiutant ze sztabu dywizji.

– Co jest z tą czarną panterą, którą macie? – pytał sztabowca z pułku, młodego, niedoświadczonego porucznika, który niedawno przybył z uzupełnień. – Jest masa dziwnych plotek na ten temat.

– Jaki jest kolor tej pantery? – spytał obojętnie młody oficer. – My nie mamy czarnych Panter.

– Hej, człowieku, to nie jest czołg! – warknął oficer z dywizji, dysząc jak maszyna parowa. – To wielki kot, taki prawdziwy z dżungli, który na deser zjadł żandarma. Czy ty wiesz, że cały batalion żandarmerii leży w kaftanach bezpieczeństwa w domu wariatów po spotkaniu z tą cholerną panterą!

– Ale mogę zapewnić, że nie mamy żadnej czarnej pantery! – jęczał przestraszony porucznik. – Jedyne zwierzęta, które mamy, to dwa wilczury szefa mechaników Wolfa, ale one są regulaminowo uwiązane, zresztą za zgodą sztabu dywizji.

– Ty chyba cały czas myślisz, że to ciasteczko, ten zwierzak – powiedział z rezygnacją adiutant dywizyjny. – To już zaszło dalej niż myślisz. O całej sprawie huczy już w sztabie korpusu, pełno jest skarg od ludności cywilnej.

– Naprawdę, nie rozumiem o co chodzi, panie kapitanie – próbował bronić się bezradnie adiutant pułkowy. – Naprawdę nic nie wiem o czarnej panterze w 27. Pułku. To musi być jakaś dramatyczna pomyłka. Może trzeba spytać w służbach weterynaryjnych?

– Zostałeś ostrzeżony – powiedział kapitan ze sztabu dywizji i odłożył słuchawkę.

Pułkownik Hinka właśnie się golił, gdy zadzwonił telefon.

– Hinka – powiedział szorstko.

– Huhnersdorf! Co do diabła dzieje się w twoim pułku? – zaczął bez żadnych ceregieli dowódca dywizji.

– Co się stało? – spytał z niepokojem w głosie pułkownik.

– Jesteś dowódcą pułku, czy nie? Czy nie wiesz, co się dzieje u ciebie? To mogę cię poinformować, że twoi ludzie zabawiają się z jakąś krwiożerczą bestią, która straszy po okolicy! Połowa moich żandarmów już oszalała z jej powodu! Jeśli powie mi pan, panie

pułkownikowi, że pan nic nie wie na ten temat, to jest pan jedyną nieświadomą sytuacji osobą w całej 4. Armii Pancерnej! Feldmarszałek osobiście zażądał meldunku w tej sprawie, w przeciągu godziny!

– To musi być jakiś wariacki żart, generale – odparł z przekonaniem Hinka. – Co to za krwiożercza bestia?

– Nie powiedziałem tego? – ryknął rozpalony do czerwoności generał. – To pantera, do diabła. I to czarna! Nazywa się Ulrich!

Hinka aż zamknął oczy i cicho zaklął. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, gdzie znajdzie panterę Ulricha i jego ludzkich towarzyszy.

Wziął kilka głębokich oddechów, po czym stał wściekły pianę z brody.

– Przygotuję raport w przeciągu godziny, panie generale – obiecał pułkownik.

– Mam nadzieję na miłość boską – wyszeptał generał. – To jest sprawa poważniejsza, niż myślisz. Feldmarszałek zażądał zastrzelenia zwierzęcia, a winnych postawienia przed sądem wojennym. To jest jakieś przekleństwo! Chcę szybkiego raportu!

– Poruczniku Soost! – krzyknął Hinka głosem, który aż zadźwięczał w głowie pułkowego adiutanta.

– Poruczniku Soost! – krzyknął ponownie zniecierpliwiony Hinka i rzucił mocno ręcznikiem w kąt pokoju.

– Tak jest, panie pułkowniku! – wyprężył się jak struna, przestraszony oficer, strzelając obcasami jak na



paradzie.

– Znajdź tego przestępcę Portę i przyciągnij go tutaj!

– Porta? – spytał porucznik, który nigdy nie słyszał o kimś takim.

– Do cholery, człowieku! – krzyknął pułkownik. – Czy czegoś nie rozumiesz? Obergefreiter Porta w imię piekieł! Piąta kompania, druga sekcja! Ten łajdak ma się u mnie zameldować natychmiast i przeprowadzić czarną panterę o imieniu Ulrich!

Adiutant wskoczył do samochodu terenowego, całkowicie przekonany, że cały pułk, w którym służy, stworzony jest z wariatów.

– Dokąd panie poruczniku? – spytał kierowca, naciskając i zwalniając pedał gazu.

– Aresztować Obergefreitera Ulricha i panterę imieniem Porta – wyszczeakał zmieszany oficer, próbując przypalić papierosa.

– A, to 5. Kompania – roześmiał się Obergefreiter Helmer, startując samochodem jak rakietą.

– Jedź spokojnie – zawodził porucznik, prostując fałdy na kurtce mundurowej.

– Tak właśnie jadę – roześmiał się Helmer, rozpakowując nieregulaminowo kanapkę, gdy docierali do stanowisk dowodzenia naszej kompanii.

Hauptfeldwebel Hoffmann, pewny siebie facet o szerokich plecach, siedział za wielkim biurkiem, które odziedziczył po radzieckim komisarzu. Było wczesne rano i miał jeszcze na nogach rosyjskie kapcie. Gdy

salutował oficerowi, starał się ukryć czerwone bambosze.

– Z rozkazu dowódcy pułku, mam aresztować panterę – mówił tubalnym głosem porucznik, starając nadać sobie groźny wygląd.

– Ma na imię Ulrich – dodał po chwili bolesnej ciszy.

– Bardzo dobrze! – huknął Hoffmann, już widząc problemy piętrzące się do niewyobrażalnych rozmiarów.  
– Gefreiter Muller!

Te ostatnie słowa były skierowane do gońca kompanijnego, który stał tuż obok niego w niewielkim gabinecie i krzyki były niepotrzebne. Potem powiedział prawie szeptem.

– To do ciebie, ty smutny worku. Obergefreiter Porta i pantera Ulrich mają się stawić do raportu. Dotarło? Wróc bez nich, to zobaczysz! Nasi sąsiedzi już czekają na takie spocone karki jak ty!

Minęła ponad godzina, nim pojawił się Porta. Hałaśliwie wtoczył się do biura kompanii. Uderzył obcasami trzykrotnie, dwa razy dla adiutanta, raz dla Hoffmanna. Po czym nazistowskim salutem pozdrowił portret Hitlera, który na ścianie zajął miejsce Stalina.

– Dosyć tego – ostrzegł Hoffmann, patrząc na Portę, takim spojrzeniem, jakby chciał posłać ciosem pięści połowę jego zębów do gardła.

– To nie wolno pozdrawiać naszego wodza? – spytał Obergefreiter z udanym zdziwieniem.

– Idiota – warknął Hoffmann – Nie, kiedy tutaj wisi!

– To gdzie powinien być powieszony? – spytał

głupkowato Porta.

– Jesteś aresztowany! – krzyczał łamiącym się głosem porucznik. – Jesteś aresztowany! – powtórzył, wskazując oskarżycielsko palcem na żołnierza.

– Aresztowany? – spytał Porta. – Ja? A za co?

– Za chodzenie z panterą i zagrożenie życia ludzkiego! – wrzeszczał porucznik, powoli tracąc kontrolę nad sobą.

– To już nie wolno trzymać maskotek w armii niemieckiej? – spytał naiwnie Porta, strzelając obcasami.

Już chciał ponownie pozdrowić Adolfa, ale powstrzymało go od tego mordercze spojrzenie Hoffmanna.

– Pantera nie jest maskotką – zdecydował krótko adiutant.

– Pragnę zameldować – bełkotał Porta z właściwą sobie manierą wiejskiego głupka – że wszystkie zwierzęta mogą być maskotkami. Cesarz Abisynii trzyma lwy, a w Indiach słonie bywają maskotkami. To dlaczego ja nie mogę posiadać małej pantery?

– Jesteś aresztowany – powiedział czerwony na twarzy porucznik. – A sprawę pantery wyjaśnisz przed sądem wojennym. Ty i twoja maskotka staniecie przed plutonem egzekucyjnym. Rujnujesz morale połowy Wehrmachtu!

– Bardzo dobrze – powiedział Porta, zwracając oczy ku niebu. – Pragnę powiedzieć, jako niemiecki żołnierz, panie poruczniku, że zgodnie regulaminem armii, paragraf 209, punkt 5, przedmiot: zatrzymanie i aresztowanie personelu wojskowego, odmowa poddania

się aresztowi, zgodnie z kodeksem postępowania karnego Wehrmachtu Wielkich Niemiec. Pragnę zameldować, że ja, Obergefreiter Porta odmawiam poddania się aresztowi, ponieważ oskarżenie nie ma żadnych podstaw!

– Czy kompletnie i całkowicie straciłeś rozum człowieku? – pnił się adiutant, tracąc już zupełnie kontrolę nad sobą. – Nie próbuj wmówić mi tego, oficerowi! Czy rozumiecie, co powiedzieliście Obergefreiter?

– Pragnę zameldować, panie poruczniku! Rozumiem wszystko doskonale!

– Zamknij się – wykrakał histerycznie oficer.

Przebierał nerwowo palcami wokół kabury pistoletu, jakby myślał o zastrzeleniu Porty.

– Z powrotem do pułku – rozkazał kierowcy, gdy ponownie usiadł w samochodzie.

Helmer, który właśnie zajadał nogę indyka i chleb z konfiturą żurawinową, udawał, że nie dosłyszał polecenia. Popatrzył skupiony na kawałek pieczonego drobiu i ugryzł go.

– Czy ty jesteś głuchy? Nie słyszałeś mojego rozkazu!

– darł się adiutant, robiąc się na przemian biały i czerwony.

– Jakiego rozkazu? – spytał kierowca z ustami pełnymi mięsa z indyka.

Teraz adiutant stracił kompletnie panowanie nad sobą. Wyrzucał z siebie z szybkością karabinu maszynowego mieszankę rozkazów i gróźb, ku niekłamanej radości

Helmera i Porty. Za oknem biura sterczała gruba, świńska twarz Hoffmanna.

– Pragnę dowiedzieć się – trąbił Porta – czy jestem wolnym niemieckim Obergefreitem, czy aresztowanym Obergefreitem, panie poruczniku?

– Jesteś aresztowany! – wył oficer szaleńczo, nie zastanawiając się, dlaczego pytanie zostało zadane.

Helmer zasalutował, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu.

– Co ty robisz, do diabła?! – ryczał adiutant.

– Muszę zameldować, że zgodnie z regulaminem armii, aresztowany musi być eskortowany przez przeszkolony do tego personel. Tylko żołnierze, którzy składali specjalną przysięgę, mogą spełniać takie polecenia, panie poruczniku!

– To maszeruj do sztabu pułku! Oddaj mi kluczyki i dokumenty wozu.

– Pragnę zameldować, że nie wolno mi udostępniać nikomu pojazdu bez pisemnego rozkazu ze sztabu dywizji! – ryknął Helmer, ponownie salutując. – Ale jeśli pan adiutant wyrzuci Obergefreitra Portę z samochodu lub obieca, że zostanie on uwolniony, wtedy możemy pojechać do dowództwa, panie poruczniku.

Po przemyśleniu sprawy, porucznik zadeklarował, że Porta jest czasowo wolny. Już mieli wsiadać ponownie do Kubelwagena, gdy coś długiego i czarnego śmignęło w powietrzu i głucho wylądowało na tylnym siedzeniu. To był Ulrich, który usiadł dumny jak paw z powodu

odnalezienia Porty.

Zaskoczony oficer zakołysał się i z gulgotem osunął na ziemię obok pojazdu.

– Czy on umarł? – spytał się beztrąsko kierowca, wyciągając szyję. – Mój Boże, człowieku, za chwilę będziesz miał niezłą robotę, aby policzyć ludzi, którzy padli z powodu twojej pantery.

– Podnieśmy go – zdecydował Porta. – Opuszczamy dom i jedziemy do sztabu. Dowódca chce widzieć mnie i Ulricha.

Porta i Ulrich wywołali wielkie poruszenie, gdy maszerowali do biura sztabu. Trzech pisarzy było bliskich załamania nerwowego, tylko dlatego, że pantera pokazała kły.

– Co znowu za sztuczki. Porta? – spytał Hinka takim szeptem, że aż przechodziły ciarki, gdy Obergefreiter stanął przy stole z mapami. – Czy wiesz, co jest napisane w księdze zwierząt o bestii, którą posiadasz? Zabija wszystko co żywe w swoim otoczeniu. Zabija bo lubi zabijać!

– Pragnę zameldować. Że ta księga, to stek kłamstw od początku do końca, panie pułkowniku. Ulrich jest spokojny jak owieczka i bardzo lubi się bawić!

– Nie chcę mieć z tobą więcej kłopotów, Porta. Pantera musi zniknąć. A jeśli nie stanie się to szybko, to spotkasz na swej drodze sąd wojenny. Mam zamiar tym razem uratować ci tyłek, ale nie mogę tego robić przez całe życie. To jest ostatni raz! Moja cierpliwość też ma

granice. A teraz zabieraj się stąd i weź ze sobą to czarne monstrum.

Porta uderzył obcasami, zasalutował i odwrócił się w stronę drzwi razem z Ulrichem.

– A tak przy okazji, co zrobiłeś z panterą? – spytał Helmer, gdy pewnego dnia spotkali się na stacji kolejowej w Charkowie, gdzie Porta odbierał nowy czołg.

– Wyemigrowała do Szwecji – powiedział ze smutkiem Porta. – Miała już dosyć niemieckiej dyktatury.

– Do Szwecji – kierowca aż otworzył usta ze zdumienia. – Przecież pantera nie może pojechać do Szwecji tak po prostu!

– Jeśli masz dojścia, to może – odparł Porta. – Wsadzili ją do pociągu szpitalnego, który jechał stąd do Lipawy. Tam dostała się na pokład szwedzkiego statku. A teraz najprawdopodobniej wyleguje się dumnie w oknie wystawowym jakiegoś sklepu w Sztokholmie. Może ma nawet nowe futro, takie w plamki, zamiast czarnego. Jeśli gestapo jest na jej tropie, to taki kamuflaż się przyda.

*Jeśli mamy działać szybko, a tak jest prawie zawsze, to musimy rzucić tysiąc albo trzy tysiące bomb na miasto, które nas opóźnia i zmienić je w stos gruzu. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę w imię cywilizacji. Naszym zadaniem jest przeć cały czas naprzód, aby zniszczyć przeciwnika tak szybko, jak to jest możliwe. Wojna jest wojną i jest bezlitosna.*

**Generał Omar Bradley**

*Gęganie gęsi drepczących po pylistym podwórzu.*

*Ptaki wyciągają szyje i machają skrzydłami. Wszędzie panuje spokój i względna cisza.*

*– Ta dziura jest opuszczona – powiedział dowódca sekcji.*

*– Poczekajmy minutę – doradzał czołgista. – Nigdy nie wiemy, co planuje Iwan.*

*Sekcja czterech czołgów czekała gotowa do ataku przez ponad godzinę. Coś było w tej wiosce, co ich niepokoiło, ale jedyną oznaką życia były gęgające gęsi.*

*– Dobra, wkraczamy – powiedział dowódca i dał znak załogom pozostałych czołgów. – Ale wjeżdżamy od strony rzeki. Most może być zaminowany i ten, kto chce iść do nieba na szczycie podmuchu, to niech jedzie przez niego.*

*Z rykiem silników ruszyli przez rzekę na drugi brzeg, miażdżąc po drodze kilka niewielkich szop. Zatrzymali się na placyku pośrodku wsi.*

*Gęsi nadal gęgały. Jakiś odważny gąsior ruszył z*



*sykiem, machając skrzydłami w stronę czołgów. Wszędzie panowała cisza, żadnego zdradzieckiego dźwięku.*

*– Kierowca i działonowy zostają w wozach – rozkazał dowódca sekcji. – Reszta na zewnątrz. Złapmy parę ptaków!*

*Włazy czołgowe otworzyły się ze zgrzytem. Z głośnym śmiechem załogi czołgów zeskoczyły z pancerzy i puściły się w pogoń za ptactwem. Jeden z czołgistów już prawie złapał młodą gęś, gdy seria z karabinu maszynowego omiotła niewielki placyk. Chwilę później wyglądał on jak podwórze rzeźni. Czołgiści padali wśród przerażonych gęsi. Dwóch ciężko rannych próbowało doczołgać się do swoich pojazdów.*

*Rosjanie zaczęli wybiegać z chałup strumieniami. Eksplodowały granaty, a spanikowani czołgiści, przebywający wewnątrz wozów, błyskawicznie zatrzaskiwali włazy. Ryknęły działa i zagrzechotały karabiny maszynowe.*

*Między gąsienicami czołgów lądowały ładunki wybuchowe. Po chwili wybuchały i unieruchamiały pancerne kolosy. Potem u podstaw wież Rosjanie zaczepiali miny. W przeciągu kilku minut cztery czołgi zamieniły się w eksplodujące pudła pełne płomieni.*

*Wkrótce potem cztery wraki zostały odnalezione przez czołówkę pułku pancernego. To było krótkie intermezzo w kolejnym letnim dniu wojny.*

# Rozdział 8

## Tygrysy

– Niedługo większość z was będzie tam, gdzie latają gówna – krzyknął główny mechanik Wolf, który wystawił swoją delikatną skórę na tak bliski pobyt za linią frontu. – Gdy usłyszę, że się usmażyłeś, mój drogi Porta, mam zamiar zjeść gulasz z żabich udek na najlepszym szampanie.

– Masz chyba błoto zamiast mózgu, ty głupi gnoju – syknął Porta z głębi komory silnikowej wielkiego Tygrysa.

– Czy nie przeszkadza ci, że ta wielka maszyna do szycia wisi ci nad głową? – spytał przewidująco Wolf, mając na myśli wiszący na łańcuchach silnik czołgu.

Gdy tylko to powiedział, blok silnika urwał się z mocowania i przygniótł majstrowi Brandtowi rękę. Zajęło trochę czasu, nim podnieśli silnik do góry i uwolnili kończynę pobladłego z bólu mechanika. Była ona całkowicie zmiądzona.

Obandażowaliśmy mu nieporadnie rękę i położyliśmy w cieniu kilku jodeł. Błagał o doktora, ale my nawet nie mieliśmy w pobliżu zwykłego sanitariusza. Musiał czekać, aż przyjedzie wóz dostawczy i zabierze go z powrotem do magazynów.

Jeden z mechaników zapytał, czy Wolf nie może zabrać

rannego ze sobą.

– Musisz mieć resztkę orzecha zamiast mózgu! – ryknął na cały głos ich szef. – Czy myślisz, że dopuszczę, aby mój samochód został ubabrany jego krwią?

Gdy ciężarówka wreszcie przyjechała, biedny mechanik już wyzionął ducha z powodu utraty krwi.

Z naszej prawej strony warczał silnik Tygrysa Barcelony. Po lewej dudnił czołg Legionisty z długą lufą 88 milimetrowej armaty, wycelowaną w niebo.

– Druga sekcja na stanowiska bojowe – rozkazał Stary przez radio. – Działa załadowane i zabezpieczone!

Mały otworzył zamek działa, gotów do szybkiego załadowania pocisku, gdy padnie odpowiednia komenda. Po jego prawej stronie były pociski podkalibrowe z żółtymi czubkami, z tyłu po lewej czarne, przeciwpancerne, a za plecami niebieskonose pociski burzące. Bardzo ważny był dobór odpowiedniej amunicji i jej użycie. Mogłoby dojść do katastrofy, gdyby ładowniczy popełnił błąd.

– Panzer! Marsz! – rozkazał dowódca kompanii, porucznik Löwe.

Szeroką u podstawy, zwężającą się ku przodowi formacją klina ruszył pododdział Tygrysów, miażdżąc wszystko na swej drodze.

Spomiędzy nieodległych ruin wyskoczyła smuga ognia. Pocisk trafił w wieżę i wyjął zrykoszetował pionowo w powietrze.

– Śmierć na przedzie. Wrogie działo przeciwpancerne!

Wieża na godzinę pierwszą – rozkazał Stary. – Ładuj podkalibrowym!

– Gotowe! – zawołał Mały i wepchnął do komory pocisk z żółtym pyskiem.

Ogłuszający huk rozdarł poranną ciszę i działo przeciwpancerne wyleciało w powietrze, razem z resztkami porozrywanej załogi.

– Zamknąć włazy! Czołg naprzód! – rozkazał Stary.

Siedmiusetkonny silnik Tygrysa zawył i czołg dzwoniąc gąsienicami ruszył wzdłuż wsi. Przerażone kury machały skrzydłami, próbując oderwać się od ziemi. Grupa Rosjan biegła szaleńczo w kierunku okopów, szukając w nich schronienia. Seria pocisków z karabinu maszynowego, umieszczonego w wieżyczce przygwoździła ich do ziemi, wzbijając fontanny kurzu na drodze. Ranni żołnierze krzyczeli, patrząc z przerażeniem na zbliżające się czołgi. Szerokie gąsienice miażdżyły ich ciała i wgniatały w polną drogę.

Przebijaliśmy się przez szeroki trawnik, gdzie suszyła się bielizna i pościel. Prześcieradła i poszewki przykryły wieżę i lufę armaty tak, jakbyśmy sygnalizowali SOS.

– Jutro będziemy w „Prawdzie”. Już widzę artykuł o tym, że niemieckie jednostki pancerne kradną pościel – mówił Porta, wciskając nogą pedał gazu.

– Chrzanie ich płótno! – ryczał chwilę później Porta – Nic nie widzę!

Para niebieskich pantalonów zasłoniła mu szczelinę obserwacyjną. Z głośnym chrzęstem wjechaliśmy do

rowu przeciwczołgowego.

– Coś ty do cholery najlepszego zrobił! – zawodził jak jędza Stary.

– Powiedziałem, że nic nie widzę – bronił się Porta. – Para komunistycznych gaci zasłoniła mi widok. Jakiej to Ruscy broni nie używają! Dlaczego nie mamy przygotowanego planu zaatakowania wroga damską bielizną? Potrzebujemy szybkich decyzji z fabryki papieru Sally!

Radio zaczęło groźnie brzęczeć, więc Stary musiał coś odpowiedzieć.

– Co się do diabła u was dzieje, Beier? – darł się nerwowo dowódca kompanii. – Wyjeżdżajcie z tej dziury do cholery albo załatwi to sąd wojenny!

– Oni w głowach nie mają chyba nic poza gównem! – denerwował się Porta.

Kołysał i kręcił czołgiem, aby wydostać go z pułapki. Jednak dopiero pomoc drugiego, 68 – tonowego kolosa pozwoliła nam wyjechać na powierzchnię.

Zajęło to następne dwadzieścia minut. W tym czasie obraz pola walki się zmienił. Teraz w formacji klina nacierali Rosjanie.

Zatrzymaliśmy się i oddaliśmy salwę wystrzałów w kierunku stanowisk przeciwpancernych wroga. Przetoczyliśmy się przez pozycje piechoty, miażdżąc ludzi ukrytych w dołkach strzeleckich.

Radzieckie czołgi były nadal o ponad 2000 metrów od nas. Nie były dla nas niebezpieczne, dopóki nie zbliżyły

się na jakieś 700 metrów, podczas gdy mogliśmy strzelać do nich jak do kaczek już z 1800 metrów. Te 88-milimetrowe działa z wielką prędkością początkową pocisku i jego płaskim torem lotu, zamieniały we wraki wszystkie wrogie czołgi.

Dwie kompanie Tygrysów, ustawionych w klin, posłały w kierunku nadjeżdżających Rosjan deszcz pocisków przeciwpancernych.

Chwilę później pole walki zamieniło się w wielkie pobojuwisko wrogich wozów bojowych. Jasny, przyjemny letni dzień zamienił się ponury wieczór, pełen oleistego dymu i płonących czołgów. Wydawało się, że jednak Rosjanie czegoś się od nas nauczyli. Gnali na nas nieustraszenie jak na złamanie karku, aby zbliżyć się na 700 metrów, zasięg skutecznego ognia ich 76 – milimetrowych dział.

– Trzymać dystans! – rozkazał dowódca kompanii. – Rozproszyc się i uważać na skrzydła!

Upał w czołgu staje się nie do zniesienia. Pot płynie z nas strumieniami, jesteśmy czarni jak Albert. Tylko gałki oczne i zęby błyszczą białą.

Ponad szczytem wzgórza przelatuje T-34 i ląduje ze zgrzytem na ziemi, wywołując lokalne trzęsienie ziemi, jakby chciał się w niej zakopać. Sekundę później pocisk przeciwpancerny przebił jego 60 milimetrowy pancerz czołowy. Wieża razem z działem odfrunęła między dwie nieodległe skały.

Kompania ciężkich, 57-tonowych KW-2 rozwijała się

w linię na granicy lasu. Za chwilę z ich 150 milimetrowych luf wyleciały gejzery wystrzałów.

Czołg Barcelony, który stał tuż za naszym, nagle napuchł jak balon i eksplodował jak kula ognia. Trzech ludzi z czteroosobowej załogi wypadło na ziemię, próbując szaleńczo ugasić płonące mundury.

Po chwili Tygrys Legionisty obrócił się leciutko i starał się osłonić płonącego towarzysza.

Zanim Stary zdążył coś powiedzieć, Mały wyskoczył z wieżyczki i przemknął do płonącego czołgu. Złapał Barcelonę za ramiona i wyciągnął go przez właz kierowcy. Potem zarzucił go jak pusty worek na plecy i pognął z powrotem. Za nim kuśtykał Albert z bladą z przerażenia twarzą.

Pomogliśmy im szybko dostać się do środka naszego czołgu. Mały ponownie pobiegł do płonącego wraku i próbował pomóc kanonierowi, który miał urwaną lewą rękę.

Ze wzgórz zbiegała rosyjska piechota. Kule bzykały i świszczwały wokół niego, gdy galopem biegł z rannym czołgistą na plecach.

Wychyliłem się z wieżyczki i posłałem serię z pistoletu maszynowego w kierunku nadbiegających Rosjan.

Spocony i klnący Mały doczołgał się do czołgu i wszedł bocznym włazem. Odprysk jakiegoś pocisku zostawił mu długą krwawą bruzdę na twarzy. Krew skapywała na zamek działa i Heidego.

– Pieprzone, komunistyczne sukinsyny – wyklinał

Mały, zamykając właz.

Oczy miałem przyklejone do okularów peryskopu. Stojący trzysta metrów dalej KW-2 brał nas na cel. Patrzyłem dokładnie w środek olbrzymiej lufy wrogiej armaty czołgowej.

– Atak czołgu! – krzyknąłem z przerażeniem.

– Działo gotowe! – odpowiedział prawie natychmiast Mały.

Błyskawicznie nacisnąłem pedał spustu. Lekkie szarpnięcie i pocisk przeciwpancerny opuścił lufę. Po sekundzie przebijał pancerz KW-2. Wieża armatnia zostaje wyrwana z podstawy i zsuwa się wzdłuż czołgu, który momentalnie staje w płomieniach. Ogień strzela bardzo wysoko w niebo.

Jeden z naszych Tygrysów zamienia się w wulkan ognia. Nikt z załogi nie ocalał. Nie widziałem jeszcze czegoś takiego, trudno sobie nawet to wyobrazić, jak wybuchają razem 102 pociski czołgowe, prawie 800 litrów paliwa i 6 000 tysięcy pocisków karabinowych.

Wydawało się, że burza płomieni przeszła przez okolicę. Rośliny, domy, wszystko, co było na powierzchni ziemi, znikło bez śladu. Kawałki pancerza rozrzucone zostały na olbrzymim obszarze, po załodze nie pozostał nawet strzep.

Na chwilę przestaliśmy strzelać. Potem jeden po drugim, systematycznie niszczyliśmy wrogie czołgi. Przez sześć godzin walki nasz pułk zaliczył 116 trafień, z czego nasza kompania 29. Tego wieczora, nasz, 27. Pułk



Pancerny został wymieniony w raporcie armii. Wszyscy oficerowie i Julius Heide chodzili dumni jak pawie. Reszta z nas wołała chwilę spokoju i ziemniaki z tłuszczem i duszoną wieprzowiną. Jednak rozczarowanie Juliusa było bardzo wielkie, gdy nie został wytypowany do otrzymania Żelaznego Krzyża. Pułk dostał tylko dwa, którymi pośmiertnie odznaczono dwóch poruczników.

Porta wielkodusznie chciał dać Juliusowi swój własny Żelazny Krzyż.

– Jaki będzie z niego pożytek, gdy nie będzie do niego papierów? – pytał ze smutkiem i łzami w oczach.

– Jeśli potrzebujesz kawałek papieru, to się o to nie martw! – zarechotał Mały – wkrótce ci go dostarczymy. Sally siedzi w ministerstwie jak jakiś minister i ma wszystkie rodzaje dokumentów. Papier i kawałek pieczętka znajdzie bez problemu.

– Ty brudny psychopato – wypluł z siebie Heide, patrząc z pogardą na kompana. – Myślisz, że nosiłbym medal, na który nie zasłużyłem?

– Otrzyj te swoje duże, błękitne oczęta – pocieszał go Porta. – Wojna się jeszcze nie skończyła i pewnego pięknego dnia przyjdzie twoja kolej. Bądź cały czas odważnym, dobrym niemieckim żołnierzem, a wujek Adolf da nawet tobie do powieszenia jakiś medalik na twoim najlepszym mundurze.

– Czołgi, naprzód! – rozległ się głos z radia.

– Druga sekcja, naprzód! – rozkazał Stary, wślizgując się do wjazdu wieżyczki.

Sprawdziliśmy broń osobistą i włożyliśmy ją do kieszeni uniformów. Tak jest bezpieczniej, gdy brakuje czasu. Gdybyśmy regulaminowo trzymali ją w kaburach, to w trakcie starcia z piechotą nie mielibyśmy szans.

Stary zatoczył ręką koło, pokazując reszcie czołgów, aby uruchamiały silniki. Z ogromnym dudnieniem dwunastocylindrowe silniki Maybacha o mocy 700 KM. powracały do życia.

Przez pole kukurydzy runęła cała sfera T-34. Mknęły do przodu jak konie wyścigowe, strzelając w trakcie jazdy.

– Bezsensowna strata amunicji – stwierdził pogardliwie Heide, który nie znosił takiego marnotrawstwa. – Powinni im wbić w głowy, aby zatrzymali się na chwilę, przed oddaniem strzału. Trzeba ich postawić przed sądem wojennym, to na wpół wytrenowani idioci!

– Nie zatrzymałbym się ani na chwilę, gdybym był na ich miejscu, w tych czajnikach – oznajmił Porta. – Przecież muszą przejechać jeszcze dwieście metrów, zanim będą mogli zdrapać nam trochę farby z pancerza. My zaś możemy wystrzeliwać ich jak kuropatwy na polowaniu. Strzelają dla dodania sobie odwagi, a nuż kogoś z naszych też przestraszą.

– Co się nazywa wojną psychologiczną, tak właśnie – powiedział Mały z wyższością. – Tak zwykle mówili, gdy byłem w magazynie amunicyjnym w Bambergu. Łazili z takimi małymi żółtymi puszkami, które robiły straszliwy hałas, gdy rzucali pod nogi ziewającym na warcie.

Nazywali to psychologią. Rzucasz taką puszkę, ona wybucha, wróg głupieje, a ty masz kupę czasu, aby go odstrzelić.

– Sekcja druga, rozwinąć w prawo klin – przebił się przez komunikator głos porucznika Löwe.

Jak naciągnięta struna, cztery Tygrysy z naszej sekcji ruszyły w prawo zgodnie z rozkazem. Sytuacja jest krytyczna, język ognia wystrzeliwuje spomiędzy kępy młodych drzew, rosnących na skraju lasu.

– Działo samobieżne 150 mm, prosto przed nami, 300 metrów – wrzeszczy Stary w panice, uciekając odruchowo z wieżyczki artyleryjskiej, Natychmiast znalazłem je w peryskopie, przekręcając szybko korbę mechanizmu obrotowego. Był to kolos, który miał lufę skierowaną dokładnie w naszą stronę.

– W lewo Porta! – krzyczy Stary – W lewo, na miłość boską! Rozwali nas!

– Na bank! – roześmiał się Porta pozornie beztrosko. – Trzymajcie się mocno, dzieci!

Zamiast obrotu, Porta nacisnął na pedał gazu i ruszył na ruskie działo samobieżne pełną mocą silnika.

– Czyś ty zwariował? – zaprotestował Stary, błądy ze strachu. – Do diabła! Zabijesz nas!

Zanurkowałem na dół czołgu i czekałem na totalną destrukcję. Czołg tylko lekko podskoczył, gdy rykoszetował od niego pocisk wroga, a przez uszy przeszedł nieprzyjemny zgrzyt. Zanim sobie zdaliśmy sprawę, że nadal żyjemy, rzuciło nas razem na podłogę,

gdzie stworzyliśmy kłębowisko ciał.

Walnąłem głową w podnośnik, a plecami w pokrętła peryskopu. Strumień ciepłej krwi zalał mi twarz, kompletnie mnie oślepiając.

Płyty pancerne skrzypiały, trzeszczały i zgrzytały, gdy Porta na wstecznym biegu próbował oderwać się od wywróconego pojazdu wroga.

Trzech ludzi z jego załogi biegło w naszym kierunku z ładunkami wybuchowymi w rękach.

Heide posłał długą serię w kierunku biegnących, zapalając jednocześnie wyciekające paliwo, które trysnęło na Rosjan. Momentalnie zamienili się w pochodnie. W górę zaczęły skakać zające, uciekając w stronę pobliskiego strumienia. Jakby wierząc, że tam znajdują ratunek przed ludzkim szaleństwem.

– Co do diabła, zające pływają? – krzyknął zaskoczony Mały.

– W jakimś stopniu tak – roześmiał się Porta.

– Wieża, godzina trzecia, T-34, 1000 metrów! Czołg stop! Ognia! – powiedział Stary przez wewnętrzny komunikator.

Gdy tylko Porta zatrzymał pojazd, nacisnąłem pedał spustu. Dokładnie widziałem, jak pocisk uderzył w wieżę wrogiego czołgu. Zamieniła się ona w ognista kulę, która z przenikliwym hukiem przeistoczyła się w miliony płonących iskier.

– Trafiony! – zawył Heide triumfalnie i zapisał coś w swoim notesie.

– Pamiętasz numer? – spytał Portę.

– Chyba coś ci się pomyliło – syknął wkurzony Porta. – Czy ty myślisz, że jestem sekretarzem. Moją robotą jest dowieźć cię tam, gdzie możesz zrobić kupę i nic więcej.

Stłumiony krzyk o pomoc doszedł do nas przez radio. Trafiony został czołg Legionisty. Purpurowe płomienie wydobywały się z wieży i silnika.

Mały i ja wspięliśmy się na pancerz i wyciągnęliśmy Legionistę na zewnątrz. Miał paskudnie poranioną twarz. Przekazaliśmy go Staremu. Działonowemu nie mogliśmy już pomóc. Miał rozerwany brzuch, wnętrzności wisiały w postaci czerwonych i niebieskich pętli. Obergefreiter Hans wystawał przechylony z wieży, jego zwłoki pęczniały i płonęły pod wpływem żaru. Pęcherze na ciele pękały jak małe baloniki.

– Wynośmy się stąd – krzyknął Stary. – Zaraz wyleci w powietrze, a my razem z nim.

Byliśmy ponad dwieście metrów od płonącego czołgu, gdy rozległa się eksplozja, rozrywając go kompletnie. Kawałek gąsienicy uderzył w bok naszego czołgu. Przez chwilę myśleliśmy, że trafił nas pocisk.

– Przyjdź śmierci, przyjdź – nucił pokrzwawiony Legionista, lekko mrugając powiekami.

– Przestań zawodzić – jęknął Stary. – Nie musimy przywoływać śmierci, sama wkrótce przyjdzie!

Z pobliskiego wzgórza nadjeżdżał T-34 z 85 milimetrową armatą. Jechał tak szybko, że wykonał kangurzy skok w powietrzu i z chrzęstem uderzył w

ziemię. Wylądował dosłownie sto metrów przed nami.

– Do diabła! – krzyknął zaskoczony Mały – Skąd on się wziął?

– Bóg wszystkich Rosjan zesłał go z nieba – roześmiał się Porta, unikając zderzenia z wrakiem PzKpfw IV.

Z włazów wystawały ciała spalonej załogi.

– Ognia, głupku! – krzyknął Stary i kopnął mnie w plecy.

Wieża rosyjskiego czołgu powoli obracała się w naszą stronę.

– Spokojnie – powiedział beztrosko Porta. – Po takim skoku jeszcze przynajmniej przez minutę będą wyjmować jajka z gardeł. A po takiej podróży niełatwo pozbierać myśli!

Obróciłem wieżę za pomocą siłowników hydraulicznych, ale nim ustawiłem lufę, z działa T-34 wyleciał pocisk i trafił w nasze pudło, aż nas cofnęło. Oślepiający żółty błysk przeleciał przez naszą kabinę.

– Jezusie! – krzyknął Mały, rzucając pocisk przeciwpancerzy na podłogę. – Trafili nas!

Jakimś cudem, utwardzony pocisk odbił się od pancerza, po czym ze skowytem odleciał w siną dal.

Jak we mgle wycelowałem i nacisnąłem pedał spustu. Wystrzał i uderzenie w cel nastąpiły niemal jednocześnie. Pocisk trafił w silnik, powodując wytrysk żółto-czerwonych płomieni.

– Uciekają z wozu! – krzyknął z zadowoleniem Heide, posyłając za wrogimi czołgistami serię z kaemu.

Mały był spocony jak niewolnik na galerze, gdy łądował amunicję. Ta praca jest tak ciężka, że można ją chyba tylko porównać z pracą w kotłowni na starych parowcach.

Jakiś stary model T-34 gnał przez gęsty zagajnik na złamanie karku. Jego szerokie gąsienice miażdżyły młode drzewka jak zapałki.

Nawet jeśli 25 rosyjskich czołgów przypadało na nasz jeden, ich przewaga liczebna nic nie znaczyła. Mieli małe pole widzenia w swoich czołgach, słabą łączność i wyszkolenie. Komunikacja jest bardzo ważnym czynnikiem w trakcie bitwy pancernej, bo sytuacja zmienia się z minuty na minutę, ale największym ich problemem było słabiutkie wyszkolenie ich załóg.

To były główne przyczyny ich katastrofalnych strat, których nie mogła nawet zrównoważyć szaleńcza odwaga. Bardzo dziwiła nas również ich bardzo wolna reakcja na zmiany sytuacji w trakcie bitwy.

Z cichym pomrukiem wieża Tygrysa obróciła się, a lufa wypluła kolejny pocisk, który z prędkością ponad 700 m/s poleciał w stronę celu. Trafiona została wieża T-34. Oderwana, odskoczyła do tyłu jak dziecięca piłka i spadła na drogę poza czołgiem. Na miejscu dowódcy zostały tylko nogi. Niebieskie spodnie i nowe skórzane buty były pokryte krwią.

– Chciałbym mieć takie buty – powiedział Porta, wyciągając szyję. – Mógłbym maszerować w nich przez całą Rosję bez pastowania!

– Okradanie ciał jest karane śmiercią – powiedział ostrzegawczo Heide.

– „Organizowanie” butów od zabitego nie jest kradzieżą – zaprotestował Porta. – Ludzie nie idą do raju w butach. Nigdy nie słyszałem o aniołach w butach!

– Wieża! Godzina czwarta! – Stary przerwał szewską dyskusję. – T-34, 1500 metrów!

Obróciłem błyskawicznie wieżę do wymaganej pozycji i patrzyłem na sowiecki czołg przebijający się przez ceglany mur. Nie miał szans uniknąć trafienia. Nacisnąłem spust, ale rozległo się tylko metaliczne kliknięcie. Nie było wystrzału!

Wszyscy spojrzeli na Małego, który bezmyślnie rzucał kośćmi do gry.

– Co jest do wszystkich diabłów? Co z tobą? – ryczał Stary, niemal wychodząc z siebie. – Dlaczego nie załadowałeś tego pieprzonego działa, ty wielki głupku!

– Nie ma więcej amunicji – odparł Mały, przypadkowo, ku swemu zadowoleniu, wyrzucając szóstkę.

– Tylko tego potrzebowaliśmy! – krzyknął z furją stary.  
– Dlaczego o tym wcześniej nie meldowałeś, gdy kończyła się amunicja?

– Powiedziałeś, że mamy być cicho – odpowiedział Mały. – Kazałeś nam nic nie mówić!

– Ojczy niebieski! – jęknął Stary. – Co ja takiego zrobiłem, że nawiedziłeś mnie taką załogą, jak ta? Wynośmy się stąd! Pełną szybkością do tyłu!

Porta wyciągał z silnika wszystko, co mógł.



Przejechaliśmy przez głęboki kamieniołom, dzięki czemu mogliśmy skryć się przed morderczym ogniem Rosjan. Pół godziny później znaleźliśmy się w Troczynie, na peryferiach którego znajdowały się składy amunicji i paliw.

Byliśmy zaskoczeni, gdy natknęliśmy się tam na głównego mechanika Wolfa, który siedział zrelaksowany w oficerskim kübelwagenie. Miał na sobie znakomicie skrojony mundur i buty do konnej jazdy, szyte na zamówienie u Rosellego w Rzymie.

– Wyglądacie na prawie martwych – powiedział ze śmiechem, łapiąc spojrzenie Porty. – Mam wrażenie, że sąsiedzi podrapali was trochę po plecach.

– Odwal się! – zaproponował Porta z kwaśną miną. – Mówisz, jakby ci mrówki dobierały się do jajek. Pieprzysz więcej głupot niż całe kolegium księży.

– No, dobra, nie denerwuj się – powiedział łagodnie Wolf. – Mam plan. Wiem, gdzie chłopcy z Kremla wywieźli komunistyczne złoto. Nie więcej niż trzy tysiące kilometrów stąd. Właśnie to organizuję. Jedyne, co trzeba zrobić, to pojechać i je zgarnąć.

– Dużo tego jest? – spytał Porta, wykazując natychmiast zainteresowanie.

– Więcej niż możesz wymarzyć – zaśmiał się Wolf. – Załaduj ten głupi czołg, możesz wrócić bez zadrapania, tak że będziemy mogli szybko zabrać stąd nasze tyłki.

Barcelona dostał całkiem nowy czołg. Albert już siedzi na siedzeniu kierowcy, z grubą warstwą bandaży na czole.

– Nie dadzą nam spokoju, dopóki nie rozpadniemy się na kawałki – powiedział czarny kierowca, bezsensownie gazując silnik czołgu.

Zaopatrzeniowcy pompowali do zbiorników 700 litrów paliwa, tyle ile mogliśmy wlać. Dwie beczki po 500 litrów, zostały umieszczone z tyłu jako rezerwa.

– Fajnie by się to paliło – powiedział głośno Porta. – Mielibyśmy też szansę sprzedać to paliwko i kupić coś dobrego do jedzenia.

– Coś ty powiedział? – krzyknął majster Muller, czerwony na twarzy.

W dywizji był nazywany Nazi Muller.

– Co powiedziałem? – zapytał Porta, patrząc się głupkowato na siebie. – Co powiedziałem?

„Nazi” zrobił się siny na twarzy i zaczął wydawać takie dźwięki, jakie emituje nudzący się podoficer w koszarach.

– Czy ty wiesz, kim ja jestem?

– Pragnę powiedzieć, jest pan majstrem Muller, odpowiedzialnym za zaopatrzenie w paliwo – wyszczał Porta, strzelając obcasami. – Pragnę dodać, panie majster. Raz był dróżnik, który nazywał się Heinz Schröder. Pilnował torowiska między Paderbornem i Bielefeld. Pech spowodował, że pewnego dnia wpadł do wagonu towarowego. Było to pechowo tuż przed spotkaniem z głównym zawiadowcą kolei, Keeperem, który miał go awansować. Jednak do promocji nie doszło, bo dróżnik nie pamiętał po wypadku jak się nazywa i biegał wokół stacji nieprzytomny.

– Czy ty wiesz, kim ja jestem? Czy ty mnie znasz?

Porta przerwał na chwilę potok słów, aby sprawdzić, czy majster zrobił się już purpurowy i nadał się jak balon zaporowy.

– Chciałbym się zapytać panie majster, czy wpadł pan kiedykolwiek do wagonu?

– Mam dosyć – zasyczał Nazi Muller, stukając nerwowo butem o płytę pancerną. – Ostrzegam cię! Nie pogrywaj ze mną!

– Pragnę zameldować, że nie mam zamiaru prowadzenia jakiegokolwiek gry, ale przypomina mi się Herr Weinhuber, który był zatrudniony jako ratownik w Niemieckim Stowarzyszeniu Ratowników Wodnych. Pan Weinhuber wierzył, że każdy z nim pogrywa. To było wtedy, gdy mianowano go szefem ratowników z Zell am See i jak zwykle udawał się do pracy rowerem dostarczonym przez Stowarzyszenie. Fatalny przełom miał miejsce w niedzielę. A tej niedzieli lało jak z cebra. Nikt chyba nawet nie myślał o kąpieli nad jeziorem, tak, że szef ratowników Weinhuber nie musiał pokazywać się nawet na plaży i mógł zostać w domu. Nawet największy głupek wiedział, że w taką pogodę ratownik nic nie ma do roboty nad jeziorem.

Nazi podniósł ręce do góry, jak człowiek błagający o zbawienie. Otwierał i zamykał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobywał się dziwny bełkot, jakby woda spływała głośno po sedesie.

– Problem tkwił w regulaminie służby ratowniczej –

kontynuował z lekkim uśmiechem Porta. – Stanowił on, że ratownik zaczyna służbę o godzinie 8.00 rano i nic nie wspomina o warunkach atmosferycznych, takich jak deszcz, śnieg, które pozwoliłyby pozostać ratownikom w domu. W innych krajach przy takiej pogodzie ratownicy nie muszą być na plaży. Ale nie w Niemczech. I ten punkt regulaminu był przyczyną niezwykłych wydarzeń. Głęboko w piwnicach ministerstwa wojny drukują regulaminy na maszynach dostarczanych przez firmy Graphik A. G. lub Heidelberg. Tam był kompozytor, nazywał się Ludwig Kaltbult, który miał szaloną ideę i pewnego dnia...

– Nie chcę tego dłużej słuchać! – zawył „Nazi Muller” z desperacją w głosie.

Spadł z pojazdu i uderzył głucho plecami o ziemię.

– Zawsze musi się coś wydarzyć – westchnął Porta z rozpaczą. – Gdy tylko przechodzę do szczegółów i wyjaśniam sytuację, aby można było coś zrozumieć, zawsze coś się dzieje złego mojemu rozmówcy... Jak mam z nimi rozmawiać?

Dalsze dywagacje przerwał zespół amunicyjny, który nadciągnął jak zawsze z pomocą.

Układaliśmy w sterty skrzynki z pociskami do działa.

Dostałem najgorszą robotę. Otwieranie skrzynek, zdejmowanie gum ochronnych i usuwanie przeciwrzecznych kapsułek. To jest paskudna robota. Każda skrzynka zawiera trzy pociski, które naprawdę sporo ważą. Reszta załogi tylko mnie popędzała.

Chcieliśmy skończyć nim na niebie pojawią się rosyjskie samoloty szturmowe, które mogą zrzucić nam na głowy zapalające jajka.

Na końcu czyściliśmy działo. Brudna lufa może powodować wypadki, a przedwczesny wybuch w lufie to nie zabawa.

Porta powrócił do nas, przynosząc skrzynkę kiełbasy i dysk sera żółtego, które wykradł z magazynów kwatermistrzostwa.

– Piąta Kompania – rozległ się głos naszego dowódcy.  
– Naprzód! Formacja klina i na most! Strzelać do wszystkiego, co się rusza! Pułk musi zdobyć go, nim Rosjanie wysadzą go w powietrze.

Cała kompania, licząca 16 Tygrysów ruszyła w stronę rzeki z pełną prędkością, grzechocząc gąsienicami. Piekielny chrzęst zagłuszał krzyki podążającej za czołgami piechoty.

Rosyjscy żołnierze uciekali z dołków strzeleckich i przebiegali przez okoliczne ruiny. Nie chcieli być zgnieceni przez stalowe potwory. Wielu z nich to się nie udało i dostawali się z przeraźliwym krzykiem pod gąsienice.

Trzy czołgi z 5. Kompanii otrzymują trafienia i stają w ogniu. W niezwykle krótkim czasie, kilka kilometrów kwadratowych pola walki zamienia się w obszar pokryty płonącymi wrakami niemieckich czołgów: PzKpfw III z zakładów Kruppa, legendarnymi PzKpfw IV jak również Panterami i Tygrysami. Jednak na poboju pozostaje

dużo więcej radzieckich KW-2, T-34, jak również amerykańskich Christie i brytyjskich Mathilde.

Aby uniknąć starcia z KW-2, Porta przejechał przez murowany dom. Na wieży i pancerzu pozostały kawałki mebli i sprzętów domowych. Zatrzymaliśmy się w środku ruiny, ostrożnie rozglądając się przez szczeliny obserwacyjne.

Duże białe pianino stało w kącie sporego pokoju. Na otwartej klawiaturze leżał pozbawiony życia rosyjski oficer. Dwóch innych żołnierzy leżało na krzesłach, byli cali pokryci krwią.

– Wynośmy się stąd – mruknął Stary szeptem, jakby się obawiał, że ktoś nas może podsłuchiwać.

– Te przeklęte niemieckie silniki zawodzą – złościł się Porta. – Ten ruski kurz przenika wszędzie i blokuje filtry. Trzeba odpalić silnik ręcznie, bo rozrusznik nie da rady.

– To twój problem – powiedział Mały. – Nie mam zamiaru kręcić korbą.

– Ty i Swen – rozkazał Stary. – Bez dyskusji! To jest rozkaz!

Gorąco protestując wyczołgaliśmy się z czołgu przez właz desantowy. Wkrótce mieliśmy pokrwawione ręce od wkładania korby w otwór silnika, który poruszał się jak kierat. Za pierwszym razem z trudem zdołaliśmy ją obrócić. Mały się wściekł i złapał ją z całej siły. Podskoczył w górę i nacisnął całą masą swego ciała. Ledwie zdążyłem odskoczyć przed serią pocisków z pistoletu maszynowego, która przeleciała obok mojej

głowy. Kręcąc się zobaczyłem Rosjanina, jak nieudolnie zmienia magazynek w pepeszy. Błyskawicznie rzuciłem granat w jego stronę. Ekspłodował z suchym trzaskiem, rozrywając mu klatkę piersiową.

– Co z tobą! – krzyczał biały z wściekłości Mały, próbując mnie kopnąć. – Nie możesz rzucać granatów w cudzym domu! Mogłeś mnie zabić, ty wojenny wariacie!

Silnik wreszcie zaskoczył. Długi na metr płomień wystrzelił z rur wydechowych i maszyna zaczęła wchodzić z głośnym rykiem na wysokie obroty. Korba rozruchowa poruszyła się i posłała trzymającego ją nadal Małego wysokim łukiem w powietrze. Z hukiem spadł na pianino, które rozpadło się na drzazgi. Uwolnione struny zaczęły dźwięczeć jak orkiestra.

– Mam tego dość! – zawył Mały, wstając z resztek zniszczonego instrumentu i uwalniając się z oplatających go strun. – Próbowaleś mnie zabić!

Wskoczył na czołg potężnym skokiem, po to, aby chwycić P 38 i zabić Portę, za przygodę z pianinem.

– Rzuć to! – krzyknął Stary prawie wbijając mu lufę pistoletu maszynowego w czoło.

Wzrok Małego powoli spoczął na lufie broni opartej o jego nasadę nosa, dzięki czemu zrobił idiotycznego zeza.

Z nerwowym uśmiechem schował pistolet do kabury i skarżąc się cicho zajął miejsce w czołgu. Jeszcze nie zdążył zamknąć wjazdu, gdy do środka wleciał granat.

– Rany boskie! – krzyknął chwytając obły kształt.

Patrzył na niego zaskoczony, widząc, że granat ma

niewyjętą zawleczkę.

– Jezu! – jęknął, odbezpieczył granat i rzucił tam, skąd przyleciał. – Widzieliście?

Głośna eksplozja rozległa się w ruinach domu i dwa ciała podrzuciło aż pod sufit.

– Cholera! – mówił blady ze strachu Mały – Te diabły prawie nas dopadły! Pomyślcie, co by się stało, gdyby ten komunistyczny gówniarz wyjął zawleczkę!

– Wtedy na ścianach czołgu mielibyśmy średniowieczne freski, pełne krwi i flaków – powiedział Porta, biorąc głęboki oddech.

Siedmiusetkonny silnik ryknął i Porta obrócił czołg. Długi stół jadalny i obite jedwabiem krzesła, stojące w salonie, zostały zmiażdżone i zamieniły się w stertę drewna za podpałkę. Sofa poleciała pod sufit, a za nią szafka z książkami, które jak deszcz spadły na wieżyczkę Tygrysa.

Oba nasze karabiny maszynowe strzelały bez przerwy. Tygrys jechał prosto przez ścianę i rozjechał kuchnię wielkości sali balowej. Mur przewracał się w tumanie kurzu z zaprawy i tynku. Z chrzęstem wjechaliśmy do ogrodu, miażdżąc po drodze oszklony taras. Czołg wyrwał z korzeniami kwitnące krzaki bzu, tak że cały był pokryty białymi i liliowymi kwiatami. Wyglądał jak wóz weselny, jadący po pannę młodą.

Po naszym przejeździe dom dosłownie rozpadł się. Dwadzieścia metrów przed nami stał 55-tonowy radziecki czołg IS. Załoga była w trakcie zmiany ogniwa w



gaśienicy. Patrzyli na nas sparaliżowani strachem. Dwie sekundy później po ich czołgu została tylko spalona wokół ziemia. Resztki domu za nami znikły. Utwardzony stalą pocisk musiał trafić bezpośrednio w zapasową amunicję i osiemdziesiąt parę pocisków wybuchło tworząc niesamowitą eksplozję. Podmuch przesunął ciężkiego Tygrysa kilka metrów do tyłu, w głąb ogrodu kwiatowego, który mieliśmy właśnie opuścić.

Na rozerwanym drzewie wisiał rosyjski kapitan, nadziany na konary jak kiełbasa na ognisko.

Niezliczone baterie organów Stalina wystrzeliwały tysiące pocisków, których wybuchy tworzyły ścianę ognia, która dosłownie pochłaniała nacierającą piechotę. Żołnierze starali się kryć za czołgami, ale nawet wtedy całe bataliony były zamieniane w miazgę złożoną z mięsa, krwi i kości.

Dwa T-34/85 jechały w naszą stronę tak szybko jak charty myśliwskie. Strzelali jak głupcy w czasie jazdy i pociski przelatowały ponad nami, nie czyniąc żadnej szkody.

– Wieża na godzinę dziesiątą – rozkazał spokojnie Stary. – Czołg, stój! Zasięg 800! Przeciwpancernym, ognia!

Pierwszy pocisk ześlizgnął się po pancerzu, ale następny trafił w pancerz czołowy i rozerwał go jak otwieracz puszkę z brzoskwiniami. Bezgłowe ciało kierowcy, zawisło na krawędzi płyty pancernej. Radiotelegrafista stracił dolną połowę ciała. W nasz czołg

uderzył pocisk, jednak nie zdołał sforsować dziesięciocentymetrowego pancerza. Odleciał jako rykoszet z nieprzyjemnym szumem.

– Szybciej odstrzelimy im tyłki, niż oni tu dotrą! – zaśmiał się Porta.

Najbliższy nas czołg dostał w gąsienicę. Skrecił gwałtownie i uderzył w wóz bojowy, szarżujący obok niego.

– Walić go prosto w twarz! – krzyknął Stary.

– Burzącym, szybko!

– Ochłoń, chłopie! – powiedział Mały. – Już mam w rurze przeciwpancerny i go nie wyjmę. Przecież jest jakaś granica żądań od faceta, któremu armia płaci tak mało jak mnie!

Po czym przetarł czarną z brudu twarz jeszcze czarniejszą szmatą i wypił potężną porcję wody.

– Cholerne niewolnictwo, to właśnie mamy – mrucał kwaśno Mały. – Nasza armia traktuje nas gorzej niż handlarze niewolników z Ameryki obchodzili się z przodkami Alberta, których porwali w Afryce!

– Zamknij się! – krzyknął Stary. – Ognia!

– Ale powiedziałeś, burzącym – zaprotestowałem, załamując rękę. – A w komorze jest przeciwpancerny. To co mam zrobić?

– Przecież rozkazałem, ognia! – zawył Stary, z furją kopiąc w stalową płytę pod nogami. – Któregoś dnia wszystkich was uduszę!

Dźwięczący grzmot niemalże rozerwał nam bębunki

uszu. Byliśmy głusi przez kilka minut. Radiostacja spadła z pułki w objęcia Heidego, którego oplatały teraz kable połączeniowe. Pękł przewód olejowy i lepka ciepła ciecz oblewała Portę, który wyglądał teraz jak potwór z amerykańskich horrorów.

– Trafili nas! – krzyknął Julius i już był w połowie drogi do wjazdu, gdy przytrzymał go Porta.

– Chwila, moment, podoficerze Heide! Jeszcze nie skończyliśmy. Nasz cudowny, wartościowy, abstynencki, nienawidzący seksu Führer, nie chciałby wiedzieć, że jego modelowy żołnierz ucieka przed wrogimi podludźmi. Mógłby tego nie znieść. A nawet poczuć tak rozczarowany, że powróciłby do Austrii i pozostawił Niemcy własnemu losowi.

Następny nasz strzał i trafienie. Prosto w komorę amunicyjną. Rosyjski czołg eksploduje jak melon zrzucony z drapacza chmur. Inny czołg toczy się powoli w stronę rzeki, jak kopnięta, bezpańska puszka. Potem eksploduje w rzece jak podwodny wulkan.

Druga sekcja, składająca się z czterech Tygrysów przebija się przez las, łamiąc grube pnie rosnących w nim drzew jak zapalki. Dom leśniczego jest zamieniony w kupę gruzu dosłownie w parę sekund. Mały chłopiec, uciekający z niszczonego domu, potknął się i znikł pod szeroką gąsienicą czołgu.

Potem czołgi przedzierają się przez gruby żywopłot. Połamane gałęzie, grube jak męskie ramię, wplątują się w gąsienice. Inne smagają pancerze jak bicze, gdy

próbujemy się wycofać. Wreszcie przed nami ukazuje się pozornie nieskończona kolumna zielonych ciężarówek, wozów konnych, czołgów i autobusów, wypełnionych kobietami-żołnierzami. Kolumna jest unieruchomiona przez długi na milę korek drogowy, który rośnie z minuty na minutę.

Żołnierze NKWD biegają wszędzie jak podniecone psy pasterskie, próbując ruszyć kolumnę. Ciężkie samochody, wyładowane po brzegi, blokujące drogę, są bezlitośnie spychane poza jej krawędź. Krzyki i przekleństwa zagłuszają praktycznie wszystko. Co chwila rozlegają się serie z pistoletów maszynowych. Nie ma czasu na marudzenie, wszelki opór karany jest śmiercią. Chłopcy z NKWD w czapkach z niebieskimi otokami mówią, co trzeba robić.

– Niech Bóg ich chroni – mruzczał Stary. – Wystawieni są jak na tacy. Siedzą i czekają, aby posłać ich do piekła. Druga sekcja! Strzelać w cysterny, tylko w cysterny! Ładować zapalającymi! Potem zobaczymy, co dalej!

– A co z autobusem wyładowanym pachnącymi karbolem i mydłem ślicznymi strzykawami, nim podłożymy pod ten bajzel ogień? – spytał Porta, wskazując na szary autobus, wypełniony pielęgniarzkami.

– Zamknąć włazy! – rozkazał Stary. – Strzelać bez rozkazu!

Rosyjscy żołnierze wreszcie nas dostrzegli. W całej unieruchomionej kolumnie zapanowała przeraźliwa cisza. Potem wybuchł jeden wielki okrzyk trwogi.

Kierowcy i pasażerowie samochodów wyskakiwali z pojazdów i uciekali przez równinę. Wszyscy wiedzieli, co się za chwilę zdarzy.

Żołnierki walczyły desperacko, aby wydostać się z długiego, szarego autobusu.

Działa czołgowe rozpoczęły ostrzał. Pociski zapalające trafiały w cysterny, powodując olbrzymie wytryski płomieni. Ich języki sięgały wysoko w niebo. W mgnieniu oka cała kolumna zamieniła się w długie, czerwono-żółte ognisko. Setki ludzi natychmiast straciły życie w tym dantejskim piekle.

Gdy utknęliśmy w niewielkiej dziurze w ziemi, ku nam ruszyła niewielka grupa Rosjan.

Wyrwałem karabin maszynowy z podstawy i ruszyłem do wjazdu. Jeśli mamy ocaleć, musimy szybko działać. Inaczej miny magnetyczne i granaty, których boi się każdy czołgista, zniszczą nas.

Już miałem wychylić się na zewnątrz, gdy nade mną pojawiła się jasna twarz z poskręcaną rudą brodą.

– Mać! – ryknął, pokazując granat ręczny.

Natychmiast nacisnąłem spust karabinu i posłałem w niego pół taśmy z nabojami. Deszcz naboji dosłownie odrzucił go do tyłu, rozrywając mu twarz na drobne kawałki. Struga krwi spływała po pancerzu czołgu, gdy ciało zabitego zsuwało się w dół, prosto pod gaśnicę. Upuszczony granat wybuchł obok zabitego.

– Piekło i demony! – zawołał Mały. – Czy gaśnica jest rozwalona?

Zatrzasnąłem właz wieży. Miałem już dosyć świeżego powietrza.

Stary wezwał przez radio Barcelonę i kazał mu wyciągnąć nas z czołgowej pułapki. Holowanie czołgu przez czołg jest faktycznie zabronione, bo nadmierne obciążanie silników Maybacha niszczy je. Ale często to robiliśmy w sytuacjach krytycznych, chociaż wielokrotnie oznaczało to zniszczenie holującego czołgu. Ten rozkaz dotyczył wszystkich typów czołgów, ale ciężko było go przestrzegać. To była masakra dla silnika, co powodowało, że kolejny czołg mógł być spisany na straty.

– Czyja kolej na spacer? – spytał z krzywym uśmiechem Stary.

– Żołnierz Adolfa i Sven – złośliwie syknął Porta.

– Na zewnątrz! Przygotować liny holownicze! – rozkazał szorstko Stary.

– To jest ostatni raz! – protestował obrażony Julius.

– Czego płaczesz? – spytał Mały z niewinnym uśmiechem. – Dajemy ci szansę, abyś poległ bohaterską śmiercią. Wyjdź na zewnątrz i załatw to z Iwanem.

– Jesteśmy – rozległ się w głośnikach głos Barcelony. – Ruszcie dupy i załóżcie liny, bo nasi przeciwnicy już lecą ze swoimi pukawkami.

– Przekaż od nas znak pokoju szerokodupnym Ruskim – powiedział Porta, gdy Heide wychodził z czołgu przez właz desantowy.

Rzuciłem się pomiędzy gąsienice czołgu, gdy ziemię obok mnie przeorywała seria pocisków.

– Zabieraj paluchy, ty diable! – darł się Porta nerwowo z wieżyczki. – Zedrę sobie gardło, nim zobaczę, że coś robicie.

– Zamknij się ty głupku! – warknął wściekły Julius. – Lepiej byś nam pomógł. Wiesz jakie te liny są sztywne!

Cali pokryci potem, z rękami pościeranymi do krwi, w końcu byliśmy w stanie założyć pętle liny na haki.

– Ciągnąć! – krzyknął z furją Heide.

Wydałem krótki okrzyk, gdy za moimi plecami wylądował granat. Z niesamowitym refleksem odkopnąłem go jak najdalej. Wylądował w pobliżu jakiegoś kaprała, którego posłał w powietrze.

– Co tam jeszcze robisz na dole? – szydził Porta, wystawiając głowę przez właz.

– Chyba widzisz, że do nas strzelają? – krzyknąłem wściekły na niego.

– A czego się spodziewałeś? – wybuchnął śmiechem. – Chyba wreszcie zauważyłeś, że jesteśmy na wojnie?

Silnik zawył i w wydechach pojawiły się strumienie ognia, gaśnice wyrywały z podłoża ogromne kawały ziemi.

– Wynoś się stamtąd na miłość Boską! – krzyczał Barcelona ostrzegawczo, wychylając się z wieżyczki. – Chcesz, żebyśmy sprasowali ci jajka, ty leniwy żółwiu!

Ledwo wydostałem się spomiędzy czołgów, ale zgubiłem mój pistolet maszynowy.

– Zapłacisz za to! – zawył Julius, głosem podoficera. – Zwrócisz za to każdego feniga z własnego żołdu!

– Ty tępy łbie! – krzyknąłem do niego, chowając się przed ostrzałem Rosjan.

– Rozepnijcie liny – powiedział tonem wyższości Barcelona, gdy czołg został wyciągnięty z dołu.

– Jaka pogoda na zewnątrz? – spytał Porta, gdy wciskaliśmy się z powrotem do czołu przez włazy. – Czy sąsiedzi mają nowe kawały?

Nie raczyliśmy odpowiedzieć na jego zaczepki.

Późnym popołudniem cały pułk zalegał w zorganizowanej pułapce ogniowej na skraju lasu. Długie lufy wystawione były na drogę Charków – Kijów, która przez Orzeł prowadziła do Moskwy. Wielu z nas wątpiło, czy dojdziemy tak daleko. W naszej sekcji wierzył w to tylko Heide, ale jego wiara była na tyle silna, że niemal niosła nas za nim.

Od strony rzeki szła nawała ogniowa, która zmiatała z powierzchni wielkie pola kukurydzy i słoneczników. Katusze posyłały setki kilogramów stali i ładunków wybuchowych na niemieckie pozycje. Obserwowaliśmy fascynujące widowisko, jak z mgły wyłaniają się kolejne rakiety i eksplodują tuż nad powierzchnią ziemi. Przypominało to stare lampy gazowe, które wyglądają, jakby miały zaraz zgasnąć, po czym wybuchają, jasnym, radosnym płomieniem.

Na pobliskim szczycie płonęły ruiny domu. Musiała to być rezydencja jakiegoś dygnitarza. Całe wzgórze pokryte było artystycznie zaplanowanymi klombami kwiatowymi. Wyglądały fantastycznie na tle strzelających płomieni.



W dali dogorywała – drewniana wioska. Wydawało się, że trawiące ją płomienie sięgają nieba.

Nieco bliżej, nad brzegiem rzeki z ruskiego T-34 i naszego PzKpfw IV wydostawały się kłęby, gęstego, czarnego, aksamitnego dymu.

Została nakazana cisza radiowa i wokół nas zapanowała, dziwna, na pozór spokojna atmosfera. Wszędzie stały ogołoczone z gałęzi pnie drzew, wyglądające jak śpiący strażnicy. Na stacji kolejowej, a raczej w jej ruinach, stały zniszczone pociskami lokomotywy i popalone wagony. Widać, że personel do ostatniej chwili próbował ocalić składy pociągów, bo wszędzie leżały ciała pozabijanych żołnierzy i kolejarzy. Na pewno zostali zaskoczeni.

Stara kobieta przedzierała się przez ruiny, które kiedyś były pewnie jej wsią. Nagle rozległ się suchy trzask wystrzału. Staruszka upadła, podczołgała się kawałek, po czym stoczyła się do leja po pocisku jak kłębek szmat.

– Dlaczego jej to zrobili? – westchnął smutno Porta. – Cieszcie się życiem chłopcy, póki możecie, bo łatwo je stracić!

– Ciekawe, co myślał ten gość, który do niej strzelał? – zainteresował się Mały. – Czy nie pomyślał, że to strata czasu?

– Zrobił to tak szybko, że nawet się nie zastanawiał, co robi – stwierdził Stary. – Poza tym, nim ta kobiecina zorientowała się, co się dzieje, było już po wszystkim.

– Nieprawda, niektórzy trafieni jeszcze długo żyją –

stwierdził Mały w zadumie.

– Tak, masz rację – przyznał Stary, nie chcąc ciągnąć tej rozmowy.

Rozgrzane do czerwoności pociski strumieniami przecinały niebo po drugiej stronie rzeki. Spadały w ruiny, pełne pustych otworów okiennych. Niemieckie działa odpowiadały od strony lasu. Całe niebo pokryte było kobiercem ognia. Powietrze wypełniał teraz jęk i skowyt przelatujących pocisków, jakby tysiące demonów chciało nawiedzić ziemię. Wielki gmach NKWD w Styrcie wyglądał jak góra ognia. Cała seria rakiet trafiła prosto w dach. Wybuch wyrzucił kawałki dachówek aż na drugą stronę rzeki. Gruby na metr mur więzienia zapadł się, pokrywając chmurami pyłu i gruzu cały Plac Proletariatu. Mogliśmy zobaczyć dzięki temu długie rzędy wąskich cel więziennych.

– Jezus, Maria! – krzyknął Mały – to jest cholerne, prawdziwe więzienie!

– O tym marzy ptaszek więzienny z długim wyrokiem w swoich smutnych snach – powiedział Porta, biorąc papierosa od Legionisty. – Jest coś niesamowitego w tej całej sytuacji, gdy naokoło biegają bandy szaleńców w mundurach, a taki lokal stoi pusty i jest przez nich ostrzeliwany.

– Spójrzcie w górę – zmienił cicho temat Stary i podłożył sobie ręce pod głowę. – Na niebie jest tyle gwiazd, że trudno w to uwierzyć.

Leżeliśmy rozciągnięci na mokrej od rosy trawie i

cieszyliśmy się tą letnią nocą. Rzeka błyszczała i rzucała refleksy światła jak kryształki z naszyjnika.

Gdzieś daleko za rzeką grzmiała rosyjska artyleria. Pociski przelatywały ponad naszymi głowami z odgłosem pociągu towarowego przejeżdżającego przez stalowy most. Nagle światło gwiazd znikło, bo zaćmiła je flara magnezjowa na spadochronie. Blade światło zmieniło okolicę w ponury dzień.

Wszystko było widoczne. Ruiny, ciała, zniszczone pociągi, rozbite czołgi, poskręcane działa, pokieroszowana okolica, wszystko było oświetlone trupim światłem. Blade światło ukazało szczeliny i zakątki, w których mogła czaić się śmierć. Wydawało się, że flary wiszą na niebie całą wieczność. Ich światło jak biała krew skapywała na ruiny i brzeg rzeki, które błyszczały jak szkło, zimnym blaskiem. Chwilę po tym, jak paskudna poświata znikła, na niebie pojawiły się gwiazdy. Wstaliśmy ostrożnie i patrzyliśmy nerwowo i w napięciu, na skały i drzewa, za którymi mogła czekać śmierć.

Działa zaczęły ponownie strzelać, a wystrzały tysięcznym echem odbijały się od brzegów rzeki. Wybuchy migały wszystkimi możliwymi kolorami. Śmierdzący dym z płonących czołgów nabrał czerwono – fioletowego odcienia. Gdzieś czekał karabin maszynowy, posyłając w ciemność koraliki pocisków świetlnych. Znowu flary na niebie! Żołnierze rzucają się na ziemię, chowając twarze w zroszonej trawie.

Płonęły pola kukurydzy. Skrzypienie i trzeszczenie

pękających pod wpływem żaru kolb tych roślin przebijało się przez zasłonę ciemności. Trawa była mokra od nocnej rosy, ale kompletnie nie zważaliśmy na to. Zmęczeni, leżeliśmy rozciągnięci na ziemi obok czołgów i myśleliśmy o jednym. Spać przez sto godzin.

Trzydzieści sześć Tygrysów stało na skraju lasu, jako pozostałość dwóch batalionów czołgów, które uciekły z piekła stali i ognia. Każdy czołg był czarny od dymu i sadzy, a żółto – zielone maskowanie było porysowane i pełne pęcherzy od żaru. Osłony gąsienic w prawie wszystkich pojazdach były pourywane. Wszędzie było widać dziury i wgłębienia, po pociskach, które nie zdołały przebić pancerza. Szerokie bojowe gąsienice oblepione są błotem powstałym z ziemi, ciał i krwi zmiażdżonych żołnierzy. Kawałki ludzi i zwierząt zwisają z każdej ruchomej części trakcji jezdnej. Do tego już się przyzwyczailiśmy. Ale smród jest nie do zniesienia, przenika przez nasze mundury aż do skóry. Stary twierdzi, że pozostanie na nas do końca życia.

Z głośnym trzepotem skrzydeł przeleciały obok nas kuropatwy. Porta i Albert ruszyli za nimi jak psy myśliwskie. Albert zrezygnował pierwszy, ale Porta ścigał ptaki aż do brzegu rzeki i dopiero powstrzymała go woda. Patrzył za nimi rozczarowany i otwierał rozmarzony szczękę.

– Pomyślcie, te diabły siedziały tuż przed nami cały czas i tylko czekały, aby dostać się na patelnię. A ja ich nie widziałem – mówił płaczliwym głosem, ledwo kryjąc

zawód.

– A przy okazji, czy znacie takie peruwiańskie danie zwane kuropatwa w kryjówce? – spytał, oblizując usta. – Najpierw trzeba oczywiście złapać tego ptaszka. Potem ostrożnie skrócić kark. Następnie dokładnie wypatroszyć i przeciąć ostrym nożem na dwie części. Trzeba pokroić drobno pięć cebulek. Dwie papryki o komunistycznej czerwieni należy pociąć na cienkie, równe paski, posiekać dwa selery. Trzy ząbki czosnku są absolutnie niezbędne. Podrobić liść laurowy. Na koniec nie wolno zapomnieć na Przeczystą Panienkę o soli i pietruszce. Połowę tego należy podsmażyć na lekko rozgrzanej patelni, a na szczycie umieścić połówki kuropatwy, z kawałkami tłuszczu oczywiście. Wszystko to trzeba przykryć. Resztę zieleniny zmieszać i lekko podgotować w marynacie. Potem trzeba wziąć trzy łyżki stołowe oliwy z oliwek. Nie wolno do tego używać masła albo oleju tłoczonego! To mogłoby przestraszyć kuropatwę, która mogłaby uciec.

Przerwał na chwilę, aby śledzić na niebie tor lotu wyjącego pocisku.

– Teraz bierzemy ocet teragonowy, trochę białego wina, białego pieprzu tyle, ile zmieści się na czubku noża i łyżkę stołową pieprzu chili. Na honor diabła, sok z cytryny trzeba wycisnąć do ostatniej kropli. Całą tę mieszaninę wylewamy na drób leżący na patelni. Trzymamy na ogniu, aż zrobi się miękki. Potem musimy wszystko ostudzić. Istotą rzeczy, rozumiecie, jest podanie tej potrawy na zimno.

– O rany! Zamknij się! – jęknął Mały, wyławiając kawałek czerstwego chleba z serem z kieszeni. – Człowiek robi się coraz głodniejszy, słuchając ciebie.

– To oczywiste dla mnie, gdy widzę jak przeżuwasz tę antyczną kanapkę – roześmiał się szeroko Porta – Powraca mi w pamięci takie marokańskie danie, zwane „chlebek kokosowy”. Trzeba najpierw ukraść dwa bochenki białego chleba, w czasie, gdy piekarz zagada się a z jakąś panienką. Oblać je śmietaną i obtoczyć w mące kokosowej, którą też można ukraść temu samemu, lubiącemu cipki piekarzowi. Potem wystarczy opiec delikatnie na rozgrzanych węglach. Powinien być podawany na ciepło ze zmrożonymi owocami lub kompotem morelowym, ja wolę jednak wiśnie. Smakosze marokańscy zjadają trzy lub cztery jego kromki, nim zdejmą swoje bufoniaste spodnie i udadzą się do haremu.

– Jeszcze jedno słowo – ostrzegł go Barcelona, wyciągając pistolet – i będzie to twoje ostatnie. Odstrzele ci mózg, więc pomóż mi i zamknij się!

– Albert, który pochodzi z jeszcze dzikszych rejonów, powinien prawdopodobnie znać indyjskie danie, znane jako słodkie kluski – ciągnął Porta, nie zwracając uwagi na groźby Barcelony. – Dostałem przepis na nie od udomowionego dzikusa, który prowadził kuchnię dla kanibali w Berlinie.

– Widzę ciągle te grzyby, obok których przejeżdżaliśmy rano – odezwał się z ciemności Mały.

– Grzyby – westchnął Porta, mlaskając ustami.

– Jeśli trochę ich znajdziesz, możesz przygotować chińskie „śpiewające grzyby”. Recepturę dostałem od jednego chińskiego majora, który wizytował nasz składy amunicyjne w Bambergu. Objaśniałem mu, jak działają te wszystkie wybuchowe puszki, ale musiały wkraść się jakieś błędy językowe albo zwykłe nieporozumienie, bo gość wysadził się w Chinach razem z dwoma podkomendnymi. Tak czy inaczej, dostałem od niego ten przepis, zanim wyleciał w powietrze. Podaje się z mięsem lub rybą. Źródłem dodatkowej rozkoszy może być gotowany ryż...

– Wsadźcie mu perukę w gębę – zawył Gregor.

– Ten szaleniec jest w stanie nas ogłupić!

Tuż przed świtem cała dywizja ruszyła na front. Prawie dwieście sześćdziesiąt czołgów, razem z Tygrysami, jadącymi na czele. Przed nami rozciągała się szeroka droga. Z hukiem mijaliśmy radzieckie oddziały, które zaskoczone, obserwowały nas w bezruchu. Z chrzęstem i grzechotem gąsienic przejechaliśmy przez wioskę, pozostawiając za nami kłęby kurzu i dymu. Posyłaliśmy czasami w trakcie jazdy krótkie serie z broni maszynowej w stronę uciekających żołnierzy wroga.

– Co to jest do diabła? – krzyknął Porta, wyhamowując ciężkiego Tygrysa przez mostem.

Cała droga przed nami zapełniona była zwierzętami. Tysiącami owiec. Przeciskały się pomiędzy czołgami tak, że wydawało się, iż wyłamią barierki na moście.

Z radia rozległ się nerwowy głos.

– Dowódca kompanii do drugiej sekcji! Z jakiego powodu zatrzymaliście się Beier! Ruszać się! Ruszać! Na moje piękne oczy! Pod żadnym pozorem nie wolno się zatrzymywać! Jak często mam to powtarzać!

– Ale panie poruczniku – próbował protestować Stary.

– Nie chcę słyszeć żadnego słowa! – darł się histerycznie Löwe. – Naprzód! Macie się przetoczyć po wszystkim, co stanie wam na drodze! Może mam to popakować w kartony? Zatrzymasz się raz jeszcze i jesteś przed sądem wojennym! Koniec wiadomości!

– Druga sekcja! Marsz! – rozkazał ostro Stary.

– Och nie! – jęczał w desperacji Porta. – Tyle ślicznego jedzonka! Mam wspaniałą przepis na udziec jagnięcy w koniaku z nasionami kopru. Przeznaczony dla ludzi z mocnym żołądkiem. Mówiono mi, że wzmacnia bardzo potencję seksualną. Pomyślmy o tym przed wizytą w burdelu.

– Zamknij się i jedź! – rozkazał rozzłoszczony Stary, schodząc z wieżyczki.

– Co za hańba – oponował Porta – ale to twój wybór.

Do tej pory nie wiedzieliśmy, że owce i kozy potrafią krzyczeć. Teraz to odkryliśmy. To było jak krzyk przerażonych dzieci.

Most i droga zamieniły się błyskawicznie w rzeźnię pełną parującej krwi, mięsa i kości. Wszędzie fruwały strzępy powyrywanej sierści, a my musieliśmy przebijać się przez stłoczone stada zwierząt. Ledwo się od nich uwolniliśmy, a dogoniliśmy kolumnę uchodźców, którzy



z krzykiem i płaczem posuwali się przed nami. Niestety blokowali całą szerokość drogi.

– Przyjdź śmierci, przyjdź – nucił smętnie Legionista przez radio.

– Co teraz? – spytał Porta. – Nie dam rady ich objechać, bo wokół bagna. Zjedziemy tylko trochę z drogi i zaraz znajdziemy się po drugiej stronie życia.

Odpowiedzią na jego pytanie był skrzek płynący z radia.

– Naprzód! Przejechać przez nich! Załoga, która się zatrzyma, wyląduje przed sądem wojennym!

– Czołgi naprzód! Druga sekcja za mną! – rozkazał Stary i bezradnie opuścił ręce na pancerz wieżyczki.

Cywile uciekali prosto na bagna. Na widok naszych kolosów, mały chłopiec rzucił w naszą stronę rower. To głupi i desperacki sposób, aby zatrzymać wielkiego Tygrysa.

Wózki z małymi dziećmi, inwalidzi, wszystko pozostawialiśmy własnemu losowi.

Ci, którzy uszli przed chrzęstem gąsienic, wpadali w objęcia bagna. Ostatnia rzecz, jaką widzieliśmy, to ręce wyciągnięte w naszą stronę i błagające ratunku przed wciągnięciem w śmiertelną maź. Potem już tylko krótki bulgot i śmierć.

– To normalne morderstwo – jęczał przerażony Stary.

Z bocznej drogi nadjechała radziecka eskorta motocyklowa, trąbiąc ile mocy w klaksonach. Motocykliści pilotowali traktory, które ciągnęły

nowiutkie haubice.

Żołnierze NKWD z przewieszonymi przez piersi automatami dawali nam znaki, aby się zatrzymać. Odkryli za późno, że nasze Tygrysy należą do konkurencji i dlatego się nie zatrzymywaliśmy.

Komisarz, który zeskoczył z siodła motocyklu i nadal machał rozpaczliwie rękami, został podziurawiony jak sito.

– Wróg, cel przed nami! – krzyknął Stary. – Ładuj podkalibrowym! Zasięg 350 metrów, stop! Ognia!

Ciężkie ciągniki artyleryjskie dosłownie rozpadały się na kawałki. Eskorta motocyklowa umknęła do lasu, kryjąc się za grubymi pniami drzew.

Podmuch wybuchu rzucił na wieżyczkę naszego czołgu ciało radzieckiego podoficera. Potem zsunęło się ono na pokrywę silnika, w okolice rur wydechowych. Tłuszcz ze zwłok zaczął się wytapiać i zapalił się małymi, iskrzącymi płomieniami. Śwąd spalenizny dostał się do wnętrza czołgu i wywoływał u nas wymioty.

Słońce już wstało. Cała okolica była skąpana w letnich, ciepłych promieniach światła. Otwieraliśmy włazy, aby zaczerpnąć świeżego, orzeźwiającego powietrza i natychmiast zapominaliśmy o wojnie. Patrzyliśmy jak nisko nad drogą przelatywało głośno stadko bażantów.

– Święta Mario! – krzyknął Porta, odprowadzając wzrokiem ptaki, jak głodny lis. – Gdybyśmy złapali paru tych koleśków, to zaserwowałbym wam „Bażanta a la Hannibal”. Wszystko co potrzeba poza ptakami to kilka

lasek cynamonu, garść suszonych moreli, wiśnie, trochę szafranu, goździki i posiekane grzyby. A na końcu szklanka białego wina i łyżka stołowa cukru. Może też być szpik z kości cielecej, jeśli nie ma pod ręką nic innego.

– Czy już skończyłeś ty sprośna świni? – ryknął Stary, rzucając w niego pustą łuską po pocisku.

Duży transporter piechoty wyleciał z drogi z pełną prędkością, obrócił się i wylądował na boku. Żołnierze wypadali z niego wzdłuż drogi, jak ziemniaki z dziurawego worka.

Barcelona próbował zahamować swój czołg. Ale 68 ton stali ślizgało się po drodze, pomimo zablokowanych gąsienic. Czołg zgniatał leżących na drodze żołnierzy, robiąc potem ze stojącej ciężarówki stertę złomu, aż wyhamował na przewróconym transporterze.

– Co jest do diabła! – krzyczał przestraszony Porta, próbując ocenić sytuację przez szczelinę obserwacyjną.

– Mają miotacze płomieni – jęknął Stary. – No, to nam się dostanie!

Czołg Barcelony był już w środku piekła, zaś Legionisty kilka metrów za nim. Chyba ze sto miotaczy płomieni strzelało na drogę, zamieniając ją we wrzące wnętrze pieca. Farba maskująca na naszych czołgach zamieniała się w wielkie bąble, które pękały z sykiem i odpadały od pancerza. Powietrze było tak gorące, że prawie wypalało nam płuca i gardła.

– Nic nie widzę w tym syfie! – krzyczał Porta,

wylewając na głowę cały zapas wody.

– Naprzód! – darł się przez radio dowódca kompanii. – Jeśli się zatrzymamy, jesteśmy zgubieni!

– Wyłącz wspomaganie! – krzyknął Stary. – wtedy będziemy potrzebować mniej tlenu!

– Nie ucz ojca dzieci robić – warknął Porta. – Pilnuj, kiedy wyjedziemy z tego piekła, a silnik zostaw mnie! Ja jestem głównym mechanikiem na tym okręcie!

Wreszcie wyjechaliśmy poza strefę ognia. Nie troszcząc się o to, co się dzieje na zewnątrz, otwieraliśmy wszystkie włazy, aby wpuścić choć trochę powietrza.

– No, to teraz wiemy, co to znaczy być podsmażonym – jęknął szorstko Porta, przecierając spoconą twarz wilgotną szmatą.

– Naprzód, pełna prędkość! – krzyczał w głośniku dowódca kompanii. – Nie zatrzymywać się!

Kompania toczyła się przez wieś, nie zważając na ogień rozpaczliwie broniącej się piechoty. Za skrajem zabudowań zaczynało się bezkresne pole słoneczników. Wypuszczając strumienie ognia z rur wydechowych, skierowaliśmy się w stronę miejskiego targowiska, po którym beztrąsko przechadzali się radzieccy żołnierze. Łazili w polowych mundurach jakby wokoło nie było wojny!

Przed budynkiem wyglądającym jak pałac, kilka oddziałów ćwiczyło musztrę. Uczyli się salutowania w trakcie marszu. Szli gęsiego obok grupy podoficerów. Podnosili zamasyżycie ręce do czapek i machali wysoko

nogami, jak to mają w zwyczaju nowi rekruci.

Cała kompania zatrzymała się. Ustawiliśmy wieże czołgów tak, aby móc odeprzeć atak z każdej strony. Rosjanie patrzyli na nas, jakbyśmy spadli z nieba. Jeden z żołnierzy cały czas maszerował, bo podoficerowie nie wydali mu rozkazu, aby się zatrzymał. Gdyby nie mur, prawdopodobnie przemaszerowałyby całą Rosję i Chiny, a potem przez Pacyfik i Amerykę dotarłyby z powrotem na miejsce. Przez otwarte okno wychylił się oficer z szerokimi pagonami i coś bezmyślnie wykrzykiwał.

Byliśmy tak samo zaskoczeni jak Rosjanie. Nikt nie strzelał. Nawet chude kury stały spokojnie, wyciągając ciekawie szyje.

Z pałacyku wyszła grupka oficerów. Na środku dziedzińca, tuż u podstaw pomnika upamiętniającego pierwszą wojnę światową, który sterczał jak kamienny palec wskazujący niebo, leżała sterta różnorodnego uzbrojenia Rosjanin, generał-porucznik, dowódca rezerwowego korpusu pancernego został wzięty przez naszą sekcję do niewoli. W jego ślady poszedł cały sztab. Bez jednego wystrzału!

– Co my u diabła z nimi zrobimy? – spytał przejęty Porta. – Jak oprzytomnieją, to wszyscy będziemy czarni jak Albert, nim się zorientujemy, co się dzieje!

– Postrzelajmy trochę do nich – zaproponował Mały. – Rozbiegną się i uwolnimy się od nich. Generał z tym całym sztabem może narobić nam problemów.

Nim Stary podjął jakąś decyzję, na dziedzińcu pojawił

się porucznik Löwe z czołówką 5. Kompanii.

– Dlaczego się zatrzymałeś Beier? – zaczął się wydzierać oficer, biały z wściekłości. – przecież wydałem rozkaz, aby się nie zatrzymywać. Chcesz spędzić resztę życia w Germersheim?

– Pragnę zameldować, że 2. Sekcja wzięła do niewoli generała, dowódcę korpusu i jego sztab.

– Co zrobiliście? – spytał się porucznik, po raz pierwszy rozglądając się dookoła.

Kłapa wjazdu w czołgu dowódcy odskoczyła i Löwe wyskoczył z wieżyczki, poprawiając poplamiony olejem mundur. Na głowie miał czapkę z odznakami pułkowymi. Sztywno zasalutował radzieckiemu generałowi, który odwzajemnił się tym samym. Podali sobie ręce i zachowywali się wobec siebie bardzo przyzwoicie.

– No, to już cię mamy – szczerknął Porta, wskazując ręką w stronę oficerów gromadzących się na szerokim tarasie. – To jest jeden wielki brudny klan. Same palanty ze świecidełkami! O nas biedakach zupełnie zapomnieli. Löwe dostanie coś ładnego na szyję, za to, że się zatrzymał, a nam za to samo chciał sprzedać kopa!

Chwilę później na dziedziniec zajechał sztab pułku. Potem pułkownik Hinka przywitał się z generałem, a parę minut później 5. Kompania gnała dalej na złamanie karku.

– A gdzie się podzieli nasi gospodarze? – dziwił się Porta, gdy przez parę godzinie mogliśmy spotkać radzieckich oddziałów.

– Iwany poszły do domu. Chyba mają dosyć tej

cholery wojny – wyrokował optymistycznie Mały.

Gdy zatrzymaliśmy się na szczycie wzgórza, aby sprawdzić poziom oleju, zobaczyliśmy, że otacza nas ocean zielonych lasów. Ten olej to jedna ze słabości Tygrysa. Gdy jego poziom jest za niski, silnik tak się rozgrzewa, że może się sam zapalić.

Im bardziej zagłębialiśmy się w bezkresne lasy, tym bardziej cichły beztroskie rozmowy. Nawet Porta zamilkł. W opuszczonym przez Rosjan składzie uzupełniliśmy paliwo.

Przycisnąłem oczy do gumowej obudowy okularu peryskopu, aby wyszukać miejsce, gdzie mogłoby się czaić rosyjskie działo przeciwpancerne. Nasłuchiwałem odgłosów strzałów. Głęboka cisza trochę uspokajała rozchwiane nerwy.

Porta zwiększył trochę obroty silnika, jakby testując jego moc. Przemykaliśmy się pomiędzy lejami po wybuchach i wrakami pojazdów. Wzdłuż drogi leżały zwłoki żołnierzy i cywilów. Napuchnięte ciała pokryte były milionami niebieskich, tłustych much. Ich brzęczenie zagłuszał tylko huk naszych silników.

Legionista, którego czołg poruszał się na czele naszego pododdziału, szczęśliwie dla reszty zauważył barierę obronną, wyposażoną w nowego rodzaju radzieckie działa przeciwlotnicze, które mogą być użyte jako bardzo skuteczna broń przeciwpancerna. Z odległości 300 metrów są śmiertelnym wrogiem dla naszych Tygrysów. Na tym dystansie ich pociski przechodzą przez nasz

dziesięciocentymetrowy pancerz czołowy jak nóż przez masło.

Stary rozkazał nam się zatrzymać i oglądał dokładnie przy pomocy lornetki zamaskowaną przeszkodę na drodze.

– Dalszy marsz jest niemożliwy – meldował przez radio.

– Jeźdźcie naokoło do odnogi rzeki i przekroczcie ją – dotarło do nas nowe polecenie.

Ruszyliśmy przez las, zatrzymując się na chwilę przy jezioru, na tyle dużym, aby nazwać je można było morzem.

– Uszczelnić włazy – rozkazał Stary. – Naprzód nury!

Jeden przy drugim, czołgi wjeżdżały do jeziora. Tygrys może wjechać w wodę głęboką i zanurzyć się trzy metry poniżej jej poziomu. Ale zawsze wykazywaliśmy dużą nerwowość, gdy byliśmy w nieznanym terenie.

Taki ciężki czołg mógł bardzo łatwo utknąć w mule dennym. Nim dotrze do niego ekipa ratunkowa, załoga może się udusić z powodu braku tlenu.

– Do diabła! To jezioro jest naprawdę mokre – narzekał Porta, podnosząc z drzeniem rękę.

– Spójrzcie, na zewnątrz – powiedział Mały nie odrywając oczu od peryskopu. – Wokół nas pływają śledzie.

– Jeśli zatrzymamy się na chwilę – zaproponował Porta – to moglibyśmy nazbierać trochę muszli. Wtedy zrobiłbym wam „małże a la Normandia”. Łatwo



znajdziemy cebulkę i posiekamy ją razem z natką pietruszki i trybulkę...

Stary już nie wytrzymał, wyciągnął pistolet i przyłożył Porcie do karku.

– Jeszcze jedno słowo, ty gaduło i twój cholerny berliński łeb rozpryśnie się po suficie.

– Ty nigdy nie będziesz smakoszem, bardzo mnie to martwi – westchnął pogardliwie Porta.

– Bardzo mi przypominasz Kamphaltera, który żył w ogrodzie różanym niedaleko Paderbornu...

– Zamknij się! – ryknął dziko Stary.

Przerwało mu dźwięczący, metaliczny odgłos.

Rzuciło nas wszystkich na instrumenty i oprzyrządowanie.

– Co to jest? – spytał zaszokowany Stary, rozcierając guza na czole, po tym, jak uderzył w krawędź wieżyczki.

– Wielki ateistyczny komunista rzucił skałę na naszą drogę – powiedział Porta, pociągając potężny łyk wody z butelki.

– Damy radę to objechać? – spytał się nerwowo Stary.

– Dno naokoło jest miękkie jak krowie gówno.

– Przestań srać w gacie, które dał ci Adolf – powiedział wkurzony Porta.

Obrócił czołg, co podniosło muł z dna, tak że zupełnie nic nie widzieliśmy. Jechaliśmy przez jakiś czas, który wydawał się nam wiecznością. Długo szukaliśmy łagodnego podejścia, które pozwoliłoby wyjechać czołgowi na suchy ląd. Wreszcie poczuliśmy twardszy

grunt pod gąsienicami i mogliśmy jechać dalej.

Niedaleko rozjazdu, na którym cztery drogi spotykały się z drogą do Charkowa, stała uformowana w linię kompania T-34. Otworzyliśmy do nich ogień dosłownie z 15 metrów. Zamieniały się natychmiast w płonące wraki.

Zaatakowało nas kilka eskadr bombowców nurkujących. Bomby eksplodowały na szczęście daleko w stepie z obrzydliwym, mulistym pluskiem, nie czyniąc żadnej szkody. Nigdzie nie napotykaliliśmy poważnego oporu, więc posuwaliśmy się szybko do przodu. Wreszcie ukazała się przed nami srebrna wstęga rzeki. Po jej powierzchni poruszała się cała masa niewielkich łódek. Napęczniałe ciała płynęły z prądem rzeki, a gromady ptaków przyglądały się im z zaciekawieniem.

Za nami zaczęły spadać pociski i wyrywały z ziemi spore pnie drzew.

– Druga sekcja nad rzeką – zameldował przez radio Stary.

– Przekroczyć! – padła krótka odpowiedź.

– Druga sekcja za mną! – rozkazał Stary i wskazał ręką drogę do mostu pozostałym czołgom.

Dwójka rosyjskich myśliwców bombardujących przeleciała tuż na koronami drzew i ostrzelała drogę nad rzekę seriami pocisków z działek automatycznych. Spoza płonącego nad rzeką kołchozu wyłaniały się liczne grupy radzieckich żołnierzy. Stada przerażonych ze strachu świń biegły przed nimi, aby trafić w morze płomieni. Żołnierze jak i cywile podnosili wysoko ręce, pokazując, że nie

mają broni. Apatycznie brnęli szerokim mulistym strumieniem w naszym kierunku jak wielki wąż. Ci, którzy byli na przedzie, próbowali zwolnić, ale popychani musieli poddać się naciskowi tylnych szeregów.

Siadali wokół czołgów i zmrużonymi oczami obserwowali nasze wozy. Czekali z napięciem, na to co się z nimi stanie.

– Co mamy na niebiosa z nimi zrobić? – dopytywał się Stary patrząc na otaczający nas tłum w atmosferze bezradności.

– Są nieuzbrojeni – powiedział Heide, nerwowo stukając w przedni kaem.

– Jak się chcesz o tym przekonać? – mruknął Porta z powątpiewaniem.

– Co mamy zrobić z taką masą ludzi? – pytał nerwowo Barcelona przez radio. – Przecież taki tłum mógłby ukraść nas razem z czołgami i uciec.

– Uspokój się – rozkazał Stary. – Przede wszystkim trzymajcie ich z daleka od czołgów. Jedna mina magnetyczna może załatwić niezłą jatkę.

– Śmierdzące gówna! Zera! – warczał Heide, urażony w swym żołnierskim honorze. – Przecież u nich to zbrodnia poddać się wrogowi!

– Tak, ci goście chyba niespecjalnie przejmują się naczelną ideą przysięgi: Śmierć za ojczyznę jest słodka i szlachetna – zaśmiał się kpiąco Porta.

– *Dulce et decorum est pro patria mori* – zacytował Heide z patosem.

Nad poddającymi się żołnierzami pojawił się antyczny „młynek do kawy”. Był tak nisko, że widzieliśmy jak pilot wygraża swoim rodakom pięścią. Potem wzniósł się w powietrze i odleciał. Po chwili jego aeroplan był nie większy niż ćma.

Kilka minut później usłyszeliśmy nadlatujący grzmot i salwa pocisków eksplodowała pośród zgromadzonych ludzi, wrzucając sporą ich część do rzeki.

Przez pole słoneczników nacierała w naszą stronę szerokim klinem formacja KW-2 i T-34. Ich karabiny maszynowe zaczęły ostrzeliwać bezbronny tłum. Zabrzmiały działa i ukazały się gejzery wybuchów. Po chwili na ziemię spadł deszcz ludzkich szczątków. Nie wolno poddawać się wrogowi!

– Zmiażdżmy tych wszawych morderców! – krzyczał z furją Porta – Brudne, zgniłe sukinsyny!

– Sekcja druga, strzelać bez rozkazu! – zakomenderował Stary.

– Przeciwpancernym! – krzyczę i zamek działa zamyka się.

Pocisk orze pancierz najbliższego KW-2 i urywa mu wieżyczkę.

– Przyjdź śmierci, przyjdź – dochodzi do nas przez radio piosenka Legionisty.

Jeden z PzKpfw III rozpada się na części, dwa PzKpfw IV spotyka ten sam los. Dowódcy rosyjskich czołgów są na tyle mądrzy, że koncentrują ogień na lekkich i średnich czołgach, z którymi mają szansę wyrównanej walki.

Nasz czołg wypełniają trujące opary dymu. Na czarnych twarzach widoczne są tylko zęby i usta.

Coraz więcej czołgów przejeżdża przez ogarnięty paniką tłum. Wojna jest świętem triumfującej orgii, a człowieczeństwo staje się farsą. W płonących pojazdach eksploduje amunicja, wieżyczki czołgowe, ważące tony, latają w powietrzu, po czym spadają na ziemię z miażdżącą mocą.

Od strony słońca pojawiają się samoloty szturmowe i posyłają syczące rakiety, które w locie tańczą morderczą sarabandę, by następnie uderzyć w pole walki.

Za samolotami szturmowymi pojawiają się Jaki i Me-110, siejąc po niebie pociskami z karabinów maszynowych i działek. Bombowce nurkujące i szturmowce znikają w panice. Wielu z nich ta ucieczka się nie uda i spadną jak płonące komety pomiędzy walczące czołgi.

W krótkim czasie zgromadzony wokół nas tłum ludzi zostaje zredukowany do drgającej, krwawej masy, młóconej pociskami i gąsienicami czołgów.

– Wieża na godzinę trzecią! T-34! – rozkazał szybko Stary.

Obracam wieżyczkę błyskawicznie i już mam w celowniku nieprzyjacielski czołg. Widzę, jak trafia go pocisk za pociskiem, ale zielone monstrum, ku mojemu zdziwieniu jedzie dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Działo załadowane! Gotowe! – powtarza mechanicznie Mały, trzymając w rękach kolejny pocisk

przeciwpancerny z czarnym szpicem.

Stal dźwięczy o stal. Tylko zgrzyt i grzechot. Otacza nas dym, który we wnętrzu pojazdu tworzy nam prawdziwe piekło.

Kolejny pocisk uderza w T-34 i z jego wieżyczki wystrzeliwuje długi jezor ognia. Trzech ludzi z czteroosobowej załogi płonącego czołgu wyskakuje na zewnątrz, na jednym z nich płonie kombinezon.

Heide posyła za uciekającymi morderczą serię z karabinu maszynowego, ale jest za krótka. Tylko niewielkie fontanny wyrwanej ziemi wskazują, gdzie trafiły pociski.

– Przestań się bawić – powiedział z gniewem Stary – Nie potrzebujemy być gorszymi mordercami, niż jesteśmy zmuszeni!

Z włazów trafionego czołgu wyskakują płomienie, a słup gęstego, oleistego dymu wędruje, ku czystemu, błękitnemu niebu. Ku naszemu przerażeniu płonący czołg rusza ponownie z miejsca. Coraz bardziej nabiera prędkości i zbliża się do nas.

Przełączyłem wieżę na ręczne sterowania i posłałem trzyczłonowy pocisk w zbliżający się wrak, ale bez efektu.

– Czy ten sukinsyn jest zmęczony życiem? – krzyknął Porta, wyduszając z silnika resztki mocy, tak że czołg niemal podskoczył do góry i zakołysał się na gaśnicach.

Z rykiem, na wysokich obrotach, Porta skierował nasz wóz na kurs kolizyjny.

– Stój! – darł się Stary. – Czy ty też oszalałeś?

– Pilnuj swojej sztucznej szczęki – warknął Porta jak podniecony wilk. – To jest sprawa pomiędzy ruskim i niemieckim kierowcą. Wyjdź, jeśli się boisz. Mam zamiar pokazać temu słabemu na umyśle dupkowi, gdzie Mojżesz kupuje piwo!

Nigdy w życiu obrazy przed moimi oczami nie zmieniały się tak szybko. Z lufy wyleciał pocisk i z prędkością ponad 700 m/s uderzył w krawędź sowieckiego czołgu. Iskry i kawałki stali latały w powietrzu przez chwilę, jak rozgniewane szerszenie. Jednak nasz pocisk odbił się i poleciał rykoszetem w kierunku chmur. Płonąca góra stali, w którą zamienił się wrogi czołg, zbliżała się do nas nieuchronnie.

– On musi być szalony! – krzyczał Heide, kuląc się ze strachu pod radiem. – Albo może jest samym diabłem!

Z chrzęstem, dzwonieniem i zgrzytem płonący T-34 uderzył w nasz czołg. W przeciągu kilku sekund otoczyła nas ściana ognia i czarnego oleistego dymu.

– Cofnij się! Cofnij się! – wrzeszczał porucznik Löwe przez komunikator. – Czy wyście oszaleli?

Przez chwilę wydawało się, że bitwa zamarła, bo jej uczestnicy obserwowali śmiertelną walkę fanatycznego rosyjskiego kierowcy w płonącym T-34 i naszej załogi w Tygrysie. Jakby cała bitwa wstrzymała oddech. W każdej chwili amunicja w ogarniętym płomieniami czołgu mogła eksplodować i wywołać łańcuch niezwykle rzadko widzianych reakcji. Porta próbował wyrwać nasz pojazd z

płonących objęć T-34, ale wydawało się, że jesteśmy ujęci żelaznym uściskiem. Nie mogliśmy się rozłączyć.

– Wynośmy się, zanim amunicja i paliwo eksplodują! – krzyczał przestraszony Heide, chwytając za uchwyt wjazdu.

– Zamknąć wjazdy! – krzyknął Stary szorstko.

– Nikt nie wychodzi bez mojego rozkazu!

– Co się do diabła dzieje? – spytał poblady Mały.

– Mamy usmażyć się razem z tym T-34?

– Wstrzymaj się – roześmiał się Porta. – Przygotowujemy się do podniebnej podróży z jednym z naszych szalonych sąsiadów.

Wnętrze naszego czołgu wypełniał czarny, gryzący dym, który powodował potworne ataki kaszlu. Żar stawał się nie do zniesienia. Przez szczeliny obserwacyjne wdzierały się płomienie ognia.

Porta klął i wyzywał siarczyście, próbując na wszystkie sposoby skrócić naszym czołgiem. Niestety uchwyt był beznadziejnie mocny. Płyty pancerne trzeszczały i zgrzytały.

– Poślij mu pigułkę, na moce piekielne! – krzyczał z furią Porta. – Strzel mu prosto w twarz!

– Nie mogę – bełkotałem roztrzęsiony. – Lufa jest ponad nim, nie mogę jej bardziej obniżyć!

– Tak, czy tak, spróbuj! – krzyczał Porta. – Może sam podmuch go wymiecie.

– Burzący – zarządził Stary. – Ogień z lufy powinien usmażyć tego wariata!



Pocisk wyleciał z ogłuszającym hukiem, ale nawet to nie zrobiło wrażenia na samobójczym kierowcy T-34. Udało mu się skierować swój czołg w nasz pancierz czołowy. Płomienie powoli zaczęły ogarniać Tygrysa.

– Musi mieć mózg w dupie! – płakał Porta, gdy przez szczelinę obserwacyjną zobaczył spód sowieckiego czołgu.

– Zniszczył nam działą! – krzyknąłem przerażony, gdy lufa działą wyskoczyła z łoża i wyłamała zamek. Rozległ się zgrzyt rozrywanego metalu.

– Żegnaj armato – powiedział Porta dodając gazu tak, że silnik niemal zakrztusił się z powodu braku tlenu.

Z wielkim łoskotem Tygrys skoczył do przodu tak mocno, że płonący T-34 przewrócił się na plecy. Przejechaliśmy po przeciwniku. Wydawało się, że ziemia pod nami eksploduje. Zaslona ognia pokryła nas, a podmuchy gorącego powietrza wysysały nam płuca. Przewody, radiostacja, instrumenty, amunicja, wszystko fruwało w ciasnym wnętrzu naszego czołgu. Z różnych miejsc wyciekał olej i paliwo. Myślałem, że nawiedził nas diabeł.

Byłem wciśnięty pomiędzy wychyłomierz i zniszczone łożo działą. Mały uwolnił mnie za pomocą łomu. Leżałem na płycie, trzęsąc się ze strachu, a serce chciało mi wyskoczyć z klatki piersiowej. Stary rzucił mi gaśnicę. Wszyscy razem zaczęliśmy zalewać płomienie strugami piany, które tańczyły w przedziale bojowym.

– Do tyłu – rozkazał Stary.

– To wyjdź na zewnątrz i pchaj – powiedział lakonicznie Porta. – Silnik rozpadł się na kawałki.

– A co z radiem? – spytał dowódca.

– Strzępy – płaczliwie powiedział Heide.

– Do cholery! – zaklął Stary. – Możesz coś zrobić, abyśmy się stąd wynieśli?

– Może i mógłbym – powiedział Porta przez nos.

– Ale nie wolno mi nic robić, zgodnie za zbiorczym załącznikiem do przepisów armii. Jest w nim napisane, że główne naprawy w Tygrysie może przeprowadzać tylko wykwalifikowany personel.

– Ale przecież nie możemy tu zostać! – wybuchnął Stary.

– Nie? To przecież takie piękne i spokojne miejsce, tylko kilku wariatów lata i strzela z dział, próbując sobie przegryźć gardła – roześmiał się Mały, patrząc w niebo.

– Słuchaj Porta – powiedział Stary, próbując dyplomacji. – Jeśli chcesz, to potrafisz naprawić ten cholerny silnik. Nie jest przecież całkowicie rozwalony. Pomożemy ci, damy wszystko, co potrzebujesz, aby wynieść się z tego gnoju.

– Trzymam się regulaminu armii – upierał się Porta, kontrolując, aby nie ominęła go kolejka przy podziale kiełbasy. – Wolno mi tylko wymienić wkładki i olej, to wszystko. A głowica cylindrów! Obergefreiter Porta z łaski Bożej, nigdy sam tego nie dotyka. Wszyscy sprytni chłopcy mówią, aby tego nie robić.

– Ale również nie wolno nam porzucić czołgu! –

krzyknął Stary w desperacji.

– No to go wysadzimy – zaproponował uparty kierowca. – Po to są zamontowane pod wieżą ładunki.

– Przecież wiesz, do cholery – chrypiał czerwony jak indyk Stary – że wolno wysadzić w powietrze czołg tylko wtedy, gdy jest kompletnym wrakiem lub nie można go odholować.

Porta przeciągnął się jak obudzony kocur i zapalił powoli papierosa, nie zważając na to, że wszędzie było pełno wypływającego paliwa.

– Obudźcie mnie, gdy przyjedzie holownik z dźwigiem i podniesie czołg.

– Ty się lepiej zamknij! – krzyknął Stary w białej gorączce. – Zobaczymy co z silnikiem. Wszyscy na zewnątrz!

Porta przechadzał się beztrąsko wokół czołgu, podśpiewując:

*Es geht alles vorüber Es geht alles vorbei.*

Po chwili usiadł na trawie obok Starego.

– Połowa gąsienicy poleciała gdzieś pod Moskwę. Dwie z czterech rolek poszły do diabła, a lufa wisi jak złamany fiut starego ministra.

– No i co z tego! – powiedział groźnie Stary. – Postawią nas przed sądem wojennym, jeśli zniszczymy czołg. Jeden z was będzie musiał zdobyć pojazd do ewakuacji.

– Mam pomysł – powiedział Mały, podnosząc rękę do góry. – Nawet żaden psychopata by tego nie wymyślił.

– Matko Boska! – jęknął Porta. – Po tych twoich pomysłach zawsze dostajemy w łeb.

– Tam, za linią dębów – wyjaśniał Mały, nie zważając na Portę – stoi podkulawiony T-34. Siedzi w nim beczynnie czterech towarzyszy, pierdzi w stołki i spogląda przez wizjery, jak wódz Indian na wojenną ścieżkę. Co wy na to, aby przejść się do nich i namówić ich, aby załatwili nasz czołg na cacy? Wtedy nikt nie powie, że opuściliśmy czołg bez potrzeby.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć – powiedział zaszokowany Heide. – To jest najgorszy rodzaj sabotażu. Będzie to was kosztować: głowy. Musicie być kompletnie szaleni!

– Jesteś tępy jak trzonek młotka – szydził Mały.

– Jeśli ten twój Führer myśli chociaż trochę tak jak ty, to prowadzi nas do największej klęski w historii ludzkości.

– To nie jest takie głupie – ocenił Stary, patrząc na rosyjski T-34, z wieżyczki którego wystawała głowa w skórzanym hełmofonie.

– Musimy tylko pomachać białą flagą – założył optymistycznie Mały. – Jeśli tamci podrapią się trochę po głowach, to wystarczy z nimi chwilkę miło pogadać.

– Z pozoru to kompletne szaleństwo – powiedział Stary – ale jest szansa. Tych czterech dostanie piękne medale za zniszczenie Tygrysa, a my unikniemy sądu wojennego. Ale dlaczego do tej pory do nas nie strzelali?

– Sprawa jest prosta jak myśl policjanta – roześmiał się

szeroko Porta. – Mają rozwaloną gąsienicę. Nie mogą się ruszyć. Nie wiedzą, że mamy rozwalone działo. Myślą więc, że gdyby nie trafili za pierwszym strzałem, to rozniesiemy ich na kawałki, nim zdążą uciec ze swojego pudła.

– Do diabła ze wszystkim – podsumował Stary.

– Trzeba spróbować!

Mały pomachał entuzjastycznie kawałkiem białej szmaty. Chwilę później na wieżycze T-34 też pojawiła się biała flaga.

– Niech będę przeklęty! – powiedział zaskoczony Stary. – Oni chcą się z nami bawić!

– Jestem zawstydzony jak żydowski pies, który wsadza nos w arabski tyłek – protestował Julius. – Nie możecie rozmawiać z podludźmi! Musicie ich zniszczyć. Tak kazał nasz wódz!

– Idź i wypłacz się za jakimś drzewem – poradził kpiąco Mały, machając jeszcze energiczniej białą szmatą.

– Dajcie mi resztę koniaku i kielbasy – domagał się Porta, który znał się na rzeczy. – Pójdę i wcześniej zajmę miejsce. Machajcie nadal flagą. I nie róbcie żadnych głupich dowcipów, to do ciebie Julius. Nie jestem zainteresowany utratą jajek.

Z koniakiem i kielbasą w rękach ruszył w kierunku zielonego T-34, w połowie ukrytego wśród dębów.

Wysoki sierżant z rozwichrzoną rudą brodą zeskoczył z pancerza sowieckiego czołgu i ruszył ostrożnie na spotkanie naszego człowieka. Słońce odbijało się w jego

okularach, gdy patrzył na nas. Porta i Rudobrody spotkali się prawie w połowie drogi. Ostrożnie, ale nie nerwowo podali sobie z wahaniem ręce. Porta zaoferował prezenty, na co sierżant wyjął butelkę wódki z kieszeni. Nastąpiła wymiana trunków. Po kilku łykach tak się rozluźnili, że zaczęli wymieniać braterskie pocałunki. Po kilku następnych toastach zaczęli głośno śmiać się i machali rękami w stronę swoich załóg.

– Pokój stał się faktem – roześmiał się triumfalnie Mały. – Do dupy z resztą tej zaszrannej wojny!

– Sierżant Grigorij Poleszajew, 43. Gwardyjska Brygada Pancerna – przedstawił Porta sowieckiego parlamentariusza, przy czym obaj omal się nie wywrócili.

Ostrożnie pozdrowiliśmy sierżanta, który wyglądał jak diabeł z tą wielką, czerwoną brodą i czarnymi oczami.

Porta objaśnił mu jak działa i funkcjonuje Tygrys, niczego nie ukrywając. Dziko wyglądający Rosjanin okazywał niekłamany podziw dla naszego wyposażenia, po czym powiedział, że żałuje, iż jest Rosjaninem, a nie Niemcem, – Z takim sprzętem jak ten, bylibyśmy w Paryżu czy Londynie błyskawicznie – zadeklarował.

Trochę później dotarli do nas pozostali członkowie załogi T-34. Usiedliśmy na ściernisku po słonecznikach, dzieląc się tym, co mieliśmy i dyskutowaliśmy o czasach pokoju i kobietach. Porta usiłował im wyjaśnić, jak robi się omlet z kawiozem i ostrygi w szampanie.

Kiedy opuszczaliśmy ich przed zmierzchem, nasz Tygrys był rozbity na kawałki. Musieli wsadzić w niego

pięć pocisków, zanim się zapalił. Potem pomogliśmy im naprawić zerwaną gaśnicę.

– *Daswidania!* – krzyczeli, gdy znikaliśmy między drzewami.

Byliśmy już w lesie i słyszeliśmy jak powoli cichnie w oddali warkot silnika ich czołgu.

– Miejmy nadzieję, że nie trafią na jakiegoś niemieckiego sodomitę, który będzie im się próbował dobrać do tyłka – powiedział Porta.

Usiedliśmy na zwałonym pniu drzewa i patrzyliśmy rozmarzeni na pobliskie jezioro. Tylko Julius był rozgoryczony i nie chciał z nami rozmawiać.